

**ARNAUD DELALANDE**

**PUŁAPKA DANTEGO**

Z francuskiego przełożyła  
KRYSTYNA SZEŻYŃSKA-MAĆKOWIAK

## KRĄG PIERWSZY

### PIEŚŃ I

#### Mroczny las

*Maj 1756*

Francesco Loredan, Księżę Republiki, sto szesnasty doża Wenecji, zasiadł w Sali Kolegium, gdzie zwykł był przyjmować posłów. Od czasu do czasu wznosił oczy ku ogromnemu malowidłu Veronesego, upamiętniającemu *Wiktorię pod Lepanto*, chwilami zdawał się skupiać myśli na złoceniach plafonu lub wpatrywał się w *Marsa i Neptuna* czy wreszcie *Wenecję panującą w Sprawiedliwości i Pokoju*, lecz powaga i pilny charakter zajmującej go sprawy nie pozwalały mu na dłuższą chwilę spokojnej kontemplacji.

Francesco był mężem w podeszłym wieku, a jego blada jak pergamin twarz ostro kontrastowała z połyskliwą purpurą otaczającej ją tkaniny. Kosmyki rzadkich włosów wymykały się spod dożowskiej czapki. Siwe brwi i broda pogłębiały patriarchalny charakter jego oblicza, jakże stosowny dla człowieka pełniącego tak ważne dla Republiki funkcje. Na stojącym przed Franceskiem biurku, nad którym wznosił się baldachim, królował skrzydlaty lew z wysuniętymi pazurami, wcielenie siły i majestatu. Doża, człowiek przy tuszy, ubrany był w kosztowne szaty. Płaszcz przystrojony narzutką z gronostajowego futra i okazałymi guzami opadał luźno, odsłaniając szatę z delikatniejszej tkaniny, sięgającą łydek obleczonej w czerwone pończochy. *Bacheta*, berło symbolizujące władzę doży, spoczywała leniwie na przedramieniu mężczyzny. Dłonie, smukłe i ruchliwe, nerwowo zaciskały się na sprawozdaniu z ostatniego posiedzenia Rady Dziesięciu. Na palcu połyskiwał pierścień z herbem Wenecji i wagą. Do sprawozdania załączono list opatrzony pieczęcią Rady. Spotkanie, ze względu na wyjątkowe okoliczności, odbyło się tego ranka, a Francesca poinformowano o sprawie, którą oględnie można by nazwać ponurą.

*Chmury gromadzą się nad Republiką - pisano w podsumowaniu - groźne chmury; to zabójstwo jest zaś, Jaśnie Oświecony Panie, ledwie jednym z licznych nieszczęść, jakie niosą. Wenecja ginie, ohydni złoczyńcy skradają się jej ulicami niczym wilki w mrocznym lesie. Omiata ją niosący zagładę wiatr. Czas spojrzeć prawdzie w oczy.*

Doża odchrząknął, uderzając palcami w brzeg listu. A zatem doszło do strasznego dramatu.

\* \* \*

Tradycja weneckiego karnawału sięgała dziesiątego wieku.

Teraz trwał już przez sześć miesięcy w roku: od pierwszej niedzieli października do piętnastego grudnia, następnie zaś od Trzech Króli do Wielkiego Postu. A potem przychodził czas Sensy, Wniebowstąpienia Pańskiego, i znów karnawał rozkwitał z pełną mocą.

W mieście aż wrzało, wszyscy czynili przygotowania.

Wenecjanki zaczynały się stroić - osłaniając twarz maskami, podkreślały idealną biel cery pięknymi szatami, broszkami, wisiorami, perłami, drapowanymi pelerynami z satyny, a krągłość piersi śmiały dekoltami ciasno zasznurowanych staników. Szturmowały stragany i sklepy z koronkami i szarfami. Ich włosy, w tak niespotykanym odcieniu blondu, były upięte w misterne koki lub podtrzymywane diademami, osłonięte kapeluszem, rozpuszczone i falujące niby to swobodnie albo ufryzowane, karbowane, kręcone, ułożone w zadziwiające, często ekstrawaganckie fryzury. Ponieważ weneckie ślicznotki pojawiały się w przebraniach, każda pozowała na wielką damę - chodziły z wysoko podniesioną głową, jak nakazywały zasady *portamento*, dumne niczym szlachetnie urodzone panie, dając wyraz pewności siebie postawą i strojem, a także wdziękiem i władczymi spojrzeniami. Czyż bowiem w czas karnawału nie były najbardziej pożądanymi, najgoręcej wielbionymi - słowem - najpiękniejszymi kobietami świata? Ta niczym niezmacona wiara w siebie była też podstawą ich śmiałych pomysłów. Miastem zawładnęły piękności, rozbłysła nad nim tęcza zachwycających barw - jedna dama pojawiła się w mocno pasowanej sukni z białego linonu, delikatnego, ale nieprześwitującego, przystrojonej falbanami i koronkami; druga swą suknię ozdobiła bufami z włoskiej gazy i przepasała niebieską szarfą, której końce powiewały daleko za nią; jeszcze inna, trzymająca w ręku parasolkę, miała na szyi plisowaną chustę związaną nad biustem tak, że jedwabne rogi spletały się znowu nad szeroką spódnicą na fiszbinach. Któraś z dam poprawiła *morettę*, przytrzymując zębami czarną maskę dzięki niewielkiemu wewnętrznemu noskowi. Inna wygładzała kreację, jeszcze inna wprawnym ruchem rozkładała wachlarz. Najpiękniejsze kurtyzany przechadzały się niemal ramię w ramię z najpospolitszymi dziewczkami. *Catalogo di tutte le pñncipal e più onorate cortigiane di Venezia*, a także traktat *La tariffa delle puttane di Venezia*, opatrzone komentarzami o talentach tych kochanek na jedną noc, ukradkiem wędrowały spod jednej peleryny do następnej.

Mężczyźni najczęściej przywdziewali białą maskę zjawy, *larve*, a do niej trój graniasty kapelusz, lub *bautę*, która osłaniała całą sylwetkę. Zwolennicy bardziej klasycznego stroju wybierali czarną pelerynę czy *tabarro*, wszędzie zaś roiło się od barwnych postaci rodem z krainy bajek i baśni, teatru i marzeń. Truffaldino, arlekin, pantalon, dottore, poliszynel - ich oczywiście nie mogło zabraknąć, byli tu zawsze, byli wieczni; ale pojawiały się też diabły z workami, Maurowie „ujeżdżający” jarmarczne koniki i osły, Turcy z fajkami w zębach, francuscy, niemieccy i hiszpańscy oficerowie, a także całe gromady piekarzy, kwiaciarzy, węglarzy, kominiarzy, wieśniaków... Szarlatani, handlarze oferujący cudowne napoje, zapewniające nieśmiertelność albo powrót ukochanego, żebracy, obszarpańcy i chłopcy bez grosza przy duszy, którzy ściągali tu z całego regionu, ślepcy i paralitycy - kalecy w rzeczywistości czy też zwykli oszuści - wszystko to pienieło się w całym mieście. Kawiarnie i niezliczone namioty, ustawione na tę okazję, zachęcały włóczędzów kolorowymi tablicami do oglądania

„potworów”: karłów, olbrzymów, kobiet o trzech głowach. Tam gromadziły się tłumy, tam dochodziło do przepychanek.

Nadszedł czas najwyższej euforii, pełnej swobody, gdy byle prostak mógł przeistoczyć się w króla, szlachcic zaś w kanalię, kiedy wszystko nagle stawało na głowie, gdy odwracały się role, gdy chodziło się na rękach, a każde szaleństwo i każdy wybryk były dozwolone. Gondolierzy w najszybkim z możliwych strojach wozili po kanałach swoich pasażerów. Miasto przystrojono w niezliczone łuki triumfalne. Gdziegdzie grano w pelotę, w *meneghellę*, stawiano kilka drobnych monet, które z brzękiem wpadały do miseczek. Zabawiano się też, wrzucając pieniądze do worków z mąką, by potem zanurzać w nich ręce w nadziei na wygraną, która przewyższy stawkę. Na straganach piętrzyły się pączki i smażona sola. Rybacy z Chioggii przywoływali przechodniów z tartany. Jakaś matka wymierzyła siarczysty policzek córce, którą zbyt śmiało obłapiał zadurzony młodzian. Handlarze pchali wózki pełne ubrań, by rozłożyć towar na straganach. Na *campi* stały wiklinowe kosze pełne łakoci i suszonych owoców. Włączący się grupkami *frombolatori*, weseli chłopcy w budzących strach maskach, ciskali cuchnącymi jajami w suknie dam i staruch spoglądających na ulicę z balkonów, i uciekali, śmiejąc się do rozpuku. W całym mieście trwały najdziwaczniejsze, najbardziej groteskowe zabawy - tu pies latał na linie, tam mężczyźni wspinali się na szczyt słupa szczęścia, żeby zdobyć pęto kiełbasy albo butelkę wódki, gdzieś indziej znowu śmiałkowie nurkowali w kadzi mętnej wody, próbując chwycić zębami węgorza. Na Piazzecie drewniana machina w kształcie ciastka z kremem kusiła łakomczuchów. Gromady ludzi zbierały się wokół linoskoczków, scen komediowych, teatrzyków marionetek. Stojąc na taboretach i wskazując palcem gwiazdy, które nie rozbłysły jeszcze na niebie, jarmarczni astronomowie obwieszczali nadciągającą apokalipsę. Rozbrzmiewały okrzyki, westchnienia, śmiechy, ludzie tryskali radością życia.

I wtedy z cienia wyłoniła się ta, którą zwano Damą Kier.

Dotąd stała pod arkadami, teraz zaś przeszła kilka kroków, rozkładając wachlarz. Jej długie rzęsy zatrzepotały pod maską. Czerwone usta zaokrągliły się. Wyglądając fałdy sukni, upuściła chusteczkę. Gdy pochylała się, by ją podnieść, rzuciła spojrzenie agentowi, stojącemu nieco dalej, na rogu Piazzetty, by upewnić się, czy dobrze ją zrozumiał. Jej gest miał oznaczać: „On tu jest”.

\*

I rzeczywiście był tutaj, w tłumie.

Człowiek powołany do spełnienia najważniejszej misji - zglądzenia doży Wenecji.

Dwa rogi z imitacji kości słoniowej sterczały nad jego głową. Łeb gniewnego byka z wysuniętymi, groźnie rozdętymi nozdrzami. Posępne oczy błyszczące spod ciężkiej maski. Zbroję, już prawdziwą, utkano ze srebrnych kółek i płytek, dość lekkich, by nie krępować i nie spowalniać ruchów. Pod krwistoczerwoną peleryną kryły się dwa skrzyżowane na plecach pistolety - potrzebne, żeby wypełnić zadanie. Metalowe nagolenniki osłaniały nogi nad skórzanymi butami. To był olbrzym, potężna istota, której gorący oddech zdawał się świstać przez nozdrza.

Minotaur.

Gotów pożerać dzieci Wenecji w labiryncie rozgorączkowanego, kipiącego życiem miasta, czyhał, by odmienić bieg historii.

Karnawał rozpoczął się na dobre.

\* \* \*

Kilka miesięcy wcześniej, ciemną nocą, przejmujący krzyk Marcella Torretone rozdarł ciszę panującą w teatrze San Luca.

Cień był tuż obok. Zawładnął miastem, przeleciał ponad dachami Republiki. W blasku zachodzącego słońca wśliznął się do teatru. Ojciec Caffelli nazywał go Il Diavolo, wcielonym diabłem, a Marcello w swoim raporcie użył przydomku, jaki nadali mu zwolennicy: Chimera. Ksiądz próbował uprzedzić Marcella, ten zaś musiał pogodzić się z rzeczywistością. Działo się tu coś groźnego. Tego wieczoru wpadł w pułapkę. Tajemniczy nieznajomy wyznaczył mu spotkanie w San Luca, po premierze *L'Impresario di Smirne*, która okazała się wielkim sukcesem. Właściciele San Luca, Vendraminowie, wyszli jako ostatni. Nieznajomy ukrywał się za kulisami, dopóki teatr nie opustoszał.

Marcello zwinął sceniczny kostium, który leżał tuż za kurtyną. Jeszcze raz przeczytał opatrzony pieczęcią list, który mu dostarczono. Podpisał go niejaki Wergiliusz. Obiecywał przekazać informacje najwyższej wagi. Zagrożenie dotyczyło władz weneckich, a także samej osoby doży. Marcello postanowił nazajutrz udać się do Emilia Vindicatiego - należało jak najszybciej powiadomić Radę Dziesięciu o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Jednak teraz mógł tylko przeklinać swój brak rozważli.

Wiedział - do nikogo już nie pójdzie.

Nie zobaczy najbliższego wschodu słońca.

Ktoś go ogłuszył, przywiązał do desek i okładał pięściami. Na pół przytomny, Marcello widział kręcącą się koło niego zakaprzoną postać, nie był jednak w stanie dojrzeć twarzy tajemniczego osobnika. Nagle spostrzegł młotek, gwoździe, rzemienie, cierniową koronę i niezwykle szklane narzędzie, które połyskiwało w dłoni nieznajomego. Ogarnęło go przerażenie.

- Kim... kim jesteś? - wybełkotał.

Spod kaptura wydobył się szyderczy śmiech. A potem Marcello słyszał już tylko własny oddech - ciężki, głęboki. Nieznajomy kończył przywiązywanie go do drewnianej konstrukcji, której kształty miał wkrótce zdradzić cię na podłodze. Krzyż.

- Czyżbyś... czyżbyś był Il Diavolo? Chimera, tak? Zakapturzona postać na chwilę zwróciła się ku niemu.

Marcello na próżno usiłował dojrzeć rysy ukrytej w mroku twarzy.

- A zatem istniejesz? A ja myślałem... Znów rozległ się śmiech.

- *Vexilla regis prodeunt inferni...* - odrzekł Chimera. Głos nieznajomego był niski, przerażający.

Prawdę mówiąc, brzmiał jak zza grobu.

- C... coo?

- *Vexilla regis prodeunt inferni*, Marcello Torretone!

I przytknął czubek pierwszego gwoździa do unieruchomionej więzami nogi Marcella... a potem jego ręka uniosła wysoko młotek.

- Neeee!

Marcello wył nieludzkim głosem.

*Vexilla regis prodeunt inferni.*

Tak, słychać już było łopot sztandarów króla Piekieł...

\* \* \*

Francesco Loredan, na którego twarzy malowała się zaduma, szybkim krokiem przemierzał korytarze Pałacu Dożów.

Trzeba za wszelką cenę pojmać tego człowieka.

Francesco należał do grona patrycjuszów doskonale obeznanych z tajnikami władzy. Objął funkcję w roku 1752 i był dożą od ponad czterech lat. Młodzi arystokraci weneccy przygotowywali się do służby państwowej od dwudziestego piątego roku życia. Wtedy to zgodnie z prawem otwierały się przed nimi drzwi do Wielkiej Rady. Francesco był jednym z nich. Zgodnie z panującą w Wenecji tradycją, uczył się sztuki służby państwowej poprzez kontakt z doświadczonymi urzędnikami. Taka praktyka była konieczna zwłaszcza dlatego, że konstytucja Republiki opierała się głównie na przekazie słownym. Na ogół ambasadorowie zabierali ze sobą synów, by wprowadzić ich w tajniki dyplomacji; niektórzy młodzi szlachcice, *Barbarini*, wylosowani w dniu świętej Barbary, mieli prawo przysłuchiwać się obradom Wielkiej Rady przed osiągnięciem wyznaczonego wieku. W ten sposób ludzie będący u władzy zapewniali swoim dzieciom naukę poprzez praktyczne poznanie struktury i funkcjonowania instytucji państwa. W szlacheckich dynastiach kariera była wytyczona z góry - Wielka Rada, Senat, Signoria lub Urząd Stałego Łądu, ambasady, Rada Dziesięciu, aż po urząd prokuratora, a nawet doży, pierwszego w mieście. Ta kultura polityczna była jednym z filarów potęgi laguny, która umacniała się dzięki talentom swych przedstawicieli i sprawnej organizacji. I działało się tak, mimo że czasami kalkulacje weneckich dygnitarzy obracały się przeciwko Serenissime, której nieobce było mroczne oblicze dyplomacji. Przymierze dożów z Florencją przeciwko Mediolanowi, przypieczone przed trzema wiekami pokojem zawartym w Lodi, umożliwiło Republice opowiedzenie się za wolnością Italii, zarazem jednak zachowanie własnej niezależności. Wzorem ambasady w Konstantynopolu, najświetniejszej ze wszystkich, mnożyły się inne, niezwykle sprawne poselstwa weneckie w Paryżu, Londynie, Madrycie czy Wiedniu. Podział Morza Śródziemnego między Turcję a floty katolickie - sygnał zachwiania dominacji tej pierwszej - także przyczynił się do umocnienia pozycji Wenecji. Republika nie stworzyła zupełnie nowej polityki, a jednak, jako pani mórz, pośredniczka między różnymi kulturami i mistrzyni gry pozorów, przydała jej szlachetnych rysów, które z pewnością spodobalyby się takim włoskim autorytetom, jak Machiavelli z *Księciem* czy florency Medyceusze.

Francesco był pragmatykiem, obdarzonym talentami nieodzownymi w życiu publicznym i zręcznością w interesach, czy szło o handel, czy też finanse, ponadto doskonale radził sobie na polu dyplomacji i prawa, co czyniło zeń godnego dziedzica tradycji weneckiej arystokracji. Zmierzając z listem w ręce do Sali Kolegium, powtarzał sobie po raz kolejny, że urząd doży Wenecji nie należy do najłatwiejszych. Od czasu do czasu pałacowy wartownik cofał się, ustępując mu z drogi i wznosząc halabardę, by po chwili znów stanąć sztywno z kamienną twarzą. Dziesięciu ma rację, myślał Loredan. Trzeba działać bardzo szybko. Od dwunastego wieku uprawnienia doży nieustannie rosły, a inwestytura pod sztandarem świętego Marka, zgodnie z tradycją karolińskich laudów, bizantyjski baldachim i purpura, korona nad czepcem książęcym symbolizowały tę silną pozycję. Mimo to Weneccy zawsze czuwali, by pierwszy spośród nich nie zdołał zagarnąć pełni władzy. Jego rządy, najpierw ograniczone przez osobę prawną, jaką była wspólnota Wenecji, wkrótce zostały poddane swoistej kontroli Signorii, zgromadzenia elit rządzących miastem. Jeszcze dziś wielkie rody, których

tradycja sięgała czasów ekspansji na półwysep, dbały o zachowanie wpływu na najważniejsze decyzje Republiki, i choć Wenecja wystrzegła się wszelkich form zbliżonych do monarchii absolutnej, państwo wyraźnie wytyczało granicę między tak zwaną władzą ludu, która trwała krótko jak letni sen, a dominacją rodów, którym miasto zawdzięczało swą potęgę.

Francesco, jak wszyscy Wenecjanie, z nostalgią myślał o złotym wieku, o czasach rozkwitu Wenecji i jej kolonii. Mógłby wszak być - jeśli nie jedynym, to przynajmniej jednym z twórców tego wielkiego dzieła podboju. Rzecz jasna, z niewypowiedzianą satysfakcją przyjął zaszczytny tytuł, a potem cieszył się nieustannym ceremoniałem otaczającym jego osobę, czasami jednak czuł się więźniem oficjalnego urzędu, *rex in purpura in urbe captivus*, „królem spowitym w purpurę i uwięzionym w mieście”... Gdy proklamowano go dożą w pobliskiej bazylice, stanął przed radosnym tłumem na placu Świętego Marka, potem na Schodach Olbrzymów nałożono mu zakończoną rogiem czapkę. Ledwie jednak ogłoszono go Księciem Wenecji, już musiał złożyć przysięgę, iż nigdy nie przekroczy uprawnień, jakie daje mu *promissio ducalis*, którą odczytywano mu na głos co rok, przypominając o charakterze jego władzy.

Francesco, wybrany dożywotnio na dożę, członek wszystkich rad, osoba znająca najpilniej strzeżone tajemnice państwowe, lepiej niż ktokolwiek inny uosabiał z racji swej funkcji władzę, potęgę, a nawet ciągłość Republiki - *Serenissimy*. Przewodniczył Wielkiej Radzie, Senatowi, Quarantii, w dni „otwarte” wraz z sześcioma członkami swej Rady przyjmował prośby i skargi. Co tydzień odwiedzał jedną z niemal trzystu magistratur funkcjonujących w Wenecji. Sprawdzał, jakie podatki i w jakiej wysokości uiszczają obywatele, zatwierdzał bilans finansów publicznych, a oprócz tego musiał uczestniczyć w niezliczonych przyjęciach i spotkaniach. Doża nie miał praktycznie życia prywatnego. Zdarzało się, że nieustanna gonitwa odbijała się na zdrowiu piastujących urząd starców, bo dożę można było zostać dopiero po ukończeniu sześćdziesięciu lat. Może dlatego uznano, że tron w Sali Wielkiej Rady należy wyposażyć w pokrytą aksamitem podpórkę, która pozwalała Jaśnie Oświeconemu nieco się zdrzemnąć, gdy nie miał już sił przysłuchiwać się obradom.

Francesco dotarł do celu drogi: wszedł do ogromnej sali *Maggior Consiglio*, Wielkiej Rady, ozdobionej portretami jego godnych poprzedników. W innych okolicznościach przystanąłby na chwilę, żeby, jak to czasami robił, odnaleźć w rysach dawnych dożów jakieś symboliczne powinowactwo. Myślałby o Zianim - sędzim, radcy, padewskim podeście, najbogatszym człowieku w Wenecji, którego „nowe” rody, wzbogacone dzięki rozkwitowi Republiki, zmusiły do usunięcia się z życia publicznego; przysiadłby przy portrecie Pietra Tiepola, armatora i kupca, diuka Krety, podesty Trewiru, ambasadora Wenecji w Konstantynopolu, który, nieusatysfakcjonowany powołaniem Senatu i spisaniem w roku 1242 statutów miejskich, przyczynił się również do przywróconej jedności Wenecji i umocnienia wpływów oraz niezależności Republiki. Przed wyjściem z sali Francesco zerknąłby też na czarny woal okrywający portret doży Faliera, którego losy były niezwykle dramatyczne - żył w czasach wszechwładzy arystokracji, marzył o powrocie do rządów przedstawicielskich, mobilizujących także prosty lud. Został stracony. Francesco zastanawiał się, co on sam zdoła po sobie zostawić i jak zapiszą się w pamięci przyszłych pokoleń jego wysiłki.

Mam wszak powody, by zadawać sobie to pytanie, pomyślał z niepokojem.

Tego kwietniowego dnia bowiem Francesca gnębiły ponure myśli. Wkrótce miał przyjąć Emilia Vindicatiego, członka Rady Dziesięciu. Nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji i nie wiedział, jak zareagować na dość szczególną propozycję, którą ten złożył mu rankiem. Francesco dotarł do Sali Kolegium: usiadł na chwilę. Nie zdołał jednak długo pozostać na miejscu. Podenerwowany, podszedł do okna. Z balkonu widać było tamę przed laguną, po której płynęło kilka gondoli, okręty wojenne Arsenалу i barki transportujące towary. Nieco dalej rysowała się sylwetka uskrzydłonego lwa z nabrzeża Świętego Marka i Kampanili wznoszącej się niczym sztylet w świetle dnia. Francesco przetaił oczy i głęboko odetchnął. Obserwował taniec statków na falach, wpatrywał się we wzburzone wody, które pozostawiała za sobą każda większa łódź. Westchnął jeszcze i po raz ostatni przeczytał zakończenie listu Rady Dziesięciu.

*Chmury gromadzą się nad Republiką, groźne chmury; to zabójstwo jest zaś, Jaśnie Oświecony Panie, ledwie jednym z licznych nieszczęść, jakie niosą. Wenecja ginie, ohydni złoczyńcy skradają się jej ulicami niczym wilki w mrocznym lesie. Omiata ją niosący zagładę wiatr. Czas spojrzeć prawdzie w oczy.*

Po chwili oznajmił jednemu z pałacowych strażników, że gotów jest przyjąć Emilia Vindicatiego. - *Si, Jaśnie Oświecony Panie.*

Czekając na niego, znów zapatrzył się w grę światła na lagunie.

\*

Wenecjo...

Po raz kolejny trzeba cię będzie ocalić. Iluż trzeba było walk, by dożowie zdołali uchronić „Wenus wód” przed naporem fal i mułu. Francesco często rozmyślał nad tym cudem. Bo przetrwanie jego miasta granoczyło z cudem. Dawniej na pograniczu dwóch imperiów - bizantyjskiego i karolińskiego - Wenecja krok po kroku zdobywała niezależność. Święty Marek został patronem laguny w roku 828, gdy dwaj kupcy z dumą przywieźli do Rialto wykradzione z Aleksandrii relikwie ewangelisty.

Jednak to pierwsza krucjata i zdobycie Jerozolimy oznaczały dla półwyspu początek złotego wieku. Położona na styku światów - zachodnioeuropejskiego, bizantyjskiego, słowiańskiego, islamskiego i dalekowschodniego - Wenecja stała się miejscem trudnym do ominięcia: drewno, żelazo z Brescii, Karyntii i Styrii, miedź i srebro z Czech, złoto ze Śląska i Węgier, len, wełnę, konopie, jedwab, bawełnę, barwniki, futra, przyprawy, wina, zboże i cukier przewożono szlakiem, na którym się znajdowała. Równocześnie rozwijała własne rzemiosła, specjalizowała się w budowie statków, wyrobach luksusowych, produkcji szkła i kryształu, handlu solą. Otwierała morskie szlaki dla potężnych konwojów galer - na wschód, do Konstantynopola i nad Morze Czarne, na Cypr, do Trebizondy i Aleksandrii; na zachód, w kierunku Majorcki, Barcelony, Lizbony, Southampton, Brugii i Londynu. Państwo zbroiło galery, starało się okiełznać morze, sprzyjało handlowi. Marco Polo i jego *Opisanie świata* rozbudzały marzenia Wenecjan o odległych krainach; Odorico da Pordenone przemierzył Krainę Tatarów, Indie, Chiny i Indonezję, przywożąc z podróży sławne *Descriptio terrarum*. Niccolo i Antonio Zeno rozszerzali kontakty Wenecji aż po nieznane obszary północy -



wybrzeża Nowej Ziemi, Grenlandii i Islandii, a Ca' Da Mosto wyruszył na podbój Rio Grandę i wysp Zielonego Przylądka.

Wiele bym dał, by móc być świadkiem tych wydarzeń.

Wenecja, „nijakie miasto” zagubione na lagunie, wyrastała na prawdziwe imperium! Mnożyły się faktorie i osady na Krecie, w Koryncie, Smyrnie, w Tesalonikach, wciąż dalej i dalej za morzem. Tak powstały kolonie i myślano już nawet o stworzeniu nowej Wenecji, Wenecji Wschodu. I wszędzie, na tych odległych ziemiach, Wenecja zyskiwała poddanych. Lecz zdominowana ludność często cierpiała nędzę, a to stworzyło podatny grunt dla dążeń i propagandy Turków, ku którym zwróciły się w końcu najbardziej pognębione kraje. Sprawowanie kontroli nad tak rozległym państwem i próba skutecznej eksploatacji kolonii zmuszały do rozbudowy sieci administracyjnej i handlowej, co w rezultacie zaburzyło równowagę imperium i osłabiało je. I od tamtej pory...

Wenecja zdołała zachować świetność do szesnastego wieku. Potem dawny blask zaczął z wolna przygasać. Problemy Wenecji po bitwie pod Lepanto, hegemonia Hiszpanii na terytorium Włoch, a także ścisłe związki papieża z Hiszpanią były jaskrawymi przejawami tej sytuacji. W roku 1718, na mocy pokoju zawartego w Pożarevacu, Wenecja utraciła kolejne tereny na korzyść Turków. Odtąd Miasto Dożów przyjęło postawę życzliwej neutralności, równocześnie trwoniąc ogromne pieniądze na unowocześnienie Arsenału. Rozkwit sztuki przez jakiś czas przysłał rzeczywisty stan rzeczy, odwracając uwagę od oznak podupadania państwa - freski Tycjana, Veronesego i Tintoretta prześcigały się w pięknie, Canaletto ukazywał drganie powietrza nad laguną i spowijał miasto mgiełką barw. Lecz Francesco wiedział, że dziś, w obliczu najwyższej potrzeby utrzymania rangi miasta w oczach świata i wobec wciąż żywej groźby upadku, Wenecja nie może dłużej ukrywać słabości. Najsurowsi krytycy porównywali ją do próchniejącej trumny, do czarnej gondoli, która jeszcze pruje wody, ale już zaczyna się w nich pogrążyć. Reputacja miasta, Serenissimy, która swym *credo* uczyniła ekspansję, była zagrożona. Przemysł, hazard, lenistwo, zbytek doprowadziły do upadku dawnych cnót. Słowa świadków, których Francesco wysłuchiwał przez cztery minione lata, dowodziły, że transport morski nieustannie malał. Konkurując z Livorno, Triestem i Ankoną, port tracił na znaczeniu. Starano się co prawda zachęcić szlachtę, by powróciła do kupiectwa, które uznawała teraz za zbyt „plebejskie”, biorąc przykład z Anglików, Francuzów czy Holendrów, lecz na próżno: merkantylizm kwitł, a mimo to szlachetnie urodzeni nie chcieli pójść drogą dawnych wartości.

Od tego do prawdziwej dekadencji był już zaledwie krok.

Vindicati ma rację... Kraj toczy gangrena.

Emilio Vindicati wreszcie pojawił się w Sali Kolegium.

Szerokie drzwi otwały się przed nim.

Francesco Loredan odwrócił się w stronę gościa.

Vindicati zrezygnował tego dnia z galowego stroju i przybył w obszernym czarnym płaszczu. Jego owalną twarz wieńczyła upudrowana peruka. Był mężczyzną wysokim i tak szczupłym, że zdawał się pływać w ubraniach. W jego przenikliwych, ruchliwych oczach raz po raz rozpalaly się ogniki ironii, widocznej też w lekkim uniesieniu kącika ust, tak wąskich, jakby były ledwie blizną po cięciu ostrza. Od czasu do czasu jego wargi układały się w sarkastyczny uśmiech. Zdecydowanie i

spokojna siła emanowały z twarzy podobnej do tafli jeziora, którego głębie skrywają wiele tajemnic i poruszenia. Skłonny do gniewu, pełen pasji, o surowym charakterze - Emilio był człowiekiem krewkim i tylko ktoś taki jak on mógł silną ręką okiełzać Radę Dziesięciu, kładąc kres próżnym deliberacjom. Z urodzenia Florentyńczyk, dorastał w Wenecji i został wybrany na swe stanowisko po dwudziestu pięciu latach pracy w Maggior Consiglio. Tam zyskał opinię zręcznego polityka i niepokonanego oratora. Krytykowano go za wyniosłość, a także skłonność do zbyt skrajnych poglądów, lecz podobnie jak Francesco Loredan, Emilio potrafił doskonale pełnić służbę publiczną i tęsknił za złotym wiekiem Republiki Weneckiej. Obaj uważali, że racja stanu zawsze powinna być najważniejsza. I w przeciwieństwie do większości weneckiej szlachty, która ich zdaniem drzemała w piernatach lenistwa, Emilio gotów był uczynić wszystko, by pomóc Republice w powrocie na drogę dawnej chwały.

Wchodząc do Sali Kolegium, Emilio Vindicati zdjął nakrycie głowy i z szacunkiem pokłonił się doży. Dłonią muskał czarną laskę, której gałkę tworzyły dwa splecione gryfy. Francesco Loredan znów zwrócił oczy na lagunę.

- Emilio, z uwagą przeczytałem protokół z Rady i wskazówki, których udzielasz mi w swym liście. Obaj wiemy, jak funkcjonują instytucje państwowe Wenecji, a gra wpływów politycznych też nie jest dla nas tajemnicą. Nie ukrywam, że lektura tego dokumentu wprawiła mnie w zdumienie i przeraziła. Czyżbyśmy byli aż tak ślepi, jak twierdzisz? Czy nad naszą nieszczęsną Wenecją zawisło aż tak poważne zagrożenie... czy może z rozmysłem wyolbrzymiasz problem, żeby zmusić nas do działania?

Emilio uniósł brew i zwilżył wargi językiem.

- Panie, czyżbyś powątpiewał w słuszność opinii Rady Dziesięciu?

- Spokojnie, Emilio. Starajmy się nie wykorzystywać w tej rozmowie naszych słabostek... A zatem minionej nocy w teatrze San Luca dopuszczono się potwornej zbrodni...

Emilio uniósł głowę i splótł ręce za plecami, wciąż bawiąc się laską. Westchnął i przeszedł kilka kroków.

- Tak, Wasza Wysokość. Oszczędziłem ci, panie, szczegółów tego posępnego mordu. Wiedz jednak, że w Wenecji nigdy dotąd nie wydarzyło się nic równie makabrycznego. W tej chwili ciało wciąż jeszcze jest w teatrze. Rozkazałem, by niczego nie dotykano, dopóki nie zostanie podjęta decyzja o sposobie prowadzenia śledztwa, oparta również na informacjach, które podałem w moim liście... Jest jednak pewne, że ta sytuacja nie może trwać zbyt długo.

- Czy powiadomiłeś Wielką Radę o tej zbrodni?

- Właściwie nie, Wasza Wysokość. I pozwolę sobie zauważyć, że moim zdaniem, to ostatnia rzecz, jaką należałoby uczynić.

Mężczyźni znów zamilkli. Doża odszedł od okna i zbliżył się do Emilia, trzymając w ręku *bachetę*. Po chwili zabrał głos.

- Nie bardzo mi się to podoba... Zdajesz sobie sprawę, że nie wolno mi nawet otwierać korespondencji pod nieobecność członków Małej Rady. Z tego punktu widzenia także nasza rozmowa stanowi naruszenie konstytucji. Emilio, nie muszę ci przypominać powodów, które skłaniają mnie do ścisłego przestrzegania całej tej etykiety... Wiesz także, że w praktyce ostateczna decyzja nie należy do mnie. Powołujesz się na szczególne okoliczności, by obejść zwyczajową procedurę, ale są ludzie

gotowi dopatrywać się w tym intrygi. Dlatego powiedz, Emilio... czy naprawdę przypuszczasz, że członkowie weneckiego rządu mogliby być zamieszani w tę straszliwą zbrodnię? Przyznaj, że to niezwykle ciężkie oskarżenie.

Emilio zachował kamienną twarz.

- Godzenie w bezpieczeństwo państwa to równie ciężka zbrodnia, Wasza Wysokość.

Zapadła cisza, a po chwili Francesco uniósł dłoń i z lekka się skrzywił.

- Rzecz jasna, przyjacielu... Lecz to wszystko jedynie domysły, a argumenty, które przedstawiłeś w raporcie, są, oględnie mówiąc, zdumiewające, brak zaś dowodów.

Doża odszedł, by przystanąć pod *Wiktoria pod Lepanto*.

- Podjęcie jawnego śledztwa jest nie do pomyślenia, bo już zlecając jego wszczęcie, postawilibyśmy się w bardzo trudnej sytuacji, która rychło doprowadziłaby do głębokiego kryzysu. A do tego nie powinniśmy w tej chwili dopuścić.

- Właśnie jest to powód, dla którego nie zdecydowałem się skorzystać z usług jednego z naszych stałych informatorów, by dowiedzieć się czegoś więcej, Wasza Wysokość.

Doża zmrużył oczy.

- Tak właśnie sądziłem. I postanowiłeś wykorzystać do tej podłej roli jakiegoś obwiesia, łotrzyka, na którego nikt nie zważa, a którego skazaliśmy na gnicie w weneckich lochach, zanim zostanie stracony? Osobliwy pomysł! Skąd pewność, że ledwie znajdzie się na wolności, nie spróbuje czmychnąć?

Na twarzy Emilia pojawił się uśmiech.

- Nie martw się tym, Jaśnie Panie. Za bardzo zależy mi na wolności, żeby się targować albo próbować wyprowadzić nas w pole. Wie, co go czeka, jeżeli nie dotrzyma słowa. Przyznaję oczywiście, że chodzi o człowieka, który w najrozmaitszych okolicznościach czynił, co w jego mocy, by drwić z Republiki i wyrządzać szkody, jakie czynić potrafi osobnik o takim temperamencie, rzekłbym - awanturnik i wichrzyciel. Ale nasza umowa wyciągnie go z lochu i ocali przed stryczkiem. Będzie wdzięczny za tę łaskę, i choć to łotr, ma swój honor. Wiem, co mówię, bo przez blisko cztery lata byłem za niego odpowiedzialny... Pracował już dla nas i dla Rady. Potrafi prowadzić śledztwa w sprawach kryminalnych i wtopić się w tłum, żeby zdobyć informacje. Myśli szybko i jak nikt inny potrafi wywikłać się z najtrudniej szych sytuacji.

- Tak - mruknął Loredan. - Najwyraźniej ma też talent do wpadania w tarapaty.

Uśmiech Emilia stał się w tej chwili nieco wymuszony.

- Przyznaję, że masz rację, panie. Lecz owa lekkomyślność, o której mówimy, to także doskonała broń. Nikt nigdy nie podejrzewał go o współpracę z nami. Zapewniam, że potrafię utrzymać go w ryzach.

Doża zastanawiał się przez chwilę.

- Przypuśćmy, Emilio... Przypuśćmy, że tak właśnie uczynimy, podejmując wiążące się z tym ryzyko... Czy przedstawiłeś już temu więźniowi swą ofertę?

- Owszem, Wasza Wysokość. Oczywiście, wyraził zgodę. Czeka tylko na naszą decyzję. Proszę sobie wyobrazić, że pobyt w więzieniu wykorzystuje na pisanie pamiętników... Upowiedziałem go, jak się pan domyśla, że szczegóły sprawy, o której mówimy, nie mogą się w nich pojawić... Prawdę

mówiąc, nie wierzę, żeby jego opowieść zyskała wielu czytelników, ale po prostu byłoby przykre, gdyby własnoręcznie wyparł się przyrzeczenia, które mi złożył, gdyby jego słowa wystarczyły, by podważyć wiarygodność naszą, Rady i całego rządu.

- Właśnie! I sam to powiedziałeś.

Doża usiadł w fotelu i w zamyśleniu gładził ręką brodę. Emilio zbliżył się do niego.

- Wasza Wysokość, co właściwie ryzykujemy? W najgorszym wypadku ucieknie, ale w najlepszym... Może okazać się wymarzonym narzędziem w naszych rękach... Po mistrzowsku władza spada, potrafi zaskarbić sobie zaufanie prostych ludzi, a jego wielka inteligencja w służbie szlachetnej sprawy może ocalić Wenecję. To ironia losu, którą natychmiast dostrzegł i którą się rozkoszuje. Uważa, że mógłby w ten sposób odkupić swoje grzechy... Odkupienie, Wasza Wysokość... To świetna motywacja...

Doża zastanawiał się jeszcze chwilę. Przymknął oczy, położył palce na ustach, a potem westchnął i spojrzał na Emilia.

- Dobrze. Przeprowadź go tu. Mam do ciebie pełne zaufanie. Pamiętaj jednak, że chcę go zobaczyć i osobiście przesłuchać, aby wyrobić sobie bliższą opinię o tym człowieku i jego duszy.

Emilio uśmiechnął się. Wolno wstał z fotela i uklonił się doży. Uniósł brwi i uśmiechnął się jakby pełniej, mówiąc:

- Uczynię, jak każesz, Wasza Wysokość.

Opuścił już salę, gdy pogrążony w zadumie doża wyszeptał:

- Mimo wszystko... Wypuścić Czarną Orchideę!...

\* \* \*

Doża przymknął oczy.

Ujrzał uzbrojone galery, grzmiące na lagunie, zakapturzone postacie biegające nocą po Wenecji, karnawał w pełni. Poczł zapach prochu, usłyszał szcęk broni. Wyobraził sobie Serenissime pogrążającą się w wodach, zatopioną na wieki. Niesamowity spektakl własnej zguby rozpałił jego umysł.

Podano mu gorącą kawę, która stała teraz tuż obok berła. Zapatrzył się w gęsty, czarny płyn.

I oto Francesco Loredan, Książę Serenissimy, sto szesnasty doża Wenecji, pomyślał:

Bestie zostały wypuszczone.

## PIEŚŃ II

### **Przedsiónek piekła**

Weneckie więzienie Piombi stanowiło część Pałacu Dożów. Mieszczące się na poddaszu budynku krytego płytami ołowiu o powierzchni trzech stóp kwadratowych każda, uważane było za jedno z najlepiej strzeżonych w Italii. Można się tam było dostać bramą wiodącą do pałacu lub przez inny budynek, przechodząc przez Most Westchnień. Lecz te „westchnienia” nie brzmiały jak głosy namiętnych kochanek u szczytu ekstazy, ale jak ostatnie jęki rozpaczycy skazańców, których tą drogą prowadzono na miejsce kaźni. Za ażurowymi okiennicami Ponte dei Sospiri można było dojrzeć

lagunę. Dalej zaczynał się wąski korytarz i schody wiodące na poddasze, gdzie znajdowały się cele najgorszych zbrodniarzy.

W jednej z nich siedział człowiek od dawna oskarżony o zakłócanie miłego weneckiego spokoju. Choć daleko mu było do najokrutniej szych zbirów, całkowitą amoralnością i awanturniczym charakterem raz po raz zasługiwał sobie na pobyt w więzieniu, tym razem zaś zawisła nad nim groźbakary śmierci. Jego proces jeszcze się nie zaczął. Ostatnia rozmowa z Emiliem Vindicatim przywróciła mężczyźnie nadzieję na wyjście z opresji. Jego włosy były już długie, ale golił się codziennie i dbał o siebie, jakby wieczorem wybierał się na eleganckie przyjęcie. Miał pięknie zarysowane brwi, kształtny nos i delikatne usta, wyraziste oczy, zdolne zarówno ujawnić, jak i zataić prawdę. Ktoś o tak szlachetnych rysach nie pasował do tego miejsca. Zezwolono mu na sprowadzenie książek i używanie stołu, a nie tylko legowiska, na którym spał. Zaprzyjaźnił się ze swoim strażnikiem, Lorenzem Basadonną, który zaopatrywał go w pióra, atrament i welinowy papier, by mógł spisywać wspomnienia, przenosząc je na kartki okrucich po okrucich. Od czasu do czasu więzień i strażnik wdawali się w ożywione rozmowy i mimo ciężkiego położenia tego pierwszego, dla którego pozbawienie wolności było najgorszym nieszczęściem, nierzadko zdarzało się słyszeć ich śmiech. Czasem więzień mógł też grać w karty, z celi do celi, z innym więźniem i starym przyjacielem, szeroko znanym w Serenissimie - niejakim Giovannim Giacomem Casanova, również oskarżonym o notoryczne zakłócanie ładu publicznego. Nierzadko więźnia odwiedzał jego wierny lokaj Landretto, by umilić mu czas i przynieść książki, żywność, a także nowinki z miasta.

Kiedy Emilio Vindicati zamierzał uwolnić więźnia, ten - jak zwykle - siedział pochylony nad kartką i coś na niej bazgrał. Doprawdy dziwnie potoczyły się losy tego szaraczka, urodzonego w samym sercu miasta na lagunie, w dzielnicy San Marco, 12 czerwca 1726 roku. Jego rodzice mieszkali w pobliżu Santa Trinità i pracowali z rodzicami Casanovy w teatrze San Samuele, otwartym w roku 1655 przez Grimanich. Jego matka, aktorka, kapryśna artystka, nazywała się Julia Pagazzi; ojciec, Pascuale, syn szewca i tancerza zarazem, szył kostiumy sceniczne, a z życia dziecka i jego matki zniknął bardzo wcześnie. Wtedy Julia wyjechała do Francji, gdzie czekały na nią inne kontrakty, a chłopiec na dobrą sprawę został sam. Miał braci i siostry, z którymi nawet nie rozmawiał. Wychowywał się u babki, Eleny Pagazzi. Podążając śladem Giacomę, którego poznał w dzieciństwie na *campo* San Samuele, wyjechał do Padwy, by podjąć studia. Tam wpadł w szpony przyjaciela rodziny, Alessandra Bonacina, poety-libertyna, szlachcica bez grosza przy duszy, który wprowadził go w świat zabaw i rozkoszy, udając, iż wskazuje mu drogę wiodącą ku Bogu. Dzieciak, który stał się mężczyzną, powrócił z tytułem doktora w kieszeni do Wenecji, gdzie przyjął tonsurę i niższe święcenia. Planowano dla niego karierę duchowną, jako praktyczną szansę awansu społecznego, przynajmniej pod jednym względem zgodną z jego temperamentem, a mówiąc dokładniej - z gorącą, głęboką potrzebą akceptacji - paradoksalnym, acz zrozumiałym następstwem poczucia odrzucenia, w jakim żył w najmłodszych latach. Będąc człowiekiem rozwiązłym, trafił w końcu do więzienia w forcie św. Andrzeja na wyspie Sant' Erasmo, skąd widać było Lido. Tu po raz pierwszy spotkał za kratami swego kompana Casanovę. Pewien rzymski kardynał na próżno starał się sprowadzić go na dobrą drogę, on jednak postanowił uciec i zaciągnąć się do wojska, potem przemierzał morza od Korfu po Konstantynopol, następnie zaś wrócił do Wenecji i został skrzypkim w teatrze San Samuele, gdzie

pracowali niegdyś jego rodzice. Okazało się wprawdzie, że muzyka nie jest powołaniem młodzieńca, ale eskapady z Giacomem i jego kompanami dały mu możliwość rozwinięcia wszelkich złych skłonności. Trafił do naprawdę dobrej szkoły.

Jednak pewnego dnia los się do niego uśmiechnął - w pałacu Mandolinich, kilka kroków od Santa Trinità, gdy zbierał się do wyjścia z balu, podczas którego grał na skrzypcach, cudem uratował senatora Ottavio. Biedaczysko miał złą passę, a skrzypek podpowiedział mu, jak obstawić w grze. Potem z pełnym przekonaniem wyznał, że jego talent opiera się na solidnej wiedzy ezoterycznej, która, dzięki operacjom numerologicznym, pozwala mu znaleźć odpowiedź na każde pytanie, jakie sobie zadał lub jakie mu zadano. Naiwny senator był tak dalece zaślepiony, że uznał go za przybranego syna. Dał mu służącego, wynajął gondolę, zapewnił dach nad głową i strawę, a także dziesięć cekinów miesięcznej pensyjki. Odtąd młody rozpustnik jeździł karocą i wiódł wielkopańskie życie. Od czasu do czasu zdarzało mu się spotkać Giacomę, któremu również sprzyjała fortuna. Obaj więc brali odwet na życiu! Nasz młodzian uchodził wśród bogatych patrycjuszy, którym nie szczędził pokazów swej wiedzy, za wyrocznie i systematycznie nabijał sobie kabzę w weneckich *casini*. Rzecz jasna, miał nie tylko wady - cudownie rymował, znał na pamięć Ariosta, był mistrzem filozofowania. Erudycja, charyzma, błyskotliwy umysł, celny dowcip i niezwykły talent gawędziarza, który umiał doprowadzić słuchaczy do łez albo godzinami trzymać w napięciu, czyniły zeń miłego i poszukiwanego kompana. Jakże jednak w tym mieście namiętym i pełnym tajemnic, zarazem świętym i libertyńskim, szlachetnym, ale ogarniętym dekadencją, mógłby nie ulec swym demonom? Całymi nocami przesiadywał w *casini* i oddawał się rozpuście. Równocześnie znajomości w kręgach politycznych czyniły zeń idealnego informatora, toteż któregoś dnia wieczorem zagadnął go kierujący wówczas Quarantia Criminale Emilio Vindicati. W ten oto sposób erudyta-rozpustnik dał się zwerbować niejako „przez pomyłkę”. Wprowadzony na salony przez senatora Ottavio, niechcący przekonał Vindicatiego, by wybrał właśnie jego do współpracy z Radą Dziesięciu, staczając trzy kolejne pojedynki, a także dokonując drobnych sztuczek, by ośmieszyć znajomych młodzieńców i rywali o względy uroczych Weneccjanek. Niepokojny duch, żądny przygód i ryzyka, chętnie zgodził się dołączyć do grona informatorów Dziesięciu. Po kilku latach był jednym z najcenniejszych szpiegów Rady.

Myślał, że to czyni go tajnym agentem.

Tajnym agentem na żołdzie Republiki.

Ponieważ często nosił w butonierce kwiat, którego nasiona sprowadzał dzięki pomocy senatora Ottavio z Ameryki Południowej, a także dlatego że nazwa kwiatu przypadła mu do gustu, nadano mu pseudonim, który miał stać się sławny: Czarna Orchidea. To była jego nowa osobowość, piękna i trucicielska, idealnie do niego pasująca. Dzielnie pracował, tropiąc wrogów władzy, wicherzycieli i wszelkiego rodzaju złoczyńców. Pomagało mu doświadczenie wojskowe, a ponieważ wciąż się doskonalił, został mistrzem szermierki. Okazał się też nieodrodnym synem swej matki jako doskonały komediant i wirtuoz sztuki charakteryzacji. Niczym kameleon przybierał tysiąc twarzy. Uważano go za wybornego agenta.

I taka sytuacja mogłaby trwać bardzo długo, gdyby zdolny młodzieniec nie popełnił kardynalnego błędu, uwodząc małżonkę swego protektora. Och, piękna Anna! Anna Santamaria! Smukła w tali, o bujnej piersi, sarnich oczach, z uroczym pieprzykiem w kąciку ust, mogła niejednego

przyprawić o zawrót głowy. Młodo i wbrew swej woli została wydana za senatora. Toteż ani ona, ani Czarna Orchidea nie potrafili się sobie oprzeć. On dokonał niejednego podboju, nigdy jednak nie zakochał się tak bardzo, by ryzykować życie. Anna Santamaria także nieraz ulegała namiętności, owszem, ale ten romans okazał się o jednym za dużo. Burza, która się rozpętała, położyła kres karierze młodzieńca. 18 listopada 1755 miejscy inkwizytorzy wywlekli go z łóżka i zabrali do więzienia Piombi, przedstawiając fikcyjne zarzuty uporczywego ateizmu i parania się kabałą. Po miesiącu, kiedy dopracowywał ostatnie szczegóły planu ucieczki, strażnik Basadonna przeniósł go do innej celi. Trzeba było zaczynać wszystko od początku, lecz nie tracił otuchy i z pomocą Casanovy, którego spotkał w więzieniu - „witaj, stary druhu” - Czarna Orchidea zaczął myśleć nad nowym projektem. Anna Santamaria, żona Ottavia, powinna wciąż jeszcze być w Wenecji, jeśli małżonek nie zamknął jej w jakiejś posiadłości na stałym lądzie. Tak czy inaczej, nie mógł nawiązać z nią kontaktu. Długo miał nadzieję, że do niego napisze, ale nie doczekał się listu. On sam wysłał ich kilka, najprawdopodobniej jednak żaden nie trafił do rąk adresatki. Choć z natury niestały, szczerze cierpiał z tego powodu.

Właśnie w takiej chwili po raz pierwszy odwiedził go dawny mentor, Emilio Vindicati. Więzień miał dość rozwagi i wyobraźni, by nie popaść w apatię czy nawet szaleństwo, które niekiedy ogarniało jego towarzyszy niedoli. Giacomo i on słyszeli ich potworne krzyki, żałosne jęki i zawodzenia, które rozbrzmiewały w ciemnościach nocy. Niektórzy dusili się własnymi łańcuchami, aby przyspieszyć kres udęki, albo walili głową w mur, i kiedy wyprowadzano ich z celi na miejsce egzekucji, mieli już zakrwawione twarze. Inni wracali ledwie żywi po torturach, jakim poddawano ich w mrocznych izbach. Wchodziło się tam sekretnymi korytarzami, których wiele było w murach pałacu. Czarna Orchidea uniknął jak dotąd takich krwawych przesłuchań i nigdy nie przemknęło mu przez myśl, by ze sobą skończyć. Wręcz przeciwnie - tym wyraźniej czuł tętniące w nim życie, że uniemożliwiono mu normalny byt i rozkwitanie. To właśnie było dla niego najbardziej nieznośne. Zapomnieć, że jest się w kwiecie wieku, zapomnieć o ekscytujących przygodach, burzliwym życiu, podbojach - tego przy swoim temperamentcie nie mógł sobie nawet wyobrazić. Czasami krążył po celi jak lew uwięziony w klatce i próbował się opanować. Zmuszał się też do utrzymywania codziennej higieny, godzinami przymierzał sztyte wedle jego własnych projektów ubrania, które przynosił mu Landretto, kiedy indziej szukał rozwiązania niezwykle trudnego problemu filozoficznego lub nowej strategii, pozwalającej wygrać z kompanem w karty, albo wreszcie analizował freski, które malował kredą na ścianach celi.

Słyszac zgrzyt klucza obracającego się w zamku, odrzucił pióro, wygładził rękawy koszuli i odwrócił się twarzą do drzwi. Ujrzał w nich strażnika Basadonnę, który tuż pod okiem, powyżej rzadkiej brody, miał ohydny, ropiejący jęczmień. Mężczyzna trzymał w ręce lampę i uśmiechał się szeroko.

- Masz gościa.

Więzień wyteżył wzrok i w ciemnym korytarzu zobaczył odzianego w czarny płaszcz Emilia Vindicatego. Uniósł brew. Pierścienie na palcach gościa błysnęły, gdy przełomie musnął nimi wargi. Były to palce artysty.

- Cóż za niespodzianka... Emilio Vindicati. Jest dla mnie zaszczytem powitać pana w tym marnym pałacu! Z radością stwierdzam, że spotykamy się coraz częściej.

- Zostaw nas samych - rozkazał strażnikowi Emilio. Basadonna prychnął, a może zachichotał, i wolnym krokiem ruszył przez korytarze. Twarz Emilia, początkowo kamienna i surowa, rozjaśniła się w uśmiechu. Otworzył ramiona. Więzień wstał. Przywitali się jak bracia.

- Och, przyjacielu! - zaczął Emilio. - Doża wzywa cię, tak jak to zaplanowałem. Zachowuj się przyzwoicie, kanalio, i powiedz mu to, co pragnie usłyszeć. Jeszcze nie wygraliśmy tej partii, ale jesteś o krok od odzyskania wolności.

- Ratujesz mi życie, Emilio, zdaję sobie z tego sprawę i nie zapomnę ci tego, nie obawiaj się. Jeżeli ceną za moje życie jest wypełnienie misji, o której mówiłeś, nie wycofam się. Zresztą, chociaż gra wydaje się ryzykowna, Wenecja jest moim miastem i kocham ją. Zasługuje na to, co dla niej zrobię.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a ich oczy rozbłyły. Potem Emilio pchnął drzwi celi i wyciągnął rękę, wskazując korytarz.

- Chodźmy, nie każmy mu czekać.

Pietro Luigi Viravolta de Lansalt wyprostował się. Uśmiechał się z lekka. Przesunął dłonią po piersi, wygładzając koszulę, a potem zdecydowanym krokiem ruszył za swym dobroczyńcą. Zanim jednak odszedł, zatrzymał się na moment przy sąsiedniej celi. Przez szczelinę wysunęła się dłoń, na której wskazującym palcu lśnił sygnet, a na serdecznym - pierścień z rubinem.

- Wynosisz się stąd?

- Być może - odparł Pietro. - Gdybym nie wrócił... dbaj o siebie.

- Nie martw się o mnie, mam w zanadru niejedną sztuczkę. Jeszcze się spotkamy, przyjacielu.

- Nie zapomnę o tobie.

- Ani ja. Pietro... Kiedy już znajdziesz się na wolności...

Zamilkł na chwilę.

- Okaż się godny mnie. Pietro uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że zdołam, Giacomo.

Ucałował rękę Casanovy i ruszył za Emiliem Vindicatim przez mroczne korytarze.

\* \* \*

Viravolta od dawna nie wychylał nosa z cuchnących pomieszczeń. Było chłodno, ale słońce, które muskało jego czoło, i niemal oślepiające światło wydawały mu się istnym błogosławieństwem. Wdychał wonie odzyskanej Wenecji. Emilio musiał przystanąć, by pozwolić mu nacieszyć oczy widokiem laguny z Mostu Westchnień. Viravoltcie wystarczyło wyjść z więzienia, żeby poczuć nagły przypływ energii. Gdyby mógł, wchłonałby cały świat. Ale nie należało teraz trwonić czasu - Książę Republiki nie opuszczał Sali Kolegium, oczekując na ich przybycie. Pietro był gotów na wszystko, byle odzyskać wolność, i nie bał się śledztwa, które chciał mu powierzyć Emilio. Oddychał pełną piersią, sprężystym krokiem przemierzając pałac, symbol swego uwięzienia, ale także wielkości miasta, które wielbił. W tej chwili marzył, niczym pan domu, by przekroczyć Porta del Frumento, wychodzącą na Kanał Świętego Marka bramę pałacu ze wspaniałym dziedzińcem, z eleganckim renesansowym skrzydłem, fasadą z zegarem i studniami obrzeżonymi brązem. Kiedy ogień strawił bizantyjski pałac



Zianich, odbudowano go, obdarzając imponującą morską fasadą, i powiększono o nową salę kąpaną w południowym słońcu. Właśnie w tym pomieszczeniu zbierała się Wielka Rada. Mury pałacu w białoczerwone romby, duże, ostrołukowe okna w rzeźbionych wykuszach, wznoszące się po ich bokach wieżyczki, które spoglądały na morze - wszystko to przypominało monumentalny ołtarz. Koronkowe blanki, strzeliste marmurowe dzwonniczki, arkatury dolnej galerii, wdzięczne kolumny galerii górnej - każdy szczegół czynił z tego gotyckiego gmachu istny cud. Następny pożar, który wybuchł w roku 1577, nie zdołał unicestwić pałacu - Antonio Da Ponte nadał mu obecny kształt i odtąd budynek zdawał się unosić na falach triumfującej wieczności. Z oddali dobiegały uszu Pietra pogodne odgłosy miasta tętniącego życiem, zlewające się w natarczywy zgiełk, który harmonizował z nastrojem uwolnionego i wzbudzał w nim radość. Viravolta nie miał pojęcia, czy spodobałoby się to doży, lecz czuł, że on i to miasto, aż po najdalsze zakątki, tworzą jedność, że przenika go ta subtelna i zagadkowa siła ducha, tak typowa dla Wenecjan. Na ulicy! Wreszcie znalazłem się na ulicy!

\*

Pietro i Vindicati wkrótce dotarli do Sali Kolegium, gdzie zaanonsowano doży ich przybycie. Jesteśmy.

Ogromne, dwuskrzydłowe drzwi otwały się przed nimi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W innych okolicznościach Pietro zapewne byłby pod wrażeniem. Te drzwi, za którymi ujrzał *Wiktoria pod Lepanto* oraz *Marsa i Neptuna* na plafonie, były poruszającym symbolem wprowadzenia w arkana władzy pod niebem Republiki, w blasku dogasającego imperium. A tam, w głębi, zasiadł Jaśnie Oświecony Doża Wenecji. Wolnym krokiem szli przez salę.

Na zaproszenie księcia Vindicati i Pietro usiedli na wprost gospodarza.

Doża długo przypatrywał się twarzy więźnia. Potem odkaszlnął.

- Podsumujmy. Numerologia, kłamstwo, hazard, uwodzicielstwo, szermierka, przebieranki, podwójna, a może i potrójna agentura, oportunizm, a w sumie - błazen... Wszystkie nasze Rady znają doskonale ekstrawaganckie wyczyny Czarnej Orchidei. Długo byłeś pan pod ochroną ze względu na usługi, jakie wyświadczałeś Republice... Muszę jednak wyznać, Viravolta, że myśl o panu przechadzającym się znów swobodnie ulicami Wenecji nieco mnie niepokoi... Te same odczucia wzbudza we mnie pański przyjaciel, ten renegat Casanova...

Pietro uśmiechnął się, nieco zażenowany. Ale już po chwili powróciło dawne zuchwalstwo.

- Wenecja sprzyja wszelkim dziwactwom, Wasza Wysokość - odparł.

Doży nieco umknęła nuta bezczelności w głosie rozmówcy. Emilio rzucił Viravoltcie spojrzenie nakazujące poskromić temperament.

- Tak... - podjął Francesco Loredan. - A zatem już pan wie, co nas nęka... Rada Dziesięciu wpadła na dziwaczny pomysł i zaproponowała mi, aby powierzyć panu śledztwo, które jak sądzę, może ugodzić w kilka cieszących się szacunkiem osób... Rada Dziesięciu, Viravolta. Czy coś to panu przypomina?

Jakżeby inaczej... Pietro skinął głową. Przecież właśnie dla Dziesięciu Czarna Orchidea pracował przez cztery lata. Teraz wszechpotężny krąg miał powody drzeć. Struktura władzy państwa weneckiego bardzo wczesnie wykształciła rozmaite zgromadzenia. Najpierw powołano w Wenecji radę starszych, z której wykluczono kler. Uznano ją za stróża rodzącej się wspólnoty. Potem pojawiła się

Wielka Rada i jej znaczenie rosło z czasem. Dziś omawiała projekty praw i wybierała wszystkich urzędników miejskich i państwowych, a także senatorów, sławetną Radę Dziesięciu i członków Quarantii, która opracowywała projekty podatkowe i finansowe. Już od złotego wieku senat zajmował się dyplomacją, polityką zagraniczną, sprawował nadzór nad koloniami, miał decydujący głos w sprawach wojny, a także organizował życie gospodarcze Wenecji. Administracja jako taka była podzielona na dwa sektory. Pierwszym z nich były „urzędy pałacowe”, czyli sześć trybunałów sądowych oraz biura finansowe, wojskowe i marynarki wojennej, a także kancelaria doży, gdzie przechowywano archiwa państwowe i akty notarialne; drugim zaś - „urzędy Rialto”, obejmujące głównie biura ekonomiczne.

W tej scentralizowanej strukturze Radzie Dziesięciu przypadła specyficzna rola. Zrodziła się z obaw rządu, który stopniowo odcinał się od ludowych posłów. Długo wychwalano stabilność polityczną Wenecji, której sprawny system władzy czerpał zarówno z rządów arystokracji, z monarchii oraz demokracji, w rzeczywistości jednak obawa przed ludem była żywa. Powiązana z Quarantia Criminale „Mroczna Rada”, jak ją nazywano, stanowiła najdoskonalszy organ weneckiej policji. Jej dziesięciu członków wybierała na rok spośród przedstawicieli znamienitych rodów Wielka Rada. Podczas pracy nad różnymi sprawami do tego grona dołączali doża oraz jego doradcy, adwokat komuny, szefowie trzech sekcji Quarantii oraz złożona z dwudziestu osób komisja. Rada Dziesięciu - konserwatywna struktura, której sama nazwa przyprawiała o drżenie, zajmowała się przede wszystkim nadzorowaniem osób wykluczonych ze społeczności arystokracja obawiała się bowiem desperackich posunięć pewnych frakcji, które mogłyby zagrozić bezpieczeństwu państwa. Jako opoka sądów nadzwyczajnych, Rada dysponowała tajnymi funduszami i siatką informatorów, do której długo należał także Pietro.

Przez jakiś czas ta bezlitosna instytucja usiłowała zagarnąć część prerogatyw Senatu w dziedzinie dyplomacji, finansów i polityki monetarnej, ale głęboki kryzys zmusił ją do oddania cesarzowi tego, co cesarskie. Jednak Rada nie zamierzała kapitulować - władza trzech inkwizytorów, delegowanych do tropienia szpiegów i przypadków współpracy z wrogami, została umocniona. Mroczna Rada dążyła do pozbawienia Quarantii części jej uprawnień sędziowskich. Jeszcze dziś z antyszambrowych pałacu książęcego prowadziła działalność tajnej policji i szerzyła terror, co czasami kończyło się głośnymi pomyłkami sądowymi, ale nie wiodło do ograniczenia tej potęgi. Republika Tajemnic - oto co symbolizowała Rada. Zawsze obradowała za zamkniętymi drzwiami. Wolno jej było uciekać się do tortur, zapewnić bezkarność i ułaskawić tych, którzy jej służyli. Z takich uprawnień miał nadzieję skorzystać w tej chwili Pietro. Byłby to zresztą sprawiedliwy zwrot losu. W przeszłości Dziesięciu zyskało reputację instytucji działającej skutecznie, demaskując europejski spisek przeciwko Wenecji, którym kierował niejaki Bedmar. Od tego czasu byli wszechobecni. Zakazywali członkom innych rad ujawniania treści obrad, grożąc karą śmierci lub konfiskatą majątku. Tropili i eliminowali podejrzanych, organizowali tajne operacje policyjne, zachęcali do składania donosów, stanowili o życiu i śmierci skazanych. Mroczna Rada lubiła nurzać się we krwi.

Emilio Yindicati był chorązym i głównym przedstawicielem Dziesięciu. Pietro zawdzięczał decyzji tego człowieka, że wciąż żyje, a teraz ma nawet nadzieję na odzyskanie wolności, choć swymi występami po wielekroć narażał się na srogie kary. Kiedy był młodszy, wraz z kompanami z San

Samuele się zamęt, wzywając medyków, akuszerki lub księży do przypadkowo wybranych osób, które niby to miały być chore, albo spuszczał gondole patrycjuszki na Canal Grandę. Teraz uśmiechnął się na wspomnienie tamtych chwil. Choć potem wpadł w prawdziwe tarapaty, nigdy nie spiskował przeciwko władzy, o nie! Vindicatiego urzekła osobowość Pietra, a jego sympatia rosła, gdy słuchał opowieści o niesłychanych przygodach pupila, znanego pod pseudonimem Czarna Orchidea. Co więcej, zdarzało im się miewać - choć wcale o tym nie wiedzieli - wspólne kochanki... dopóki Pietro nie zakochał się w Annie Santamarii. Ale nie bez powodu Emilio uważał, że zagrożenie, jakie stanowić mogły ewentualne wybryki Viravolty, było fraszką w porównaniu z tym, które zawisło dziś nad Republiką. Po chwili milczenia znów przemówił doża:

- Rada Dziesięciu przygotowała dla mnie raport policyjny, nie ukrywając żadnego ze swych dramatycznych podejrzeń. Zanim pozwolę panu choćby na niego zerknąć, Viravolta, oczekuję pewniejszych gwarancji niż tylko pański dobry nastrój. Skąd mogę wiedzieć, że nie wykorzysta pan okazji, żeby uciec albo przejść na stronę wroga, jeśli ten wróg rzeczywiście istnieje?

Pietro uśmiechnął się i zwilżył wargi językiem. Założył nogę na nogę i wsparł rękę na kolanie. Teraz muszę być przekonujący.

- Wasza Wysokość, *Messer Vindicati* powiedział mi jasno, że ułaskawienie, o którym mowa, będzie mnie dotyczyć dopiero po zakończeniu śledztwa. Mój proces wciąż trwa, a odrażająca perspektywa wyroku śmierci, prawdę mówiąc - wielce niesprawiedliwego, wciąż spędza mi sen z powiek. Czyżbyś sądził, panie, że będę próbował uciec jak ostatni rzezimieszek, rezygnując z szansy oczyszczenia się raz na zawsze z zarzutów i położenia kresu problemom z wymiarem sprawiedliwości? Dla człowieka mojego pokroju nie byłoby dobre uciekać z miasta do miasta przed agentami, których niewątpliwie wysłano by moim tropem. Nie mam najmniejszej ochoty oglądać się za siebie do końca moich dni i ukrywać przed szpiclami lub wpaść w kolejną pułapkę, którą każecie na mnie zastawić.

Doża zmrużył oczy. Na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Ponadto, Wasza Wysokość - ciągnął Pietro - moje uwięzienie wynika głównie z owych złych manier, o które się mnie oskarża, jestem oczywiście świadom swych czynów i nie zamierzam twierdzić, że za sprawą nagłej a cudownej iluminacji podporządkuję się z dnia na dzień nakazom wiary jakiegokolwiek Kościoła lub że wstąpię dziś ponownie na ścieżkę nawrócenia i religijnych uniesień. Mówią, że ze mnie lekkoduch, człek zmienny, cynik. To ponury portret, namalowany pędzlem moich wrogów! Przyznaję, że mimowolnie wywołałem pewne niepokoje polityczne. Proszę sobie jednak przypomnieć, Wasza Wysokość, że trafiłem do więzienia przede wszystkim z powodu pewnej przygody miłosnej i że w istocie rzeczy taki uczynek jest dość błahy zarówno wobec kary wymierzonej, jak i tej, która wciąż mi grozi. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że senator Ottavio uczynił wszystko, by wsadzić mnie do więzienia, że użył wszelkich możliwych i wyobraźalnych pretekstów i że dziś pragnie mojej śmierci.

Proszę mi wierzyć, gorąco tego żałuję, bo nade wszystko kocham wolność. Może to wywoła uśmiech na twarzy Waszej Wysokości, ale i ja mam swój kodeks honorowy i - jeśli wolno mi tak powiedzieć - osobistą etykę. Nie jestem mordercą. Jeśli zdarzało mi się zabijać, to tylko ku militarnej chwale Republiki i dobru państwa, gdy pozostawałem w służbie Rady albo gdy po prostu broniłem się

przed napastnikiem. Podobnie jak Wasza Wysokość uważam krwawe zbrodnie za odrażające. Gdybym wiedział, że ktoś wykorzysta mą służbę przeciwko mnie, nigdy nie przyjąłbym pewnych ról, które kazano mi grać! Dziś łatwo winić mnie za talent, który jeszcze wczoraj oklaskiwano.

Francesco Loredan uważnie go słuchał.

Rozmowa trwała godzinę.

Pietro był na tyle świadom uprzedzeń, jakie mógł żywić do niego doża, że wykorzystał całą swą zręczność do przekonania go. Perspektywa ponownego udziału w tajnych sprawach kryminalnych Republiki wprawiała go w szczególny nastrój. Stymulowała go, choć jak nikt inny zdawał sobie sprawę z zagrożeń, jakie się z tym wiązały. Z Emiliem Vindicatim łączyło go upodobanie do owych na pozór dziwnych idei, które - po głębszym przemyśleniu - okazywały się dowodzić zdolności zrozumienia ludzkiej duszy. Emilio w jednym miał rację - mógł zaufać swemu „więźniowi” i przyjacielowi. Pietro pragnął za wszelką cenę wyjść spod klucza. Nie ograniczając się do poręczenia własnym życiem, ujawnił doży pewne informacje, które uzyskał od innych więźniów, gdy słuchał ich zwierzeń w więzieniu pałacu. Nawet w celi - przede wszystkim w celi - słyszało się o wielu sprawach, które musiały zainteresować Jaśnie Oświeconego Księcia. Jako poręczenie swej dobrej woli dał resztki swej fortuny, pozostawione tu i tam. Zamierzał przekazać je Wenecji, a mówił to tonem pełnej szczerości. Przekonywał dożę, że wykorzystanie go leży w interesie Republiki, od której tak dużo wzięł. Grał tak dobrze, że zdołał rozwiać wątpliwości doży, i Emilio nie musiał nawet wstawiać się za nim.

- Dobrze... - rzekł Francesco, trzymając rękę na brodzie - sądzę...

I zamilkł na chwilę.

- Sądzę, że spróbujemy przeprowadzić tę operację. Wygrałem!

Pietro usiłował nie okazywać, jakiej doznał ulgi.

- Ale - ciągnął doża - Viravolta, nie muszę chyba tłumaczyć, że wszystko, co pan przeczyta, usłyszysz lub przekaże Radzie, jest poufne i że każde naruszenie tajemnicy oznaczać będzie dla pana najwyższy wymiar kary. Ta misja jest tajna. Znajdziemy sposób, by uzasadnić pańskie uwolnienie, nie stawiając się w kłopotliwej sytuacji. Emilio, twoim zadaniem będzie przekazanie wieści senatorowi Ottavio i dopilnowanie, by zachował spokój. Kiedy usłyszysz, że Czarna Orchidea jest na wolności, może wywołać skandal. Tego nam tylko brakuje! Powiadom także Radę Dziesięciu, której członkowie cieszą się twoim pełnym zaufaniem. Stawiam wam jednak dwa warunki: po pierwsze, wtajemniczona będzie moja Mała Rada i to nie podlega dyskusji, mnie zaś gwarantuje bezpieczeństwo; po drugie chcę, żeby szef Quarantia Criminale także o wszystkim wiedział... Pozostaje najbardziej ryzykowna kwestia - wszyscy muszą milczeć!

Emilio skinął głową, przyznając mu rację.

- Proszę mi zaufać.

Francesco Loredan znowu zwrócił się do Pietra.

- Viravolta, jest pan wolny. Osobiście napiszę glejt, który umożliwi panu prowadzenie interesującej nas sprawy. Proszę jednak nie zapominać...

Uniósł rękę i bokiem dłoni dotknął książęcej czapki.

- Miecz Damoklesa wisi nad pańską głową. Jeden sygnał, a lwy Wenecji rzucą się na pana i rozerwą na strzępy. A ja nie będę ich powstrzymywał, przeciwnie, zachęcę do agresji z całą siłą mej władzy.

Pietro skinął głową.

- Rozumiem, Wasza Wysokość. I dorzucił z uśmiechem:

- Nie pożałuje pan tej decyzji.

\* \* \*

Teraz Pietro biegł po schodach Scala d'Oro jak rozbrykany chłopak, a Emilio usiłował za nim nadążyć. Były więzień promieniał. Mijając wartownika, trącił palcem ostrze halabardy, potem pociągnął żołnierza za brodę i śmiejąc się, złożył mu ukłon.

- Wolny, jestem wolny, przyjacielu! Tym razem na dobre. Jestem wolny!

Emilio zrównał się z nim i położył dłoń na jego ramieniu.

- Masz za to moją dozgonną wdzięczność - powiedział Pietro.

- Tak, rozumiem twoją radość. Ale nie rób głupstw, pamiętaj, że ta wolność jest warunkowa. Wiedz, że zawsze będę cię miał na oku i że to ja poręczyłem za ciebie przed dożą i Dziesięcioma.

- Spokojnie, Emilio. Obiecałem ci wywiązać się z zadania, i tak się stanie. Znasz mnie, rozwikłałem tę sprawę szybciej, niż można by oczekiwać.

- Nie myśl, że to takie proste, Pietro. Sprawa jest poważna. Przekonasz się jeszcze dziś wieczorem.

- Wieczorem? Ale ja... Zamierzałem uczcić moje uwolnienie w towarzystwie kilku szlachetnych przyjaciółek, których od dawna nie widziałem. Liczę na odrobinę czułości w ramionach weneckich gryzetek i na dużo wina. Rzecz jasna, zapraszam cię na ucztę.

Pietro przystanął. Emilio spojrzał na niego z powagą. Nieco mocniej uścisnął ramię Viravolty.

- Nie, to, co musisz zobaczyć, nie może czekać. Poza tym nie ma mowy o odnawianiu kontaktów z dawnymi kochankami, zwłaszcza z tą, przez którą trafiłeś do więzienia. Pietro... Anna Santamaria została wywieziona z Wenecji.

- Dokąd?

- W miejsce, którego nazwy dla własnego dobra nie powinieneś znać. Nie zapominaj, że wielu możliwych do dziś ci tego nie darowało. Przede wszystkim Ottavio.

Viravolta z żalem skinął głową.

- Nie martw się. Nie jestem szaleńcem. Anna... Czarna Wdowa, jak o niej mawiałeś, chociaż nie była ani czarna, ani owdowiała! Jedynym jej grzechem była miłość do mnie...

Z jego oczu wyciekał smutek.

- To był także mój grzech. Ale to wszystko, przyjacielu... to już tylko przeszłość.

Potem zdobył się na uśmiech.

- Przysięgam, że potrafię trzymać się na wodzy.

- Dobrze... W takim razie wróćmy do naszych spraw. I, jeśli mogę tak powiedzieć, niechaj zacznie się przedstawienie.

Emilio zmarszczył brwi. Rozchylił połę czarnego płaszcza i wyciągnął czarną skórzaną teczkę spiętą metalową klamrą. Wystawały z niej rogi welinowych kartek.

- Pietro... Muszę jeszcze raz cię przestrzec. Znalazłeś się w przedsionku piekła, to nie jest żart. Wkrótce sam się przekonasz. Oto raport policji w sprawie morderstwa, o którym ci mówiłem. Ofiarą jest aktor Marcello Torretone, zatrudniony przez braci Vendraminów w teatrze San Luca. Musisz przeczytać raport, zanim udasz się na miejsce zbrodni. Potem go spalisz. Jasne?

- Jasne!

- Dobrze - mruknął Vindicati. - Teraz znowu za ciebie odpowiadam. Pietro, rzuciłem na szalę honor i moją wiarygodność. Porażka jest niedopuszczalna. Jeżeli natomiast zdołamy doprowadzić śledztwo do końca, uzyskując wyniki, na jakie liczę... tylko ja okryję się chwałą lub niemal tylko ja. Wiesz, że i w Wielkiej Radzie, i w Senacie trwają pewne manewry. Ale kto wie? Może i przede mną otworzą się nowe perspektywy. Przecież Loredan nie jest nieśmiertelny...

Pietro uśmiechnął się. Już odprężony, Vindicati dorzucił:

- Chodźmy! Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę!

\*

Na wewnętrznym dziedzińcu pałacu, przed Porta del Frumento, czekał na nich młody człowiek. Twarz Pietra rozjaśniła się w uśmiechu, gdy lokaj wybiegł mu naprzeciw.

- Landretto!

- Nareszcie jesteś, panie! Zaczynałem już za panem tęsknić, nudziłem się, wyczekując godzinami, aż pojawisz się na Moście Westchnień...

I obaj skwitowali te słowa śmiechem. Landretto, jasnowłosy służący, nie ukończył jeszcze nawet dwudziestu lat. Był smukłym chłopakiem o ładnej twarzy, choć miał za długi nos; służył u Pietra od ponad pięciu lat i zawsze okazywał mu wierność. Viravolta wyciągnął go z rynsztoka, i to dosłownie. Pomógł mu wstać, kiedy pobity i okradziony w tawernie przez zbirów, pijany do nieprzytomności, jęczał, leżąc na bruku w kałuży własnej krwi. Pietro kazał go opatrzyć i ubrać, a Landretto sam zaproponował mu swą służbę. Został jego przyjacielem i lokajem. Zasięgał języka, był łącznikiem między nim a damami, nosił liściki, słuchał zwierzeń, a od czasu do czasu zbierał okruchy z pańskiego stołu. Służba u Viravolty miała pewne zalety - i to tak rozkoszne, że prawdę mówiąc, Landretto za nic w świecie nie zrezygnowałby dziś z posady.

- I co? Zostawił pan *Messer Casanovę* na pastwę losu? Pietro zerknął w stronę pałacu, w duchu modląc się za przyjaciela. On także dostał pięć lat za obrazę świętej religii. Był jeszcze jedną ofiarą, której kazano dokonać ekspiacji.

- Mam nadzieję, że jakoś się z tego wy grzebie. Odwrócił się do lokaja, który wyciągnął teraz ręce, pokazując, co przyniósł. A był naprawdę obładowany.

- Jest tu wszystko, czego trzeba, byś w pełni odzyskał dawny wygląd.

\* \* \*

Nareszcie.

Viravolta stał przed lustrem, z zadowoleniem patrząc na swoje odbicie.

Umył się i upudrował, poświęcając tym prostym czynnościom tyle czasu i staranności, na ile nie mógł sobie pozwolić od wielu miesięcy. Związał włosy i poprawił perukę, którą podał mu Landretto. Znow się pudrował, a potem z uśmiechem na ustach sięgnął po wenecki surdut, jasny, przystrojony lamówkami i złotym haftem. Potem włożył czarny płaszcz, którego szerokie poły układały

się pięknie wokół sylwetki. Sprawdził mankiety i żabot, zapiął pas. Szczęknęła klamra. Wyciągnął szpadę, ze świstem przeciął nią powietrze, stając w pozycji, obejrzał misternie rzeźbioną rękojeść, a potem z radosnym okrzykiem włożył broń do pochwy. Przy bokach miał jeszcze dwa ukryte pod płaszczem pistolety. Do cholewy buta wsunął sztylet o cienkim ostrzu i po raz ostatni uważnie przyjrzał się guzikom przy mankietach. Landretto okrążył go, obficie skrapiając wodą kolońską. W końcu Pietro włożył kapelusz z szerokim rondem i pogwizdując, musnął go palcami, a następnie sięgnął po laskę o rękojeści w kształcie lwa. Był to uskrzydłony lew, godło Wenecji.

- Och, panie, zapomniałeś o czymś... - powiedział Landretto.

I z uśmiechem na ustach wręczył mu czarny kwiat. Pietro odwzajemnił uśmiech, wsuwając kwiat do butonierki, a potem starannie rozłożył jego płatki. Jeszcze raz zerknął w lustro. Mistrz przebrania i niezliczonych tożsamości... Wirtuoz miłości i uwodzenia. Niezrównany zawadiaka, jeden z najlepszych we Włoszech.

Oto powrócił Czarna Orchidea!

Znowu się uśmiechnął.

- Jestem gotów - oznajmił.

### PIESN III

#### Otchłań

Nad Wenecją zapadła noc. Pietro upajał się każdą chwilą, która przywracała go miastu i wolności. Chociaż wstrząsnęły nim odwiedziny w teatrze San Luca z powodu morderstwa, o którego potworności został uprzedzony, humor mu dopisywał. Po raz pierwszy od tak dawna czuł dreszcz szczęścia, stawiając stopę na dnie gondoli, która zabrała go do dzielnicy San Luca. Godzinę wcześniej ujrzał znów swoje ubrania, których różnorodność i niezwykłość przypominała mu o misjach, jakie w nich wypełniał. Tego wieczoru postanowił ozdobić upudrowaną twarz pieprzykiem, wybrał ciemny kapelusz, a jedno oko przesłonił niczym korsarz czy pirat. Na wenecki kaftan zarzucił obszerny czarny płaszcz.

Chodźmy więc. Jakby rzekł Emilio... czas zaczynać zabawę. Stojąc na dziobie, obok gondoliera, z Landrettem siedzącym z tyłu, Pietro wpatrywał się w gęstniejącą ciemność zmierzchu i przepełniała go radość, że znów może spoglądać na wspaniałości, które utracił przed rokiem. Wenecja, jego miasto. Sześć sestier, które znał jak własną kieszeń: San Marco, Castello, Canareggio, a po drugiej stronie Canal Grandę: Dorsoduro, San Polo i Santa Croce. Na tym terenie były siedemdziesiąt dwie parafie. Pietro przemierzył wszystkie z tych dzielnic. Jako chłopiec skakał z gondoli do gondoli albo pędził jak strzała po mostach, a potem z rozkoszą zapuszczał się w kręte uliczki. Bawił się na placach, od San Samuele po San Luca, przy studniach miejskich i przed kościołami, przed sklepikami z winem, pracownikami krawieckimi, składami aptecznymi, straganami handlarzy owoców i warzyw, składami drewna... Niezmordowanie biegał po Mercerii między San Marco i Rialto, zatrzymując się przed łakociami u mleczarza, straganem rzeźnika, serowara, jubilera. Czasem coś podwędził i zmykał ze śmiechem, nie bacząc na złorzeczenia...

Uśmiechnął się, ale ten uśmiech powoli zamierał na jego twarzy.

Bo dziś Wenecja miała inny smak. Oczarowanie Pietra zabarwiło się niepokojem, gdy wciąż stojąc w gondoli, mijał niszczące wille. Niektóre zaczynały się walić, woda wdzierła się do nich ze wszystkich stron. Całe fasady trzymały się tylko dzięki byle jak skleconym podporom. Balkony, te *altane* stworzone do wyznań i westchnień, wyglądały, jakby za chwilę miały runąć w dół. Wenecja wciąż cierpiała z powodu klimatu, który był tu sroższy, niż można by pomyśleć. Latem studnie ze słodką wodą często wysychały, zimą zdarzało się, że skuta lodem laguna zamieniała się w lodowisko. Pietro doskonale pamiętał te wesołe chwile, kiedy wymykał się spod opieki Julii, żeby ślizgać się po lodzie między Pałacem Dożów a Giudeccą, pośród fal, które nagle zastygły, przemienione w tysiące kryształków lodu, na które z posępnego nieba sypał wirujący puch. Takie chwile były jak z bajki, ale nie służyły weneckim budowlom. A do tego dodać trzeba jeszcze trzęsienia ziemi i częste pożary, z których powodu rząd musiał utworzyć specjalną jednostkę, kierowaną przez „fachowca od maszyn hydraulicznych”. Jeszcze częściej zdarzały się ulewne deszcze i straszliwe wezbrania wód, *acqua alta*, kataklizmy niezwykle niszczycielskie. Władze miasta starały się reagować, upiększając i remontując Wenecję, numerując budynki, poprawiając stan higieny ulic, budując ścieki do odprowadzania brudnej wody, dekorując i doskonaląc organizacyjnie poszczególne dzielnice. Oprócz nosicieli lamp, którzy po zmroku towarzyszyli pieszym w labiryncie ulic, pojawili się Stróże Nocy, mający zadbać o bezpieczeństwo mieszkańców. Właśnie realizowano wielkie przedsięwzięcie oświetlenia ulic i w Wenecji stanęły już pierwsze latarnie.

Pietra przebiegł dreszcz. Po zapadnięciu zmroku temperatura gwałtownie się obniżyła, było mu zimno. Postawił kołnierz płaszcza, a potem jeszcze raz otworzył raport, który przekazał mu Emilio Vindicati. Dłonią osłoniętą rękawiczką wodził po skórzanej teczce.

Sprawa rzeczywiście wyglądała bardzo groźnie.

*Ta odrażająca zbrodnia nie ma sobie równej w annałach Wenecji, lecz pewne jej szczegóły wskazują, że nie był to czyn pozbawiony celu, a biorąc pod uwagę inscenizację, o jaką zadbał morderca, może nawet mieć podtekst polityczny i niewykluczone, że ma wzbudzić obawy najwyższych dygnitarzy Republiki...*

Tożsamość ofiary nie była Piętrovi całkowicie nieznana. Marcello Torretone był aktorem i cieszył się pewną popularnością. Raport Dziesięciu zawierał informacje potrzebne, by poznać osobowość i losy artysty. Urodzony w dzielnicy Santa Croce, syn rodziców zatrudnionych w teatrze, jak rodzice Pietra, któremu Torretone stawał się w związku z tym bliski, od najmłodszych lat oswajał się ze sceną. Jego ojciec skonał, wychodząc z teatru, na skutek gangreny, która wdała się w ranę. Matka, Arcangela, od trzydziestego trzeciego roku życia zmagając się z kalectwem, znalazła schronienie w weneckim klasztorze San Biagio della Giudecca. Marcello zaczynał od drugoplanowych ról w teatrze San Moisè. Dostrzeżony przez miejscowego *capomico*, opuścił jednak tę scenę, by po dwóch latach dołączyć do trupy San Luca. Lecz nie to przykuwało uwagę Pietra w zapiskach dołączonych do raportu. Marcello Torretone został wychowany w żarliwej wierze. Zgodnie z tym dokumentem jego matka była osobą bezgranicznie oddaną religii i żyła w ciągłym strachu przed



grzechem, a Marcello odziedziczył po niej tę postawę. W raporcie przedstawiono go jako człowieka o chwiejnej, skomplikowanej osobowości.

On także przywykł zmieniać tożsamość.

W pewnym sensie to moja bratnia dusza, pomyślał Pietro.

Grzech - oto zjawisko, które zawsze fascynowało Viravoltę. Często zarzucano mu, że grzeszy, on zaś postrzegał swe zachowania jedynie jako zaspokojenie naturalnych pragnień. Owszem, naciągnął kilku senatorów, doprowadził do obłędu żonę Ottavia. Czasami posuwał się trochę za daleko. Ale zawsze słuchał głosu swego serca. Jednak teraz podsunęto mu lustrzane odbicie jego twarzy napiętnowanej przez grzech. Bolesną ranę szponów zła na ziemi, zła, które zakorzeniło się w sercu ludzkim. Może wychowany w głębokiej wierze, zraniony brakiem miłości swego Kościoła, Marcello Torretone żywił skrywaną nienawiść do uczuć, które mu wpojono. Pietro miał dziś odegrać swą ulubioną rolę tajnego agenta. Jeśli się nad tym zastanowić, to począwszy od munduru wojskowego, poprzez salony, bale i wszelkiego rodzaju amoralne zabawy, na jakie sobie pozwalał, wkroczywszy do domów patrycjuszy, Pietro dostrzegał w swej ewolucji nieugiętą logikę. Zgrabnym piruetem przeszedł z więzienia Piombi na służbę rządu. Wiedział zresztą, że Dziesięciu rekrutowało swoich ludzi zarówno wśród dziewczek lekkiego prowadzenia, jak wśród zubożałych szlachciców, chciwych rzemieślników i *cittadini*, którzy pragnęli wyrobić sobie dobrą reputację w instytucjach władzy Serenissimy. On, Viravolta, człowiek podłego pochodzenia, oczarowany blaskiem bogactwa i chwały, a także ową rolą, którą potrafił odgrywać z łatwością, musiał dostosować się do nowej funkcji. Przywykł do gwałtownych przejść z cienia w jasność dnia i z jasności dnia w cień. Częste zmiany były solą jego życia. Wytyczył sobie krętą ścieżkę i musiał przyznać, że nie zawsze było mu łatwo kontrolować jej meandry. Dzięki silnej woli zdołał wyrosnąć ponad przeciętność. Bolesna świadomość pochodzenia, niemożność pełnego zaspokojenia aspiracji - oto co trzymało go z ogromną siłą w zdradzieckim bagnie. Nieposkromiona pasja pchała go niekiedy w złym kierunku. Używał całej swej inteligencji, aby wydrzeć się ze szponów przeznaczenia i zmierzyć z paradoksami własnej natury. Ile talentu, ile uroku, ilu sztuczek musiał użyć, by sprostać wzorowi, który sobie obrał! Niestety, chcąc wcielić się w ów ideał, źle ukrywał swe słabości! Ale Pietro był przecież aktorem. Nieuchwytny, żądny uznania, musiał stawić czoło przeciwnościom i nie tylko żył z nimi w harmonii, lecz nawet je mnożył. Zupełnie jakby chciał szyderczo wystawić na próbę owe fundamenty społeczne, na których zwyczajni mężczyźni i kobiety budowali swe zasady, wskazywał na arogancję ich najgłębszych przekonań. Pietro niczego nie uważał za pewne. Gdy tak balansował na ostrzu noża, na skraju przepaści, zawrót głowy, o który przyprawiał innych, wzbudzał ich antypatię do niego. Drogo płacił za swą wolność, bo też właśnie otoczenie nie mogło mu wybaczyć. Wielu wytykało mu brak wiary i amoralność, często ze zwykłej zazdrości, w głębi ducha bowiem gorąco pragnęli być tacy jak on. Służył władzy, ale zarazem jej wadził, bo uosabiał bunt przeciwko wszelkim autorytetom. Tak - Pietro był człowiekiem wolnym.

I niewątpliwie właśnie to wzbudzało największy lęk.

Doskonale wiedział, że unosząca się nad nim woń skandalu była w tej samej mierze owocem jego postępowania, co skrywanych frustracji jego prześladowców. Łatwo było pragnąć się na nim wzorować, żeby to jednak uczynić, należało zaakceptować swoisty lęk, jaki towarzyszył nieodwracalnemu poddaniu się porywom serca, które próbowała okiełzać każda cywilizacja. Od tego

lęku Pietro nigdy nie zdołał się uwolnić. Kiedy oddawał się swobodnej introspekcji, zaznawał zawrotu głowy, tak podniecającego, że bał się w nim zagubić. I choć Bóg, miłość, kobiety - wszystko to współistniało w jego osobowości, wszystko pobudzało umysł i ducha, to kiedy próbował naprawdę zrozumieć związane z tym doznania, zatracił kontrolę i cofał się, by nie stać się igraszką tych mocy. Ratowała go duma, ta sama, która go pogrążała. Z tego impasu czerpał często poczucie zmienności i absurdu, który w jego stuleciu pojawiał się na każdym kroku.

I wreszcie spotkał tę kobietę, Annę Santamarię, Czarną Wdowę. Jedyną, która zdołałaby go pokonać, usidlić na zawsze. Czarna Wdowa... To Emilio nadał jej ten przydomek.

Pietro nie przypominał sobie dokładnie dlaczego. Zapewne z powodu jej urody, która już sama w sobie wydawała mu się niebezpieczna. To piękno przenikało niczym jad, choć można by ją wziąć za anioła zbląkanego na ziemi. Ale mówił tak, bo ona w pewnym sensie była już wdową - wdową uczuć, których jej odmówiono. Przywdziała żalobę po życiu, do jakiego nie miała w rzeczywistości prawa. Tak, być może dla niej Pietro wyrzekłby się swej wolności, zgodziłby się żyć jak wszyscy. Gdyby poznał ją w innych okolicznościach, gdyby małżeństwo z rozsądku, zaplanowane przez obie rodziny, nie pchnęło Anny w ramiona Ottavia, mężczyzny, którego nigdy nie pożądała, Pietro mógłby mieć z nią dzieci. Mógłby wykorzystać wpływy i znajomości, aby znaleźć sobie godne zajęcie. Wtedy wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy w willi Ottavia i przedstawiono mu ją jako przyszłą małżonkę jego opiekuna, wyczytał z jej oczu swe przeznaczenie. Wiedział, że pokocha tę kobietę. A ona wiedziała, że nie zdoła mu się oprzeć. Właśnie wtedy zawarli pakt. I było już powiedziane, że razem będą pędzić ku katastrofie. To mroczne spojrzenie, które ich połączyło, ten przyspieszony oddech... Fałszywa wdowa i orchidea... jakażby to była piękna para. A teraz...

Pietro poczuł gniew. Niewypowiedzianą gorycz. Chęć zemsty. Anna... Gdzie się teraz podziwia? Miał nadzieję, tak, miał szczerą nadzieję, że nie jest bardzo nieszczęśliwa. Nie mógł jednak ponownie narażać jej i siebie... a poza tym nie lubił rozpamiętywać cierpień. Obiecał Emiliowi, że nie będzie jej szukał - taki był warunek *sine qua non* jego wolności. Zresztą to ta miłość zaprowadziła go do najpilniej strzeżonego więzienia w całej Italii. Nie zamierzał ponownie tam trafić.

Starał się o niej nie myśleć, nie zastanawiać się, czy jeszcze ją kocha.

A w każdym razie - nie za często. No... spróbuj zapomnieć.

Aby zachować zimną krew, Pietro powtarzał sobie z uporem, kim jest przede wszystkim: wyzwolencem. Starał się rozwiązać wątpliwości, postanowił korzystać z życia. Teraz, kiedy znowu jest wolny, musi robić to, co zwykle - przemienić ucieczkę w przyszłość, w *credo*, które dawało mu potężną energię, energię sprzyjającą ekspansji i spełnieniu. Wolny, ale zboleły, gracz i filozof, łowca sławy, którą wszak gardził, błyskotliwy i niepokojący - bo w rzeczywistości Pietro był kłębowskiem sprzeczności. Ale, jak powiedział doży, ma swoją etykę: awanturnik, zdolny do miłości i namiętności, wiedział także, gdzie leży prawdziwa sprawiedliwość, a ponieważ często żył na pograniczu strefy mroku, dobrze znał wszelkie jej pułapki i złudzenia. Po przekroczeniu pewnych granic Dobro i Zło podążały coraz bardziej oddalającymi się od siebie ścieżkami. Pietro starał się nigdy nie przekraczać tych granic. Czasami czynił to przez pamięć dla tej resztki Boga, jaka w nim pozostała. Czasami, aby się chronić. Najczęściej - bo tak postrzegał swą człowieczą odpowiedzialność, choć nie zawsze

mógłby się określić mianem „porządnego człowieka”. Natura odezwała się w nim, kiedy tylko opuścił więzienie. Myślał wtedy wyłącznie o jednym - najpierw zaspokoić radosne, a zbyt długo powściągane żądze. Lecz nie mógłby złamać słowa danego Emiliowi, w każdym razie - jeszcze nie teraz.

Dlatego nawet najwspanialsze uczyły musiały nieco poczekać.

Och!

Jesteśmy na miejscu.

\*

Kiedy gondola zatrzymała się przy nabrzeżu San Luca, Pietro schował raport Dziesięciu i wysiadł wraz z Landrettem, by szybkim krokiem przejść śliskimi uliczkami do *campo*, gdzie znajdował się teatr. San Luca powstał w roku 1622 i jak inne - San Moisè, San Cassiano czy Sant'Angelo - wziął nazwę od parafii, do której należał. Odkąd szlachcice zaczęli odsuwać się od handlu, ich zainteresowanie zwróciło się ku teatrom. Przykład dała Padwa, tworząc pierwsze trupy aktorów związanych kontraktami i dzielących zyski. Narodził się profesjonalny teatr, którym kierował *capomico*, określający *emploi* komedianta, wcielającego się w arlekina, pantalona czy brighella... Podobnej ewolucji ulegała rozkwitająca we Florencji i Mantui opera. San Luca był prowadzony przez braci Vendraminów. Należeli oni do nielicznych zarządców, którzy osobiście zawierali kontrakty z autorami i aktorami, większość właścicieli przekazywała bowiem nadzór nad sceną impresariom, którzy byli artystami, mieszczanami lub wywodzili się z drobnej szlachty. Ten fach nie zawsze cieszył się dobrą sławą - wielu aktorów narzekało na ich rażący brak wykształcenia lub niezręczność w zarządzaniu oraz zachłanność. Vendraminowie uniknęli takich problemów, bo osobiście pilnowali swoich interesów. Co prawda, San Luca nie mógł równać się z San Giovanni Crisostomo, najdoskonalszym w dziedzinie opery, tragedii i tragikomedii, i wystawiał głównie komedie, należał jednak do najlepszych teatrów w Wenecji.

Wkrótce Pietro ujrzał fasadę teatru, wzniesioną z białego kamienia, ozdobioną kolumnami nawiązującymi do wzorów antycznych i otwierającą się dwuskrzydłowymi drzwiami z ciemnego drewna. Przy tych drzwiach czekał już mężczyzna z latarnią. Pietro pokazał mu dokument opatrzony pieczęcią i podpisem doży. Polecił Landrettowi, by pozostał na zewnątrz.

Otwarto drzwi i Viravolta wszedł do budynku.

Sala San Luca spełniała oczekiwania osób, które przybywały tu, kierując się dobrą reputacją teatru. Przestronna, nieco przykurzona po przyjęciu tak licznych gości, witała czerwono-złotymi fotelami ustawionymi w półkolu i prezentowała się bardzo godnie. Bogato zdobiona arena z czterema szeregami łóż liczyła łącznie około stu siedemdziesięciu gabinecików; frontony i balkony pokryte były freskami w stylu barokowym. W sercu ułożonej z medalionów rozety na plafonie widniały obłoki, zza których przenikały promienie słońca. Tu i ówdzie alegorie Wenecji, Afrodyta Kallipygos, Diana z czołem zwieńczonym gwiazdami, a wokół wszystkie Cnoty. W głębi oświetlana scena, błyszczące deski i imponująca jedwabna kurtyna.

Pietro zdjął kapelusz z szerokim rondem i ruszył ku scenie.

W teatrze San Luca było trzech ludzi. Rozmawiali szeptem, ale wyglądali na bardzo zdenerwowanych. Wśród nich był Francesco Vendramin, jeden z braci, do których należał teatr. Twarz drugiego mężczyzny także wydawała się Piętrowi znajoma, nie mógł sobie jednak przypomnieć, kto to

taki. Trzeciego z rozmówców nie znał. Pietro ruszył środkiem sali w ich stronę. Gdy się z nimi zrównał, zamilkli i spojrzeli pytająco. Przywitał ich i okazał dokument.

- Przybywam tu z misją, którą powierzyła mi Rada Dziesięciu - powiedział tonem wyjaśnienia.

Początkowe zaskoczenie Francesca Vendramina szybko przerodziło się w podejrzliwość. Może sądził, że ma do czynienia z jednym z wydelegowanych przez Radę inkwizytorów. Pietro rozwiął jego obawy. Wkrótce do rozmowy włączyła się druga osoba.

- Emilio Vindicati uprzedził nas, że możliwie najszybciej przyśle tu jednego ze swych smutnych emisariuszy. Nazywa się pan...?

- Moje nazwisko nie ma znaczenia - przerwał Pietro. - Działam w całkowitej tajemnicy, dysponuję niezbędnymi pełnomocnictwami. Natomiast pańskie nazwisko, jeżeli wolno zapytać, pomogłoby mi w rozpoczęciu śledztwa.

Z lekka urażony mężczyzna zbliżył się o krok. Urodzony na początku stulecia, przy rogu ulicy Ca' Cent' Anni, w parafii San Thomas, między mostami Nomboli a Donna Onesta, ożenił się w Genui, a wkrótce potem napisał i wystawił pierwsze sztuki teatralne w Mediolanie. Aby uzyskać pozycję społeczną odpowiadającą swemu wykształceniu, najpierw przyjął funkcję lekarza w Udino, następnie adwokata w Pizie. Przedstawiając się Piętrovi, przybrał charakterystyczny dla tego ostatniego zawodu, z lekka wyniosły, acz żywy ton. Dumnie uniośł głowę, ale nie można mu było zarzucić afektacji ani pychy; przeciwnie, mimo zaistniałych okoliczności zdawał się ledwie maskować wrodzony temperament - radosny, żywiołowy. Zapewne dobiegał pięćdziesiątki, jego twarz o regularnych rysach nie była ani piękna, ani szpetna. Nosił kaftan obszywany czarnymi perłami i bufiaste spodnie na nieskazitelnie czystych pończochach. W młodości przemierzył cały region Wenecji. Na długo zatrzymał się w Parmie, w Rzymie i Neapolu, a w Bolonii próbował swych sił jako adwokat z rozmaitym skutkiem. W końcu postanowił rzucić togę, by żyć z poezji i bez reszty poświęcić się swej największej pasji - teatrowi, ożywiając tradycyjne formy *commedia dell'arte*. Rodzinna Wenecja obwołała go królem komedii. Od trzech lat miał kontrakt z braćmi Vendraminami. Mówiło się o nim na największych dworach Europy.

- Nazywam się Carlo Goldoni.

Pietro uśmiechnął się. Teraz już sobie przypomniał. Bywał na wielu premierach jego sztuk. Do dziś był pod wrażeniem *Rycerza Giocondy* i *Poważanego awanturnika*, a kilka tyrad mógłby nawet wyrecytować z pamięci. Jak zawsze gotów wykorzystać każdą okazję do rozmowy o sztuce, chętnie poświęciłby temu znakomitemu dramaturgowi więcej czasu, jednak trzeci z mężczyzn przypomniał mu, że nie wolno tracić ani chwili. Miał siwą brodę, nosił ciemną szatę z białą kryzą. W ręku trzymał na pół otwartą torbę, z której wystawały kaduceusz i narzędzia chirurgiczne.

- Nazywam się Antonio Brozzi, jestem medykiem wydelegowanym przez Quarantia Criminale.

Dopiero w tej chwili Pietro wyczuł odór krwi i rozkładu, który nagle wypełnił jego nozdrza, drażniąc tak mocno, że mężczyzna odwrócił się w stronę kurtyny, szukając źródła tego przykrego zapachu.

- Radzę przygotować się na ten widok, Messer - podjął Brozzi. - Czeka nas tu sporo pracy. Dobrze, że pan się wreszcie pojawił.

I dał znak Vendraminowi, który gwizdnął, patrząc w stronę kulis. Pietro zauważył sylwetkę mężczyzny, który rozsuwał ogromną kurtynę.

\*

O Boże!

Jego oczom ukazał się makabryczny widok.

Człowiek - ale czy to był jeszcze człowiek? - był przed nim, na środku sceny. Pietro najpierw zobaczył jego zwisające w powietrzu nogi, poniżej kałużę zakrzepłej krwi, która zalała ćwierć sceny i musiała tryskać długimi, nieprzerwanymi strugami. Stopy ofiary były przybite do deski. Zacisnąwszy usta, Pietro uniósł na chwilę czarną przepaskę z oka ofiary. Potem spojrział w górę. Zwłoki były całkowicie obnażone. Na boku widniała głęboka, długa rana. Pietro powoli ogarniał cały ten widok. Marcello Torretone został ukrzyżowany. Rozłożone ramiona także były przebite gwoździami. Po obu stronach ciała łagodnie kołysały się dwie przezroczyste, postrzępione zasłony, przywiązane sznurami do elementów ukrytej pod plafonem maszynerii. Ich mgiełka komponowała się z innymi, purpurowymi zasłonami, jakby rozchylającymi się na ten tragiczny obraz. Scena na scenie. Spektakularna i przejmująca. Pietro omal nie krzyknął z odrazy, dokładniej przypatrując się zsiniałemu ciału. Zmarły miał na czole cierniową koronę, ale to jeszcze nie wszystko... Morderca wy łupił mu oczy. Usta Marcella zastygły w przerażającym spazmie. Pod jego stopami leżały poplamione krwią odłamki szkła, na torsie widniała inskrypcja wycięta nożem w żywym ciele. Z miejsca, w którym stał Pietro, nie można jej było dokładnie przeczytać.

Po chwili Viravolta odważył się wskoczyć na scenę, gdy tymczasem lekarz wydelegowany przez Quarantia Criminale obszedł ją, by skorzystać ze znajdujących się z boku schodów, i zbliżył się do zwłok.

- O której nastąpił zgon? - zapytał Pietro, spoglądając na Goldoniego i Vendramina.

- To powie panu Sier Brozzi - odparł Vendramin. - Wczoraj wieczorem odbył się spektakl...

- Tak, premiera *L'Impresario di Smirne* - dodał Goldoni. - Komedia prozą, trzyaktówka. Marcello, niechaj spoczywa w pokoju, grał... Alego, kupca, który przybył ze Wschodu do Wenecji, by robić interesy, ale nagle wbił sobie do głowy, że chce zająć się operą...

Brozzi szeroko otworzył torbę i zaczął krążyć wokół zmarłego. Pietro zbliżył głowę do okaleczonego torsu, by odczytać napis:

*Io ero nuovo in questo stato,*

*Quando ci vidi venire un possente,*

*Con segno di vittoria coronato.*

*Krótko przed moim rozstaniem z ziemią*

*Mocarz tu zstąpił niebiańskiego lica,*

*Znakiem zwycięstwa ukoronowany.*

Ciało pod tymi słowami rozchyliło się, gdzieś tam niemal obnażając żebra. Cały tors był pokryty drobnymi literami, jakby ich twórca posłużył się skórą niczym pergaminem. Brozzi wsunął na

nos binokle, zadarł brodę i także odczytał napis. W tej chwili wyglądał jak alchemik, który czuje, że jest bliski odkrycia tajemnicy kamienia filozoficznego. Parsknął z odrazą i spojrzał na Viravolte.

- Czy to się panu z czymś kojarzy?

- Nie - odparł Pietro. - Jednak ten styl nie jest mi obcy.

- Mamy tu alegorię, którą można by uznać za biblijną, to oczywiste.

- Sądzi pan, że to Biblia...

Stojący za nimi Vendramin dodał:

- Premiera skończyła się o jedenastej. Wyszliśmy z teatru około północy. Ręcę, że nikogo tu wówczas nie było.

- Nikogo... A czy ktoś widział, jak wychodzi Marcello? Goldoni i Vendramin spojrzeli na siebie, a potem dramaturg przyznał:

- Nie... Prawdę mówiąc, nie widział go nikt z trupy.

- Nie może pan więc sądzić, że nikogo tu nie było - skrzywił się Pietro. - Czy Marcello mógł tu zostać po zamknięciu? Sam... na przykład ukryty za kulisami?

Mówiąc to, Pietro okrążył ciało, aby podejść do pogrążonych w mroku kulis. Sznury leżały na podłodze. Obok stała miska z wodą przemieszaną z krwią. I ścierka, na której widniały szkarłatne plamy. Lekki zapach octu unosił się w powietrzu, tłumiąc woń śmierci. Drewniana lanca, zapewne zwyczajny rekwizyt teatralny, stała oparta o ścianę. Ale jej metalowe ostrze - to, które przebiło bok Marcella i które być może wylupilo mu oczy - było wystarczająco prawdziwe. I także zbrukane krwią.

- Ukryty? - zdziwił się Vendramin. - Ale dlaczego miałby się ukrywać?

- Skądże mogę wiedzieć - wzruszył ramionami Pietro. - Może miał schadzkę... może inne spotkanie.

Pochylił się, trąciwszy nogą ubrania rzucone w kącie za kotarą. Rozwinął turban, podniósł spodnie, a potem płaszcz z szerokimi rękawami, uderzająco podobny do tureckich kaftanów. To był zapewne kostium Marcella do roli Alego w *L'Impresario di Smirne* albo może Pantalona, tego weneckiego kupca, z wyższością patrzącego na obcokrajowców sknerę, za którym szalała publiczność. Nieopodal stał kosz pełen rozmaitych kostiumów, niemal już zdartych i nowych, wiele - lub jednobarwnych - Zanniego, Villana, Magnifica. Pietro oglądał maski i rekwizyty komediowych postaci.

- Czy zdaniem panów Marcello miał jakieś romanse? Albo wrogów?

Po chwili namysłu odezwał się Goldoni:

- Romanse, owszem. Ale wrogów - nie. Wie pan, jacy są aktorzy! Miewał kochanki, żadnych poważnych związków. Marcello do nikogo się nie przywiązywał. Widywało się go czasami z którąś z tych kurtyzan, które po zmierzchu włóczą się po Merceriach. Osobiście odnosiłem wrażenie, że Marcello nie potrafił dogadać się z kobietami... Wydawało się, że nic go nie obchodzi... Ale wrogów nie miał nigdy, ja przynajmniej nic o tym nie wiem. Przeciwnie, publiczność bardzo go lubiła...

Gdy Pietro zawrócił ku środkowi sceny, zapadła cisza. Brozzi klęczał, dokonując oględzin ran Marcella i przybitych do drewnianego krzyża stóp. Używając szczypiec, otarł krew wokół gwoździ, ocenił głębokość ran i znów sięgnął do torby. Pietro przyklęknął obok niego. Brozzi wyjął flakonik

przezroczystego płynu, a potem inną parą szczypiec pozbiarał rozrzucone okruchy szkła, które tworzyły rodzaj aureoli wokół cienia ukrzyżowanego. Mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Szkło... ale po co?

Pietro zebrał kilka okruchów i zawinął je w chusteczkę.

Obaj wstali. Brozzi otarł czoło i przez moment wpatrywał się w ziejące pustką oczodoły, wokół których powstały czerwone kręgi. Dostrzegł w ranie połyskujące srebrem okruchy. Jego uwagę zwrócił przede wszystkim ten, który wystawał ze szczątków powieki.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że morderca wyłupił mu oczy szkłem... Marcello mógł skonać od tych ran albo się udusić, co w takich przypadkach jest najczęstsze. W każdym razie całkowicie się wykrwawił... *Santa Maria*, jaki potwór mógł dopuścić się takiej zbrodni? Pietro przygryzł wargi.

- Brozzi, cieszy się pan zaufaniem Quarantii, prawda? Proszę mi więc powiedzieć... jaki związek ma śmierć aktora z rządem Republiki?

Mówił szeptem. Brozzi odkaśliła, spoglądając na niego znad szkła. A potem powtórzył:

- Jaki związek?...

I wskazał palcem na szczelinę między deskami tworzącymi scenę, gdzie leżał przedmiot, którego Pietro nie zauważył.

- To jest związek, *Messer*.

Pietro podszedł, wyciągnął ów przedmiot i obrócił go w palcach. Była to złota brosza z inicjałem z dwóch splecionych liter - L i S, nad którymi widniały dwie szpady i perłowa róża. Pietro pytająco spojrział na Brozziego.

- L i S - szepnął medyk - róża i szabla... To Luciana Saliestri, kurtyzana, metresa... Giovanniego Campioniego, który, jak pan wie, jest jednym z najznamienitszych członków Senatu. Powiedzmy sobie szczerze, zarzuca mu się nadmierny liberalizm wobec ludzi, jak niegdyś doży Falierowi. Campioni ma swoiste poglądy na temat reform, jakie należałoby przeprowadzić w Republice, co drażni wielu szlachetnie urodzonych, a prezentujących zupełnie inne stanowisko. To zagadkowa postać. Jedni uważają go za marzyciela o niebezpiecznych ambicjach, inni dostrzegają w jego altruistycznych skłonnościach zręczny sposób maskowania nieokiełzanej żądy władzy. Campioni długo pełnił funkcję ambasadora Serenissimy w Anglii, Francji i Holandii. Mówi się, że nawiązał tam przyjaźnię z filozofami i możnymi, a dziś czerpie z ich dziwacznych teorii, dążąc do stworzenia nowego systemu rządów.

Brozzi wygładził dłońmi czarną szatę i mówił dalej:

- Rozumie pan, że doża i instytucje władzy utrzymują z naszym poczciwym weneckim ludem skomplikowane relacje i że nade wszystko pragną utrzymać kruchą równowagę, na której opiera się nasza konstytucja. Ta równowaga jest naprawdę bardzo krucha. Pod tym względem zawsze górowaliśmy nad innymi, a nasz system wzbudza podziw sąsiadów. Wenecja jest wolna, ale pilnie obserwowana. Miłość ludu uznać można za wielką, lecz jest ona pragmatyczna... Niezwykle trudno wyważyć skrajności i usłuchać głosu rozsądku tam, gdzie tak łatwo rozpalają się emocje, czasem nadszpiewanie gwałtowne... Niewiele trzeba, by cały ten gmach się osunął, przechyliwszy się w jedną lub drugą stronę. To istna obsesja naszych polityków. Maniakalnie gaszą każdą iskierkę tłącą

się pod popiołami. Nie chcą, by wykiełkowała jakakolwiek myśl, która mogłaby zatruć Republikę. Wciąż unosi się nad nami widmo Bedmara i jego spisku. Dorzuci pan do tego Campioniego i niemal jedną trzecią Wielkiej Rady... Bez trudu wyobrazi pan sobie, że Posępni muszą upatrywać w tym możliwość spisku. To nic nadzwyczajnego, skoro najrzadziej co dwa tygodnie odkrywają jakiś w mieście. Być może jednak zapomniano panu powiedzieć o pewnym szczególe... który zdaje się potwierdzać ich podejrzenia.

- Co pan ma na myśli?

Brozzi uśmiechnął się zagadkowo. Ciągnął półgłosem:

- Otóż, *Messer*, Marcello Torretone był nie tylko aktorem teatru San Luca, lecz także... tajnym agentem Dziesięciu i Quarantia Criminale. Jak pan. Nawiasem mówiąc, Mroczni nazywali go Arlekinem.

Pietro wyprężył się i przez kilka sekund trwał w bezruchu.

- Aha, rozumiem... Oczywiście, to istotny szczegół. Zadbano, by nie pojawił się w przekazanym mi raporcie. Emilio powinien był mnie uprzedzić. No, cóż...

Wstał.

- Dziękuję, *Sier* Brozzi.

Viravolta w zamyśleniu przygryzł wargi. Emilio Vindicati musiał o tym wiedzieć, gdy powierzał mu zadanie. W raporcie, który mu dał, nie było także wzmianki o broszce Luciany Saliestri ani o senatorze Giovannim Campionim. Zapewne Emilio wolał, by jego emisariusz dowiedział się o tym od Brozziego, nie chcąc wymieniać nazwisk na piśmie w swym raporcie. Ostrożności nigdy za wiele, zwłaszcza jeśli w sprawę zamieszane były wpływowe osoby...

Tak czy inaczej, pomyślał Pietro, nie wróży to nic dobrego...

Jedno było pewne - nowe fakty zmuszały, by spojrzeć na to morderstwo zupełnie inaczej. Pietro znów pomyślał o refleksjach, które snuł na temat Marcella po zapoznaniu się z raportem. Teraz rozumiał lepiej, co w jego oczach mógł znaczyć grzech i jak ewentualny lęk przed sądem niebieskim mógł wpływać na jego temperament, raz wspierając, kiedy indziej zaś ograniczając aktorskie możliwości. Podwójne życie z pewnością nie szczędziło mu trudów. Arlekin, komedian. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Aby dobrze służyć interesom Republiki, musiał utrzymywać w tajemnicy to, co żywot aktora pozwalał mu wykrzyczeć na scenie, lecz była to tylko klasyczna i ulotna kompensata za byt w ukryciu, za ledwie iluzoryczne wybawienie. Zapewne przenikliwa Rada Dziesięciu pragnęła wykorzystać tę słabostkę, rekrutując Marcella do grona swoich informatorów... Godząc się na współpracę, Marcello skazał się na skryte działanie dla dobra ogółu, lecz już ów wybór z moralnego punktu widzenia pociągał za sobą wiele poważnych wyrzeczeń, bo przecież Torretone stał się jednym z donosicieli Republiki, podobnie jak Pietro. Kogo zadenuncjował, zdradził? Czy zdarzyło mu się zabić? Czy splamił ręce krwią?... Pietro domyślał się, jaki niepokój musiał targać Marcellem, rozdartym między dwoma Janusowymi obliczami, i jakiego zaznał lęku. Aktor i agent Republiki - to ciągle balansowanie nad przepaścią. Jego zguba była łatwa do przewidzenia.

Viravolta zszedł ze sceny, Goldoni usiadł, zwieszając ręce w geście bezradności i rozpacz.



- To chyba ponad moje siły - powiedział. - Od pewnego czasu zamierzałem udać się do Parmy. Sądzę, że nadeszła odpowiednia pora.

- Carlo! - zwrócił się do niego Vendramin. - A co z karnawalem? Nie, to wykluczone. Obiecałeś mi jeszcze trzy sztuki i musimy je wystawić zgodnie z umową. Dzięki tobie jesienny sezon był udany. Wreszcie zrobiliśmy to, o czym obaj zawsze marzyliśmy. Teraz nie wolno się poddawać! Jeśli ten przykry incydent uda się, na co liczę, utrzymać w tajemnicy, publiczności nie odstraszy to, co stało się w murach naszego teatru. Gdybyśmy tylko zdołali się dowiedzieć, co tu się wydarzyło, byłbym...

- Messer Goldoni, pański wyjazd z Wenecji jest teraz niemożliwy - wtrącił Pietro. - Musi pan pozostać na lagunie ze względu na śledztwo. Pragnę jak najszybciej przesłuchać wszystkich członków trupy, do której zaliczam także librecistów, muzyków z orkiestry, choreografów, scenografów, śpiewaków, tancerzy i tancerki. Potrzebni mi będą wszyscy pracownicy San Luca.

- Ależ... w takiej sytuacji sprawa wyjdzie na jaw - krzyknął Vendramin. - To nie przysłuży się interesom teatru!

- Tak czy inaczej, trzeba będzie jakoś wytłumaczyć zniknięcie Marcella. Proszę się uspokoić, wszyscy dowiedzą się tylko tyle, ile będzie trzeba, nie poznają szczegółów. Nie należy opowiadać o tej makabrycznej zbrodni, chyba że zajdzie konieczność. Zgadzą się panowie?

Vendramin i Goldoni pokiwali głowami. Pietro znów spojrzął na zwłoki ukrzyżowanego.

- Jeszcze jedno pytanie...

- Tak? - zachęcił Goldoni.

- O ile mi wiadomo, Marcello był dość pobożny... Dramaturg skinął głową.

- Tak... Niewielu spośród nas należycie wypełnia obowiązki wobec Boga, to oczywiste. Marcello, choć wiódł lekkie i burzliwe życie, bardzo się różnił od swoich kolegów i w każdą niedzielę można go było spotkać w San Giorgio Maggiore.

Pietro zmarszczył brwi, coś go bowiem zastanowiło. Szpieg tydzień w tydzień wypełniał obowiązki wobec zmartwychwstałego Chrystusa?... To bardzo możliwe, wzięwszy pod uwagę osobiste refleksje Pietra. Teraz jednak intrygował go oczywisty związek między tą ewentualnością (a może oczywistością) a symboliką inscenizacji tej zbrodni. Trzeba było to dokładnie przeanalizować. Mężczyzna ocierający się o grzech, ukrzyżowany na scenie swej dwulicowości, pośród kostiumów rozmaitych postaci, w które się wcielał, z wydartymi gałkami ocznymi... Czy widział coś, co uczyniło go niebezpiecznym? Czy związek z jego religijnością był rzeczywisty, czy może było to tylko wewnętrzne przekonanie Pietra?

Jego twarz nagle się ożywiła.

- Czy wiecie, kto jest proboszczem San Giorgio Maggiore?

Tym razem odpowiedzi udzielił mu Vendramin.

- Ojciec Cosimo Caffelli. Caffelli, no proszę...

- Tak, znam go - powiedział Pietro.

- Był także spowiednikiem Marcella - dodał Goldoni.

- Powiada pan, jego spowiednikiem? Ciekawe... Pietro przystanął i w zamyśleniu muskał wargi palcami.

W przeszłości miał okazję zetknąć się z Caffellim, ten zaś z pewnością nie zapomniał Czarnej Orchidei. Bardzo pomógł senatorowi Ottavio w przekonaniu inkwizytorów, że Piętrowi można zarzucić ateizm, że oddaje się kabale, a jego moralność jest wątpliwa. W ten sposób rozdzielono go z Anną Santamaria i zamknięto w więzieniu. Caffelli odegrał niebagatelną rolę w aresztowaniu Viravolty.

Sprawa zapowiada się coraz ciekawiej...

I na twarzy Pietra znów pojawił się uśmiech.

- Dziękuję panom.

Zawołał go Brozzi. Pietro zwrócił na niego oczy. Lekarz Quarantia Criminale został na scenie. Podwinął szerokie czarne rękawy.

- Ktoś musi mi pomóc go zdjąć.

\* \* \*

Zwłoki Marcella Torretone leżały w jednej z dolnych sal Quarantia Criminale. Nie było tu złoceń ani boazerii, jedynie gołe kamienne ściany, a pośród nich lodowaty chłód, który wciskał się przez okienko wychodzące na uliczkę. Pietro poczuł się, jakby znów trafił do celi. Brozzi kręcił się w centralnej części sali. Pietro nie bez odrazy pomagał mu w ułożeniu tego zimnego ciała na stole. Teraz Brozzi mógł poddać je precyzyjniejszym badaniom. Nie musiał przeprowadzać prawdziwej sekcji, chciał jednak bardzo dokładnie obejrzeć rany, określić ich typ i ustalić okoliczności dramatu. Długo mamrotał coś pod nosem, potem założył binokle i przypatrywał się nasadzie włosów, oczodołom, zębom, językowi, ustom, ranom na stopach, dłoniach i boku, a także napisowi na torsie. Krążył wokół ciała, skupiając uwagę a to na paznokciach, a to na wewnętrznej stronie ud. Rozpylił wokół trochę perfum, ale nie wystarczyło to, by przytłumić potworny odór, który wypełnił pomieszczenie. Narzędzia wyjęte z torby leżały teraz na nakrytym białym płótnem stoliku - noże chirurgiczne, skalpele, nożyczki, szkła powiększające, szczypce, eter i alkohol, miarki, a także środki chemiczne, o których istnieniu Viravolta nie miał dotąd pojęcia. Tuż obok stała niewielka miska, w której Brozzi co pewien czas zanurzał pobrzękujące metalicznie narzędzia. Pietro widywał już wcześniej zwłoki, a świeże wspomnienia więzienne także nie należały do przyjemnych, kiedy jednak stał w środku nocy w tej oświetlonej zaledwie dwiema lampami izbie, nie potrafił opanować drżenia. Widok zmasakrowanego ciała, sinych żył i pustych oczodołów boleśnie przenikał duszę. A szczególnie odrażające wydało mu się zachowanie Brozziego, który traktował ofiarę jak zwyczajny ochłap mięsa. Pomyśleć, że chciał spędzić dzisiejszy wieczór w ogródku jakiejś samotnej księżniczki, przemknęło mu przez głowę. Chciał przygotować się do nocnej adoracji ciała, zatopić się w piersiach, udach, kobiecej pupie, żeby zapomnieć o Annie Santamarii i miesiącach spędzonych w więzieniu, a tymczasem znalazł się przed martwym ciałem leżącym na marach. Teraz próbował dowiedzieć się czegoś więcej o tych zwłokach. Pochylony nad nimi Brozzi mówił głośno ni to do Pietra, ni to do siebie:

- Rana w boku została rzeczywiście zadana lancą, którą znaleźliśmy za kulisami w teatrze San Luca. Broń jest teraz tutaj, trzeba ją zabezpieczyć. Rana jest głęboka, z pewnością przyspieszyła śmierć ofiary, choć nie musiała być bezpośrednią przyczyną zgonu. Ciało pozostawiono w pozie Chrystusa na krzyżu, z cierniową koroną na czole. W kąciку ust znalazłem ślady octu...

Droga powrotna do Quarantii dała Piętrowi okazję, by bliżej poznać niezwykłego człowieka, jakim był Brozzi. Obu mężczyzn obowiązywała tajemnica, a medyk pracował dla Criminale od ponad

dziesięciu lat. Pochodzenie nie dało Brozziemu prawa przynależności do grupy szlacheckiej, był *cittadino*, który dzięki kompetencji zdobył obecną pozycję. W przeszłości, jako osobisty lekarz wielu senatorów i członków Wielkiej Rady, wyrobił sobie znajomości i zdobył reputację. Antonio chciał służyć państwu i jak wyznał w rozmowie z Piętrzem, musiał wykazać się wielkim oddaniem, by zatrzeć nieco przykre wrażenie wiążące się z codziennymi obowiązkami. Jego ojciec został zamordowany w mrocznej uliczce Santa Croce i to wydarzenie z pewnością przyczyniło się do decyzji Antonia, gdy po latach brał na siebie obowiązki jednego z żałobników Republiki, która to funkcja wymagała wielkiej siły psychicznej i poświęcenia.

Pietro otarł twarz ręką. Czuł się coraz bardziej zmęczony.

Tłumiąc ziewnięcie, powiedział:

- To wszystko... czysta inscenizacja. Groteskowe przedstawienie. Ta kurtyna, te rozchylone zasłony, które zdają się mówić: witajcie na spektaklu... Prawdę mówiąc, podejrzewam, że za tą zbrodnią kryje się człowiek mniej zwyrodniały, niż można by sądzić po jego okrucieństwie. A ujmując to ściślej - zwyrodnialec, który przywdział maskę nienagannyh manier światowca. W jego wyrafinowaniu dostrzegam oznaki głębokiej dekadencji. Każdy szczegół został dobrany i wyliczony tak, by uzyskać... dramatyczny efekt. Ukrzyżowany z tym niezwykłym zdaniem na piersi, z tym zagadkowym poematem...

- Wydaje mi się prawdopodobne, że zabójca zmusił ofiarę do wypicia octu, który sączył mu do ust z mokrej szmaty - ciągnął Brozzi. - Uczynił to, poddając Marcella takim samym torturom, na jakie skazany był Chrystus dźwigający krzyż na miejsce kaźni. Wyłupił ofierze oczy. W szczątkach prawej gałki ocznej utkwiły okruchy szkła, które pękło, gdy zabójca przecinał nerw. Trzeba ustalić, skąd ono pochodzi. Jest gładkie, dobrze wypolerowane, ale o dużej gęstości. Mogło powstać w Murano, sądząc po fakturze i krystalicznej czystości. Okruchy są zbyt drobne, żeby powiedzieć coś więcej.

- Chciałbym, żeby pan mnie dobrze zrozumiał, Brozzi. Zakładam, że ten człowiek mógł zostać zamordowany, ponieważ działał skrycie na rzecz Dziesięciu i Criminale. Po cóż jednak dokonywać tak spektakularnej zbrodni? Po co to mruganie okiem, ta niesamowita ironia, która zdaje się zapraszać nas na scenę, jakbyśmy i my mieli zagrać w spektaklu napisanym przez szalonego dramaturga? Dramaturga, który temperamentem bardzo różni się od *Sier Goldoniego*, toteż wstępnie wykreślam go z listy podejrzanych, podobnie zresztą jak obu braci Vendraminów. Ale miłośnik teatru, pastiszu... i Pantalona, którego zwinięty kostium znalazłem w pobliżu. Broszka, którą mi pan pokazał, należąca do Luciany Saliestri... Nie sądzi pan, że to niesłychany zbieg okoliczności? Może wręcz rażący. Chyba że Marcello był kochankiem tej młodej damy, podobnie jak Giovanni Campioni, członek Senatu. Banalna historia z zazdrością w tle przyniosłaby mi ulgę, ale trudno w to uwierzyć. Wszystko wydaje się diabelnie wyreżyserowane, Brozzi.

Lekarz spojrział na niego i powiedział:

- Wyreżyserowane jak przez autora, który dba o każdy szczegół dekoracji i losów postaci. Zgadzam się z panem.

- Ktoś włożył wiele pracy i talentu w realizację tego mrocznego przedsięwzięcia. Marcello musiał długo krzyżeć w opustoszałym teatrze, gdy morderca masakrował jego ciało, przybijając go młotkiem do desek. Za wiele tu podłości jak na zwykłą wendetę, którą można by załatwić równie

dobrze, a czyściej, jednym ciosem szpady, strzałem z pistoletu czy arkebuzą. Morderca chciał zadać Marcelowi cierpienie, może zmusić go do mówienia. Torturował go... ale dlaczego w teatrze? Dlaczego go nie porwał, nie zabrał w inne miejsce?

- Ponieważ chciał, abyśmy go znaleźli, mój drogi - odparł Brozzi, pochylając się nad zmarłym. Pietro cmoknął na znak aprobaty.

- A zagadkowa inskrypcja na ciele to kolejny dowód, że morderca chciał do nas przemówić. Tak, Brozzi. On chciał coś wykrzyknąć... To wszystko ma niewiele wspólnego z torturami... jakby to powiedzieć... z klasycznymi torturami. One były przeznaczone dla nas, czy może raczej dla Republiki. Jest jeszcze coś, co wydaje mi się dziwne...

- Wiem, co pan ma na myśli - wtrącił Brozzi, sięgając po chustkę, żeby przetrzeć szkła. Na jego czole lśniły krople potu.

- Oczywiście, prawda?

Pietro uniósł palec wskazujący i uśmiechnął się.

- Tak, oczywiście. Korona cierniowa, rana w boku, krzyż, ocet, wszelkie inne sińce czy też rozdarte ciało, to potrafię sobie wytłumaczyć. Dlaczego jednak wyłupił mu oczy? To takie niebiblijne, Brozzi. To fałszywa nuta w tej palecie symboli. Ale jestem przekonany, że nie pojawiła się przypadkowo. No cóż! Wydaje mi się, że mamy już sporo wątków do wyjaśnienia. Ta kurtyzana, Luciana Saliestri... Senator Giovanni Campioni... i na wszelki wypadek ten spowiednik z San Giorgio, ojciec Caffelli.

Pietro westchnął, wspominając słowa, które usłyszał od Emilia, gdy opuszczał Pałac Dożów: „Muszę jeszcze raz cię przestrzec. Znalazłeś się w przedsionku piekła, to nie jest żart. Wkrótce sam się przekonasz”.

Pietro spojrzał na Brozziego, a ten uśmiechnął się do niego, głaszcząc brodę. Rzucił zakrwawiony skalpel do miski i znów dało się słyszeć ów metaliczny dźwięk.

Woda zmieszała się z krwią.

- Witamy w krainie spraw kryminalnych Quarantii - powiedział krótko.

\* \* \*

Pietro szedł ulicami Wenecji. Zamierzał udać się do oberży, w której czekał Landretto, by spędzić tam noc. Tak miało być, dopóki Emilio nie przygotuje im wygodniejszego lokum. Z głową pełną posępnych myśli, rękami splecionymi na plecach, wpatrzony w czubki swych butów, Pietro zdawał się bardzo skupiony. Była już późna noc. Zerwał się zimny wiatr, który rozwiewał połę jego szerokiego czarnego płaszcza. Pogrążony w zadumie, skręcił w uliczkę, nie zwróciwszy uwagi na czterech mężczyzn w ciemnych szatach, z latarniami w rękach, których można by wziąć za Strażników Nocy, gdyby nie niepokojące maski. W mroku stały się jeszcze bardziej niesamowite. Pietro zauważył ich obecność, dopiero gdy stało się oczywiste, że odcięli mu drogę. Dwaj z nich zagroźli uliczkę, dwaj inni stanęli z tyłu. Pod maskami widać było ich wrogo wykrzywione usta. Odstawili latarnie i przez moment uliczka wyglądała jak scena, przed którą oświetlono jedną z galerii, czekając na ważnego gościa. Pietro zwrócił oczy na mężczyzn.

- Czym zasłużyłem sobie na wasze towarzystwo? - zapytał.

- Tym, że masz sakiewkę, którą nam grzecznie oddasz - odparł jeden ze złodziei.

Pietro zmierzył wzrokiem tego, który mówił, następnie jego sąsiada. Odwrócił się i spojrzął na dwóch pozostałych, dumnie wyprężonych za jego plecami. Byli uzbrojeni - jeden w pałkę, drugi w sztylet, a dwaj pozostali w krótkie szpady. Na twarzy Pietra wolno rozkwitał uśmiech.

- A gdyby się okazało, że odmawiam?

- Wtedy by się okazało, że poderżniemy ci gardło, kawalerze.

- Albo że stracisz swoje jedyne oko - zażartował jego kompan, spoglądając na czarną przepaskę, którą nosił Pietro.

Wszystko jasne.

- Mam wrażenie, że ostatnimi czasy ulice Wenecji nie są zbyt bezpieczne.

- Komu ty to mówisz! No już, na ziemię.

- Panowie, wolę was uprzedzić, że nawet ślepy, zdołałbym rozprawić się z całą waszą czwórką. Zmykajcie stąd, a nie zrobię wam krzywdy. Wyjdziecie z tego cało.

Wybuchnęli śmiechem.

- Słyszeliście go?! Na kolana, kawalerze. I dawaj cekiny.

- Czuję się zmuszony spełnić groźbę - odparł Viravolta.

- Spełniaj, co tylko chcesz, byleś dał sakiewkę. I mężczyzna zbliżył się, przybierając groźną pozę. Trudno! - pomyślał Pietro. W końcu odrobina ruchu mi nie zaszkodzi.

Wyprężył tors i wolno rozsunał połę płaszcza, zrzucając go na ziemię. Odsłonił szpadę i pistolety, które miał u boku.

\*

Napastnicy zdawali się wahać.

Pietro położył dłoń na rękojeści broni.

Zbiry napierały, zamykając go w coraz ciaśniejszym kręgu.

- Jak chcecie... Okażę wam dobroć, użyję tylko szpady - rzucił Pietro.

Wyciągnął broń. Ostrze błysnęło w świetle księżyca, a czterej fałszywi Strażnicy Nocy rzucili się na ofiarę. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Lśniące ostrze uniosło się kilka razy, rozcięło powietrze. Pierwszy z zamaskowanych mężczyzn upuścił pałkę, głęboko zraniony w bark. Sztylet drugiego nakreślił łuk w powietrzu, a wraz z nim pofrunęły trzy palce, które odciął Pietro, zanim się obrócił, uginając kolana. W ten sposób uniknął ciosu szpady, a sam ugodził nogi trzeciego złodziejzka na wysokości kolan. W końcu szybko się wyprostował i nadal się obracając, użył opanowanej do perfekcji sztuczki, by wyrysować na czole czwartego gwiazdę, z której trysnęła krew. Z twarzy mężczyzny spadła maska. Rozejrzał się i bardziej z przerażenia niż bólu zatoczył się i osunął pod nogi Pietra, tracąc przytomność.

Teraz cała czwórka leżała na ziemi. Jeden zaciskał rękę na ramieniu, drugi wył, szukając palców, trzeci starał się zatamować krew buchającą z nóg. A herszt bandy wciąż bujał w obłokach, nie odzyskując zmysłów.

Pietro uśmiechnął się z lekka. Podniósł płaszcz i wyjął z butonierki kwiat. Podszedł do tego, który związał się z bólu, kuląc zakrwawione nogi. Zbir zamilkł, z niepokojem wpatrując się w pogromcę. A Pietro rzucił kwiat, który zawirował i upadł tuż obok mężczyzny.

Viravolta odwrócił się na pięcie i odszedł.

\*

Mężczyzna wytrzeszczył oczy, patrząc na kwiat. Na ów podpis, który mówił: „Spotkałeś Czarną Orchideę”.

## KRĄG DRUGI

### PIEŚŃ IV

#### Zmysłowi

Luciana Saliestri nie należała do grona szlachetnie urodzonych dam, które Wenecja lubiała niekiedy pokazywać podczas oficjalnych przyjęć, jak wówczas, gdy gościł tu Henryk III, a Republika, jakby nie dość było przepychu, do polityki dorzuciła szczyptę pikanterii, organizując przemarsz słynnych weneckich piękności. Nie, Luciana była luksusową kurtyzaną o burzliwej przeszłości. Chwaliła się, że pisze wiersze i filozofuje, nosiła maskę, by tym łatwiej roztaczać wdzięki. Używając swego zmysłowego czaru, ucieleśniała erudytkę i dziwkę, należała do prostego ludu i do kwiatu wykształconej młodzieży. Jak inne dziewczęta lekkich obyczajów, popełniła wiele wykroczeń, lecz dzięki życzliwej tolerancji i cennej protekcji możnych zawsze unikała gniewu władz. Sama w sobie stanowiła instytucję - sprzedawała swe ciało dla rozkoszy szacownych podróżnych, dopomagając w negocjacjach dotyczących spraw najwyższej wagi lub aby ulżyć politykom w ich codziennych troskach. Inkwizytorzy wprawdzie ścigali prostytutki, zajmowali się jednak biedaczkami z *campo* San Polo, z San Marco czy Santa Trinità. Ona, dwudziestodwuletnia wdowa po bogatym kupcu bławatnym, o którego skąpstwie opowiadano w całej Wenecji, przechadzała się po okolicach ogrodów Pałacu Dożów, swobodnie ciesząc się przywilejami swego statusu. Była czarująca - urocza twarzyczka, pieprzyk w kąciku ust, sarnie oczy, zgrabna sylwetka spowita jedwabiami, haftami i koronkami. Ta urodzona tancerka każdym swym gestem podbijała serca przechodniów. Roztaczała wokół pobudzającą zmysły woń tajemniczości, raz kryjąc się za plecami przygodnego kochanka, kiedy indziej olśniewając zręczną retoryką, pełną eliptycznych zwrotów. W ten sposób czyniła niewolników ze swych adoratorów. Przyjmowała w willi nad Canal Grande, którą, jak wszystko, odziedziczyła po mężu. Ten ślub uratował ją przed smutnym klasztorem, małżonkowi zawdzięczała praktycznie wszystko. A *Messer* Saliestri był tak przywiązany do swoich dukatów, że stał się legendą. Szeptano, że dawniej cenił każdą minutę jak pieniądź, mawiał bowiem, że czas to „niezwykła wartość”. Luciana do dziś czciła pamięć tego sknery - paliła mu świece, równocześnie trwoniąc spokojnie fortunę, którą jej zostawił. Była tak rozrzutna, jak on skąpy. Luciana znalazła sobie rozrywki, które zaspokajały jej potrzeby - oddawała się każdemu, kogo uznała za godnego siebie. Przez jakiś czas cieszyła ją kompania Marcella. Związek z Giovannim Campionim, członkiem Senatu, miał nieco inny charakter. Tak czy inaczej, jeśli nie udawała, do czego z pewnością była zdolna, nie wiedziała jeszcze, co wydarzyło się w San Luca.

Zgodnie z instrukcjami Emilia Vindicatigo, Pietro spalił otrzymany od niego raport, zanim wyszedł wieczorem z Quarantii. Rankiem przesłuchał cały personel teatru, sprawdzając przy pomocy Brozziego i Landretta alibi członków trupy. Wyniki tych rozmów nie były zadowalające, toteż Viravolta

postanowił odwiedzić Lucianę w jej domu nad Canal Grandę. Willa Saliestrich była perełką weneckiej architektury, lecz mało kto wiedział, że za odrapaną fasadą kryją się wspaniałe wnętrza. Dość było przekroczyć bramę, by znaleźć się w ogrodzie, który pośród tej pozornej pustki był isticie rajskim zakątkiem - z fontanną pośrodku, kwietnikami i krętymi alejkami, które wiodły ku arkadom. Ogród nie był wprawdzie duży, lecz pozwalał przenieść się w inny świat, zapomnieć o miejskim zgiełku, wsłuchać się w plusk wody, zachęcający do wypoczynku i bez troski. Sam budynek, dwupiętrowy, zręcznie grał kontrastami. Mury, tu i ówdzie zawilgocone, czerpały część uroku z tego zaniedbania, nie pozwalając odgadnąć, jak bogato zdobione są wnętrza. Pietro dostrzegł to dopiero wówczas, gdy wprowadzono go do komnat - politurowane meble ze złotymi okuciami, miękkie sofy kryte aksamitem lub jedwabiem, rodowe portrety, zwierciadła, których zimny blask pogłębiał przestrzeń, drzwi dyskretnie osłonięte baldachimami, łagodnie udrapowane tkaniny przed alkowami... Panowała tu atmosfera intymności i wyciszenia przy isticie barokowym bogactwie i ten nastrój udzielał się przybyszom, ledwie przekroczyli progi domu. Lecz Pietro cierpiał, znalazłszy się tu. Luciana Saliestri słyszała wprawdzie o Czarnej Orchidei, nie znała jednak prawdziwej tożsamości mężczyzny, który przedstawił się jako reprezentant doży, natomiast Pietro, poinformowany o wszelkich plotkach na temat pięknej damy, po tylu miesiącach więzienia nie mógł powstrzymać myśli o przestępstwach znacznie miłszych od tego, którym miał się teraz zająć. Ten uśmiech, usta, kształtnaszyja, piersi, które podsuwała mu pod nos z wyrachowaniem, na jakie było ją stać - to byłaby dla niego istna udręka, gdyby wspomnienie wielkiej miłości do Anny Santamarii nie wyrastało w jego sercu niczym potężny mur obronny. Mimo to udawanie obojętności wobec Luciany mnożącej uwodzicielskie sztuczki wraz z całą gamą niecierpliwych westchnień, które przychodziły jej z łatwością typową dla namiętnych kobiet, było trudną próbą. Pietro miał ochotę dać ślicznotce nauczkę, na jaką zasługiwała, i zmusić ją, by się poddała, zanim poprosi go wprost, by zaspokoił jej żądze, raz na zawsze rezygnując z przymilania się i umizgiwania. Zamiast to uczynić, musiał rozmawiać z nią o spisku i ukrzyżowaniu.

Nie wiem, jak długo zdołam to wytrzymać.

Usiadł naprzeciw niej w wyściełanym malinowym aksamitem fotelu i bębnił palcami o oparcie. Ona na pół leżała na sofie, od czasu do czasu zerkając w stronę otwartych okien balkonowych, zza których dobiegał szmer od Canal Grandę. Otwarty egzemplarz *Żołnierza samochwały* Plauta leżał rzucony niedbale obok niej.

Pietro pozbył się przepaski z oka i tym razem pojawił się ze szramą przecinającą prawy policzek. W uchu, także prawym, miał kolczyk. Przebrał się w białą marynarkę szamerowaną złotem i włożył rękawiczki w tych samych kolorach. Wchodząc, zdjął ciemny kapelusz.

Założył nogę na nogę.

- Co robiła pani przedwczoraj w nocy?

Uśmiech. Westchnęła, odrzucając kosmyk, który opadł jej na czoło; włosy miała jasne, w typowo weneckim odcieniu blondu niemal przechodzącym w rudy, który uzyskiwało się po długotrwałym, leniwym przesiadywaniu w słonecznych altanach. Tutejsze kobiety miały zwyczaj przed wyjściem na balkon zakrywać głowę dużymi słomkowymi kapeluszami bez denka. Włosy zwilżały sokiem rabarbarowym i to zawarty w nim kwas, schnąc w słońcu, nadawał im szczególną barwę.

- A cóż pańskim zdaniem robi w nocy kobieta taka jak ja? Czując suchość w ustach, Pietro zmusił się do uśmiechu.

- Czy przypadkiem nie wybrała się pani na przedstawienie Goldoniego do teatru San Luca?

Musnęła dłonią zaróżowione policzki, potem szyję i zaczęła bawić się od niechcenia medalionem w kształcie delfina. Znowu się uśmiechnęła.

- Ach... Zapewne to aluzja do Marcella. Widzę, że jest pan bardzo dobrze poinformowany. Nie, szczerze mówiąc, tej nocy zrobiłam sobie przerwę. Zostałam w domu, odpoczywałam w samotności, choć może trudno w to uwierzyć.

- Naprawdę była pani sama? Pietro zerknął na nią, uśmiechając się.

- Luciano, pomówmy o senatorze Giovannim Campionim. Męczy mnie już powtarzanie, że podobnie jak Marcello, był jednym z pani przyjaciół...

W pierwszej chwili nie zdołała ukryć zaskoczenia, jednak szybko się opanowała i wybuchnęła śmiechem.

- Doprawdy, nic nie umyka przenikliwości Republiki!

- Zwłaszcza postępowanie jej najgodniejszych obywateli. Czy nasz znamienity senator spędził ten wieczór z panią? Czy sądzi pani, że byłby gotów poświadczyć... pani alibi?

Zmarszczyła brwi.

- Czyżbym potrzebowała alibi? Przyznam, że nie pojmuję. Może już czas, żeby wyjaśnił mi pan powód tej wizyty.

Ugięła nogę, tak że suknia osunęła się tuż nad kolano. Błyskawiczny rzut oka wystarczył Piętrovi, by dostrzec białą koronkę, co tylko pogłębiło jego frustrację. Znalazła idealny sposób na odwrócenie jego uwagi od tematu rozmowy. On jednak sięgnął do kieszeni płaszcza, rozwinął zawiniątko i podsunął jej pod nos złotą broszkę.

- Rozpoznaje pani ten przedmiot?

Krzyknęła, zaskoczona. Chwyliła broszkę i zaczęła ją dokładnie oglądać.

- To przecież moja broszka! Giovanni zamówił ją specjalnie dla mnie u złotnika z Rialto... Tak, należy do mnie ponad wszelką wątpliwość, są tu inicjały! Ukradziono mi ją zaledwie kilka dni temu. Nie byłam w stanie jej odzyskać, a wyobraża pan sobie, jak się zamartwiałam, że Giovanni poczuje się urażony... Ale gdzie pan ją znalazł?

- Wybacz pani, że przynoszę tak złe wieści... Ta broszka została znaleziona na miejscu zbrodni. Przy zwłokach Marcella Torretone.

Zamilkła, szeroko otwierając sarnie oczy. Istny cud! Albo była wspaniałą aktorką, albo doznała głębokiego wstrząsu, bo upłynęło sporo czasu, zanim zdołała wypowiedzieć słowo.

- Marcello... On nie żyje? Jak to możliwe?

- Zamordowano go.

- O Boże... Znów zamilkła.

- Ale... co dokładnie się stało? Pietro zacisnął usta.

- Oszczędzę pani szczegółów, *Signora*. Doprawdy, nic przyjemnego.

- Kto mógł to zrobić?

- Właśnie to staram się ustalić. Dlatego gorąco liczę na pani współpracę.



Oczy Luciany zapatrzyły się w pustkę. Położyła rękę na piersi i kiwała głową, ogarnięta żalem.

- Mój Boże! Taka tragedia... Właśnie się zastanawiałam, dlaczego Marcello nie daje znaku życia. Mieliśmy się spotkać wczoraj wieczorem, ja...

Zamilkła, patrząc na Viravolte, którego nieufność dostrzegła. Usiłowała przybrać słodki ton, jakim mówiła przedtem.

- Proszę mi wierzyć, nie mam z tym nic wspólnego! Skradziono mi broszkę, coś jeszcze mogłabym powiedzieć?

- Czy domyśla się pani, kto mógł ją ukraść? Może właśnie Marcello?

- Cóż za pomysł! Po co miałyby to robić?

- A Giovanni?

- Giovanni? W jakim celu miałyby kraść klejnot, który sam mi podarował? A poza tym przedwczoraj go tu nie było. Nie widzieliśmy się już dość dawno.

Pietro wyprostował nogi i pochylił się nad nią.

- Czy według pani Marcello miał wrogów? Luciana uśmiechnęła się przelotnie.

- Tak. Jednego. I uniosła brwi.

- Sam dla siebie był wrogiem - rzekła.

Pietro splótł dłonie pod brodą. Czy kurtyzana wiedziała o podwójnym życiu Marcello? Tego nie był pewien.

- Marcello był człowiekiem... skomplikowanym - podjęła Luciana. - I to czyniło go tak pociągającym. Wciąż prześladowało go przeświadczenie, że robi coś złego. Za wszelką cenę pragnął się z tego wyzwolić. Sądzę... że wziął na siebie winę za to, co spotkało jego nieszczęsną matkę. Dziś jest kaleką - na poły obłąkaną. Właściwie zawsze taka była. Jakby nawiedzona, rozumie pan? Nigdy nie była zbyt zrównoważona, podobnie jak jej mąż. To się nasiliło, kiedy przestała grać. Marcello przez całe życie przechodził istne tortury.

- Co jeszcze może pani o nim powiedzieć? Luciana znowu spojrzała Viravolcie w oczy.

- I tak już dużo powiedziałam, przyzna pan? Marcello był wielkim aktorem. I człowiekiem, który ukrywał swe cierpienie. W miłości... miał szczególne upodobania. Zabawiał się... nie tylko z kobietami...

Pietro uniósł brew. Luciana chrząknęła.

- Wolałabym nie rozводить się nad tym tematem. Sądzę, że zmarłym należy się pewien szacunek. Moim zdaniem Marcello nigdy nie był kochany tak, jak na to zasługiwał, zawsze przekładano Boga nad niego. Po części dlatego tak bardzo pragnęłam, w miarę możliwości, uleczyć go...

- Rozumiem - pokiwał głową Pietro.

Po chwili refleksji zadał jej jeszcze jedno pytanie:

- *Signora*, proszę wybaczyć mi ten nietakt, ale... Czy ostatnio przyjmowała pani innych mężczyzn?

Luciana wpatrywała się w niego. Był przekonany, że nie pozostała obojętna na jego czar. Jej policzki oblały się szkarłatem. Zwiżyła usta końcem języka.

- Prawdę mówiąc... Przychodzą zamaskowani, rozumie pan? Ostatnio gościłam trzech... Sądząc po akcencie, jeden z nich był Francuzem. Dwóch pozostałych nigdy wcześniej nie widziałam i też nic o nich nie wiem... Przychodzą, biorą mnie i odchodzą. To mógł być każdy, choćby pan.

Ostatnie słowa wypowiedziała szeptem. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

Pietro odwrócił głowę i wznosił oczy w górę.

\*

Rozmowa z Luciana zajęła mu jeszcze kilka minut. Pietro próbował wrócić do sugestii kurtyzany, ale bez skutku. Czy Marcello miał inne związki, takie, do których wolałby się nie przyznawać? „Zabawiał się nie tylko z kobietami”, powiedziała. Pietro pamiętał także uwagę Goldoniego, w teatrze San Luca: „Marcello nie potrafił dogadać się z kobietami... Wydawało się, że nic go nie obchodzi”. Marcello Torretone, aktor, agent Dziesięciu... i w dodatku wielbiciel mężczyzn? Tak, to całkiem możliwe. Te wszystkie elementy tworzyły spójną całość - człowiek ambiwalentny pod każdym względem... Tego również nie było w raporcie Dziesięciu. Czy nie mieli o tym pojęcia, czy posługiwali się tą słabością jako dodatkowym atutem, by manipulować Marcellem? Tak czy inaczej, skrytość tego człowieka musiała być niesłychana. Pietro był zaintrygowany, ale i sfrustrowany. Uplłynęło sporo czasu, zanim zdołał się pozbierać po rozmowie z Luciana. Zostawił kobietę samą na wygodnej sofie, która zapewne widziała już niejedno. A kiedy opuszczał willę, Luciana obserwowała go z balkonu, w zamyśleniu splatając włosy. Jeszcze płynąc gondolą, która czekała na niego pod willą Saliestrich, Pietro był pod wrażeniem tej damy o nieodpartym uroku. Luciana! Niepokojąca osobowość... Zmysłowa, wyzywająca, a zarazem słodka i łagodna, zafascynowana zbytkiem i rozkoszami, tak łatwo oddająca swe ciało, sięgająca do cudzych sakiewek, licząca majątek pozostawiony przez męża... Skąd jej broszka wzięła się w teatrze San Luca przy zwłokach Marcello? Luciana twierdziła, że nie wie, kto ją ukradł, i jeśli nie kłamała, mógł to uczynić sam Marcello albo Giovanni Campioni, ale równie dobrze każdy inny z jej kochanków. Senator Campioni mógł okazać się kluczem do tej sprawy, jednak wizyta u osoby tak wysoko postawionej wymagała już pewnej delikatności, żeby zaś go przesłuchać, należało przyjąć odpowiednią strategię i przygotować grunt. O tej strategii Pietro musiał pomówić z Emiliem Vindicatim i z samym dożą. Postanowił zająć się tym jak najszybciej.

Tymczasem jednak Czarna Orchidea kontynuował wstępne śledztwo niczym dobry żołnierz walkę.

\*

Budowę kościoła San Giorgio Maggiore, usytuowanego na wyspie o tej samej nazwie i oddzielonej od San Marco jedną z odnóg laguny, rozpoczął w roku 1565 Palladio, ukończył ją zaś po około czterdziestu latach jeden z uczniów sławnego architekta. Spoglądająca na Pałac Dożów i Piazzettę świątynia odgrywała ważną rolę w życiu Republiki, a to ze względu na kontrolę przypraw morskich u wejścia do miasta. Pierwszy kościół wybudowano tu już w roku 790, a w dziesiątym wieku powstał obok klasztor benedyktynów. Oba gmachy zniszczyło trzęsienie ziemi, a z gruzów dźwignięto je w szesnastym wieku. Obok Redentore z Giudekki, kościół San Giorgio był jedynym zaprojektowanym w każdym szczególe przez Palladia. Wysiadając u stóp świątyni, na dziedziniec dzielący ją od wody, Pietro z podziwem spoglądał na piękną fasadę z kamienia z Istrii, na kolumny w

stylu korynckim. Uśmiechnął się, zerkając na pomniki dożów, ustawione na skrajach gmachu w podzięce za dary dla klasztoru. Nowa kampanila, nieustępująca tej z placu Świętego Marka, została wzniesiona w miejscu dzwonnicy, która runęła w piętnastym wieku. Właśnie w zaciszu tej świątyni pełnił swe obowiązki ojciec Caffelli, spowiednik świętej pamięci Marcella.

Pietro nakazał lokajowi czekać i sam przeszedł przez dziedziniec, a potem pokonał kilka stopni dzielących go od dwuskrzydłowych wrót i zniknął we wnętrzu świątyni.

Idąc wzdłuż nawy, przygotowywał się na spotkanie z Caffellim i obiecywał sobie, że zachowa spokój, a w miarę możliwości - także poczucie humoru. Prawdę mówiąc, nie zapomniał, jaką rolę w jego uwięzieniu odegrał ten ksiądz. Gdyby nie miał związanych rąk, chętnie dałby nauczkę kłamliwemu donosicielowi w sutannie, żeby przypomnieć mu, co znaczą dobre maniere.

To spotkanie może być nieco przykre.

Pietro zobaczył Caffellego przy ołtarzu. Ksiądz zdawał się medytować pod obrazem przedstawiającym *Zdjęcie z Krzyża*. W San Giorgio nie było nikogo oprócz nich i zakapturzonej postaci - zapewne mniszki, która przysłała tu, by odmówić różaniec. Teraz jednak wstała i bezszelestnie wyszła na zewnątrz. Caffelli zwrócił oczy na przybysza, którego kroki głośnie echem rozbrzmiewały w kościele. Położył na ołtarzu Biblię, którą trzymał w ręce, potem zdmuchnął dwie świece, witając nieznajomego lekkim zmarszczeniem brwi. Pietro zerknął na *Zdjęcie z Krzyża* - oczyma wyobraźni ujrzał siebie i Brozziego, medyka Quarantia Criminale, gdy uwalniali zwłoki Marcella, wystawione niczym łup na scenie San Luca. Odpędził wspomnienie i zwrócił oczy na Caffellego, który po chwili wahania rozpoznał twarz Viravolta mimo półmroku i tak nieoczekiwanego przybycia. Trzeba przyznać, że z trudem powstrzymał okrzyk zdumienia. Stali tak, przez chwilę mierzając się wzrokiem. Kapłan splótł dłonie na albie. Był mężczyzną średniego wzrostu, niezbyt tęgim, niemal łysym, o topornych rysach, wydatnych wargach i twarzy tak nalanej, że wydawała się nieproporcjonalna wobec reszty ciała. Uwagę Pietra przykuła jednak bladeść jego cery.

Cosimo Caffelli westchnął. Zapadła cisza, przzerwana po długiej chwili przez księdza:

- Tego się nie spodziewałem... Viravolta!- Do usług - odparł Pietro.

I znów zamilkli. Potem odezwał się Caffelli:

- Sądziłem, że masz przejść Mostem Westchnień, by czekać już tylko na rychłą egzekucję lub przynajmniej otrzymać solidną chłostę, na którą sobie zasłużyłeś...

- Ojczy, nie psuj sobie przyjemności.

- Powiedz, jak zdołałeś uciec? Nie... Ty na pewno zaprzedałeś duszę, żeby znaleźć jakieś wyjście z tej przykrew sytuacji... Co mogło skłonić Radę Dziesięciu do przyznania ci amnestii? Chciałbym to wiedzieć! W każdym razie mam nadzieję, że to tylko tymczasowe ulaskawienie. Osobiście uważam, że powinieneś pozostać w Piombi jeszcze na długo. Ale przywykłem witać skruszonych grzeszników. Bóg zawsze wyciąga rękę do tych, którzy zbaczają z Jego drogi... A zatem, Viravolta, czyżbyś chciał się nawrócić?

Pietro nie mógł powstrzymać się od śmiechu, ostrego jak nóż śmiechu, jaki czasem wyrwał mu się z ust. Ta reakcja nie spodobała się Caffellemu.

- Niezupełnie, ojczy. Ale dajmy spokój pochlebstwom. A jako że nieszczęścia zwykle chodzą parami, pewnie ucieszysz się, słysząc, że obecnie pracuję dla dobra naszej wspaniałej Republiki...

Jeżeli nie odpowiada ojcu taki posłaniec jak ja, to z pewnością sprawa, dla której pracuję, wyda się ojcu ważna! Doża i Dziesięciu powierzyli mi misję, w zamian zajęj wypełnienie zwracając mi wolność... To dość szczególne zadanie. I na razie tajne. Jestem tu z tego powodu i powtarzam, że nasza rozmowa musi zostać utrzymana w tajemnicy. W przeciwnym razie ściągnie ojciec na siebie gniew naszych dzielnych inkwizytorów i Quarantia Criminale, a ta raczej nie zwykła żartować.

Mówiąc to, Pietro wyciągnął z kieszeni glejt z pieczęcią doży. Caffelli wziął od niego dokument, uważnie go przeczytał, a potem zwrócił Viravolcie, obrzucając go lodowatym spojrzeniem.

- Pan obrońcą interesów Wenecji?! Koń by się uśmieł! Czy senator Ottavio wie o tej farsie? Uprzedzam, że...

Uśmiech zniknął z twarzy Viravolty. Pietro zbliżył się o krok, jego oczy błysnęły groźnie.

- Nie wątpię, że wszystko to ojcu nie w smak. Powtarzam jednak, że to tajna misja. Zdaje sobie ojciec sprawę, że ujawniając informacje na jej temat, naraża się na gniew Dziesięciu. I dość tych żartów. Czy to się ojcu podoba, czy nie, wróciłem.

Nie posuwaj się za daleko, ojcuzłku, bo sam cię ukrzyżuję. Pietro zmarszczył brwi.

- Przyszedłem tu pomówić o jednej z twych owieczek, ojcze Caffelli. Chodzi o Marcella Torretone, znanego aktora z trupy Goldoniego. Proszę sobie wyobrazić, że znaleziono go martwego... ukrzyżowanego na scenie teatru. Ojciec był chyba jego spowiednikiem...

- Co... co takiego?!

Caffelli gwałtownie pobladał. Ręką dotknął czoła. Drżały mu usta. Wyglądał jak bliski załamania. Zmienił się dosłownie w oczach.

Przez ułamek sekundy chwiał się na nogach. Pietro był przekonany, że osunie się na ziemię, ale w ostatniej chwili kapłan zdołał nad sobą zapanować. Patrząc Piętrovi prosto w oczy, mówił szeptem, rwącym się głosem:

- Rozumiem... Teraz już rozumiem. Ale proszę nie mówić tak głośno. Nie ma pan pojęcia, na co się naraża.

- Przecież jesteśmy tu zupełnie sami - powiedział Pietro, zdumiony reakcją kapłana.

- Wróg jest wszędzie... Chodźmy.

Zmiana zachowania Caffellego na samą wzmiankę o Marcellu przekonała Viravoltę, że słusznie postąpił, przychodząc do niego. Był coraz bardziej zaintrygowany. Caffelli ujął go pod ramię i zdecydowanym krokiem ruszył ku konfesjonałowi. Wszedł do środka, wskazując Piętrovi miejsce na klęczniku. Viravolta posłusznie wcisnął się do uroczego przedsonka i zaciągnął fioletową kotarę. Pochylił się ku małej kratce, która dzieliła go od kapłana.

- Ojcze, muszę przyznać, że od dawna nie byłem w takiej sytuacji. Zwłaszcza odkąd zająłem miejsce proboszcza z Neapolu, żeby uwieść piękną kobietę, nakłaniając tę młodą grzesznicę, by padła w moje ramiona... Jakże słodkie są te wspomnienia!

- Dość tego, Viravolta! Powiadasz, ukrzyżowany? Pietro uniół brwi. Głos Caffellego zatracił swoją typową pewność.

- Tak. Ale przedtem zabójca wyłupił mu oczy.

- Santa Maria... Trudno w to uwierzyć...

- Co ojciec wie na ten temat? No, czas na spowiedź. Proszę nie zapominać, że to dla dobra Republiki! O jakim wrogu ojciec mówił?

- Il Diavolo! Czyś o nim słyszał? Jestem pewien, że Wielka Rada i Senat już wiedzą i drżą na samą wzmiankę o nim. Doża musiał ci o nim mówić, prawda? Diabeł! On jest w Wenecji!

- Diabeł... - powtórzył Viravolta, znów unosząc brew. - Niebo... Ale o co właściwie chodzi?

- Nikt tego nie wie. Sądzę... sądzę, że Marcello szykował się na osobiste spotkanie z nim. Nadał mu inne imię... Chimera, tak, właśnie tak go nazywał... To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Marcello miałby umówić się na spotkanie w San Luca z... Lucyferem?

- Daruj sobie tę ironię, nieszczęsny głupcze. Ten cień wśliznął się pomiędzy nas na naszą zgubę... I jeśli nawet to nie sam Diabeł, to istota równie okrutna, wiem, co mówię! To, co ujrzałeś w teatrze, chyba wystarczy, żeby się o tym przekonać!

Caffelli uczynił znak krzyża. Pietro westchnął.

- Proszę mi powiedzieć... Czy Marcello rozmawiał o tym z ojcem, kiedy tu przychodził?

Przez kratkę dostrzegł grymas na twarzy Caffellego.

- Wiesz, że podobnie jak ciebie, mnie także obowiązuje tajemnica! Misja, którą ci powierzono, to za mało, żebym złamał tajemnicę spowiedzi, zwierzał się takiemu bandycie jak ty. Mówię tylko, że najgorsze jeszcze przed nami i że nie ma co do tego wątpliwości...

Pietro wciąż myślał, że jeśli Marcello rzeczywiście był szpiegiem Dziesięciu, na pewno nie zwierzał się Caffellemu, opowiadając mu o tajemnicach państwowych podczas spowiedzi. Mimo to ojciec zdawał się dobrze poinformowany o niektórych śledczych działaniach Marcella. Czy wiedział więcej, niż chciał powiedzieć? Prawdopodobnie. Być może kapłan w ten czy inny sposób był wplątany w morderstwo. Jeżeli nawet nie należał do grona informatorów Dziesięciu, to dla Marcella mógł stanowić cenne źródło wiedzy. To, że tak uparczywie zasłaniał się tajemnicą spowiedzi, Piętrowi wydawało się uprawnione, ale i podejrzane. Musiał koniecznie ustalić, jaki charakter miały relacje Caffellego z aktorem... i prawdę mówiąc... brał pod uwagę najgorsze.

- Co dokładnie wie ojciec o Marcellu?- To co wszyscy. Że był aktorem z trupy Goldoniego.

- Tylko tyle?

Kapłan zawahał się. Ukrył twarz w dłoniach.

- Tak.

Pietro był pewien, że to kłamstwo.

- Ale przecież był ojciec jego spowiednikiem? Ojciec... o czym opowiadał ci Marcello? Czy czuł się zagrożony?

- *Santa Madonna*... Modliłem się dniem i nocą, miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie... Cóż za hańba, Boże... Dlaczego musiało się tak stać? Było coraz gorzej... Marcello zasługiwał, żeby żyć... Był...

- Opisano mi Marcella jako człowieka nękanego grzesznymi skłonnościami. Czy to prawda?

- Marcello był... zagubiony. Wyparł się... wyparł się chrztu. Pomagałem mu odzyskać wiarę.

Pietro zmrużył oczy.

- Ciekawe... Wyparł się chrztu! Dlaczego? Ojciec, o co Marcello się tak ciężko obwiniał?

Caffelli kręcił głową. Milczał. Pietro zdecydował się zapytać otwarcie.

- Sądzi ojciec, że miłosne przygody miały jakiś wpływ na tę decyzję?

Usłyszał przyspieszony oddech Caffellego. Po chwili, sądząc, że milczenie może być uznane za odpowiedź twierdzącą, kapłan przemówił:

- Życie uczuciowe Marcella było wyłącznie jego sprawą i nie pomoże w rozwikłaniu pańskiej zagadki.

- Nie byłbym taki pewien. Jeżeli jednak tak właśnie jest, to proszę się dłużej nie wahać i powiedzieć mi, z kim spotykał się Torretone... Wiem, że był związany z Lucianą Saliestri, czy jednak był ktoś jeszcze?

Milczenie. Cosimo najwyraźniej nie zamierzał się podać. Viravolta postanowił zmienić taktykę.

- Dobrze, ojczu. Czy ojca zdaniem Marcello zadawał się z niebezpiecznymi ludźmi? Czy miał wrogów?

Kapłan zwilżył usta językiem. Przemówił dopiero po dłuższej chwili, a każde słowo przychodziło mu z trudem, jakby go parzyło.

- Strzygi - rzucił szeptem. - Ogniste Ptaki...

- Co? Ogniste Ptaki? O czym ojciec mówi?

- Strzygi, zwane także Ognistymi Ptakami... Musisz ich odnaleźć.

- Nie rozumiem, ojczu. Czy...

- Nie, nic więcej nie mogę powiedzieć. Idź już. Zostaw mnie samego.

Pietro zadał jeszcze jedno pytanie, potem następne, ale Caffelli nie odpowiadał. Pietro usłyszał szmer. Spoglądał przez kratkę, szukając kapłana. Potem odsunął kotarę i wychylił głowę z konfesjonału. Kroki Caffellego odbijały się głośnym echem w cichym kościele. Uciekał. Jedną rękę oparł na biodrze i szedł lekko pochylony, jakby dokuczał mu ból w plecach.

Strzygi... pomyślał Pietro. Dziwaczne istoty, odmiana wampirów, na poły kobiety, na poły suki ze średniowiecznych legend. Przekłête stwory, związane z mocami piekielnymi... I ten Diabeł, ta Chimera... Co to wszystko mogło oznaczać? Pietro długo jeszcze klęczał w konfesjonale, pogrążony w rozmyślaniach. Miał przykre wrażenie, że Caffelli powiedział mu albo za dużo, albo nie dość.

Tymczasem jednak nie mógł liczyć na dalsze wyjaśnienia kapłana.

Westchnął i odsunął kotarę, by wyjść z kościoła. W chwilę potem znalazł się na dziedzińcu San Giorgio, gdzie czekał Landretto.

- I co? - zainteresował się lokaj.

- Nasz przyjaciel wie dużo. Nie zdziwiłbym się, gdyby był w jakiś sposób zamieszany w tę sprawę. Trzeba z nim jeszcze pogawędzić. Wiem, jak go przycisnąć, wszyscy ludzie Kościoła są słabi. A z nim mam jeszcze stare porachunki... Muszę jednak zachować umiar i działać taktownie. Jedno jest pewne: Marcello obawiał się o swoje życie. Wydaje mi się, że Caffelli też się boi. Landretto, powiedz mi, czy słyszałeś coś o Strzygach albo Ognistych Ptakach?

- Nie, nigdy.

- Tak myślałem.

- Bo co?

- Wyobraź sobie, że zdaniem ojczulka Cosima Diabeł hula po Wenecji.

- To bardzo przykre. Ale mam dla pana inną wiadomość.

- Słucham - mruknął Pietro, spoglądając na lagunę. Otrzeptał poły marynarki.

- Brozzi przysłał posłańca. Udało mu się ustalić pochodzenie szkła, którego odłamki utkwily w oczodołach Marcella. Identyczne rozrzucano wokół zwłok. Pochodzi z pracowni Spadettiego z Murano, ale nic w tym szczególnego. Spadetti należy do cechu szklarzy.

Pietro zerknął na lokaja.

- Spadetti... tak... to mistrz z Murano. Dziękuję, przyjacielu.

Podeszli do gondoli.

Słońce zachodziło, roztaczając nad Wenecją pomarańczową poświatę.

- Wyruszmy o brzasku, ale dziś wieczorem, drogi Landretto...

Rozłożył ręce. Był zmęczony i wszystko go trudziło. Nie mógł dłużej czekać na chwilę rozkoszy, do której miał prawo. Przecież poświęcając kilka godzin na odpoczynek, nie łamał przysięgi!

A poza tym nie mógł zapomnieć o wskazówkach Casanovy. „Okaz się godny mnie”, powiedział Giacomo, gdy się żegnali w Piombi.

Pietro odwrócił się do służącego i oznajmił z uśmiechem:

- Landretto, dziś wieczorem mamy wychodne. Przypomnimy sobie dawne czasy. Najwyższa pora położyć kres udręce. Zbrodnie mnie deprymują, a najpiękniejsze kobiety świata czekają na nas. *Andiamo, e basta!*

\* \* \*

Po wyjściu Pietra ojciec Caffelli został sam w San Giorgio Maggiore. Zamknął drzwi kościoła. Zapadający zmierzch ogarniał wnętrze świątyni, snuł się między posągami, kładł cieniem na zimnych, zakurzonych posadzkach. Pośrodku nawy paliło się kilka świec. Cosimo klęczał przed ołtarzem, wpatrując się w przerażające *Zdjęcie z Krzyża*. Teraz słyhać było już tylko jego oddech, czasem jęk i jakiś dziwny świst. Cosimo Caffelli ze łzami w oczach modlił się do Zbawiciela. Chwilami wydawało mu się, że dostrzega jakieś cienie i słyszy szepty. „Teatr cieni”, powiedziałby Marcello. Kapłan nie śmiał zamknąć oczu, bo bał się, że pośród mroku dopadną go znowu straszliwe wizje. Obrazy cuchnące siarką, wylaniające się z głębi jego jestestwa, nieustannie zadające mu ból, skazujące na piekielne udręki. Boże, dlaczego mnie opuściłeś? Dziś wróg wiedział, wiedział wszystko. Nic nie umykało jego uwagi. Przed Caffellim leżała otwarta Biblia, a na rycinie demon kusił Chrystusa, namawiając, by za nim podążył, i wykrzywiając twarz w odrażającym grymasie. Pod kopytami demona wił się rozwidlony ogon. Wokół diabła krążyły chmary piekielnych stworów. Ale zło czaiło się nie tylko tu, blisko Cosima. Było także w nim samym. Jak w każdym grzeszniku. Z każdym dniem było gorzej, a on wpadał w coraz większe przerażenie i coraz mniej rozumiał. Kapłan zagubił drogę prawdy, zbłądził. A wkrótce niesłyszana prawdę poznają już wszyscy, jego zaś okryje niewyobrażalna hańba i zostanie na wieki przeklęty, przez Wenecję i przez ludzi!

Panie Boże, zgrzeszyłem! Tak, Boże, dopuściłem się grzechu! Dlaczego mnie opuściłeś?

I Cosimo Caffelli, którego cień padł na posadzkę San Giorgio, drgając w migotliwym blasku świec, chłostał plecy różgą.

\* \* \*

Pietro i Landretto podążali za *codegą*, który niósł przed nimi lampę, i od czasu do czasu z nim żartowali. Zaczęli ten wieczór w oberży Pod Dzikusem, a teraz, lekko podchmieleni, śpiewali. Jaśnie

Oświecony doża, a także Emilio Vindicati hojnie napełnili ich sakiewkę, by wystarczyło na wszelkie konieczne i zbędne koszty misji, którą powierzyli Viravolcie. Pić za zdrowie Republiki za rządowe dukaty było o wiele przyjemniej, a i strawa nabierała smaku. Ta mała grupka od czasu do czasu mijala ubranych na czarno Strażników Nocy, którzy karcili ich, nakazując się uciszyć. Ale rzut oka na glejt z pieczęcią doży wystarczał, by zostawili ich w spokoju. Zresztą i tak po potyczce ze zbirami, którzy napadli go, gdy wyszedł z teatru San Luca, Pietro czuł się gotów powitać z należytą uprzejmością każdego, kto stanąłby im na drodze. Szli, ślizgając się na mokrym bruku, czasem niemal się przewracając i podpierając jeden drugiego. Po wyjściu z oberży zatrzymali się w pijalni, *bastione*, gdzie sprzedawano wino. Potem, dla pobudzenia apetytu, podjadając ciastka, pili *raki*, ratafię i likier z kwiatów pomarańczy, małmazję i owocowe sorbety. Krótka wizyta w kawiarni Florian, nieopodal Prokuracji, a potem wyprawa do oberży, tym razem na iście królewski posiłek, złożony z zupy i baraniny, pieczonych kielbas, kapłona z ryżem i fasolą, trufli, przepiórek, *ricotty*, a na zakończenie *zaletti eon zebibo* - kukurydziano-pszennych placków z masła, mleka i jajek, posypywanych rodzynkami i cedratem. Aby ożywić dawne przyjaźnie, Pietro i jego lokaj pobiegli stamtąd do Ridotto, sławnego lokalu, gdzie grało się w faraona, pikietę, karty i kości. Szczęście się do nich uśmiechnęło i sporo wygrali, toteż pozwolili sobie na hojny gest, rozdając trochę grosza kobietom nocy z San Marco, księżniczkom i królowym kilku chwil, które skupiały się pod arkadami, kusząc i wabiąc przechodniów wdziękami. Tańczyli z nimi przy dźwiękach skrzypiec, dobiegających od Prokuracji. Pietro, który od dawna nie miał instrumentu w rękach, pokusił się o próbę i z temperamentem zagrał melodię Gabriello. Księżyc stał już wysoko na niebie, poszli więc do jednego z dostępnych dla wybrańców domów, jakie rozkwitały w Wenecji.

Pietro cieszył się, że znów ma przy sobie Landretta, który zawsze był towarzyszem jego szaleństw. Zaprzyjaźnili się, choć jeden był panem, a drugi sługą, a tego wieczoru zniknęły wszelkie różnice, tak bardzo obaj zadowoleni byli ze swej kompanii. Zresztą Pietro nigdy nie zapomniał, że niegdyś on także był chłopcem włóczącym się po uliczkach San Samuele. Landretto nie pochodził z Wenecji, urodził się w Parmie, bardzo wczesnie stracił ojca, jak Viravolta, a wkrótce potem także matkę. Długo błąkał się po całej Italii, żyjąc na granicy żebractwa i rozboju. Zaopiekowała się nim zubożała rodzina szlachecka i zamieszkał najpierw w Pizie, a następnie w Genui. Landretto pozostał człowiekiem wolnym i Pietro dobrze wiedział, że chłopak zawsze ma w zanadrzu jakąś sztukę. Skłonny do śmiechu, o powierzchowności miłego młodzieńca, miał w sobie sporo cynizmu, który był zapewne owocem tak burzliwych losów. Landretto, na pozór naiwny efeb bujający w obłokach, potrafił doskonale ocenić, co leży w jego interesie, a gdy zachodziła potrzeba, dowodził wielkiej rozwagi. Choć przyznawał się do podłego pochodzenia, nie brakowało mu daru przekonywania możliwych i miał swój udział w oswobodzeniu pana. Pietro wiedział, że lokaj uczynił, co w jego mocy, by wyciągnąć go z za krat. W końcu sam Emilio Vindicati wysłuchał gorących prośb tego bystrego i oddanego młodzieńca. Pietro podejrzewał nawet, że Landretto wpłynął na Emilia, przekonując go, by powierzył Viravolcie misję, zwracając mu wolność w zamian za jej wypełnienie.

Dom, ku któremu się teraz kierowali, był aneksem rezydencji Contarinich, składającym się z salonów, kuchni, sal do gry i tańca, a także pokoi gościnnych. Tam właśnie, dzięki pomocy Vindicatego, Viravolta i Landretto mieli zamieszkać w apartamencie wynajętym za sześćset cekinów



od kucharza ambasadora Anglii. Pietro, jako bywalec lokalu, pochwałał wybór swego protektora. Dotarłszy na miejsce, przez dwie godziny grali na parterze, potem uczestniczyli w pasjonującej dyskusji o walorach różnych dzieł Ariosta, a Pietro wykorzystał okazję, by zabłysnąć, recytując celnie dobrane ich urywki. W sali było wiele pań, jednak Pietro wciąż miał przed oczyma słodką twarz Anny Santamarii. Każdemu uderzeniu serca towarzyszyła lawina pytań, które go nurtowały. Gdzie była? Co robiła? Czy o nim myślała, czy jeszcze go kochała? Starał się jednak - i to nie tylko ze względu na zakaz Emilia, lecz przede wszystkim, by nie pogłębiać stanu niepewności, w jakim żył - nie poddawać się straszliwemu cierpieniu, które chwilami go dręczyło, i bronił się przed popadnięciem w obsesję. Dłużej nie mógł tego znieść, musiał się uwolnić. Przeciąć ten wrzód. Zapomnieć o wątpliwościach. Zapomnieć... Czy miał inne wyjście niż wymazać z pamięci tę kobietę i żyć dalej?

Och, Anno, Anno, czy mi wybaczysz?

Mógłby walczyć, ale jak i z kim?

Daj się ponieść nurtowi zdarzeń, dodawał sobie odwagi.

Tego wieczoru sporo wypił.

Twoje zdrowie, Giacomo!

\*

Pośród obecnej w salonach szlachty, zamaskowanej jak i on, była młoda kobieta, która nie pasowała do reszty towarzystwa, Ancilla Adeodat, Mulatka przywieziona przez weneckiego kapitana z dawnych kolonii. Była istotą niezwyklej urody - o długich ciemnych, kręconych włosach, w które wpięła czerwoną różę, i cerze barwy kawy z mlekiem, nosiła suknię ułożoną w fałdki i zakładki, ozdobioną śnieżnobiałymi koronkami. Pietro zapamiętał ją, bo już przed laty pozyskał jej względy, podobnie jak matkę i córkę Contarini - właścicielki domu gry. Było to na długo przed spotkaniem z Anną. Mimo że nosił maskę, Ancilla także go rozpoznała. Prawdopodobnie kwiat w butonierce zdradził go przed piękną Mulatkę, bo gdy szedł z Landrettem przez salon muzyczny, zbliżyła się i patrząc mu prosto w oczy i muskając piękny kwiat na jego piersi, zagadnęła:

- Czyżby Czarna Orchidea opuścił więzienie? Jak to możliwe...

Uśmiechnął się, a ona wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha:

- To naprawdę ty, Viravolta? Może masz ochotę odwiedzić wyspy... jak za dawnych czasów?

Pietro także się uśmiechnął.

- Są takie podróże, których się nie zapomina.

I już wkrótce znaleźli się w jednym z pokoi na piętrze.

Landretto nasłuchiwał, stojąc pod drzwiami. Jego uszu dobiegały cmoknięcia pocałunków, potem szelest szybko zdejmowanych ubrań. Chciał zerknąć przez dziurkę, ale nic z tego, bo tkwił w niej klucz. Pozostało mu słuchać przyspieszonych oddechów, westchnień, odgłosów ciał miotających się w pościeli.

Landretto czekał jeszcze przez chwilę, wreszcie jednak głęboko westchnął i zdjął nakrycie głowy. Wiedział, że tego wieczoru nie znajdzie sobie towarzystwa.

Wkrótce odszedł, żeby samotnie położyć się do łóżka.

\*

A jednak ta noc nie zakończyła się tak banalnie. Stała się świadkiem doprawdy niezwykłego zdarzenia.

Na godzinę przed brzaskiem Pietra obudziło pukanie do drzwi.

Czy to sen?

Ale uporczywe drapanie potwierdziło, że słuch go nie myli. Zerknął na Ancillę Adeodat, „dar od Boga”. Spała z włosami rozrzuconymi na poduszce i obnażonych plecach. Poruszyła się, mrucząc, potem jej oddech stał się znów regularny i tylko lekko wydymał pełne wargi. Pietro wstał powoli, starając się jej nie obudzić. Poszedł po kandelabr, zbliżył się do drzwi i uchylił je.

Na zewnątrz nie był nikogo, korytarz był cichy i spokojny.

I tylko pod stopą wyczuł jakiś przedmiot. Pochylił się i zauważył bilecik, pokryty drobnym pismem. Ktoś musiał wsunąć go przed chwilą pod drzwi. Zaintrygowany Pietro podniósł go, przysunął do światła i odczytał:

*Idź za mną, Viravolta, w rytm Menueta Cieni,*

*Dwa kroki w przód, w lewo sześć kroków,*

*Za wieżą w prawo kroków osiem.*

*Do dziurki od klucza przytknij oko,*

*A sam zobaczysz,*

*Jak ciemne czasem bywa ciało.*

WERGILIUSZ

Pietro ponownie rozejrzał się po korytarzu. Wszędzie panował mrok i głęboka, nocna cisza. Odwrócił się. Ancilla spokojnie spała. Pietro stał przez chwilę, w jednej ręce trzymając kandelabr, w drugiej kartkę. Był zdezorientowany. Otarł twarz ręką. Czuł suchość w ustach. O co znowu chodzi? Kto mógł zostawić mu ten zagadkowy liścik? Przeczytał raz jeszcze owo wezwanie, podrapał się po głowie, nasłuchiwał. Ciągle nic. Coraz bardziej rozbudzony, usiłował zrozumieć treść przesłania.

Zmrużył oczy, wpatrując się w korytarz i ściany.

A potem wyszedł.

„Dwa kroki w przód”.

Podłoga skrzypiała, więc delikatnie zamknął drzwi pokoju.

Zerknął pod nogi, znowu się zatrzymując. Pomyślał, że jest niemal bezbronny, sam w tym ciemnym korytarzu. Gdyby ktoś go zobaczył, na pół nagiego, w białej koszuli, z pewnością wzięby go za szaleńca, za ducha zbłąkanego w świecie żywych albo - w najlepszym przypadku - za lunatyka czy też człowieka odurzonego jednym z tych specyfików, które docierały do Wenecji z egzotycznych krain. Zmarszczył brwi. Czuł się jak w głębokim śnie, a może raczej - w koszmarnym śnie. Było to bardzo dziwne wrażenie, jakby prowadziła go jakaś siła, wyższy instynkt, który przejął kontrolę nad jego wolą.

„Idź za mną, Viravolta, w rytm Menueta Cieni”.

I rzeczywiście tańczył z nocą.

„W lewo sześć kroków”.

Obrócił się na pięcie i wolno przesuwając stopy, licząc do sześciu. Po lewej stronie za zamkniętymi drzwiami pokoju spał Landretto. Po prawej - korytarz zakręcał. Kropla wosku spłynęła po kandelabrze na podłogę. Serce Pietra biło coraz szybciej, choć nie rozumiał dlaczego. Chrząknął. To wszystko działo się trochę za szybko. Mimo to intuicja podpowiadała mu, że powinien usłuchać wezwania, ale nie pojmował, co się za tym kryje. Znów przetarł czoło.

„Za wieżą w prawo kroków osiem”.

Pietro skręcił i odliczył osiem kroków. Po obu stronach korytarza zobaczył dwoje drzwi, dalej jeszcze dwoje. Jego uszu dobiegały niewyraźne, intrygujące dźwięki. Coś jakby... oddech, chrapliwe ziajanie. A potem zduszony krzyk i skrzypnięcie łóżka, które jęknęło pod ciężarem bezwładnego ciała.

„Do dziurki od klucza przytknij oko”.

Viravolta pochylił się przy drzwiach po prawej. Była w nich dziurka od klucza, prosty, byle jak wykonany zamek z żelaza.

Przytknął oko - klucz nie zasłaniał otworu. Bezwiednie przysunął kandelabr do twarzy. Zastanawiał się, czy to nie sen. Menuet Cieni doprowadził go do tych drzwi łatwiej, niżby uczynił to najbardziej niesamowity plan wskazujący miejsce ukrycia skarbu. Skarbu, ale jakiego? Przed oczyma stanął mu pewien obraz - przypomniał sobie podobną scenę z dzieciństwa, kiedy to przez dziurkę od klucza zaglądał do pokoju rodziców. Aktorka Julia chędożona przez szewca Pascuale. Wspomnienie dawno utraconej niewinności. Do dziś pamiętał zdumienie i odrazę, i to mroczne poczucie podniecenia przemieszanego z zazdrością, jakie wzbudzało w nim cielesne zaspokojenie namiętności. Intymna msza, homilia ku czci ciała. Spontaniczna, zwierzęca epifania zmysłów.

„A sam zobaczysz”...

Wyprostował się i przetarł oczy.

Serce biło mu jak w uniesieniu, a przecież spektakl, który ujrzął, nie był wesoły. Czy na pewno dobrze widział? Pochylił się jeszcze raz.

Mężczyzna legł całym ciężarem na drobnej postaci. Spływał potem, dyszał jak byk na *putta*, dławiąc jęki, jego twarz wykrzywił potworny grymas. Rozdarta maska zwisała pod brodą, rytmicznie podskakując. Nie zadał sobie trudu, żeby się rozebrać, a tylko podkasał czarną szatę, odsłaniając tłuste, białe, owłosione jak u owada nogi. Pietro obserwował kolejne etapy lubieżnej metamorfozy. Mężczyzna coraz głośniej dyszał, jego naprężona twarz robiła się sina, żyły dudniły w skroniach, a maska wciąż podskakiwała... Nagle, po dwóch czy trzech niesamowicie brutalnych ruchach lędźwi, gdy znowu przyciskał rękę do ust ofiary, zastygł w bezruchu. Wyprężył się w ekstazie, wznosił oczy ku niebu. W tej chwili najwyższej rozkoszy wyglądał jak szermierz przeszyty podczas pojedynku szpadą, jak żołnierz śmiertelnie ugodzony przez wroga i bliski śmierci na polu bitwy.

- *Santa Madonna* - powtarzał. - *Santa Madonna!*

Ojciec Cosimo Caffelli, spowiednik z San Giorgio Maggiore, zaznawał rozkoszy, długimi pchnięciami wdzierając się w lędźwia tego, który teraz błagał go o litość. Bo Pietro właśnie zdał sobie sprawę, że obiektem brutalnego szturmu nie była luksusowa *putta*, lecz młody chłopiec, może zaledwie siedemnastoletni.

„Jak ciemne czasem bywa ciało”.

\*

Wstrząśnięty tą sceną, Pietro bezszelestnie wrócił do pokoju. Wahał się, czy nie wyważyć tamtych drzwi, czy nie wtargnąć do pokoju, żeby przyłapać Caffellego na gorącym uczynku. Ujrzałby jego przerażoną twarz, niewypowiedziany wstyd; słyszałby rozpacz niebios, gromy spadające na kapłana, byłby świadkiem jego poharbienia i śmiałyby się na cały głos z hipokryzji ojczulka. A zatem tak wypełniasz swe obowiązki wobec Jezusa i Dziewicy Marii, ojcze? Jakże wspaniała jest twoja moralność, jak wspaniały przykład dajesz Wenecji!

Ale nie.

Pietro znowu poczuł się jak w koszmarze. Sytuację pogarszało działanie alkoholu, który pił przez cały wieczór. Widok, który ukazał się jego oczom i zawładnął umysłem, wywołał gorycz i niesmak. Położył się, dotknął ciepłego ciała śpiącej obok Ancilli, okrył siebie i ją. Rysy zmysłowej Mulatki zlewały się w jego pamięci z rysami Anny Santamarii - dalekiej, niedostępnej, tak boleśnie drogiej. Tego wieczoru miał wrażenie, że się jej wyparł. Czy jednak nie był to jedyny sposób, żeby przed nią uciec? Uciec przed uczuciem bez przyszłości, bez żadnej nadziei? Ale przecież... czy naprawdę tak musiało się to skończyć?

Nie wiem... Szczerze mówiąc, nic już nie wiem.

I jeszcze długo myśli czarne jak kruki tłukły się po jego głowie.

Pietro zostawił kartkę z Menuetem Cieni przy kandelabrze, w którym dopalały się świece. Wydawało mu się, że znowu widzi zwłoki ukrzyżowanego Marcella i miotające się nad chłopcem ciało Caffellego, i twarz Brozziego, gdy pochyla się, przeprowadzając sekcję. Wyobrażał sobie oblicze autora Menueta Cieni, myślał o Strzygach i Chimerze fruujących wśród demonów. Myślał też o zagadkowym podpisie: Wergiliusz.

\*

Tej nocy nie zmrużył już oka.

## PIEŚŃ V

### **Szkło Minosa**

## PROBLEM ZŁA

Andreas Vicario, członek Wielkiej Rady

*O Złu przeciw Wolności (rozdział I)*

*A oto, jak mógłbym ująć problem Zła: jeśli istnieje grzech, to czy należy uznać go za następstwo wcześniejszych czynów, czy też jest on korektywny wobec wypełniania naszej wolnej woli, w niejako odwróconej perspektywie augustiańskiej? Czy Lucyfer staje się realny jedynie w poczynaniach ludzi, czy należy przyznać mu miejsce ante, uważając go nie tylko za immanentną gangrenę tkwiącą w głębi naszej natury, lecz także za siłę inicjującą świata, dającą moc samego Tworzenia? Jan z Lugio oraz manichejczycy nieraz zadawali to pytanie, według mnie kapitalne, jako że zależnie od jego rozstrzygnięcia, człowiek okazuje się być lub nie być ontologicznie zły. Albo Demon jest naszym tworem, zrodzonym z perwersyjnego pojmowania wolności, której ryzyko powziął Bóg, powierzając nam u prapoczątku najcenniejszy, ale i najgroźniejszy z darów, albo też Zło jest współistotne człowiekowi, tworzy czy też współtworzy świat, w którym jego mroczna częśćka jest*

*równie duża jak boska. Jednak moim zdaniem, augustiańska obrona wolnej woli nie uwzględnia pełni zła. Istnieje zło wynikające nie z niewłaściwego postępowania się wolną wolą, lecz z czystej woli Boga, jak choćby choroby i pasmo cierpień, które musi znosić człowiek, a które nie zależą od ludzkiej woli. Należy więc przyjąć, że Bóg rozstrzyga o naszym cierpieniu i poprzez myślenie rozumowe - tegoż Boga, ową immanentną Istotę, która jako jedyna może być usprawiedliwiona przez rozum, gdy człowiek nie potrafi już dłużej znieść bólu - nazywam Belzebubem. Grzech tkwi w nas jako piętno Lucyfera, spędza uśmiech z lic aniołów. Dlatego też na pytanie: „Czy człowiek jest zły?”, odpowiadam: „Tak, lecz nie on winien jest całemu Złu”; ponieważ na inne pytanie: „Czy Szatan istnieje?”, odpowiadam: „Tak”, i czynię to bez wahania.*

Na piętrze swej willi Luciana Saliestri nie bez wysiłku przebijała się przez lekturę, zresztą niełatwą. Zazwyczaj lubiła być sama, cieszyła ją chwile spokoju, gdy oddawała się rozkoszom innym niż cielesne. Jej mąż zebrał spory księgozbiór, a kurtyzana systematycznie go wzbogacała. Luciana sięgała od czasu do czasu po książkę, którą opatrywała własnymi uwagami. Jednak w tej chwili naprawdę trudno jej było skoncentrować się na dłużej niż kilka minut. Odkładała książkę lub wypuszczała ją z ręki, myśląc o czymś innym, by po chwili bez przekonania wrócić do lektury. W końcu odłożyła ją i zapatrzyła się w dal. Wizyta tego człowieka, który zasypał ją pytaniami w związku ze śmiercią Marcella, wzburzyła ją. Luciana myślała o zmarłym aktorze z rozczuleniem. Nie mówiła wiele o seksualnej chwiejności Marcella, sądząc, że nie ma to związku z jego straszliwą śmiercią. Jednak w głębi ducha niczego nie była pewna. Jeszcze bardziej niepokoiła ją kradzież broszki. Na próżno starała się przypomnieć sobie okoliczności zdarzenia - nie wiedziała, kto i kiedy mógłby ukraść klejnot. Czy agent rządu jej wierzył? Mówiła prawdę. Przymknęła oczy. Bardzo rzadko nosiła tę broszkę. Tylko wtedy, kiedy odwiedzał ją Giovanni, a obowiązki senatora nie zostawiały mu wiele czasu na przyjemności.

Przed oczyma stanęła jej twarz senatora Campioniego. Czy był w to zamieszany? Drogi Giovanni. Mocno się w niej zadurzył. Ona także miała do niego słabość. Gotów był dźwigać na barkach brzemień świata... Polityka, pomyślała, ach, ta polityka! Przypomniała sobie, że niektóre interpretacje Apokalipsy czyniły z niej ów niezwykły ocean, tajemną głębię, z której w dniu Sądu wyłoni się Antychryst. Smok wynurzy się z rozległego morza, morza namiętności, a także instytucji powołanych przez człowieka. Campioni należał do grona tych, którzy zdawali się nieustannie tropić owego Smoka. Giovanni i jego wspaniałe idee... Uśmiechnęła się. Z nią jednak nie rozmawiał o tym, co działo się w Senacie. Był zresztą zobowiązany zachować w tajemnicy jakże ciekawe debaty o przyszłości Serenissimy. Mogła najwyżej wyczuć, tuląc go w ramionach, ogrom znużenia, nadzieje tak wielkie, jak rozczarowanie, które ogarniało go, gdy znów nie udało mu się przemówić innym do rozsądku. Rozczulający samotny król! Kiedyś - gdyby nie dzieliła ich tak znaczna różnica wieku - mogłaby naprawdę się w nim zakochać.

Gorzki uśmiech wykrzywił jej usta. Zakochana... Czy kiedykolwiek była zakochana? Podniosła się i szła przez salon w stronę kominka, ciągnąc za sobą tren szlafrocza. Zerknęła na portret męża, przed którym płonęły wonności. Jego lary i penaty. Ona... Zmuszono ją do zamążpójścia zbyt młodo, jak wiele innych dziewcząt. Udawała, że go kocha. Ta gra wciągnęła ją nawet na jakiś czas. Trzeba

było przecież dostrzegać dobre strony życia. Czy czuła smutek, gdy owdowiała? Tak, za sprawą przywiązania, które się w niej zrodziło. Ale równocześnie... Czy mogłaby wyrzucić się, że w skrytości doznawała okrutnej rozkoszy, patrząc na zmarłego męża? Tak, to haniebne! Musiała jednak przyznać przed sobą, co oznacza tak krótkotrwały smutek. Spoglądała na portret męża, na jego wysokie czoło, srogie oczy, arogancki uśmiech. Ileż razy widziała, jak siedząc w gabinecie, bez końca sprawdza rachunki, wyniośle ignorując prośbę, przekonany, że i ona była zaspokojona, że musiała się tak czuć! I zawsze kiedy obserwowała go pochłoniętego stanem aktywów i pasywów, przypominała sobie teatralnego Pantalona, który zanurza ręce w garncach ze złotymi monetami. To było silniejsze od niej... i silniejsze od niego. W rzeczywistości Luciana była samotna na długo przed jego śmiercią. Już od pierwszych dni ich małżeństwa.

Od pierwszej nocy...

Dorzuciła wonności do naczynka. Delikatniejszy dym uniośł się w górę. Nie zamierzała klękać przed portretem męża. Dziś była młoda, bogata, piękna, pożądana, adorowana. I wiedziała, że uzyska pełne zadowolenie, spokojnie trwoniąc majątek zmarłego męża. Wydawać, wydawać, wydawać... tak, jak on gromadził. Wyłącznie dla przyjemności. Niejako - inwestując inaczej. A gdyby pewnego dnia zabrakło jej gotówki, bez trudu znajdzie nowego protektora - jakiegoś Giovanniego, który tylko na to czekał.

Pozostawał jeden jedyny problem: miłość, ta prawdziwa. Dlaczego nie miała do niej prawa?

Miłość, Luciano...

W kąciku jej ust znów pojawił się grymas - gorycz, a może rozczarowanie. Zawróciła, by ułożyć się na sofie i oddać lekturze.

\* \* \*

Mgła spowiła Wenecję. Była zimna, gęsta, ciemna. Przenikała do szpiku kości, przyprawiała o dreszcz i sprawiała, że ludzie zatracali poczucie czasu, ogarnięci półmrokiem dnia, tak bliskim ciemnościom nocy. Widoczność sięgała zaledwie dwóch metrów. Pietro szedł, spoglądając na własne stopy uderzające o śliski bruk. Czuł się tak senny jak ten dzień. Obok niego dreptał Landretto. Dość wcześniej wyszli z casa Contarinich. W pewnej chwili Pietro zmarszczył brwi i odwrócił się. Echo, echo. Czy słyszał własne kroki, czy też ktoś za nimi szedł? Położył rękę na ramieniu lokaja.

- Co się stało?

Pietro nie odpowiedział, wpatrując się we mgłę. Przez moment miał wrażenie, że słyszy świst cieni, które błyskawicznie przesuwały się poza jego pole widzenia i rozplywały w nicości. Ktoś przemykał tuż obok niego, choć może były to tylko sylwetki zwykłych przechodniów, wstających wczesnym rankiem Wenecjan, którzy dokądś spieszyli? Pietro nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, wciąż jednak był pod silnym wrażeniem minionej nocy, niespokojnej i mglistej jak ten dzień. Emilio Vindicati uprzedzał, że będzie śledził jego poczynania, zarówno po to, aby go „nadzorować”, jak i po to, żeby udzielić mu wsparcia w razie potrzeby. Być może... kazał go śledzić? Tak czy inaczej, trzeba było mieć się na baczności. Pietro przez chwilę stał nieruchomo, a potem powiedział tylko: „Nic, to nic”, i ruszył w dalszą drogę.

\*

Drewniany dziób zakończony spiralą, dwa skrawki materiału śmigające przy kapeluszu niczym rozszczepiony język, głos przewoźnika powtarzający wciąż te same frazy...

Zbliżyli się do nabrzeża.

\*

Teraz barka sunęła pośród nicości. Pietro słyszał tylko plusk wody, odmierzający pokonywaną drogę do Murano. Dziś trzeba było wielkiego skupienia i doświadczenia, żeby nie zbroczyć z trasy. Siedzący obok Viravolty Landretto z zimna szczykał zębami. Wyglądał na zamyślonego. Oddalając się od placu Świętego Marka, rozpoznawali jeszcze zarysy budynków, lecz wkrótce pograżyli się w zdradzieckim, przykrym śnie, w którym wciąż jeszcze tkwili. W pewnym momencie mijali inną łódź, która szukała drogi, płynąc w przeciwną stronę. Zakapturzony mężczyzna trzymał w kościstej ręce latarnię, stojąc na rufie. Zamienił kilka słów z ich przewoźnikiem i zniknął we mgle. Później opłynęli posępną bryłę San Michele, którą również pochłonęły gęste kłęby mgły. W powietrzu unosiła się tajemnicza woń, jakby pograżona w niespokojnym śnie przyroda chciała przygotować ludzi do nowej apokalipsy. Rozsiewała magiczne sny, ale te z krainy czarnej magii, nieodgadnionej i groźnej, pelzającej nad wodą między widocznymi tu i ówdzie słupami niczym czarna plama zagubiona na lagunie. Ta nierealna atmosfera sprawiała, że Pietro poczuł się nagle, jakby porzucił łódź, by udać się ku innym niepokojącym światom.

Viravolta myślał o wydarzeniach minionej nocy. Nie wspominał jeszcze o niczym Landrettowi. Prawdę mówiąc, zastanawiał się, czy to wszystko nie było tylko tworem jego wyobraźni. Ale przecież naprawdę widział Caffellego, był tego pewien. Zachował też kartkę z Menuetem Cieni i postanowił pokazać ją Brozziemu, bo może Quarantia zdoła określić rodzaj papieru i atramentu, którymi posłużył się autor. Wspomnienia napływały falami. Z pewnością nie była to pierwsza nocna wyprawa kapłana z San Giorgio... Sporo ryzykował. Pietro sam zrezygnował z tonsury, żeby cieszyć się rozkoszami u boku kobiet, i poznał innych, którzy postąpili tak samo, choćby w Rzymie, spotkał też człowieka, któremu nie wypadaloby łączyć Caffellego. Niezaprzeczalnie jednak, postępując w ten sposób, Cosimo narażał się na wielkie ryzyko. Był w szponach namiętności... On! Ksiądz z San Giorgio Maggiore! Istne szaleństwo! Teraz myśl, która nasunęła się nieco wcześniej Viravolcie, owo podejrzenie Caffellego o swoiste związki z Marcellem, nabierała realnych podstaw. Pietro za dobrze znał ludzi, aby nie wiedzieć, że są wytworem własnych frustracji, radości, cierpienia, dawnych błędów. Ale postawa kapłana świadczyła o głębokim wypaczeniu... Jego słowa znów dźwięczały w uszach Pietra.

„*Santa Madonna...* Modliłem się dniem i nocą, miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie... Cóż za hańba, Boże... Dlaczego musiało się tak stać? Było coraz gorzej... Marcello zasługiwał, żeby żyć... Był”...

Marcello w szponach grzechu, zapewne tak samo jak Caffelli. I prawdopodobnie to właśnie ich zbliżyło. Jeden sprzeniewierzył się własnej naturze, drugi - wierze. Dwóch żyjących w dramatycznym rozdarciu mężczyzn mogła połączyć głęboka przyjaźń, oparta na zrozumieniu udręki, na jaką byli skazani. Pomijając rysujące się w tle kwestie polityczne, ten wspólny problem stał się doskonałą podstawą zaufania i skłonił do zwierzeń. Dwaj ludzie o dwoistej osobowości, rozdarci, nienawidzeni i kochani ponad miarę, skazani na ukrywanie radości życia intymnego, które było haniebnym w oczach świata. A przede wszystkim - w ich oczach. Ta wizja przesiąknięta była zgnilizną... Tajemnica i

spowiedź. Agent Dziesięciu i kapłan. Dwaj ludzie przekonani o swym potępieniu, o udreće dwulicowości, o przemożnej sile osobowości, o pięknie ideałów, w które wierzyli, a które pozostały nieosiągalne. To nic, że Pietro był gorącym wielbicielem cielesności - dotkliwość psychicznych tortur doznawanych i zadawanych przez tych dwóch ludzi pozostawała dla niego nieprzeniknioną zagadką. Zastaniając czoło dłonią, zaniknął oczy.

Myślał także o liściku, który ktoś wsunął mu pod drzwi. Kim był jego autor? Wprawdzie widniał tam podpis - Wergiliusz, ale jedyny znany Piętrowi Wergiliusz był autorem *Eneidy*, więc samo imię mówiło niewiele. Jednak bez względu na to, czy kryłby się za nim sławetny Il Diavolo, tajemnicza Chimera, Strzyga, o której mówił mu Caffelli, Pietro obawiał się przede wszystkim tego, że faktycznie jest szpiegowany. Czy wieści rozchodziły się aż tak szybko?... A może to inny agent Dziesięciu, także zajmujący się tą sprawą, wsunął tej nocy Menueta Cieni pod drzwi, aby dyskretnie podrzucić mu fragment układanki? Może Rada Dziesięciu prowadziła równoległe śledztwo? Nie wydało mu się to prawdopodobne.

Wergiliusz albo ci, którzy go śledzili, byli zapewne bezpośrednio zamieszani w zabójstwo Marcella. Pietro był coraz mocniej przeświadczony, że zbrodni nie dokonał jeden zabójca i że cała ta scenografia miała głębszy, na razie niepojęty sens. A skoro morderca nie działał sam, to najprawdopodobniej za tą sprawą kryje się jakaś organizacja - być może te tajemnicze Ogniste Ptaki.

Należało jednak zdobyć dowody, jeśli takie istniały. Tymczasem musiał rozwikłać pewną kwestię: pochodzenie odłamków szkła, które tkwiły w oczodołach Marcella i leżały wokół ciała. To pozwoliłoby Piętrowi zdobyć nowe informacje.

\*

Upłynęła niemal godzina, zanim ich łódź zbliżyła się do brzegów Murano. Przewoźnik ostrożnie podpłynął do nabrzeża i dopiero wtedy wynurzyli się z mgły.

\*

W trzynastym wieku Wielka Rada Wenecji postanowiła ze względu na bezpieczeństwo i utrzymanie kontroli skupić szklarzy na wyspie Murano. Cech szklarzy i tak był już bardzo potężny. U schyłku czternastego wieku eksportował swoje wyroby nawet do Londynu, a renesans przyniósł rozkwit handlu. Weneckie szkło osiągnęło doskonałość, z którą równać się mogły tylko nieliczne wyroby sztuki dekoracyjnej. Przedmioty zdobione emalią, o ciepłych barwach, złożone, z portretami współczesnych lub scenkami mitologicznymi, stały się dumą cechu, który tak wspaniale dostosowywał się do ewolucji „dobrego smaku” wielkich dworów europejskich. Potem pojawiły się filigrany z białego szkła wtopionego w szkło przezroczyste i dzięki delikatnym operacjom wijącego się wewnątrz tak, by każda sztuka była niepowtarzalna. Wielu wytwórców pracujących na sposób wenecki otworło wówczas pracownie w sąsiednich krajach. Sekrety laguny, mimo ścisłej kontroli władz, przeciekały na zewnątrz, aż w końcu ogłoszono *Arte Vetraria* Neriego. Księga ta obejmowała wiedzę o sztuce, która rozkwitała od średniowiecza. Soczewki astronomów, narzędzia medyczne, pipety, flakony i alembiki alchemików, binokle, czyli okulary, jakie nosił Brozzi, medyk Criminale, przygotowane specjalnie dla uczonych, a potem także powszechnie dostępne - wszystko to pozwoliło weneckim mistrzom podbić nowe rynki i ogarnąć nowe obszary, wykraczając poza tradycyjne zastosowanie szkła. A ich szkło przejrzystością dorównywało kryształowi górskiemu i rywalizowało z wyrabianym w Czechach, mając



jego wagę, czystość i twardość. Zastąpienie drewna węglem spalonym w piecach skłoniło cechy do rozwijania nowych procesów produkcyjnych. Większa zawartość tlenu ołowiu umożliwiła wytworzenie szkła o niezwyklej czystości, delikatności i blasku, *cristallo*, najlepiej świadczącego o perfekcji wyrobów z laguny. Wenecja pozostała mistrzynią w tej dziedzinie. Tamtejsze zwierciadła, szkło dmuchane, szeroki wachlarz różnorodnych wyrobów, wazonów i naczyń stołowych, figurek i kieliszków do wina, przedmiotów użytkowych i dekoracyjnych - wszystko to uchodziło za niezrównane.

W pracowni Spadettiego, po której kręcił się teraz Pietro w towarzystwie Landretta, można było znaleźć niemal wszystko. Poruszenie, hałas i panujący wewnątrz upał nasuwały skojarzenie z piekielnymi czeluściami, z przedsionkiem jaskini, w której mógłby pojawić się antyczny Wulkan. Praca robotników w ogromnych hałach i warsztatach stanowiła sama w sobie fascynujące widowisko. Ten chthoniczny lud jakby chciał olśnić go widokiem nieprzeliczonych chmur migotliwych trzmieli. Było ich ponad tysiąc - na pół nagich demonów, czasem w przesiąkniętych potem koszulach, pod którymi rysował się każdy mięsień. Dmuchali, nabierali tchu, biegali od stanowiska do stanowiska pośród strzelających w górę iskier, przekazując sztukę, przy której zrobili już swoje, majstrom drobiazgowo kontrolującym jakość. Zapadał wyrok i przedmiot przekazywano do dalszej obróbki lub przetapiano. Zewsząd dobiegał szcęk narzędzi, krystaliczny dźwięk kryształu, huk stale rozpalonej setki pieców, śpiewy i okrzyki mężczyzn. Pośród tego nieustannego zgiełku rodziły się najwspanialsze klejnoty weneckiego szklarstwa, perły czystych wód, wydarte z mrocznej czeluści skorupy.

Cech szklarzy był zorganizowany podobnie jak większość weneckich korporacji - miał swoją siedzibę, *confraternite*, swoją radę i kierownictwo. Zarządca odpowiedzialny za interesy fachu czuwał nad przestrzeganiem statutów, rozwiązywaniem sporów wewnętrznych i przyjmowaniem nowych członków, których wpisywano do *Giustizia vecchia* i stosowną kopię przesyłano władzom miejskim. Majstrowie cechu odbywali zgromadzenia i mogli samodzielnie prowadzić sklepy. Korporacyjna hierarchia była ściśle ustalona: „chłopcem” albo uczniem było się przez pięć do sześciu lat, przez kolejnych dziesięć do dwunastu - „młodszym” albo „robotnikiem”, następnie *maestro* lub *capomaestro*, a to po wykonaniu wyrobu, który oceniali znawcy z cechu.

Nadzór nad korporacjami nie ograniczał się do samodyscypliny i przestrzegania wewnętrznych procedur, ale należał także do Rady Dziesięciu, a cech szklarzy otoczony był szczególną troską. Przed stu laty Colbert wysłał do Murano francuskich szpiegów, którym udało się przekupić robotników z laguny i zdobyć tajne informacje, dzięki czemu we Francji miała powstać konkurencyjna manufaktura zwierciadeł. Szpiegostwo przemysłowe istniało, a kary, jakie za nie groziły, były surowe - od więzienia po wyrok śmierci. Korporacjom nie wolno też było angażować się w działalność polityczną. Doża podejmował ich przedstawiciele cztery razy w roku, podczas uroczystych bankietów w dniu św. Marka, Wniebowstąpienia, św. Wita i św. Szczepana.

Jeden z robotników zaprowadził Pietra i Landretta do Federica Spadettiego, jednego z najbardziej wpływowych mistrzów cechu. Spadetti zamiast kapelusza nosił białą czapkę i poplamioną bawełnianą koszulę. Wyglądał na pięćdziesięciolatka, był smagły, a jego spoconą twarz pokrywały smugi węglowego pyłu. Można by pomyśleć, że to sam Wulkan, gdyby nie brak mitologicznej brody. Trzymając w ręku szczypce, w których tkwiła rozpalona do czerwoności kula szkła, przez moment prezentował swe imponujące bicepsy, wykonując wprawne ruchy nad ogniem, i

dopiero po chwili zareagował na słowa Pietra. Viravolta pokazał dokument sygnowany przez dożę, ale cofnął arkusz sprzed oczu Federica niemal natychmiast, obawiając się, że ten mógłby dotknąć go brudnymi palcami.

- Federico Spadetti? Chciałbym zadać panu kilka pytań. Spadetti westchnął, odłożył szczypce i otarł czoło. Wsparł ręce na biodrach i poprosił o ponowne okazanie dokumentu, najwyraźniej niezadowolony, że przerwano mu pracę. Skrzywił się, a potem powiedział, zrezygnowany:

- Dobrze... Słucham pana.

Gestem wytrawnego magika Pietro podsunął mu chusteczkę z odłamkami szkła znalezioneego u stóp Marcella na scenie teatru San Luca.

- Czy byłby pan w stanie rozpoznać to szkło? Spadetti znowu się skrzywił i pochylając się nad próbkami, podrapał się po brodzie.

- Pozwoli pan...?

Pietro podał mu chustkę. *Capomaestro* wybrał kilka szkiełek i uważnie się im przyjrzał. Potem szacował w dłoni ciężar każdego z nich, a w końcu podszedł do półki, na której ustawiono wzorce różnych wyrobów.

Po chwili wrócił do Viravolty.

- Powiedziałbym, że to *cristallo*. Wskazuje na to czystość ziarenek, ciężar i szlif. Tak, wygląda mi to na kryształ...

- Przypuszczamy, że to szkło pochodzi z pańskiej manufaktury - powiedział Pietro. - Co pan o tym sądzi?

Spadetti spojrział na niego, mrużąc oczy. Po chwili milczenia odparł:

- Możliwe, *Messer*, ale nie ja jeden wyrabiam szkło, na pewno pan o tym wie. Wobec braku oznaczeń nie wiem, jak na podstawie takich drobin można...

- Oczywiście - przyznał Pietro. - Lecz czy to nie pańska specjalność, czy nie jest pan największym wytwórcą *cristallo*? *Messer* Spadetti, czy mógłby pan ustalić, jakiego wyrobu są to okruchy?

Spadetti, wciąż pochylony nad chusteczką, miał chyba ochotę po prostu jej użyć, bo coraz mocniej pociągał nosem. Odwrócił głowę, kichnął, westchnął zniecierpliwiony, potem mlasnął i powiedział:

- Hm... Na pewno nie był to wyrób dekoracyjny, w każdym razie ja tak sądzę, *Messer*. Szkło nie jest barwione, brak staranniejszych szlifów. To mogło być wszystko - szklanka, kieliszek, wazon, figurka...

Pietro podszedł do stojącej nieco dalej gabloty z różnymi wyrobami manufaktury. Milczał. Potem sięgnął po jedną z rzeczy i podsunął ją pod nos Spadettiego.

- To mogło być na przykład to?

Trzymał w ręku elegancki szklany sztylet z rękojeścią z masy perłowej, po której wąż wił się wokół trupiej czaszki.

- Tak... Owszem, dlaczego nie - odparł Spadetti. - *Messer*, proszę mi powiedzieć, czego właściwie pan szuka?

Stał przed Piętem w lekkim rozkroku.

- Mogę otrzymać taki drobiazg?
- Oczywiście. Kosztuje dwa dukaty - uśmiechnął się majster.
- Widzę, że nie brak panu tupetu, nawet w obliczu Rady Dziesięciu.
- Zwłaszcza w obliczu Dziesięciu - mruknął *capomaestro*.

Pietro uśmiechnął się, sięgnął po sakiewkę, otworzył ją i podał Spadettiemu dwa dukaty, w zamian otrzymując sztylet.

- Przyjacielu, czy słyszał pan kiedyś o Strzygach?
- O czym? Pietro chrząknął:
- O Strzygach, Ognistych Ptakach?

I przez chwilę wpatrywał się w Spadettiego, ale ten tylko zerknął na niego spode łba.

- Nie.
- Cóż... trudno. Teraz przynajmniej wszystko jest jasne. Czarna Orchidea znów odszedł na chwilę, snuł się po manufakturze, przyglądał stanowiskom pracy, pogwizdywał.
- Nie chciałbym być nieuprzejmy, *Messer*, ale czy to już wszystko? Mam dużo pracy.

Pietro zatrzymał się nagle przed pewnym przepięknym wyrobem, nad którym pracował młody mężczyzna. Była to doprawdy niezwykła rzecz - suknia wykonana w całości ze szkła i ułożona na drewnianym manekinie jak prawdziwa. Ta suknia była oszałamiająca. Wykończona kołnierzykiem ze szklanej koronki, składała się z kryształowych płatków, przetykanych przezroczystymi arabeskami, które mieniły się w świetle mnogością barw, opinała biust, brzuch i opadała drapowanymi fałdami pośród falbanek i opalizujących koronek. Kryształowa suknia! W talii pasek spinała klamra w kształcie gwiazdy z drobnych perełek. Pietro gwizdnął z podziwu.

- Cudowne, *maestro*...

Spadetti podszedł, spoglądając na niego z dumą. Odprężył się nieco i odpowiedział zyczliwym tonem.

- To arcydzieło przygotowuje mój syn, Tazzio - wyjaśnił, wskazując młodzieńca, klęczącego o dwa kroki dalej. - Wkrótce przejmie po mnie manufakturę. Ale najpierw musi także zostać mistrzem... Ten drobiazg jest rzeczywiście unikalny. W tym roku cech organizuje konkurs pomiędzy naszymi pracownikami. Sam doża wręczy zwycięzcy nagrodę w dniu Wniebowstąpienia, w najgorętszym okresie karnawału. Z tą suknią... mamy ogromne szanse. A mój Tazzio jest zakochany w ślicznej Severinie, *Messer!* Powiada, że jej uroda daje mu inspirację do tej pracy. Cóż może być lepszą podniecią niż miłość?

Spadetti z ojcowską czułością pogładził jasne włosy Tazzia, który na chwilę uniósł anielską twarz, uśmiechając się do Viravolty i witając go w milczeniu.

- Moje gratulacje - powiedział Pietro. - To prawdziwa perła... Naprawdę niezwykle piękna. Ale jak to możliwe, że wystawiacie ją na spojrzenia wszystkich? Te słowa wywołały uśmiech na twarzy mistrza.

- Wszystko, co tu robimy, jest bardzo rzadkie, *Messer*. I wbrew pańskim obawom, dobrze, jeśli wszyscy wiedzą, co przygotowujemy. Nasze pracownice żyją w przyjaźni, choć rywalizują ze sobą. Powiedzmy, że ta suknia to sposób...

Szukał właściwego słowa.

- Pokazania, kto tu jest mistrzem, tak? - rzucił Pietro, ścisząc głos. - Sądzi pan, że taką suknię dałoby się nosić?

Spadetti spojrział na niego, uśmiechając się ironicznie i wyrozumiale zarazem.

- W tym cała sztuka.

Pietro zerkał to na suknię, to na majstra. Takie wyścigi rzemieślników odbywały się nie tylko w cechu szklarzy. Każda korporacja w ten sposób spełniała swe ambicje. W San Giovanni, kościele kupców z Rialto, związek cechów od dawna prowadził swoiste zawody malarskie; siła każdego z nich wyrażała się wysokością datków i dzieł... Miało to zresztą swoisty urok, a kryształowa suknia stanowiła doskonały dowód, że tak właśnie jest. W końcu Pietro kaszlnął i powiedział:

- Federico, czy mógłbym rzucić okiem na księgę zamówień? Z pewnością prowadzi pan jakiś rejestr?

Spadetti znów wyglądał na spiętego. Nieufnie spojrział na Pietra. Wahał się... W końcu skapitulował.

- *Messer*, czy zdaje pan sobie sprawę, ile towarów opuszcza tę manufakturę w ciągu każdego miesiąca? Około trzech tysięcy sztuk szkła. Sprzedają je w całej Europie. Oczywiście, że mam rejestry. Wielką Księgę. Chodźmy do biura, tam będzie nam wygodniej. Mężczyźni znaleźli się z dala od zgiełku, w małej izdebce *capomaestro*. Pietro wyprawił Landretta do Brozziego, by ten jak najszybciej obejrzał sztylet. Lokaj miał też uzyskać od medyka najświeższe wiadomości. Być może Quarantia wpadła na jakiś trop. Spadetti położył na zakurczonym biurku opasłą księgę i otworzył ją. Viravolta usiadł i długo przeglądał rejestr, natomiast Spadetti wrócił do swoich zajęć. Pietro analizował każde z zamówień i wypisywał na luźnych kartkach wszystkie te, które dotyczyły sztyletów lub były z jakiegoś względu nietypowe. Zwracał uwagę na dziwne upodobania lub niepewną tożsamość składającego zamówienie. Kiedy jednak po dwóch godzinach niewiele zdziałał, zaczął się zastanawiać, czy nie traci czasu na próżno. Myszując po biurze, znalazł dwie inne zakurzone księgi, leżące pod zamówieniami.

- No proszę...

I znów podjął poszukiwania. Minęło jeszcze pół godziny i nagle Viravolta krzyknął. Trzymając pod pachą interesującą go księgę, ruszył na poszukiwanie *capomaestro*. Zastał go przy piecu, w pobliżu syna i kryształowego cudu.

- *Messer* Spadetti!... Kto to taki? Ten „Minos”... Spadetti zerknął do księgi. Przez chwilę mrugał oczyma.

- A skąd miałbym wiedzieć? To było ponad pół roku temu!

- Znalazłem dwie księgi, których mi pan nie pokazał.

- Bo są nieistotne. Pietro uniósł brew.

- Nie byłbym taki pewien. To pan dokonuje wpisów, tak? Nie potrafi pan nic powiedzieć o tym klientcie? Nie zna go pan?

- Nie, *Messer*. Zresztą na ogół spotykam się tu z pośrednikami. Czasem wyręcza mnie Tazzio. Gdybym musiał pamiętać wszystkich nabywców, rzuciłbym się chyba do laguny.

- Tak... - mruknął bez przekonania Pietro. - Mimo to proszę spojrzeć. Jeżeli wierzyć adnotacji dotyczącej wagi, chodzi o produkcję szkielek. Szkieleki powiększających. Tak jest tu napisane.

- Szkła... Tak, być może. To prawdopodobne.

- Prawdopodobne! Szkła do binokli! - wściekł się Pietro. - Za dwanaście tysięcy dukatów! Mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Taką ilością szkła można pokryć całą lagunę, więc nie musi się pan w niej topić! I proszę mi nie wmawiać, że nie pamięta pan takich zamówień!

Czy Spadetti irytował się tylko dlatego, że przeszkadzano mu w pracy, czy może czuł się teraz bardzo niepewnie?

- Komu, u diabła, potrzebne są setki, a nawet tysiące takich szkieł? - zapytał Pietro.

Spadetti uśmiechnął się z zakłopotaniem i zdjął czapeczkę z głowy.

- Rzeczywiście, to było niezwykle zamówienie... Czasami zdarza mi się przyjmować zlecenia bezpośrednio od wysłanników dworów królewskich albo rządów. A skoro już o tym mówimy, to przyznam, że nie zdziwiłbym się, gdyby...

- A ten Minos... czy i on mógł być przedstawicielem jakiegoś dworu lub rządu, jak pan sugeruje?

- Być może, *Messer*. Tak, przypominam sobie... To pośrednik, z którym zatwierdziłem sprawę. Nie można wybrzydzać, kiedy ktoś składa takie zamówienie. Byle tylko dukaty sypnęły się do mojej kasy i do kasy cechu...

Zerknął na Pietra. Znow był pewnym siebie, twardym człowiekiem.

- Jeżeli któraś z koronowanych głów pragnie wyłożyć pałac szkłem, to jej sprawa, *Messer*. Mnie nic do tego. A moi uczniowie wykonają każdą pracę, jaką im zlecę.

Pietro przez chwilę obserwował majstra, wahając się.

- Czy jest jakiś sposób, żeby ustalić nazwisko i pochodzenie tego zleceniodawcy?

- Gdzieś powinien leżeć dowód zapłaty... - Przerwał. - Chce pan, żebym go odnalazł, tak...

Pietro skinął głową.

- I może spróbuje pan podejść do sprawy z odrobiną uśmiechu, *Messer Spadetti*. Dobrze by było, gdyby wykazał pan wolę współpracy.

Spadetti westchnął. Zbyt dobrze wiedział jednak, kto stoi za Pięciem - Rada Dziesięciu. W końcu więc klepnął dłońmi o kolana i wstał.

- W porządku, już idę! Idę...

Powłócząc nogami, ruszył w stronę biura. Na szczęście poszukiwania nie trwały długo. Spadetti wydawał się jednak coraz bardziej zakłopotany. Dokument, który wręczył Viravolcie, był opatrzony nieczytelnym podpisem. Bez pieczęci, bez żadnych danych. Pietro zaklął.

- *Messer Spadetti*, czy pan ze mnie drwi? Wydaje mi się, że ma pan dość dziwny sposób prowadzenia dokumentacji...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo nagle do biura wpadł jeden z robotników.

- *Messer*, to pan jest wysłannikiem Rady Dziesięciu?

Pietro zwrócił na niego oczy. Robotnik, zaledwie dwudziestoletni *giovane*, był wyraźnie przerażony. Zziębnięty, oparł rękę na kolanie.

- Tak, to ja. Co się stało?

- Mam dla pana wiadomość od pańskiego lokaja i od jednego z ludzi Quarantia Criminale...

- Opanuj się, młody człowieku. Co się stało? Chłopak wyprostował się i rzucił:

- Wydarzyło się coś potwornego.

\* \* \*

Gdy Pietro siedział w biurze Spadettiego, nad Wenecją gromadziły się czarne chmury. Rozpętała się wyjątkowo gwałtowna burza. Wody laguny szalały. Niewiele brakowało, żeby Pietro nie dotarł do celu, a jednak na dziedzińcu kościoła San Giorgio Maggiore ujrzał około stu osób, które stały w strugach deszczu. Ludzie patrzyli na siebie z przerażeniem, zakrywali usta dłońią, kładli rękę na sercu, drugą wznosząc ku niebu. Pietro słyszał zewsząd pełne grozy okrzyki. Z trudem przebijał się przez tłum, a jego głos niknął, zagłuszany przez wicher i ulewę, toteż musiał rozpychać się łokciami, aby dotrzeć do Antonia Brozziego i Landretta. Niemal wrzasnął Brozziemu do ucha:

- Co tu się stało?

Lekarz Quarantia Criminale bez słowa zwrócił oczy w górę, dając mu do zrozumienia, by uczynił to samo. Zresztą wszyscy tu stali z głowami zadartymi ku wieży wznoszącej się nad frontem. W pierwszej chwili przemoknięty Pietro nie mógł w tych strugach deszczu odgadnąć, o co chodzi. I nagle przetoczył się głuchy grzmot, niebo zapłonęło, rozdarte błyskawicami. Viravolta znowu spojrzał na Landretta i zaniemówił, wstrząśnięty makabrycznym widokiem. Właśnie dostrzegł sylwetkę człowieka, która kręciła się jak figurka z oszalałej pozytywki, targana przez wicher. Ta postać zwiisała na sznurze ze szczytu kościoła, przysłaniając biały posąg nad kapitelem. Wyżej rozkołysały się dzwony, których przejmujące bicie przyprawiało Viravoltę o ból głowy. Trup wciąż się kołysał, jego kończyny zwiisały bezwładnie. Piorun musiał trafić nieszczęśnika przynajmniej raz, bo ciało było zwęglone i teraz, jeszcze dymiąc, miotano się, wydane na gniew boży, przytłoczone przez ciężkie chmury, bezbronne w szponach burzy. Ten przejmujący obraz zdawał się wizją z piekielnych czeluści. Podarty przyodziewek zwiisał w strzępach wokół nieboszczyka, przydając mu patosu. Dwóch ludzi weszło już na wieżę, by spróbować odzepić tę potworną ludzką kukłę. Dostali się tam przez kościół, używając lin, a teraz balansowali na śliskich kamieniach. Starając się zapewnić sobie oparcie, wyciągnęli ręce ku zwłokom. Tymczasem poruszenie na dole narastało.

- To Caffelli - powiedział Landretto. - Spowiednik Marcella. Powiesili go tutaj... na wieży jego własnego kościoła!

\*

Kiedy wreszcie udało się odzepić zwłoki księdza, spuszczone je na długich linach na dziedziniec. Oficerowie Quarantia Criminale z trudem torowali Brozziemu, Viravoltcie i Landrettowi drogę do kościoła San Giorgio. Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się przed nimi. W świątyni panował mrok, toteż najpierw zapalono świece. Oświetlono ołtarz, by złożyć na nim ciało Caffellego. Zaraz potem Viravolta odszedł ze świętego miejsca, a Brozzi podwinął rękawy. Jego torba, ociekająca teraz wodą, stała tuż przy nim. Pietro nie wierzył własnym oczom. Widząc Brozziego przed ołtarzem, nad zwłokami, w pozie odprawiającego nabożeństwo kapłana, po prostu oniemiał. Fresk za plecami medyka Quarantii - *Zdjęcie z Krzyża* - dodatkowo nasilił jego wzburzenie. Viravolta przycisnął dłoń do ust, potem zmarszczył brwi i zaklął.

*Zdjęcie z Krzyża...*

Krople wody wciąż jeszcze ściekały z runda jego kapelusza. Zdjął go i wszedł po schodach wiodących do ołtarza.

- Zaraz się przekonamy, czy zdołam coś tu ustalić już teraz - powiedział Brozzi. - Ofiara została trafiona przez piorun. - Medyk dotykał pęsetą kończyn zmarłego; w pewnym momencie płat skóry oderwał się od ciała. - Dwie trzecie skóry uległo zwęgleniu, włosy są spalone. Owłosienie górnych kończyn wydaje się... Viravolta, pański lokaj nie ma nic do roboty? W mojej torbie są papier i atrament, może mógłby notować moje spostrzeżenia? Ułatwiłoby mi to pracę i pomogło w sporządzeniu ostatecznego raportu. Chyba umie pisać?

Landretto spojrzał pytająco na swego chlebobawcę. Pietro skinął tylko głową i chłopak podszedł do ołtarza, sięgnął do torby Brozziego i wyjął z niej potrzebne przybory. Już po chwili z wielką pieczołowitością zapisywał to, co dyktował mu medyk. Pietro słuchał jednym uchem, zafascynowany *Zdjęciem z Krzyża*. Malarz ukazał na nim Matkę Boską, Marię Magdalenę i Józefa z Arymatei, zbierającego krople krwi Chrystusa. Na drugim planie stali rzymscy legionieści. Niebo rozdzierały błyskawice - wyraz gniewu Bożego. Żalobny lament Golgoty. Pod freskiem znajdowało się tabernakulum. Pietro podszedł bliżej. Zadziwiające, jak bardzo morderca lubował się w biblijnych metaforach. Związek między śmiercią Marcella na Przeklętym Drzewie a śmiercią Caffellego na szczycie San Giorgio był oczywisty.

- Kapłan - mówił Brozzi - został związany sznurami, ślady są widoczne na szyi, klatce piersiowej, rękach, kolanach i kostkach. Chwileczkę, przyjrzyjmy się temu... Uraz karku i pęknięcie czaszki nasuwają przypuszczenie, że przed wyrzuceniem na fronton San Giorgio zabójca ogłuszył ofiarę. Pietro, nie wierzę, by coś takiego mógł zrobić jeden człowiek. CarTelli z pewnością... ocknął się, gdy już tam był, wystawiony na widok publiczny, wysoko...

Czy Chimera władał siłami natury i wiedział, że piorun trafi w wieżę i w ten sposób dopełni dzieła? Czy w tym tkwiła moc Il Diavolo? Czy wróg, kimkolwiek był, rozpętał burzę i huragan nad Wenecją? Pietro nie mógł uwolnić się od wrażenia, że ociera się o czary.

- Mamy tu coś jeszcze... - ciągnął Brozzi.

Zdjął binokle i przetarł je, wstrzymując oddech. Kiedy usunął szczątki odzieży, odkrył jeszcze jedną ranę o zwęglonych brzegach.

- Został wykastrowany. Głęboko odetchnął i założył okulary.

- Musiał się już bardzo mocno wykrwawić. Nie odarto go z przyodziewku. Miał na sobie albę, chociaż teraz niewiele z niej zostało.

Pietro wodził palcami po *Zdjęciu z Krzyża*, zapatrzony w obraz. Bo wbrew temu, co mu się wydawało, nie był to fresk, ale właśnie obraz. Nagle Viravolte uderzyła lekka różnica barw między bieloną wapnem ścianą a miejscem, w którym - teraz był tego absolutnie pewien - powinien wisieć ten obraz. Niewątpliwie przeniesiono go niedawno. Ramy tworzyły dziwny kąt - obraz wydawał się jakby krzywy... Pietro powiódł ręką po ramie, potem po ścianie. Rozłożył ręce, ugiął nogi i uniósł obraz. Landretto zauważył, że się chwieje, więc natychmiast odłożył pióro, by pospieszyć mu z pomocą. Zdumiony Brozzi patrzył, jak razem zdejmują malowidło ze ściany. Mimo to lekarz nie przerywał pracy. Pietro wraz z Landrettem odłożyli obraz nieco dalej, a potem zwrócili oczy na ścianę. W miejscu, które właśnie odsłanili, widniało poprzeczne pęknięcie, jakby przypadkowa szczelina, a...

Brozzi wciąż mówił, ale Viravolta nawet go nie słyszał.

*Miseria.*

Powoli cofnął się o kilka kroków.

Kiedy stanął obok lekarza, ten, zaniepokojony kamienną ciszą, która zapanowała w kościele, zdjął okulary i także spojrzął na ścianę.

*La bufera inferno!, che mai non resta,*

*Mena li spiriti con la sua rapina;*

*Voltando e percotendo li molesta.*

*Piekielny orkan puszczony ze smyczy,*

*Dusze w gwałtownym ponosi upuście,*

*Szarpie i kole, i ościeniem ćwicz.*

A nieco dalej:

*Vexilla regis prodeunt inferni.*

To była nowa zagadka, nie wycięta nożem na ludzkim ciele, jak w przypadku Marcella, ale wypisana na murze.

- Krwawa inskrypcja - szepnął Pietro.

Oslupiały, zwrócił spojrzenie na Brozziego.

Ręka medyka Quarantii opadła na zwłoki.

*Zbliżają się sztandary króla piekieł.*

## PIEŚŃ VI

### **Piekielny huragan**

#### PROBLEM ZŁA

Andreas Vicario, członek Wielkiej Rady

*O Grzechu i Karze Bożej - Zło i Władza (rozdział IV)*

*...Z judeochrześcijaństwa wynika, iż gmach, na którym się opiera, zasadza się wyłącznie na świadomości grzechu, metaforyczne przeniesienie winy w grzechu pierwotnym stanowi kamień węgielny cywilizacji. W tej sytuacji sekty heretyków mogą obrać tylko jedną z dwóch dróg - odrzucić winę w całości, niszcząc zarazem fundamenty moralności, albo uznać za niepełną i głosić powrót do przesłania religii, wyznaczając surowe reguły życia „czystych”. Bez względu na to, jaką obiorą drogę, triumfuje grzech, o sprawowaniu władzy duchowej rozstrzyga odrzucenie kary lub straszenie nią, a ziemią znów rządzi Lucyfer. Tam, gdzie panuje terror, jest także władza i dlatego, paradoksalnie, Zło stanowi główne narzędzie dominacji religii oficjalnych. Dlatego też na całym świecie imperia budują*



*swą potęgę na przemoc i dlatego problem zła jest kwestią polityczną, a nam wskazuje, że na tym świecie zwycięstwo należy do Szatana.*

- Morderca albo mordercy działali bardzo szybko - stwierdził Pietro. - Szybko, a jednak dość skutecznie, trzeba im to przyznać.

Zdruzgotany Książę Serenissimo stracił właściwy sobie spokój.

Pietro, Emilio Vindicati i Antonio Brozzi siedzieli naprzeciw niego w Sali Kolegium. Nad miastem wciąż przetaczała się burza, więc rozpalono wszystkie żyrandole. Brozzi od czasu do czasu spoglądał na freski zdobiące plafon.

Najwyraźniej wolałby być teraz gdzie indziej. Takie napięcia nie służyły jego sercu.

- To niemożliwe, niemożliwe! - powtarzał Francesco Loredan.

Doża kiwał i kręcił głową. W końcu uderzył pięścią w oparcie tronu.

- O ile okoliczności śmierci Marcella Torretone można było zataić przed ludnością, o tyle tym razem szczegóły zna cała Wenecja! Nie unikniemy rozpatrywania tej sprawy przez Wielką Radę, Emilio. Zarówno pan, jak przedstawiciele Quarantia Criminale zostaniecie wezwani do złożenia wyjaśnień co do charakteru i przebiegu śledztwa! Musi się pan przygotować... Nie dziwiłbym się zresztą, gdyby to zabójstwo popełniono w biały dzień, aby nas zmusić do włączenia Wielkiej Rady w tę sprawę! Być może przyjdzie nam żeglować po wzburzonych wodach, raz jeszcze lawirując między naszymi drobnymi tajemnicami a dyskusją publiczną! Jeżeli zależy nam na postępach tajnego śledztwa Viravolty, Rada i Quarantia muszą przemilczeć pewne kwestie. Jednak to wszystko wcale mi się nie podoba, Emilio! Stawiacie mnie w wyjątkowo trudnej sytuacji! Musimy mieć jakieś wyniki, Wielka Rada nie jest zgromadzeniem głupców, zorientuje się, że knujemy coś za jej plecami. A co dotąd mamy? Głos zabrał Pietro:

- Trop Menueta Cieni nigdzie nas nie doprowadzi. Muszę przyznać, że zastanawiałem się nawet, czy ten Wergiliusz nie jest emisariuszem Emilia, ten jednak zapewnił mnie, że nikogo nie wysłał. A zatem istnieje związek między zabójstwem Marcella i księdza a tą, oględnie mówiąc, żenującą sceną, którą ujrzałem, kierując się wskazówkami autora listu w casa Contarinich. Jeżeli Marcello i Caffelli byli kochankami, a tak właśnie sądzę, to obaj stanowili realne zagrożenie dla tego czy tych, których szukamy. Najbardziej jednak niepokoi mnie to, że ktoś już wie o mojej misji! Kiedy bowiem zmierzałem do Murano, odniosłem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Ksiądz powiedział: „Wróg jest wszędzie”. A jeśli żaden z nas się nie zdradził - proszę wybaczyć, ale rozważam wszystkie hipotezy - może uczynił to przed śmiercią sam Caffelli albo ktoś z trupy San Luca, nieco bardziej domyślny od reszty... W grę wchodzi także Luciana Saliestri, której broszkę znaleźliśmy na scenie.

- Ksiądz z San Giorgio... - szepnął doża. - Chodząca dobroć! Cóż za tragedia dla jego poczciwych parafian...

- Przyznaję, że w tej sytuacji nasze śledztwo szybko przestanie być tajemnicą - podjął Pietro. - Zgadza się z Waszą Wysokością: ten „ktoś” chce nas zmusić do jawnego działania, do rozgrzebywania wszystkich skandali. Chce postawić nas w kłopotliwej sytuacji. Działa przebiegle, a zasadzka, w którą daliśmy się wciągnąć, ma charakter polityczny... W połączeniu z dramatyczną wymową tych spektakularnych morderstw umacnia to tylko podejrzenia Emilia, że mamy do czynienia

ze sprytnym graczem, doskonale poinformowanym o najskrytszych nawykach tych, których zdręczył. Może któryś z naszych patrycjuszy albo ktoś obcy, Wasza Wysokość, posłużył się zwykłymi zbirami. To się już zdarzało.

- Ktoś, ktoś! Ale kto? - pytał z niepokojem doża. - Szlachetnie urodzony Wenecjanin, szpieg obcego państwa, ambasador wrogiego kraju? Ten Minos, na którego ślad natrafiłeś pan w księgach zamówień manufaktury szkła, a który ponoć drwi sobie z nas, wywożąc z Murano statki pełne soczewek do binokli, podczas gdy my nie mamy pojęcia, do czego zamierza je wykorzystać? To nie ma sensu... Na czym właściwie mu zależy, mości Viravolta?

- Może chce sprawić, żeby Republika zadrżała, żeby jej instytucje były sparaliżowane... Sam nie wiem. Przyznaję, że Marcello i Caffelli *a priori* nie stanowili celu politycznego, ale Marcello pracował dla Dziesięciu i podobnie jak ksiądz - za dużo wiedział. To przynajmniej jest oczywiste.

Doża otarł czoło dłonią, poprawił czepiec i nie do końca przekonany, wstał. Podszedł do okien. Deszcz, który znów lunął, bębnił w szyby, pozostawiając na nich strugi i drobniutkie krople, za którymi niknęła szara laguna.

Kiedy Loredan się odwrócił, niebo rozdarła błyskawica.

- Zgnilizna przykryta boazerią! Grzech! Rozkład! Co kryje się w ludzkich duszach? Boże... Nie, tak nie może być, za wolno działamy.

Vindicati uniósł brwi i wyciągnął rękę.

- Rozważmy sprawę spokojnie, Wasza Wysokość, nie ulegajmy emocjom wobec tych wyrafinowanych zbrodni, nie przypisujemy przeciwnikowi sprytu i przebiegłości ponad miarę. Nie oznacza to, bym lekceważył zagrożenie. Wysłałem już kilku agentów, aby zbadali księgi u Spadettiego i w cechu. Wszyscy są przesłuchiwani, poczynając od Spadettiego, który twierdzi, że nie wie nic więcej. Zagroziliśmy mu, ale milczy jak grób. Nie mamy dowodów na jego związek ze sprawą. Mistrz nie zaprzecza, by zamówienie zostało złożone, upiera się jednak, że do ksiąg zakradł się błąd, czego szczerze żałuje. Oczywiście, wygodnie mu zasłaniać się niepamięcią. Kłopot w tym, że nie mając dokładnych informacji na temat tajemniczego nabywcy tych szkieł, nie mogę przetrzymać go w nieskończoność, przerywając pracę jego manufaktury. Cały cech jest poruszony, mówi się o wstrzymaniu produkcji... Dziwi mnie tylko, że nasza droga Rada Dziesięciu nie zareagowała wcześniej na takie wpisy w księgach *capomaestro* - to kolejny błąd, którego nie potrafię sobie wyjaśnić. Musimy zwolnić Spadettiego, ale nie spuszczać go z oka. Trzeba go śledzić, próbować nakłonić do mówienia, ale nie wiem, czy i kiedy coś tu wskóramy. Najpierw musimy wyjaśnić, czym lub kim są Ogniste Ptaki i co oznaczają te rzekomo biblijne inskrypcje na ciele Marcella i pod obrazem w San Giorgio.

- Tak... - wtrącił Viravolta. - Mnie zaś najbardziej intryguje broszka Luciany Saliestri i bliskie kontakty kurtyzany z senatorem Giovannim Campionim. Na razie dostrzegam tu jedyny trop, który da się podjąć. Muszę pomówić z Campionim, oznacza to jednak, że wtajemniczę w naszą sprawę jednego z senatorów mającego bardzo silną pozycję w Wielkiej Radzie. Wasza Wysokość, potrzebuję pańskiej pomocy lub pośrednictwa Emilia, aby przygotować grunt. Musimy także uzgodnić, jaką przyjmujemy strategię. Campioni jest głównym podejrzanym, choć nie ukrywam, że to wszystko wydaje mi się... zbyt oczywiste.

- Z pewnością - przyznał Brozzi. - Wygląda to tak, jakby ktoś starał się doprowadzić nas wprost do niego. Złota broszka, którą znaleźliśmy w San Luca, mogła zostać celowo rzucona w pobliżu zwłok Marcella. To może być tylko podstęp. Skoro jednak wszystkie tropy wiodą do senatora Campioniego, należy z nim pomówić. Zobaczymy, co Pietro zdoła z niego wyciągnąć.

Zapadła cisza, której nie mąciło nic poza dzwonieniem deszczu o szyby.

W końcu Francesco Loredan głęboko westchnął i powiedział:

- Zgoda. Zajmijmy się nim.

\* \* \*

Broglio u stóp Pałacu Dożów to jedno z najciekawszych miejsc w Wenecji - nazwę wzięło od dawnego warzywnika, nieopodal Piazzetty, i zarówno Wenecjanie, jak i podróżni często zatrzymywali się tu, zafascynowani. Szlachetnie urodzeni spotykali się w tym miejscu codziennie, by rozprawić o najnowszych wydarzeniach życia publicznego. Broglio pełniło więc w mieście funkcje polityczne - każdy szlachcic, który ukończył dwadzieścia pięć lat i zyskiwał prawo udziału w Wielkiej Radzie, tu po raz pierwszy „przywdziewał szatę”, oficjalnie potwierdzając swój status. Ale Broglio było też zakątkiem, gdzie zawiązała się niejedna intryga. Przydawało to pikanterii temu miejscu, po którym Pietro przechadzał się teraz z rękami splecionymi na plecach, rozmawiając z Jego Ekscelencją Giovannim Campionim - otóż na płaskich kamieniach, wzdłuż alejek, wypisano najcięższe zbrodnie zdrajców Ojczyzny i kary, jakie ponieśli. Nad głowami mężczyzn niebo, choć jeszcze nie całkiem pogodne, było już znacznie przychylniejsze ludziom, a blade promienie słońca przedzierały się przez chmury i przyświecały im podczas przechadzki po ogrodzie. Wokół unosiła się charakterystyczna woń przyrody, która odzyskuje spokój po ulewie.

- A zatem - powiedział senator - to pan jest Czarną Orchideą! Słyszałem o panu... Opowieści o pańskich wybrykach już dawno dotarły do Wielkiej Rady i Senatu... Wielu zastanawiało się, i nadal się zastanawia, po której stronie pan stoi... Czy senator Ottavio wie o pańskim uwolnieniu?

- Nie mam pojęcia... Ale sądzę, że nie. I tak jest lepiej. Viravolta zamilkł na chwilę, by rzucić:

- Wydaje mi się jednak, że mamy teraz pilniejsze sprawy.

- Z pewnością... Campioni westchnął.

- Marcello Torretone, ojciec Caffelli... I Dziesięciu, podobnie jak Criminale, uważa, że między tymi dwoma wydarzeniami istnieje związek?

Giovanni Campioni dobiegał sześćdziesiątki. Nosił strój senatora, czarny, podszyty gronostajami, z pasem nabijanym srebrem i zakończonym srebrną klamrą. Na głowie miał ciemną czapkę zwaną *beretta*. Szedł obok Pietra, wspierając się laską. Zmarszczył brwi. W pewnej chwili Viravolta przystanął i spojrzał na niego.

- Widział się pan ostatnio z Luciana Saliestri? Campioni zatrzymał się w pół kroku, ostupiały. Znaleźli się właśnie przy wysokim klombie kwiatów, których żywe kolory kontrastowały z surowością i powagą patrycjusza.

- To znaczy... jak by to powiedzieć...

- Ekscelencjo, proszę mi darować pytanie, wkrótce jednak zrozumie pan, dlaczego jest ono ważne dla śledztwa, które prowadzę. Jakiś czas temu podarował pan Lucianie złotą broszkę z inicjałami L i S obok dwóch szpad i róży wysadzonej perłami, prawda?

Campioni nie potrafił ukryć zdumienia.

- Tak, przyznaję, że dokładnie ją pan opisał! Chciałbym jednak wiedzieć, co upoważnia pana...

- Kiedy po raz ostatni widział pan tę broszkę u Luciany?

- Przed dwoma tygodniami, ale...

- ...A potem już nie?

- Nie. Powie mi pan w końcu, jaki związek ma ten drobiazg z ponurymi zbrodniami, o których zaczął pan mówić?

- Ekszelencjo, tę broszkę odnaleziono u stóp Marcella Torretone w teatrze San Luca. Luciana ukrywała przed panem, że kilka dni wcześniej skradziono jej ten klejnot. Twierdzi, że nie wie, kto mógł to zrobić.

Campioni uniósł głowę i wydał usta. Jego ręka nerwowo wędrowała po gałce laski.

- A zatem dlatego Rada Dziesięciu chciała, bym się z panem spotkał.

- Właśnie dlatego. Ekszelencjo... czy pan wie, że Luciana była także kochanką Marcella?

Campioni skinął głową. Coraz trudniej było mu teraz zachować spokój.

- Jakże mógłbym nie wiedzieć? Cała Wenecja o tym wiedziała. Ale widzi pan... w życiu Luciany jest wielu mężczyzn.

Pietro zauważył, że gdy senator wypowiadał te słowa, jego głos zniżył się aż do szeptu. Ten człowiek był zakochany, to po prostu rzucało się w oczy, a świadomość, że kurtyzana przyjmowała do łóża innych mężczyzn, przyprawiała go o cierpienie. Zmarszczył brwi, z trudem ukrywając ból.

- Tak, kocham ją - Campioni zacisnął pięść, czyniąc to wyznanie, jakby czytał w myślach Pietra. - Kocham ją już od dziesięciu lat. Śmieszne, nie sądzi pan? Żeby ktoś taki jak ja drżał na samą myśl, że weźmie w ramiona zwykłą kurtyzanę, taką młodą, przywykłą do arkad Prokuracji... Zdaję sobie z tego sprawę. I coś takiego odciąga mnie od spraw Republiki! Cóż, ta kobieta jest dla mnie jak narkotyk, jak ulubiona przyprawa. Nie potrafię bez niej żyć. Nie chcę nawet myśleć o tym, że mógłbym kiedyś ją stracić, a mimo to jest moją hańbą. Należy do tych, które rzucają czar, mącą zmysły i usidlają jak sieci Diany... Tak, to modliszka! Uwielbiana i niebezpieczna. Boże! Ale i pan z pewnością tego zaznał?

Twarz Anny Santamarii, Czarnej Wdowy, stanęła przed oczyma Pietra.

Odpowiedział wymijająco.

- Proszę się nie martwić, Ekszelencjo - rzekł, idąc. - Odrobina szczeroci jest dla mnie ostatnimi czasy miłą odmianą.

Milczeli przez chwilę. Po czym Campioni podjął:

- Cóż mógłbym powiedzieć o tej broszce, skoro ktoś ją ukradł? Chyba pan nie przypuszcza, że mógłbym być w jakikolwiek sposób zamieszany w te potworne zbrodnie!

Pietro uśmiechnął się.

- Och! Podobna myśl nawet nie zaświtała mi w głowie, Ekszelencjo!

Wydawało się, że ta odpowiedź uspokoiła Campioniego. Jego oddech, przed chwilą nieco przyspieszony, stał się bardziej miarowy. Ale Pietro zadał mu dopiero najłatwiejsze pytanie. Teraz gorączkowo szperał w kieszeni, by wyjąć z niej dwa kawałki papieru. Podał je patrycjuszowi.

- Jedną z tych inskrypcji ujrzeliśmy na ciele Marcella Torretone, drugą w kościele San Giorgio Maggiore. Czy z czymś się panu kojarzą?

Campioni rozłożył kartki i przeczytał:

*Krótko przed moim rozstaniem z ziemiany  
Mocarz tu zstąpił niebiańskiego lica,  
Znakiem zwycięstwa ukoronowany.*

*Piekielny orkan, puszczony ze smyczy,  
Dusze w gwałtownym ponosi upuście,  
Szarpie i kole, i ościeniem ćwiczcy.  
Vexilla regis prodeunt inferni.*

- Cóż - powiedział senator, usiłując skojarzyć te strofy ze znanym tekstem. - Prawdę mówiąc, chyba to już kiedyś czytałem. Ale gdzie?

Kładąc rękę na czole, zapytał:

- Co mają znaczyć te epigramaty? Brzmia... jak jakiś poemat.

- Są wyrwane z kontekstu, którego jeszcze nie znam - odparł Pietro - znaczą raczej niewiele. Nawet kiedy łączymy fragment z fragmentem. Ekscelencjo...

Pietro westchnął i skoczył na głęboką wodę.

- Chciałbym, aby powiedział mi pan coś o Chimerze i tych, którzy zwą się Strzygami lub Ognistymi Ptakami...

Palce Campioniego zdrząły. Rozejrzał się wokół. Pietro już wiedział, że trafił w dziesiątkę. Rozmowa stawała się coraz bardziej interesująca. Wpatrywał się w twarz patrycjusza, którego reakcja na wzmiankę o Ognistych Ptakach była podobna do reakcji Caffellego na wieść o ukrzyżowaniu Marcella Torretone. Na jego twarzy także dostrzegł oznaki chorobliwego strachu. Można by rzec, że krew gwałtownie odpływała z jego ciała, a krople potu zrosiły mu czoło. Położył rękę na piersi, drugą wyciągnął do Pietra, jakby kartki, które wciąż jeszcze trzymał, były nasączone trucizną. Z przerażeniem w oczach przysunął się do Pietra i szepnął:

- A zatem pan także o tym wie!

- Ale o czym? Co pan wie? - dopytywał się Pietro. Campioni drżał i rozglądał się wokół, pełen wahania.

- Ja... widzę cienie, chodzą za mną krok w krok. Boję się. Czasami tłumaczę sobie, że to tylko moja wyobraźnia, ale... Prawdę mówiąc, boję się.

Pietro postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Ekscelencjo, popełniono dwie makabryczne zbrodnie i nie mamy gwarancji, że nie dojdzie do kolejnych. Jest ogromnie ważne, by powiedział mi pan wszystko, co wie. Kim są Ogniste Ptaki?

Mężczyźni długo patrzyli sobie w oczy. Potem Campioni położył rękę na ramieniu Viravolty i pośród szelestu czarnej szaty poprowadził go w bardziej ustronne miejsce. Mówił nerwowo, rwącym się głosem:

- Przyjacielu, mówimy o sekcie. O tajnej organizacji. Ich przywódca każe się nazywać Chimera albo Il Diavolo, nikt jednak nie zna jego tożsamości... To satanistyczna sekta, która ma swoje kryjówki w Wenecji i gdzieś na lądzie... Jej macki sięgają poza Italię, tak się przynajmniej mówi. Oto, kim są Ogniste Ptaki. Ale to nie jest najgorsze, o nie...

- Co pan ma na myśli?

- Niektórzy z nich przeniknęli ponoć do kręgów naszej administracji, są w magistraturze, w urzędach, nawet w Senacie - tak, przyjacielu! - i w Wielkiej Radzie!

Viravolta błyskawicznie analizował uzyskane informacje.

- Ale jaki przyświeca im cel? Giovanni znów spojrzał mu w oczy.

- Cel? Drogi przyjacielu, przecież to oczywiste! Szlachta ucieka na wieś, nasza flota nie jest już w stanie utrzymać pozycji zagranicznych, hazard i rozpusta pieniąż jak chwasty, Wenecja upada! A pan, Czarna Orchideo, stanowi czysty wytwór tego świata! Czy ktoś jeszcze wierzy, że Republika może ukryć trawiącą ją gangrenę pod okazałymi szatami? Chcą władzy! Pragną dyktatury, przyjacielu! Albo, jeśli pan woli, rządów autokratycznych, skrajnie konserwatywnych... Wie pan, co było podstawą naszej potęgi? Kontrola na morzu. Ten, kto ma Wenecję, może kontrolować Adriatyk, Morze Śródziemne, szlaki na Daleki Wschód i na Zachód! Wystarczy to panu? Jeżeli pan sądzi, że to za mało, żeby podniecać cały świat, to jest pan naiwny. Wprawdzie wszyscy zgodnie przyznają, że złoty wiek przeminął, nie potrafią jednak uzgodnić, jakich metod należy użyć, aby odbudować tę potęgę... Zabójstwa, o których pan mówi, to tylko wierzchołek góry lodowej! Nawołuję w Senacie do przyznania ludowi większych praw, dopuszczenia go do najwyższych szczebli władzy... Wie pan, co mówi się we Francji i w Anglii? Strach ogarnia także koronowane głowy z innych państw. Mówi się, że filozofowie przekonują ludzi do groźnych idei. Musimy jednak wierzyć, że potrafimy zreformować nasze instytucje, bo bardzo tego potrzebują! Mam poparcie wielu szlachetnie urodzonych z Wielkiej Rady, którzy mnie znają i cenią. Wiemy jednak, jaką cenę zapłacił niegdyś doża Falier za swe pomysły... Wielu jest takich, którym przeszkadzam, coraz częściej rozlegają się głosy obrońców starego ładu, nazywających realizację swoich pomysłów przywróceniem porządku w mieście... Wiatr reakcji wciąż się nasila. Ogniste Ptaki są jak zaraza, potrafią omotać wielu ludzi, starają się zdyskredytować nasz rząd. Mnie także mają na celowniku, dziś jestem tego pewien. Pana zapewne również. Prawdopodobnie powstrzymuje ich tylko świadomość, że jawny spisek szybko obróciłby się przeciwko nim. Ta wojna jest podstępna i zdradziecka - to wojna cieni, walka o godności i pierwszeństwo, gra wpływów! Próbowałem uprzedzić dożę, ten jednak długo nie zważał na moje przestrogi. Teraz projekty praw, nad którymi pracujemy, natykają się już na najrozmaitsze przeszkody, utrudniające ich wprowadzenie. Na każdym kroku ktoś rzuca mi kłody pod nogi - och, to nigdy nie ma charakteru oficjalnego, ale używa się posunięć zręcznych i dobrze wyliczonych, a ja nigdy nie wiem, z której strony nastąpi atak. Rozumie pan, dlaczego mojej kochanej Lucianie skradziono tę broszkę i podrzuciono ją w San Luca? Rzecz jasna, aby mnie oczernić. Chcą doprowadzić do mojej porażki i do klęski moich zwolenników! Nie mogę nawet prosić o ochronę, bo któż mi zaręczy, że pośród protektorów nie znajdą się ludzie dwulicowi? Przyjacielu, niech pan nikomu nie ufa, wszyscy są podejrzani...

Giovanni Campioni mówił szybko, chwilami głęboko oddychał. Nagle skulił ramiona i zwiesił głowę.

- Chodźmy, już dość. I tak za dużo panu powiedziałem. Pietro chciał zasypać Campioniego dalszymi pytaniami, zamierzał nalegać, ale senator uniósł dłoń.

- Nie, już dość! Narażam teraz dwa życia, własne i pańskie. Proszę zostawić mnie w spokoju. Muszę pomyśleć nad tym, jak bronić siebie i swoich ludzi. Gdybym przypadkiem uzyskał informacje, które mogą pomóc w śledztwie, znajdę sposób, by je panu przekazać. Gdzie pan mieszka?

- W apartamentach casa Contarinich.

- Dobrze... Jednak bez względu na charakter informacji, które pan ode mnie otrzyma, musi mi pan obiecać, że nie wspomni o nich nikomu poza samym dożą. Czy to jasne? Nikomu, nawet członkom Minor Consiglio i Rady Dziesięciu!

- Obiecuję.

Campioni odszedł, z ponurą twarzą. Ręką odpychał powietrze, jakby chciał odpędzić Pietra, który pozostał sam, na środku Broglio.

Dyktatura w Wenecji. Satanistyczny spiszek!

\* \* \*

Palce Czarnej Orchidei wędrowały po krągłych pośladkach Ancilli Adeodat, która leżąc, czytała tekst sztuki i zaśmiewała się. Naśladowała przy tym głosy kolejnych postaci i było oczywiste, że nie brak jej talentu. Co pewien czas odwracała się do Viravolty, a on uśmiechał się do niej, chociaż myślami był daleko. Gładził kręcone włosy młodej kobiety, którą raz jeszcze odebrał mężowi, temu pocziwemu kapitanowi z Arsenалу, żeglującemu znowu po morzach. Piękna Ancilla miała duszę poetki. Z ojczyzstego Cypru wyniosła wspomnienie bujnych ogrodów, ciepłego morza, żółtawobrazowego pyłu, orientalnych woni i przypraw. Jej matka pochodziła z Nubii, gdzie Włoch z Werony ojciec Ancilli, kupił ją jako niewolnicę. Pożyczana i sprzedawana przez całe życie, Ancilla zawdzięczała ocalenie tylko bezgranicznej miłości przystojnego kapitana, który w dodatku tolerował jej niemoralne prowadzenie się. Sam stale był gdzieś za górami i za morzami i uważał, że cokolwiek uszczęśliwia jego młodą żonę, uszczęśliwi i jego, byle tylko wracała ze swych weneckich wypadów. Pietro mógł jedynie podziwiać abnegację i uprzejmość tego szlachetnego oficera.

Wesoły głos Ancilli rozbrzmiewał w pokoju.

FULGENCJA: Słuchaj więc i odpowiadaj do rzeczy. Pan Leonard bliski jest zawarcia wielce korzystnego małżeństwa.

BERNARDYN: Wspaniale, cieszy mnie to wielce.

FULGENCJA: Lecz jeśli nie zdoła spłacić długów, może nie ubić interesu.

BERNARDYN: Jakże to? Dość, by człowiek taki jak on tupnął nogą, a wydobędzie pieniądze choćby spod ziemi...

Ancilla zerknęła na Pietra. Ciągnęła:

PIĘTRO: Nie słucham cię, słońce mego życia, wcale.

ANCILLA: Skąd smutek na twojej twarzy, mój Pietro? Ejże! Pietro!

Wyrwany z zadumy Pietro znów się uśmiechnął i przeprosił.

- Wybacz, Ancillo. Po prostu... pewna trudna sprawa zaprzęta me myśli.

Ancilla odwróciła się na bok, a potem usiadła po turecku na wprost Pietra, kładąc ręce na kolanach. Podziwiał jej kształtne uda, piersi o ciemnych sutkach. Włosy kobiety opadały na ramiona. Wzięła owoc ze stolika, uniosła go do ust i ugryzła, a potem, z pełnymi ustami, zapytała:

- Nie możesz mi o tym opowiedzieć? Może potrafię ci pomóc... Pyszny ten owoc...

- Nie, kochanie. Lepiej, żebym zachował te informacje dla siebie.

- Co ty właściwie knujesz z Radą Dziesięciu? Wiesz, że tu i ówdzie zaczyna się o tobie plotkować.

- Domyślałem się tego. Powiedz, co ci mó...

Pietro zamilkł w pół słowa, słysząc pukanie do drzwi. Wstał, szybko się ubrał i otworzył. Stał przed nim chłopczyk w łachmanach. Uśmiechnął się promiennie. Był umorusany, brakowało mu dwóch zębów, uporczywie drapał się po nosie, ale wielkie oczy, beztroskie i wesołe, wynagradzały te niedostatki.

- Kto cię tu wpuścił?

Dzieciak uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pan Viravolta de Lansalt?

- Tak, to ja.

Chłopiec podał mu zapieczętowany list.

- Mam dla pana wiadomość.

Zaskoczony Pietro chwycił list i chciał zamknąć drzwi, ale dziecko nawet nie drgnęło. Zrozumiał - sięgnął po sakiewkę i dał mu monetę. Chłopiec odwrócił się i zbiegł po schodach. Zaintrygowany Pietro złamał pieczęć. Ancilla obserwowała go, siedząc na łóżku.

Nie musiałem długo czekać, pomyślał, czytając list.

*Ptaki zlecą się jutro w komplecie do swej woliery. Aby je podziwiać, musi się Pan udać na stały ład, do willi Mora w Mestre. Rezydencja jest w ruinie, ale to idealna kryjówka, by grać się razem przy wielkim ogniu i powierzać sobie drobne tajemnice. Uwaga - jak podczas karnawału, obowiązują kostiumy.*

G.C.

G.C. - Giovanni Campioni. A ptaki to oczywiście Ogniste Ptaki.

- Złe wieści? - zapytała Ancilla.

- Przeciwnie, najdroższa. Przeciwnie...

Usiadł w głębokim fotelu, założył nogę na nogę, wygodnie wsparł rękę na oparciu. Pograżył się w myślach. Ancilla westchnęła zniecierpliwiona, poprawiając fryzurę.

- Dobrze... Skoro nie chcesz zwierzyć mi się ze swoich sekretów...

Ancilla ułożyła się na łóżku, by wrócić do lektury.

Pietro spojrzął na stolik przy fotelu, na którym położył list. Stolik był nakryty hartowaną serwetą, na niej stała figurka z brązu - Cerber, trójgłowy pies, strażnik Piekieł. Pietro przez chwilę wpatrywał się w rozwarte paszcze potwora, w muskulaturę jego boków, w rozwidlony ogon. Wydawało mu się, że słyszy wściekłe ujadanie bestii, że widzi, jak pluje piekielnym ogniem.



Zdarza się, że myśl toruje sobie drogę w niezwykle sposób, nieoczekiwanie, aż wyłonią się jasne wnioski. Takie chwile nagłego natchnienia są w życiu rzadkie. Wykonując banalny gest, by sięgnąć po leżący przy Cerberze list, Pietro doznał łaski olśnienia. Pytania, które nie dawały mu spokoju, nagle odnalazły wspólny sens. Zrodziły się, by go ujawnić, skryształizowały się wokół umykającego jądra, którego wytrwale szukały. Dwa napisy - ten na ciele Marcella i ten z kościoła San Giorgio Maggiore: *Krótko przed moim rozstaniem z ziemią/Mocarz tu zstąpił niebiańskiego lica/Znakiem zwycięstwa ukoronowany...* I słowa Emilia Vindicatiego: „Znalazłeś się w przedsionku piekła”. I imię Wergiliusza pod Menuetem Cieni. Imię zamawiającego szkła do binokli w Murano, Minos. „Zbliżają się sztandary króla piekieł”... I ta figurka - trzy rozdarte psie paszcze, zwyczajna ozdóbka, na którą w innych okolicznościach nie zwróciłby uwagi.

W innych okolicznościach - nie, ale w tych...

Rozpromienił się. Uniósł rękę do skroni.

Ancilla wstała z łóżka. Ze zdumieniem patrzyła na zmienioną twarz Pietra.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył diabła!

## KRAJ TRZECI

### PIEŚŃ VII

#### Cerber

Pietro najpierw udał się na Piazzette San Marco, nieopodal Broglio, gdzie spotkał się z Campionim. Plac otwierał się na wody laguny. Można było ujrzeć stąd kościół San Giorgio Maggiore i Giudeccę. Po jednej stronie Piazzetty wznosił się Pałac Dożów, po drugiej Libreria Marciana. Ten wzniesiony przed dwustu laty przez Sansovina gmach mieścił jedną z najwspanialszych bibliotek Europy, mogącą pochwalić się ponad pięcioma tysiącami woluminów. Pietro zwrócił się do jednego z bibliotekarzy, niejakiego Uga Pippina, który udzielił mu informacji o interesującym go dziele. Rzecz jasna, Libreria była w posiadaniu utworu poszukiwanego przez Viravolta, jednak Pippin polecił mu prywatną bibliotekę, bardziej „wyspecjalizowaną”, księgozbiór Vicaria, znajdujący się w dzielnicy Canareggio. Po drodze Pietro przystanął na chwilę przy białej Kampanili, gdzie czekał jego lokaj. Tu też ubrał się w pelerynę, którą Landretto podał mu u stóp uskrzydłonegolwa, jakże majestatycznego i silnego, symbolu Serenissimy, który zdawał się dominować nad miastem.

Gdy dotarli do Mercerii, Viravolta stanął jak wryty.

Zetknął się oko w oko ze zjawą.

\*

Ona też zatrzymała się w pół kroku u wylotu ulicy.

Pietro czuł, że serce wali mu jak szalone. Anna Santamaria pobladła. Nie mogła nawet drgnąć. Dzielilo ich około dwudziestu metrów, obok przechodziło wiele osób, ale oni, choć potrąceni, skamienieli. Ta chwila wydawała się długa jak wieczność, spotkanie było dla nich szokiem. Viravolta patrzył na Annę i znowu odnosił wrażenie, że padł ofiarą czar. Anna była ubrana w wąską białą suknię o rękawach ozdobionych przezrystymi falbankami, a jej talię podkreślał granatowy pasek.

Pietro natychmiast rozpoznał tę wdzięczną sylwetkę, twarz o sarnich oczach, długie rzęsy, na których zdawały się zbierać krople wody z pobliskiej laguny, misterne loki i zwoje peruki, cudowny dekolot ozdobiony wisiorkiem z szafirów nad błękitną apaszką, która podkreślała piękno jej piersi. Anna Santamaria o zaokrąglonych ze wzruszenia ustach, które muskała drżącą ręką, o pałających oczach, także na niego patrzyła. Jakże była piękna, Boże! Tu, na rogu Mercerii, w tej brukowanej uliczce, w blasku witryn sklepików! Czarna Wdowa - krzywdzący i kłamliwy przydomek, bo jeśli nawet stanowiła zagrożenie, było to rozkoszne zagrożenie, słodkie tortury, na które skazywała, a Pietro oddałby wszystko, żeby została wdową, żeby uwolniła się od Ottavia, mężulka senatora. A gdzie on się właściwie podziewał? Musiał gdzieś być, krył się w cieniu, zakazując jej prawdziwej miłości. Ale przynajmniej była tu, w Wenecji, a nie na łądzie! A zatem Ottavio nie odesłał jej do ponurego klasztoru, nie zamknął w smętnej wiejskiej willi. Przynajmniej teraz - była tu! Czyżby senator myślał, że Viravolta wciąż gnije w więzieniu? Czy dlatego pozwolił małżonce wrócić z wygnania? Anna Santamaria!

Kochankowie patrzyli na siebie zaskoczeni, niezdolni zbliżyć się do siebie nawet na krok. Zakazy, więzienie, strach, że w ułamku sekundy ożyje miłość, którą potępiał cały świat - oto, co zaprzętało teraz ich myśli. A równocześnie ich reakcja i ta pewność, że wciąż należą do siebie, mówiły całą prawdę.

Długo wpatrywali się w siebie, aż w końcu Anna sięgnęła po wachlarz i spuściła oczy. Jej policzki pałały. Odwróciła się. Pietro natychmiast zrozumiał. Właśnie zrównały się z nią dwie służące. Na szczęście żadna z nich nie zauważyła Czarnej Orchidei. Viravolta na moment schował się w bramie jednego ze sklepów, a tymczasem Anna odeszła, znikając za rogiem ulicy.

Czuł, że chciała rzucić mu jeszcze pożegnalne spojrzenie, wyczuł to z drżenia, które odgadł ze sposobu, w jaki się odwracała.

Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

\*

Pietro stał tam jeszcze długo.

Ona tu jest.

W Wenecji.

Miał ochotę pobiec za nią, dogonić. Czyste szaleństwo! Nie tylko ze względu na niemal jawne groźby doży i Emilia Vindicatego, ale także z powodu niebezpieczeństwa, na jakie naraziłby Annę. Cóż więc miał robić? Co miał począć, gdy była tu, tak daleko i tak blisko zarazem? Musiał zmobilizować wszystkie siły, żeby się opanować. Nie wiedział nawet, gdzie teraz mieszka. Może Ottavio przywiózł ją do miasta na dzień lub dwa...? Roztrzęsiony Pietro myślał o tym, wykręcając palce. Mimo wszystko doznał ulgi, gdy się przekonał, że jest w pobliżu, że nic jej nie dolega.

Tak, przypadkowe spotkanie sprawiło, że kamień spadł mu z serca.

Uśmiechnął się, a jednak wciąż czuł dławienie w gardle. Upłynęło sporo czasu, zanim się otrząsnął. Spokojnie, na wszystko przyjdzie czas. I idąc sprężystym krokiem do Canareggio, myślał: Ona tu jest! Jest tu... i wie, że jestem wolny!

\*

Pół godziny później Pietro, który doszedł już do siebie po tym niespodziewanym wzruszeniu, okazał glejt, by dostać się do pomieszczeń prywatnej biblioteki Vicaria.

Musiał się skupić i zająć wyłącznie śledztwem.

\*

Jeżeli wierzyć właścicielowi zbiorów, biblioteka Vicaria, członka Wielkiej Rady, wyniosłego i dumnego, liczyła - bagatela! - czterdzieści tysięcy woluminów, które zajmowały dwa piętra. Była swoistym symbolem rozkwitu intelektualnego i artystycznego Wenecji sprzed kilkudziesięciu lat. Złoty wiek przyniósł bogactwo nurtów w malarstwie, zwłaszcza w zetknięciu z humanizmem uniwersytetu w Padwie i ze szkołą w Rialto, gdzie nauczano arystotelesowskiej filozofii i logiki. Drukarnie, w tym ta należąca do Aida Manuce, uczyniły z miasta największy na świecie ośrodek książki. Accademia Aldina była miejscem, w którym spotykali się kronikarze i historycy kolekcjonujący manuskrypty, władający greką i piszący po łacinie. Korespondowali ze wszystkimi humanistami europejskimi, tworząc stowarzyszenie erudytów. Jak jednak zaznaczył Ugo Pippin, kolekcja Vicaria była szczególna.

To miejsce musiało zafascynować każdego, kto tu wszedł. Pomieszczenia były niezwykle wysokie, pełne półek z ciemnego, błyszczącego drewna, drabinek rozstawionych przy szpalerach ksiąg, których grzbiety - brązowe, zielone, czerwono - złote - ciągnęły się niczym węże wzdłuż ścian. Na dwóch piętrach domu rodziny Vicario cztery pokoje przeznaczono na najcenniejsze dzieła, które zazwyczaj udostępniano jedynie członkom rodu oraz przyjaciołom. Środek każdego pokoju zajmował stół, przy którym można było spokojnie czytać i pracować. Okna bez balkonów wychodziły na kanały Canareggio. Kilka promieni słońca wśliznęło się do wnętrza przez rozetę w plafonie i teraz tańczyło po parkiecie.

Libreria Vicario zawdzięczała sławę doborowi i ściśle określone mu charakterowi zgromadzonych tu skarbów. Otóż zafascynowany wiedzą ezoteryczną i tajemną Andreas Vicario zbierał wszelkie istniejące księgi poświęcone tej problematyce, i to; zarówno pisane po włosku, jak i te łacińskie, greckie i powstałe w każdym innym europejskim języku. Można było tu znaleźć zadziwiające rozprawy z Transylwanii, przerażające opowieści z epoki średniowiecza i renesansu, zbiory nieprzyzwoitych baśni, satanistyczne brewiarze, dzieła astrologiczne, numerologiczne, a także wróżby z kart, które nie były Piętrovi całkowicie obce, sam bowiem uprawiał szarlatańskie praktyki, bawiąc się we wróżbitę. Krótko mówiąc, ten księgozbiór zalaływał siarką.

W tej chwili Pietro, który poprosił, aby pozwolono mu samodzielnie poruszać się po bibliotece, przechadzał się między półkami i w końcu wybrał jedną z ksiąg. Otworzył etui z fioletowej skóry i wydobyl stary manuskrypt, o którego wieku świadczyły pożółkłe karty. *Travestifuges* hrabiego Tazzia di Broggio, Parmeńczyka. Pietro nigdy o nim nie słyszał. Zaciekawiony, otworzył książkę i szybko ją przeglądał.

*Uklękła nad nim i nie przestając pieścić jego przyrodzenia, uwolniła się od krępujących ją szat. Z uśmiechem ulgi na twarzy, wypróżniła się wprost w jego usta, gdy tymczasem pan de M\*\*\* brał Dafronvielle'a od tyłu. Potem przysła kolej na...*

- No tak - mruknał pod nosem Pietro.

Potań usta palcami. Jeden z jego pierścieni błysnął we wnikających do wnętrza promieniach słońca. To prawda, że Viravoltę przestrzegano, ale nie spodziewał się w tej Librerii aż tak szczególnych lektur. Postanowił poważnie wziąć się do pracy. Aż po najwyższe półki te lśniące biblioteki wypełnione były rzadkimi perełkami. Znalazł się w jaskini zła, może w samym jądrze ludzkich namiętności, niejako po drugiej stronie lustra, gdzie rozpasanie zdawało się sprawdzać granice wytrzymałości i odrazy, wykorzystując moc słów, ostrych niczym sztylety. Doprawdy, nagromadzenie ohydy, nieokielzanej rozpusty i całego bagna, w jakim nurzał się człowiek, przyprawiało o mdłości. Same tylko księgi poświęcone Belzebubowi zajmowały cztery półki. Pietro sięgnął po niezbyt okazałą książkę zatytułowaną *Karmelikańskie studia o Szatanie*. Rozprawę poprzedzała sporządzona czerwonym atramentem adnotacja:

„Czy Szatan istnieje? Z punktu widzenia wiary chrześcijańskiej odpowiedź wydaje się jasna”. Czyjaś gniewna dłoń dopisała tuż obok chwiejne „NIE!”, za którym widniało energiczne: „TAK!”. Najwyraźniej Książę Piekieł nieustannie wzbudzał kontrowersje. Palce Pietra przesuwają się teraz po grzbietach woluminów.

Van Hosten, *Rytuał egzorcyzmów*, Amsterdam 1339.

Sanctus Augustinus, *Objaśnienia Psalmów*, Stuttgart 1346:

Cornelius Stanwick, *Śmiech w klasztorach*, Londyn 1371.

Anasthase Raziel, *Siły Zła i diabelskie królestwa*, Praga 1436.

Dante Alighieri, *Boska Komedia. Piekieł*, kopia, Florencja 1383/reedycja 1555.

Zatrzymał się. Właśnie tego szukał. Chwycił książkę, dość opasłe dzieło spoczywające w etui z filcu i aksamitu. Egzemplarz Vicaria był oprawiony w skórę i liczył trzy tysiące pięćset welinowych kart, ręcznie numerowanych i pokrytych wyrazistym gotyckim pismem. Florencki skryba opatrzył tekst poematu ilustracjami nawiązującymi do różnych epizodów wędrówki Dantego po Krainie Cieni. Szczególnie pierwsza zrobiła na Piętrze wrażenie. Wyobrażała Bramy Piekieł. Emanowała z niej swoista aura, echo praczasów, połączenie średniowiecznej ezoteryki z kabałą, tworzące wstrząsającą alchemię. Co więcej, owa brama wydawała mu się jakby znajoma. Nie znaczyło to, aby przekraczał podobną gdziekolwiek poza koszmarnym snem, ale może właśnie te niejasne wspomnienia, w których sen mieszał się z ulotnymi doznaniem podświadomości, mogły ułatwić mu rozszyfrowanie symboli, z jakimi tak nieoczekiwanie się zetknął. Z półmroku tej bramy wyłaniała się teraz porażająca oczywistość, przemożna, zakorzeniona głęboko w ziemi jak cyprys-żałobnik i rojąca się od zjaw niczym rozłożyste gałęzie drzewa, lada moment zdolne wyrwać się z więzienia pergaminowych kart, by zdławić serce czytelnika. Ich lodowata łapa natykała się nagle na ciepło życia, ścisnęła je, sprawdzała, w jakim stopniu jest odporne, wysysała energię, której sama była pozbawiona. Właśnie takie odczucia ogarnęły w tej chwili Pietra - łapa wysuwała się z manuskryptu, żeby go chwycić, przykuć do siebie i zniewolić. Gdyby ta łapa wyłoniła się w chwili, gdy wyobrażał sobie, jak go chwyta i wciąga, zniknąłby w obłoku świetlistego pyłu. Książka zatrzasnęłaby się, zanim upadłaby na ziemię, a on pozostałby sam pośród tysięcy kart. Może brama czekała właśnie na niego - mogłaby na zawsze uwięzić duszę Pietra, zgnieść ją między tysiącami znaków, kart, nabazgranych słów, skazując go na

wieczne cierpienia. Widział siebie wyjącego po drugiej stronie lustra, znów zagubionego w otchłani, w owej pustce między dwoma światami, będącej treścią jego życia. Szybko jednak uporał się z lękiem i uśmiechnął, wspominając udręki potępieńców, tak drobniaczkowo opisane przez Dantego.

Skrzydła bramy tworzyły u szczytu ostrołuk, na którym widniała wykrzywiona twarz rogatego pół kozła, pół człowieka, o rozwidlonym ozorze. Był to klasyczny wizerunek Księcia Ciemności, którego peleryna zdawała się tworzyć skrzydła bramy. Można by powiedzieć, że ów potwór rozsunał poły, aby ukazać wynurzające się z jego ciała inne symbole z płaskorzeźby - stos czaszek, cienie zmarłych, rozpaczliwie krzyczące usta, dłonie usiłujące wyrwać się z więżącej je masy. Te istoty o okaleczonych członkach tłoczyły się, a w ciałach niektórych tkwiły strzały - świadectwo cierpień mających już na zawsze być ich udziałem. Pośród nich uwijała się armia uskrzydłych demonów, maleńkich, ale tworzących kręgi, paraliżujące każdy ruch potępieńców. U podnóża bramy, gdzie miała swój kres ta makabryczna kaskada, rozpościerały się fałdy płaszcza Lucyfera, jego haczykowane stopy niknęły w półmroku, przytłaczając zapewne inną otchłań. Grawiura nie była zatytułowana, ale nad bramą widniał napis: *Lasciate ogni speranza, voi eh'intrate*. Pietro przypomniał sobie, że te słowa witały przybywających do Miasta Cierpienia. Dante.

Ty, który wchodzisz, zegnaj się z nadzieją.

\*

Pietro wolno zszedł z drabiny i usiadł z księgą przy biurku. Położył ją na zielonym suknie, obok przycisku do papieru w kształcie barana. Zaczął czytać przedmowę, napisaną zapewne przez florenckiego kopistę.

*Boska Komedia*: poemat Dantego Alighieri, powstały w latach 1307-1321. Zagubiony w „Ciemnym lesie” grzechu poeta prowadzony jest przez mądrość (uosabianą przez Wergiliusza) przez trzy królestwa zaświatów. Najpierw musi pojąć, jak rzeczywiste i przerażające jest Zło, i dlatego przemierza kolejno Dziewięć Kręgów Piekła, by następnie móc wkroczyć do Czyśćca i tu odbyć pokutę. Wiara i miłość, ucieleśniane przez świętego Bernarda i słodką Beatrycze, powiodą go przez Dziewięć Nieb systemu Ptolemeusza, aż do Empireum jasności Bożej.

Dante nazwał swe dzieło *Komedią*, ponieważ postrzegał je bardziej jako drogę ku nadziei niż jako tragiczną ekspresję losu ludzkiego. Dopiero później pierwsi komentatorzy, urzeczeni jej pięknem, nazwali *Komedią* „Boską”. Poemat, którego budowa opiera się na mistycznej wartości liczby trzy, cechuje się niezwykłą jednością struktury. Składa się ze stu pieśni - prologu oraz trzech części po trzydzieści trzy pieśni każda, ułożone w *terza rima*. Pieśni przynoszą bogactwo i rozmach metafor, a obrazy tworzące każdą z nich, odmalowane bogatym i żywym stylem, łączą znaczenia metafizyczne, polityczne i społeczne, zarówno jeśli idzie o typologię piekielnych kar, jak i o wędrówkę przez niebo, krytykę Florencji i sytuacji politycznej Italii; biblijne i mitologiczne postacie ocierają się o znane osobistości historyczne i współczesne. Fresk moralny oraz alegoryczny i liryczny, to znowu mistyczny i dramatyczny - poemat Dantego jest niedoścignionym arcydziełem.

Pietro pokiwał głową. Jak mógł się nie zorientować? Dlaczego wcześniej nie pomyślał o Dantem? Wergiliusz... Trudno o bardziej jaskrawą aluzję... Nie chodziło jedynie o autora *Eneidy*, ale także o przewodnika po *Piekle* z poematu Dantego!

Pietro zagłębił się w lekturze pierwszej Pieśni *Piekle*. Wergiliusz spotkał zbłąkanego poetę, który zboczył na ścieżkę grzechu. Wkrótce miał go poprowadzić na spotkanie z ludzkim występkiem i pokazać kary, jakie Bóg przewidział dla zbuntowanego Stworzenia. W Pieśni XI Wergiliusz przedstawia poecie porządek Piekle według Arystotelesa. Niebo potępiało nade wszystko trzy skłonności: brak wstrzemięźliwości, zezwierzęcenie i złość, które w różnym stopniu pozbawiają człowieka godności. Pietro wtulił się w fotel, gładząc aksamitne podłokietniki. Oprócz arystotelesowskiej *Etyki* Dante odwoływał się do rzymskich traktatów prawniczych, aby stworzyć klasyfikację grzechów, których nie zmaże żadna pokuta. Zresztą inspirację czerpał z licznych źródeł, także orientalnych. Jego wizja lodowatego Piekle była, jak podkreślał w przedmowie Florentyńczyk, zaczerpnięta z *Księgi Drabiny*, opowiadającej o wędrowce Mahometa do trzech Królestw Zaświatów w towarzystwie archanioła Gabriela. I oto przesuwają się tłum oszczerców, donosicieli, rozpustników, fałszerzy, którzy zaludniają przekłete kręgi, brzegi Acherontu, skazani na wieczną gehennę. Znaleźć tu można wszystkie grzechy główne ułożone w przemyślaną typologię, którą talent poety uczynił niezwykle wymowną.

#### KRĄG PIERWSZY

Otchłań lub przedpiekle - dusze szlachetnych, ale nieochrzczonych ludzi, dla których jedyną karą pozostanie niespełnialne pragnienie, by ujrzeć Boga.

#### KRĄG DRUGI

Zmysłowi, których porywa piekielny huragan.

#### KRĄG TRZECI

Żarłocy i opilcy, nurzający się w błocie, wystawieni na czarny, lodowaty deszcz.

#### KRĄG CZWARTY

Skąpcy i rozrzutnicy, którzy przetaczają kamienie, wzajemnie się przeklinając.

KRĄG PIĄTY Gniewliwi, zanurzeni w błotnistych wodach Styksu.

KRĄG SZÓSTY Heretycy skazani na udrękę płomieni w grobach.

KRĄG SIÓDMY Gwałtownicy wobec swoich bliskich, zanurzeni w rzece wrzącej krwi. Gwałtownicy przeciw sobie - samobójcy przemienieni w drzewa, które mówią i rozpaczają. Marnotrawcy, których rozszarpują psy. Gwałtownicy przeciw Bogu, którzy leżą na piasku, skazani na ognisty deszcz. Gwałtownicy przeciw Naturze (sodomici), uciekający przed morzem ognia. Gwałtownicy wobec sztuki (lichwiarze), siedzący w ognistym deszczu z mieszkami opatrzonymi tarczami herbowymi na szyjach.

KRĄG ÓSMY Oszuści: uwodziciele i sutenerzy, których chłoscza diaby.

Pochlebcy nurzający się w rzece łajna. Świętokupcy, wróżbici, przemytnicy, sprzeniewierzeni, hipokryci, świętokradcy przeobrażeni w węże; fałszywi doradcy, siedzący w płomieniach; schizmatycy i siewcy niezgody, alchemicy pokryci trądem i świerzbem; fałszerze pieniędzy, oszuści podszywający się pod innych, kłamcy, którzy pożerają się wzajemnie, ogarnięci potworną gorączką.

KRĄG DZIEWIĄTY Zdraycy krewnych, ojczyzny, stronnictwa, gości, dobroczyńców, władzy ziemskiej lub boskiej, zanurzeni w lodzie. Tych, na których ciężą największe winy, pożera Lucyfer.

Pietro podparł głowę ręką. Myślał o Marcellu, aktorze ukrzyżowanym na tle czerwonej kurtyny teatru San Luca, o spowiedniku z San Giorgio, który zawisł na szczycie kościoła podczas straszliwej burzy. Wziął głęboki wdech. Intuicja go nie myliła. Teraz dotknął sfery tabu. Czuł jednak, że ktoś nim manewruje, a w miarę jak to sobie uświadamiał, narastał w nim głuchy, złowieszczy niepokój. Il Diavolo doprowadził go tu niczym władcza ręka kierująca każdym gestem marionetki. Czarna Orchidea tańczył jak pociągany za sznurki, a jego niezależna dusza gwałtownie burzyła się przeciwko takiej sytuacji. Po cóż miałby się łudzić? *Inferno* stanowiło klucz do zagadki, jednak tego odkrycia Pietro nie dokonał dzięki własnemu rozumowi. Było dziełem wyższej siły, która zapraszała Viravolte do gry, do rozwiązywania rebusów cuchnących posępną zbrodnią. To nie wróżyło niczego dobrego. Wpatrywał się w wersety manuskryptu, skupiając na nich pilną uwagę. Ukrzyżowany Marcello...

W Kręgu Pierwszym, w *Przedpieklu*, Dante mówił o zstąpieniu Jezusa do Piekieł.

*Zejdziemy teraz - rzekł wieszcz cały blady -*

*W otchłanne ślepych światów zakomoj;*

*Ja pójdę pierwszy, a ty w moje ślady.*

Pietro znów doznał wstrząsu, znajdując potwierdzenie słuszności swych podejrzeń.

*Krótko przed moim rozstaniem z ziemiany*

*Mocarz tu zstąpił niebiańskiego lica,*

*Znakiem zwycięstwa ukoronowany.*

A zatem rozwiewały się wszelkie wątpliwości. Przecież właśnie te wersy odnalazł na zmaltretowanym ciele Marcella! Brozzi sądził, że są to słowa z Biblii, nie zdołał jednak wskazać, z której dokładnie księgi. Senator Giovanni Campioni był przekonany, że gdzieś je już czytał, ale gdzie? Teraz Pietro miał je przed oczyma. To było *Piekło* Dantego. Tych słów nie zaczerpnięto z Pisma Świętego, ale z arcydzieła literatury humanistycznej, która stała się inspiracją wroga. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł?!

W Kręgu Pierwszym Dante spotkał Homera, Horacego, Owidiusza i innych starożytnych poetów, ale także cesarzy i filozofów - Sokratesa, Platona, Demokryta, Anaksagorasa i Talesa, Senekę, Euklidesa i Ptolemeusza. Sławnych ludzi sztuki i nauki, których jedynym grzechem był brak chrztu. Chrystus zstąpił do nich, przebywając krótko pośród potępionych, między chwilą swej śmierci i

zmartwychwstaniem; zwano go „mocarzem”, bo piekło nie miało nad nim władzy. Jako zwycięzca przybył, aby zabrać Abła, Mojżesza, Abrahama i Dawida i powieść tych synów Izraela do Nieba.

Chrystus w Piekło.

Pietro usiadł wygodniej w fotelu i rozmyślał, wodząc palcem po ustach.

Teraz scenografia z San Luca wydawała mu się jasna - wróg przygotował dla nich obraz, którego inspiracją stał się Pierwszy Krąg Dantejskiego *Piekieł*. Najdrobniejsze intrygujące go szczegóły nabierały znaczenia. Marcello, sławny człowiek sztuki, aktor cieszący się wielkim uznaniem, a przecież zdrajca własnej religii, który dopuścił się istic pogańskich praktyk, bo nie dość, że był tajnym agentem, donosicielem, szpiegiem, to czuł pociąg do mężczyzn... Wzburzony Pietro znów miał wrażenie, że słyszy głos Caffellego. „Marcello był zgubiony. Wyparł się... wyparł się chrztu. Pomagałem mu odzyskać wiarę”. I ukrzyżowano go w świątyni jego sztuki, na scenie teatru, w którym grał. To była ostatnia rola, ostatnie przedstawienie Marcella, wielkiego aktora trupy Goldoniego! Marcello zdesperowany, udręczony, człowiek o dwóch twarzach! Żyjący w poczuciu grzechu, borykający się z zagadką własnej natury... Marcello, któremu za karę wylupiono oczy.

Skazany na wieczne poszukiwanie Boga, którego nigdy nie ujrzy.

Pietro pokręcił głową.

\*

Podobnie było z jego spowiednikiem, Cosimem Caffellim. W Pieśni V mężczyzn i kobiety jego pokroju porywał piekielny huragan. Byli tam Tristan, Semiramida, Dydona, Lancelot, Kleopatra... Kapłan z San Giorgio, żalosna marionetka wydana na gniew nieba. Taką karę wyznaczono rozpustnikom.

Tym z Kręgu Drugiego.

I słowa księdza znowu brzmiały mu w uszach.

„Il Diavolo! Czyś o nim słyszał? Jestem pewien, że WielkaRada i Senat już wiedzą i drżą na samą wzmiankę o nim. Doża musiał ci o nim mówić, prawda? Diabeł! On jest w Wenecji!”.

Tak, słowa przerażonego kapłana wracały jak refren. Wróg dokonał drugiej zbrodni, wykorzystując burzę jako symbol czy też znaczący uśmiezek...

Potem przypomniał sobie Menueta Cieni, który przesunął mu się przed oczyma jak czarna gondola po lagunie: „Idź za mną, Viravolta,/A sam zobaczysz,/Jak ciemne czasem bywa ciało”...

\*

Domysły Pietra potwierdziły się - bez trudu odnalazł w Kręgu Drugim dziwny epigramat, który ujrzeli na ścianie za *Zdjęciem z Krzyża* w kościele San Giorgio. Był to fragment bardzo sugestywnego opisu.

*Stanąłem w jamie ciemnościami głuchej,*

*Która jak morze w huraganie ryczy,*

*Gdy nim przeciwne wstrząsną zawieruchy.*

*Piekielny orkan, puszczony ze smyczy,*

*Dusze w gwałtownym ponosi upuście,*

*Szarpie i kole, i ościeniem ćwicz.*



A kiedy lecą razem nad czeluście,  
Jęk z jękiem gada, wrzask z wrzaskiem się kłóci,  
Bluźnierstwom wolne otwierając ujście  
Przeciwko mocy Bożej; tak rozsuci  
Na wolę wiatrów boleją zmysłowi,  
Co nad rozsądek wywyższyli chuci\*.

Pietro gwałtownie zatrzaskał książkę. Zstąpienie do piekieł. Piekielny orkan. Tak jak przeczuwał, Cień nie działał przypadkowo. Żywił się tą obfitą materią poetycką, wypisując na wykrwawionym ciełe Marcella i na ścianie San Giorgio fragmenty *Piekieł*. Ciało i mur były tylko tłem dla lektury cuchnącej śmiercią, oscylującej między potępieniem a zbawieniem, męczeństwem a zmartwychwstaniem. Minos, sędzia, srogi egzaminator, bezwzględnie zsyłający dusze do piekła, także się pojawił w Pieśni V, na skraju Kręgu Drugiego. Wybierał miejsce, do którego winni trafić potępińcy, aż po jądro piekieł. „Ów rozeznawca biegły ludzkiej winy/Tylekroć biodra ogonem obwinie,/Na ile stopni ma zapasć dusza w głębiny” (Pieśń V, 10-13). Wokół niego gromadził się jęczący tłum - O, Minosie, oszczędź bólu! - a on rozsądzał o losie każdego, zależnie od jego grzechów, i zgrzytając zębami, wypowiadał potępiający wyrok. Dowodziło to także, że tajemniczy nabywca z Murano miał związek z tą sprawą. A jeżeli ów Minos był zamieszany w spisek, który czuć było coraz wyraźniej, to mistrz Spadetti stawał się bardzo ważnym świadkiem. Pietro nie mógł jednak nie dostrzec w całej tej sytuacji pewnej ironii. Il Diavolo czy też Chimera, dając mu klucz, rzucał mu wyzwanie i dawał szansę przewidywania biegu wydarzeń.

A zatem proponował im pojedynek - przede wszystkim jemu, Viravolcie. Pietro był o tym przekonany.

Ale w *Piekle* Dantego jest aż Dziewięć Kręgów!

Pietro zaklął.

To gra. Rebus. Planuje zabójstwa, tak jak Minos wyznacza miejsce potępińców w Piekle jako pokutę za grzechy. Chce mnie prowadzić... Prowadzić jak Wergiliusz poetę - z kręgu do kręgu, aż dopełni dzieła!W Kręgu Dziewiątym pojawieniu się Diabła towarzyszył w nieco zmienionym brzmieniu pierwszy wers znanego hymnu Fortunata, stanowiącego część liturgii wielkopiątkowej. Wers ten brzmiał u Dantego: *Vexilla regis prodeunt inferni*.

„Zbliżają się sztandary króla piekieł”.

Czarna Orchidea spotkał się z Landrettem przed willą Vicaria. Razem wsiedli do gondoli.

- Wszystko w porządku, panie?

- Wypłynęliśmy na rozszalałe wody, Landretto. Na domiar złego mamy do czynienia z esteta...

- Doża oczekuje nas w pałacu.

Pietro usiadł, uważając, żeby szerokie rękawy jego koszuli nie pogniotły się w zetknięciu z wilgotnym drewnem gondoli. Zacisnął poły surduta i poprawił kapelusz.

- Zapewne zaskoczy go to, co mam mu do powiedzenia.

\* \* \*

SIŁY ZŁA i diabelskie królestwa

Anasthase Raziell

*Rozprawa o buncie aniołów*, przedmowa do wydania z roku 1436.

*Kiedy aniołowie zbuntowali się przeciwko Stwórcy, zebrali się pod sztandarami Lucyfera i zażądali, by teraz to im przypadło sprawowanie władzy boskiej. Uformowali armię złożoną z dziewięciu legionów, założyli diabelską monarchię i rozproszyli się po całym niebie, szykując się do rozstrzygającego starcia. Każdy miał swój stopień, godność i niebiańską broń, każdy też winien był wypełnić określoną misję, poprzedzającą ostateczną rebelię. Gdy wszystko już było gotowe, Lucyfer z zadowoleniem spojrzął na uskrzydłone zastępy. Po raz ostami zażądał od Wszechmocnego, by podzielił się z nim władzą, a wobec milczenia Boga wypowiedział mu wojnę. Cały świat zapłonął, gwiazdy rozpały się tysiącem barw, pożar ogarnął całą przestrzeń - bo nadszedł Czas.*

- *Boska Komedia*? Cóż ona ma z tym wspólnego? Francesco Loredan odrzucił połę podbijanej gronostajami szaty. Jego berło lekko drżało.

- To klucz, Wasza Wysokość - odparł Pietro. - Nić łącząca oba morderstwa. Powiedzmy, że są... wzorowane na *Piekle* Dantego. Ktoś sobie z nas szydzi.

Emilio Vindicati wychylił się w stronę rozmówców.

- To bardzo ważne odkrycie, Wasza Wysokość, choć prawdopodobnie wcale nieprzypadkowe. Argumenty Pietra są wystarczająco silne. Teraz mamy już pewność, że naszym przeciwnikiem jest diaboliczny człowiek albo organizacja. Problem jest poważny. Jeżeli przestępca będzie działał zgodnie z planem, jaki wydaje się nam prawdopodobny, należy liczyć się z najgorszym. Chimera zabawia się, podsuwając nam elementy szarady, którą układa. Zabójczej szarady. Dziewięć kręgów... dziewięć zabójstw?

Doża aż krzyknął:

- Chce pan powiedzieć, że możemy się spodziewać siedmiu kolejnych morderstw?

Pietro zmarszczył brwi.

- Właśnie tego się obawiam. Francesco Loredan ukrył twarz w dłoniach.

- To nie do pomyślenia.

Zapadła cisza. Po chwili przerwał ją Emilio.

- Niebezpieczeństwo, którego się obawialiśmy, stało się oczywiste, ale przynajmniej coś już wiemy. Jeżeli Giovanni Campioni mówi prawdę i jeżeli mamy do czynienia ze spiskiem, idę o zakład, że jest on równie dobrze zorganizowany jak ten, który niegdyś rozbiło Dziesięciu, gdy Bedmar szykował się do splądrowania Wenecji. I to przy wsparciu obcych. Nie mamy pewności, czy ów Minos, który pojawił się w manufakturze Spadettiego, nie jest emisariuszem potęgi pragnącej naszej zguby. W przeszłości zdarzały się takie próby, Wasza Wysokość! I to za czasów, kiedy Republika była silniejsza niż dziś. Campioni wcale nie wyklucza takiej hipotezy. Proszę nie zapominać, że *Komedia* Dantego zawierała także ostrą krytykę znamienitych polityków florenckich.

- Florentyńczycy to co innego! Jesteśmy w Wenecji!

- Ale mechanizm może być taki sam. Zarzuca się Wenecji rozkład polityczny. Powtarzam: ktoś z nas drwi, używając obrazów równie wymownych, jak eliminacja przeszkadzających mu ludzi, którzy już za dużo wiedzą.

- Ale kto to taki? Obca potęga? Przecież to się nie trzyma kupy! - powiedział Loredan. - Co prawda w relacjach z sąsiadami zdarzają się pewne napięcia, ale los Wenecji zawsze był taki! Nie jesteśmy jak niegdyś rozdarci między dwa imperia, nie borykamy się z poważnymi problemami wewnętrznymi! Prawdę mówiąc, sytuacja jest całkiem dobra... i tak musi zostać! Za tydzień spodziewamy się tu nowego ambasadora Francji. To ogromnie ważne, by powitanie odbyło się w jak najlepszej atmosferze. Do tego czasu musimy uporać się z naszym problemem. Nie dopuszczam do siebie myśli, że Wenecja mogłaby żyć w ciągłym strachu. Emilio, proszę mi powiedzieć, kto z zewnątrz mógłby z taką skutecznością i wyrafinowaniem siać tu chaos? Turcy, Austriacy, Anglicy? Nie chce mi się w to wierzyć!

- Jest tylko jeden klucz do tej zagadki - wtrącił Pietro. - Ten klucz nazywa się Ogniste Ptaki. Musimy ustalić, kto nimi kieruje. Przekazałem panom wiadomość otrzymaną od Campioniego. Twierdzi, że spotkanie sekty odbędzie się na ładzie, w Mestre. Dziś wieczorem. Udam się tam.

Znów zapadła cisza.

- To może być zasadzka - odezwał się w końcu Vindicati.

- Gdyby tak się stało, zyskalibyście pewność co do charakteru przeciwnika. A zakładając, że wydarzy się coś złego, tracicie tylko mnie, więźnia Republiki, prawda...?

Emilio zwrócił oczy na dożę.

- Czy zdecydujemy się już teraz podziękować panu Viravolcie de Lansalt, Wasza Wysokość? Chociaż przyznajmy, że nie brak mu zapału ani odwagi. W innych okolicznościach mogłoby to nawet wydać się podejrzane.

- Uznaję to za kwestię honoru, Wasza Wysokość - wtrącił Pietro. - Jestem podobny do pana, nie lubię, kiedy ktoś mnie poniża. Nie potrafię ani na chwilę oderwać myśli od tych morderstw. Giovanni Campioni wciąż jeszcze zataja przed nami pewne informacje. Gdybym wpadł w pułapkę, to tylko zastawioną przez niego. Zostałby zdemaskowany. Jeśli oczywiście i on nie padł ofiarą odrażającego szantażu... Ale cóż... nie wiemy, jak działa organizacja naszego wroga, a na razie Campioni wydaje się szczery, czego nie mógłbym powiedzieć o innych. Proszę tylko postarać się zdobyć jak najwięcej informacji o nim i kontynuować przesłuchania Spadettiego z Murano. Może, jak sam twierdzi, jest niewinny, przypuszczam jednak, iż ktoś wywiera na niego presję i zabrania mu mówić.

Ponownie zaległa cisza.

- Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale czas nagli - powiedział Loredan. - Francuski emisariusz jest w drodze, za miesiąc święto Wniebowstąpienia i karnawał znów zaczniesz się w najlepsze. Nie możemy psuć świąt ani dopuścić, żeby tętniące życiem miasto stało się teatrem kolejnych tragedii.

- Wyślę ludzi na stały ład. Będą ci towarzyszyć - Emilio zwrócił się do Viravolty. - Może to okazja, żeby im pokazać, że wykryliśmy spisek. I być może to ich powstrzyma.

Pietro pokiwał głową.

- Wierzy pan w to, *Messer!* Nie. To zbyt niebezpieczne. Nie możemy podejmować ryzyka. Nie wiemy nawet, jakie zgromadzą się tam siły, nie znamy twarzy wroga. Atak na oślepe to najgorsza metoda - możemy w ten sposób sprowokować ich do szybszego działania. Potrzebujecie rekonesansu. Musi poprzedzać wszelkie późniejsze działania, już precyzyjnie zaplanowane. Jeżeli zdołam zdobyć informacje o tożsamości tych morderców, zyskamy przewagę, zwłaszcza że wciąż jeszcze czują się bezpieczni. Dodam, że nie ufam żadnemu z waszych agentów. Trzeba mi tylko dwóch koni, dla mnie i dla Landretta. Do tego spokojnej eskorty do obrzeży Mestre. To wszystko.

- To istne szaleństwo - powiedział doża.

- Któż lepiej zrozumie szaleńca niż jeszcze większy szaleniec - uśmiechnął się Pietro.

\*

Opuszczając Salę Kolegium, w której przyjęli ich doża, Emilio chwycił Pietra za rękaw i wciągnął do sąsiedniej sali. Senat zbierał się w soboty, a była środa, więc nikogo tam nie było. Tu rozstrzygały się najtrudniejsze problemy weneckiej dyplomacji. Tu zazwyczaj zasiadał Giovanni Campioni, a może również niektórzy potajemni członkowie stowarzyszenia Ognistych Ptaków. Emilio i Viravolta znaleźli się sami w tym barokowym wnętrzu, którego ogrom i bogaty wystrój wzmagaly poczucie osamotnienia przed ciężką walką, jaką obaj dziś przeczuwali. Nad ich głowami, wysoko, rozpościerał się przeładowany zdobieniami plafon, na którego środku królował fresk Tintoretta, *Wenecja przyjmująca dary morza*. Emilio położył dłoń na ramieniu Pietra i spojrzał na niego ze szczerą troską.

- Dziś wieczorem ryzykujesz życie.

- My wszyscy ryzykujemy znacznie więcej. Nie tylko ja, ale cała Wenecja ryzykuje utratę wolności.

- Muszę ci o czymś powiedzieć. Doża wspominał o nowym ambasadorze Francji, który przybywa w przyszłym tygodniu. Prosił mnie, bym czuwał nad jego bezpieczeństwem i godnie go podjął. W tej sytuacji będę zmuszony wykazać ogromną ostrożność, jak sam się domyślasz. I nie tylko po to, aby ukryć przed nim to, co dzieje się teraz w Wenecji, ale także, żeby mieć pewność, że nic mu się nie stanie. Jestem gotów na wszystko.

- Jutro dowiemy się więcej o naszych wrogach, obiecuję ci to. Może zaczniemy działać trochę po omacku, ale na pewno sprawa ruszy z miejsca.

- Eskorta i konie będą na ciebie czekać za dwie godziny przed pałacem. Bądź gotów.

Pietro odchylił połę płaszcza, jedną dłoń kładąc na rękojeści szpady, drugą na pistoletach na proch, które nosił za pasem.

- Ręczę, Wasza Wielmożność, szacowny przedstawicielu Rady Dziesięciu, że już jestem gotów.

I uśmiechnął się.

- Tego wieczoru Czarna Orchidea będzie obserwować ptaki.

PIEŚŃ VIII

**Dziewięć Kręgów**

*Ptaki zlecą się jutro w komplecie do swej woliery. Aby je podziwiać, musi się Pan udać na stały łąd, do willi Mora w Mestre. Rezydencja jest w ruinie, ale to idealna kryjówka, by grzać się razem przy wielkim ogniu i powierzać sobie drobne tajemnice. Uwaga jak podczas karnawału, obowiązują kostiumy.*

G.C.

- Czarna Orchidea to pan?

- Tak.

- Zatem ruszajmy. Już zmierzcha.

Zgodnie z umową eskorta odprowadziła Pietra i jego lokaja na łąd; od obrzeży miasta Mestre pojechali już sami, jednak ludzie Emilia na razie się nie oddalali. Ustalono, że pozostaną w pobliżu do powrotu Pietra, gdyby zaś nie pojawił się do świtu, natychmiast powiadomią dożę i Vindicatiego.

Wenecjanie od lat szukali na łądzie miejsca ucieczki przed otoczonym wodą miastem. Mnożyły się wiejskie rezydencje, czasem nawet całe rodziny opuszczały lagunę, by zasmakować nowego życia w rozległych posiadłościach ziemskich, albo spędzały tam ostatnie dni tygodnia, biesiadując z przyjaciółmi w willi, gdzie łatwiej było nabrać sił. Bawiono się, wydawano bale i bankiety, cieszący się wspaniałymi ogrodami i spacerami po lasach i łąkach. Posiadanie domu na łądzie stało się istną obsesją szlachty. Pietro i Vindicati zastanawiali się, do kogo należy owa willa Mora, o której mówił Campioni, bo znajomość nazwiska właściciela ułatwiłaby im działanie, jednak i tym razem nie zdołali przeniknąć tajemnicy. Domostwo to nie było celem cotygodniowych wypraw żadnego z członków rządu, ale ruina, na którą od lat nie udało się znaleźć nabywcy.

O zmroku Pietro i jego lokaj znaleźli się w pobliżu willi, na pograniczu Mestre i sąsiedniej równiny, tu i ówdzie łagodnie pofałdowanej. Znów się ochłodziło, a Viravolta miał wrażenie, że od tamtej gwałtownej burzy nad San Giorgio klimat wyraźnie się rozregulował. Zsiadł z konia, to samo uczynił Landretto. Z miejsca, w którym się zatrzymali, widać było wałący się dach i park otoczony ciemnym masywem drzew, zarośnięty kolczastymi krzewami i ostami. Wokół willi biegł murek, pełen szczelin i na pół zburzony. Robiło się coraz ciemniej, a mgła, niemal tak gęsta, jak podczas ich podróży do Murano, spowijała ziemię. Napływająca z nad laguny, pędzona przez wiatr, czasem wznosząca się jakby z trzewi ziemi, snuła się pasami, falowała wokół ruin fontanny, wyschniętych sadzawek i szczątków kolumn. Pietra przebiegł dreszcz. Trudno było się dziwić, że Ogniste Ptaki obrały sobie za kryjówkę właśnie takie miejsce - spękane ściany, zaniedbany ogród, zniszczona brama, po której zostało tylko jedno skrzydło - wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie. Nieustanne ujadanie sfory psów dobiegało z oddali, pogłębiając posępną atmosferę. Szpalery wyprężonych cyprysów i cisów otaczały ten smętny skrawek ziemi niczym nagrobne stele. Zresztą kilkadziesiąt metrów od willi znajdował się cmentarz, niczym las krzyży odcinający się na tle nieba, upstrzonego miriadami białych iskierek. Krzyże wznosiły się jak dłonie błagające o spokój nocy, która miała je wkrótce spowić.

- U Contarinich byłoby nam lepiej - mruknął Landretto.

Viravolta uderzył obcasem w kępę gęstej trawy, aby oczyścić buty z grudek ziemi. Sprawdzał oba pistolety na proch, które nosił za pasem, i zerknął na szpadę, a potem zakrył broń czarną

peleryną. Za drzewem, którego wędnące liście szeleściły w ciemnościach, byli bezpieczni. Spoglądając na willę, Pietro zmarszczył brwi.

- Wkrótce, jeżeli księżyc nie przyjdzie nam z pomocą, niczego stąd nie zobaczymy. Kiedy zapadnie noc, podejść trochę bliżej. Zabierzesz stąd konie, ale nie za daleko, Landretto. Gdybyśmy musieli szybko się wynosić, chciałbym znaleźć cię bez problemu. Widzisz tamte pagórki? Tam się spotkamy. Wiesz, co masz robić, jeżeli świt nastanie przed moim powrotem.

- Tak, panie.

Czekali jeszcze przez jakiś czas. Wydawało się, że świat zaludniły duchy. Łatwo było wyobrazić sobie chmary jęczących zjaw, które wyłaniały się z grobów, aby błąkać się po okolicy pośród zlewającego się ze świstem wiatru szczęku łańcuchów. Błady rogal księżyc wyłaniał się co jakiś czas zza chmur, by już wkrótce znowu za nimi zniknąć. Około dziewiątej Pietro i Landretto rozstali się. Lokaj zabrał konie na wzgórze, a Viravolta dyskretnie zbliżył się do murku otaczającego willę i tam czuwał. Tylko jego oczy lśniły w ciemnościach. Niezwykle czujny, nie pozwolił sobie na chwilę dekoncentracji. Zresztą ostatnie wydarzenia i tak nie dawały mu spokoju. Myślał o Dantem, o grawiurach, które oglądał, o potępieńcach w piekielnych odmętach, o wyciu skazanych na wieczne męki, o Marcellu Torretone i księdzu Caffellim, których łączył wspólny sekret... Potem ujrzał twarz kurtyzany, Luciany Saliestri, i senatora przerażonego wzmianką o Chimerze... Wreszcie stanęła przed nim Anna Santamaria, Anna, którą ujrzał w Mercerii, i ten obraz był jak ukłucie w sercu, bo towarzyszyły mu gorycz i niepewność, jak się zachować... Rozmyślał tak, klęcząc pod cisami.

Dwie godziny później nadal snuł rozważania, wciąż słyszał szum wiatru, ale nic się nie wydarzyło. Robiło się coraz zimniej. Psy ucichły, ptaki zapadły w sen. Nieco znużony, Pietro przeciągnął się i przysiadł za murkiem. Zaczynał myśleć, że padł ofiarą złośliwego żartu. Czy ma tak czekać aż do brzasku? Właśnie w chwili, kiedy nieco rozgoryczony na serio rozważał taką ewentualność, coś usłyszał. Ukląkł, wysunął głowę ponad mur i zerknął.

Kroki. Tak, to był odgłos kroków na wilgotnej ziemi. Zapłonęła pochodnia.

Pietro znów się ożywił.

Pochodnia przesuwiała się kilka metrów przed nim, parkową alejką między szpalerami krzewów. Wydawało się, że unosi się sama. Po kilku sekundach znieruchomiła. Płomień strzelał ku niebu. Pietro zobaczył zakapturzoną postać, która zdawała się patrzeć w drugą stronę. Po chwili tajemniczy przybysz ruszył, przeszedł nieco dalej i znów stanął. Skinął głową. Zapłonęła druga pochodnia.

Pietro wiódł oczyma za dwiema sylwetkami. Widział wyraźnie, jak zbliżają się do ruin bramy, tuż za jedną z ogrodowych fontann. Zapewne niegdyś było to wejście do parku przed willą. Nieoczekiwanie pochodnie zniżyły się, stopniowo opuszczane. Zgasły tak nagle, że Pietro nie był już pewien, czy nie padł ofiarą złudzenia. Usiadł. Czy to możliwe, żeby ta brama kryła potajemne przejście, jakiś podziemny korytarz? Musiał to sprawdzić. Jego cierpliwość nie została wystawiona na długą próbę, bo po pięciu minutach pojawiła się następna pochodnia. I rozegrała się identyczna scena. Nowo przybyły przeszedł kilka kroków, spotkał się z kimś, a potem razem zniknęli w ruinach. Ogniste Ptaki zlatywały się parami, w równych odstępach, by udać się na miejsce zgromadzenia.

Dobrze... Pora włączyć się do gry, pomyślał Pietro.

Odczekał chwilę, szybko przeskoczył przez murek i prześliznął się do miejsca, w którym zauważył pierwszą pochodnię. Nie ruszał się. Jak się spodziewał, wkrótce usłyszał kroki w alejce i zauważył jakąś postać, która zbliżyła się do niego i stanęła. Była zakapturzoną, ubrana w burkę przypominającą zakonny habit i przepasaną białym sznurem. Jakiś głos szepnął niepewnie:

- Gdy lew ryczy tak głośno...

Pietro zmrużył oczy. Bezwiednie położył dłoń na rękojeści szpady, gotów dobyć ją z pochwy, gdyby jednak tamten okazał się szybszy, mógłby zaalarmować kompanów.

- Gdy lew ryczy tak głośno...? - powtórzył nerwowo członek sekty.

Hasło. To było ich hasło. Człowiek zapalił pochodnię, by zobaczyć twarz rozmówcy. W tej samej chwili osłonięta rękawiczką pięść Pietra uderzyła go w twarz.

Zanim zdążył krzyknąć, Pietro wymierzył jeszcze jeden, ogłuszający cios. Viravolta nasłuchiwał - wokół panowała niezmacona cisza. Wystarczyło mu kilka sekund, żeby zawlec nieprzytomnego mężczyznę w krzaki, ściągnąć z niego burkę i solidnie przywiązać jego własnym sznurem do fontanny. Okrył go peleryną, uprzednio kneblując mu usta chustką. Twarz mężczyzny, z którym się rozprawił, była mu nieznana. Pietro włożył burkę i wrócił do alejki, starając się jak najlepiej ukryć szpadę pod tą nową szatą. Zarzucił na głowę kaptur i podniósł leżącą na ziemi pochodnię. Potem ruszył alejką.

Gdy zbliżał się do bramy, rozbłysła druga pochodnia. Pietro przełknął ślinę. Miał suche wargi. Teraz musiał improwizować.

- Gdy lew ryczy tak głośno... - wyszeptał.

- Niestraszna mu śmierć - odparł tamten.

Pietro ruszył w stronę bramy wraz z innym „uczniem”.

Bez większego zaskoczenia spojrział na wiodące w dół wąskie, kamienne schody, ukryte między łukiem bramy a kolumnadą. Przez moment szedł za swoim nowym kompanem, starając się, by nie zdradził go zbyt nerwowy oddech. Wkrótce został zupełnie sam. Dwukrotnie zakręcające schody wiodły do sali oświetlonej pochodniami. Pietro stłumił okrzyk. Sala była dość duża, wyglądała na starą rodową kryptę. W alkowie ujrzał rzeźbę na sarkofagu - pokrytą kurzem, wykutą w marmurze. Zmarłego przedstawiono jako mężczyznę ze złożonymi rękami i szpadą u boku. Inne kamienie nagrobne upodobały to miejsce do katakumb. W wilgotnym pomieszczeniu tu i ówdzie połyskiwały gęste firany pajęczyn. Sklepienie podtrzymywało sześć kolumn. Przerdzewiała żelazna krata zamykała dostęp do drugiej klatki schodowej, teraz zamurowanej od zewnątrz, a niegdyś wiodącej zapewne w inny zakątek ogrodu czy może na cmentarz, który Pietro widział za willą Mora. W katakumbach byli już ci, którzy przybyli tu przed Pięciem i jego kompanem. Witali się w milczeniu, skinieniem głowy, następnie zajmowali miejsca na drewnianych ławach, ustawionych w dwóch szeregach, jak w kościele. Pietro usiadł na skraju jednej z nich i splótłszy ręce, czekał. W głębi wzniesiono ołtarz, obok, na pulpicie, leżała księga. Purpurowe zasłony wisiały na ścianie. Na posadzce widniał duży pentagram pełen niezrozumiałych znaków, wyrysowanych kredą. Ale uwagę Pietra zwróciły wiszące po bokach obrazy. *Inskrypcja na Bramie*, ukazująca dwie postacie u progu zaświetłów, natychmiast skojarzyła mu się z Bramą Piekieł, którą widział w książce w zbiorach Vicaria. *Świętokupstwo papieża* przedstawiało człowieka w kotle, z którego buchał ogień, i lawinę czarnych, ostrych skał. Pietro zauważył, że malarz

nadał papieżowi rysy Francesca Loredana. Doża wystawiony na takie zniewagi! Pietro uznał, że ta aluzja jest dość niesmaczna... Dalej Charon wioził potępieńców łodzią do świata wiecznych burz. *Strzygi i Hordy demonów* - wyobrażenie Ognistych Ptaków - otaczały Wergiliusza na skraju przepaści, łopocząc skrzydłami jak u nietoperzy.

W sumie obrazów było dziewięć.

Tak, to naprawdę piekło, pomyślał Viravolta.

Pomieszczenie stopniowo wypełniało się nowymi zjawami.

Wkrótce było ich tu około pięćdziesięciu. Przybywały w grupach po trzy lub cztery i w coraz krótszych odstępach czasu. Słysząc było szepty i szelest tkanin. Każda grupa zostawiała pochodnie i wewnątrz robiło się coraz widniej. Zdenerwowany Pietro nie śmiał drgnąć. Wolał też nie wyobrażać sobie, co się stanie, jeśli ci ludzie go zdemaskują. Napięcie słabło, w miarę jak malało poruszenie, aż w końcu wszystkie Ogniste Ptaki zasiadły sztywno na ławach. Zapadła cisza, która trwała bardzo długo, wszystkie twarze zwróciły się w stronę pustego jeszcze ołtarza. Nikt nie zrzucił kaptura. Co właściwie robią? - zastanawiał się Pietro. Czy się modlą, czy na kogoś czekają?

Wkrótce uzyskał odpowiedź.

Bo władczy Ciebie już tu był.

Nadszedł sam, odziany jak inni, ale ze złotym medalionem na piersi. Pietro zdążył zauważyć, że widnieje na nim pentagram z pereł i odwrócony krzyż. Il Diavolo, Diabeł, Chimera - przeszedł między rzędami ławek. Wtedy, niczym fala, od ostatniego po pierwszy szereg, wszyscy sataniści padli na kolana. Pietro z lekkim opóźnieniem poszedł w ich ślady. Przybył jako jeden z pierwszych i znalazł się dość blisko ołtarza, za którym stanął jego wróg. Gdyby przyszło mu biec do schodów wiodących do wyjścia, musiałby pokonać pół sali. Ta myśl nie dodała mu otuchy, jednak wybierając inne miejsce, wzbudziłby podejrzenia. Czekał jeszcze, wsłuchany w miarowy, zgodny oddech wpatrzonych w Mistrza ludzi. Wszystko to przypominało koszmar, chociaż w innych okolicznościach Pietro obserwowałby to zgromadzenie i scenografię z jadowitą ironią. Niełatwo było go przestraszyć, mimo to przebiegł go dreszcz, gdy tajemniczy Mistrz przeszedł tuż obok niego. Krag się zamknął. Teraz Viravolcie pozostało już tylko uczestniczyć w niezwyklej ceremonii, nie zwracając na siebie uwagi. Przed oczyma stanął mu Emilio. Pomyślał, że postąpił jak głupiec, nie godząc się na wsparcie tajnej policji Rady, której niespodziewane przybycie pozwoliłoby na ujęcie tej bandy szaleńców za jednym zamachem. Ale przecież tu także zgromadziła się niewielka armia, która mogłaby wybić polujących na nią zbrojnych.

Cień poprosił zebranych o powstanie. Celebrans podał mu kurczaka, którego wziął nie wiedzieć skąd. Błysnęło ostrze sztyletu. Cień wprawnym gestem poderżnął kurczakowi gardło, stojąc tuż nad wyrysowanym kredą pentagramem. Ptak wydał z siebie zdławiony głos. Krew trysnęła na pentagram, potem na ołtarz. Il Diavolo napełnił nią kielich, który uniósł do ust. Ta ezoteryczna maskarada miała w sobie coś złowieszczonego. „Karnawał”, napisał w swoim liściku senator Campioni. Ale karnawał śmierci. Czy to możliwe, aby pod ciemnymi kapturami kryli się także najwyżsi dygnitarze Wenecji? Czy trwała tu tragiczna gra, której oddawali się zepsuci przedstawiciele szlachty, gotowi dopuścić się wszelkiego zła, najpodlejszego spisku, byle tylko rozproszyć nudę? Nie, trudno było w to uwierzyć. A jednak Pietro nie mógł zapomnieć przerażenia księdza Caffellego, a także senatora.



Nagle głos - głos Chimery, głęboki, jakby dobiegający z grobu - przerwał ciszę.  
Mistrz ceremonii podszedł do pulpitu, na którym leżała książka.

*W trzecim, wieczystych dżdżów, stanąłem kole:  
Deszcz chłodny, ciężki, ciągły i przeklęty  
Wciąż jedną modłą siecze, żga i kole.  
Śnieg, brudna woda i grad w bryły ścięty  
Walą się strugą na ów kraj ucisku;  
Cuchnie skroś ziemia, brzydkie ssąca męty.  
Cerber, zwierz dziki o potrójnym pysku,  
Warczy i szczeka, i jak pies się dąsa  
Na lud w okropnym pławiony bagnisku.  
Wzrok toczy krwawy, czarne kudły wstrząsa,  
Kłęb ma wydęty i szponiaste ręce;  
Drze pazurami i targa, i kąsa.  
Od deszczu, jak psi, w ciągłej wyją męce... .*

Il Diavolo czytał jeszcze przez chwilę, potem przerwał, podszedł do ołtarza, uniósł ręce i rzekł:  
- Jak niegdyś poeta przepowiadał właśnie we Florencji, tak ja powiadam wam, że nadchodzi one do Wenecji i że to wy będziecie ich najzacieklejszymi siewcami. Powiadam wam, że ksiązę Francesco Loredan zasługuje na śmierć i że on także zostanie pożarty. Nakazuję wam, abyście nie zapomnieli, czym była dawniej Republika, gdyż dzięki temu lepiej zrozumiecie, czym jest dziś: gniazdem grzechu i korupcji. Wkrótce rzucimy ją na kolana, a potem przywrócimy jej złoty wiek. Odzyskamy panowanie na morzach. Nasza władza będzie zupełnie nowa, sroga wobec świata, zdolna narzucić swą przewagę, jak dawniej władza Imperium nad koloniami, faktoriami i osadami aż po granice znanego świata... Zalejemy lagunę bogactwem, jakiego jest godna, ocalimy naszych ubogich, wzmocnimy armię. Siłą naszej władzy będą minione wieki i zaciekłość naszej walki. A wy, moje Strzygi, staniecie się harpiami i furiami, rozbiegniecie się po całym mieście, aż na ruinach starego świata zrodzi się nowy porządek, ten, o który się modlimy.

- *Ave Satani* - zakrzyknęli chórem zebrani.

Pietro o mało nie wybuchnął śmiechem. Stłumił go i tylko odkaslnął. Jeden z członków sekty spojrział na niego. Czy i Cień zauważył to poruszenie? Ogarnięty niejasnym przeczuciem, przelotnie spojrział na Viravolte. Pietro wyprężył się, ale pod kapturem wroga widział tylko czarną dziurę, pustkę. Wkrótce zaczęła się niesamowita procesja - sataniści jeden po drugim klękali przed ołtarzem, pośrodku pentagramu, żeby złożyć przysięgę.

Pietro skłonił głowę.

- Nadaję ci imię Semiaza od Serafinów Otchłani - mówił Cień, kreśląc popiołem odwrócony krzyż na czole ucznia, nie zdejmując mu kaptura. - Nadaję ci imię Chochariel od Cherubinów Otchłani, z zastępu Pythona-Luzbela. Ty będziesz nazywał się Anatnah od Tronów, których wodzem jest Belial.

Pietro musiał iść za innymi. A oni kolejno klękali. Zwiłzył usta czubkiem języka. Czy uda mu się zobaczyć twarz człowieka, który kryje się pod tym ciemnym kapturem? Teraz miał okazję, ale sam również mógł zostać zdemaskowany. Zaciśnął pięść - jego dłoń w rękawiczce była spocona. Miał też inny problem: przeszkadzała mu ukryta pod peleryną szpada. Obawiał się, że klęcząc, może ją odsłonić. Ostrożnie rozwiązał sznur w pasie.

- Alkanorze od Władców Otchłani, twoim wodzem będzie Szatan; Amanielu i Ranerze, Moce, służyć będziecie Asmodeuszowi... Amalinie, podążysz za Abaddonem od Cnót Otchłani...Pietro nic z tego nie rozumiał, jednak zbliżał się do ołtarza.

- Sbarionath od Księstw i Golem od Archaniołów, w imię Astaro tha...

To niewiarygodne, to jakaś farsa, mistyfikacja...

Wreszcie znalazł się twarzą w twarz z przywódcą sekty. Jedną rękę opuścił, przytrzymując z boku burkę. Zapewne klękał dość niezgrabnie, bo Cień na moment zamilkł. Na szczęście pochwa szpady nie brzęknęła o posadzkę. Pietro znalazł się w środku pentagramu. Najpierw spojrzął na kabalistyczne symbole, potem uniósł twarz. Patrzyli na siebie z tak bliska, obaj ukryci pod kapturem. Pietro nie zdołał zobaczyć rysów twarzy Il Diavolo, tamten nie widział jego twarzy. Ręka Cienia dotknęła czoła Pietra, a on zastanawiał się, czy poczuje, że jest wilgotne od potu. I rzeczywiście, palec Mistrza nieco dłużej, niżby należało, przesunął się po jego czole. Pietro zachował zimną krew, a jednak czuł zlewający go pot. Nagle ogarnęło go przerażające wrażenie, że mistrz go czuje, obwąchuje, jak dzikie zwierzę węszy ofiarę, zanim się na nią rzuci. Ten stojący nad nim gigant miał w sobie coś zwierzęcego, coś z okrutnej bestii. I ten głos... przez moment miał wrażenie, że i w nim nie ma nic ludzkiego.

Wreszcie palec Diabła nakreślił na jego czole odwrócony krzyż.

- Będziesz Elafonem, Aniołem z Otchłani, a twym mistrzem będzie Lucyfer...

Pietro wstał wolno, aby żaden gest go nie zdradził. Odwrócił się i wykorzystał ogólne poruszenie, żeby usiąść nie na dawnym miejscu, w pobliżu ołtarza, ale na końcu sali, tuż obok schodów. Im bliżej był wyjścia, tym większą czuł ulgę. Wprawdzie spotkanie jeszcze nie dobiegało końca, ale nie chciał dłużej tu przesiadywać. Szaleństwem było zapuszczanie się w pojedynkę do tego gniazda os. Teraz musiał dyskretnie się wymknąć i jak najszybciej powiedzieć Vindicatiemu, co się tu działo. Zastanawiał się tylko, czy Emilio jest na tyle szalony, żeby mu uwierzyć. Tymczasem Cień znów stanął przy ołtarzu i wznosił ręce.

- A teraz, moje Anioły, moje demony, moje Ogniste Ptaki, rozbiegnijcie się po Wenecji i bądźcie gotowi odpowiedzieć na wezwanie, gdy usłyszycie huk dzia! Jednak przedtem...

Pietra dzieliło od schodów zaledwie kilka kroków - kilka kroków od wolności.

- Przedtem podziękujcie wraz ze mną naszemu gościowi za to, że był wśród nas dzisiaj wieczoru. To znamienity gość, przyjaciele... Jest bowiem z nami jeden z najlepszych szermierzy w kraju...

Pietro odwrócił się.

- Powitajcie Czarną Orchideę! Viravolta zmarł, przerażony.

Było już za późno, żeby się cofnąć do jednej z ławek.

Stał tak może przez sekundę, wsłuchany w narastający gwar. Kaptury rozglądały się podejrzliwie, szukając wskazówki, znaku, wyjaśnienia. Cień śmiał się długim, nieprzerwanym śmiechem, który w tym wnętrzu brzmiał groteskowo. Pietro z wolna się odwrócił. Teraz Chimera wskazał go palcem.

Pięćdziesiąt par oczu spojrzało tam, gdzie kazał Mistrz.

- To oszust, przyjaciele... Łapcie go! Wiedziałem, że to się źle skończy.

Pod kapturem usta Pietra wykrzywiły się w złym uśmiechu. Przez krótką chwilę nic się nie działo... potem rycerze Apokalipsy jak jeden mąż rzucili się ku niemu. Pietro błyskawicznie uniósł burkę i wyciągnął dwa pistolety zza pasa. Kaptur zsunął mu się z głowy, odsłaniając twarz. Nadszedł czas przekonać się, czy demony są śmiertelne. Dwa wystrzały, zapach prochu w powietrzu, i oto dwaj napastnicy z jękiem osunęli się na ziemię, gdy mieli już runąć na Viravoltę. Zgiełk przerodził się w gniewny pomruk, teraz wszyscy próbowali schwytać Pietra. Ten odwrócił się i wbiegł na schody. Przeskakując po cztery stopnie, zrzucił burkę i cisnął ją na głowę jednego z satanistów. Na zewnątrz dwa Ogniste Ptaki stały na warcie. Pietro odepchnął spiskowców, a ci, zaskoczeni, stracili równowagę i wpadli - jeden na arkady, drugi na ścianę u wylotu schodów. Pietro bez wahania pędził przez ogród na wschód. Przeskoczył murek; Ogniste Ptaki wciąż go ścigały.

Błyskawicznie skręcił w stronę wzgórza, na którym miał czekać Landretto.

Lokaj drzemał pod cisem, przykryty derką.

- Landretto! - krzyknął Pietro. - Zlituj się, Landretto, musimy uciekać!

Przeżaszony lokaj natychmiast odrzucił derkę i podbiegł do koni. Pietro wspinał się po zboczu, a za nim, jak rozjuszona sfera, pędziła istna armia, wroga horda z bronią i pochodniami. Landretto nie wierzył własnym oczom. Przez chwilę wydawało mu się, że ta scena to dowód powrotu zmarłych na ziemię i że właśnie teraz, wyszedłszy z grobów, ścigają Pietra swymi czarami i gniewem. Lokaj przytrzymał konia Viravolty za cugle, równocześnie uspokajając własnego, który kręcił się w kółko i rżał, spłoszony. W końcu Pietro w biegu wskoczył na grzbiet rumaka i spiął go, zmuszając do galopu.

Viravolta i Landretto uciekali, a spod kopyt ich koni leciały kępy trawy i grudki ziemi. Ta gonitwa wśród nocy tiwała do spotkania z eskortą Vindicatiego u bram miasta Mestre. Pietro polecił ludziom Emilia, by podążyli za nim. Nie tracił czasu na wyjaśnienia, zwłaszcza że eskorta nie była dość silna, by stawić czoło Ognistym Ptakom, gdyby tym udało się ich dogonić. Dlatego w drodze do Wenecji nie oszczędzali koni. Pietro od bardzo dawna nie znalazł się w takiej sytuacji i teraz przypomniał sobie, jak służąc Republice na Korfu, musiał odeprzeć gwałtowny atak hordy chłopów, którzy ze strzelbami i widłami zeszli z gór. I wcale nie zależało mu, aby i ten wieczór tak mocno wrył mu się w pamięć. Galopując do Republiki, mimo woli myślał o potężnej, mrocznej sylwetce Il Diavolo i tym głosie z zaświatów.

*Vexilla regis prodeunt inferni.*

Aniołowie Cienia krążyli po Wenecji.

PIEŚŃ IX

**Obżarstwo**

Książka głucho uderzyła o blat biurka. Pietro poślinił palec i zaczął przerzucać kartki, szukając interesującego go fragmentu.

- Terminy „diabeł” i „demon” zostały wprowadzone przez tłumaczy Biblii między trzecim a pierwszym wiekiem przed Chrystusem, w greckim przekładzie zwanym Septuagintą - powiedział. - Informacje te przekazał nam Egipcjanin, Pseudo-Arysteasz, w liście do brata, Filadelfosa, pragnącego wzbogacić bibliotekę prawodawstwa hebrajskiego. Tenże Filadelfos napisał do kapłana Eleazara, prosząc o pomoc w znalezieniu dobrych tłumaczy, i wybrano siedemdziesięciu dwóch Izraelitów, którzy mieli wykonać zadanie. Kapłan wysłał ich do Egiptu, dając każdemu egzemplarz Tory wypisanej złotymi literami. Po siedemdziesięciu dwóch dniach zakończyli pracę w pustelni na wyspie Faros. Legenda głosi, że byli zamknięci w oddzielnych celach, a mimo to ich przekłady okazały się identyczne... Sam Bóg musiał prowadzić rękę każdego z nich... Daimon, wielki siewca niezgody, znawca wszystkiego na miarę antycznych wizji sokratejskich, wciąż inspirował prace teologiczne i ezoteryczne. W literaturze apokryficznej także pojawiał się często, a autorzy zawłaszczali imiona dawnych patriarchów - Henocha, Abrahama, Salomona, Mojżesza - aby łatwiej dotrzeć do czytelników. Wielu erudytów tworzyło hierarchie tradycyjnej demonologii. Najstarszą z nich opracował Michel Psellus, który w roku tysiąc pięćdziesiątym wyodrębnił sześć kategorii demonów, za podstawę przyjmując miejsca, które owe demony miały opanować. Inni wymyślali niezwykle diabelskie monarchie, nadając imiona siedemdziesięciu dwu księżętom i siedmiu milionom czterystu pięćdziesięciu tysiącom dziewięciuset dwudziestu sześciu diabłom, podzielonym na legiony po sześćset sześćdziesiąt sześć diabłów, zgodnie z przepowiednią Apokalipsy.

Doża w zdumieniu wpatrywał się w księgę. Pietro obrócił manuskrypt, aby Jego Wysokości łatwiej było czytać.

- Oto imiona, które usłyszałem. Il Diavolo czerpie inspirację nie tylko z *Boskiej Komedii*. Zabawia się, naśladując także księgę Raziela *Siły Zła*. Jest to traktat demonologiczny, dość popularny u schyłku średniowiecza. Dziewięć legionów aniołów Otchłani przygotowuje ostateczną zgubę, zwieńczenie eschatologicznego losu człowieka. Proszę spojrzeć tu...

Doża pochylił się nad książką.

Na wstrząsających rycinach widniały wypisane gotyckim pismem imiona. Przeplatały je zdania w niezrozumiałych językach.

- Serafiny, Cherubiny, Trony Otchłani - mówił Pietro. - Zwierzchności, Potęgi i Cnoty, Księstwa, Archaniołowie, Aniołowie, którymi władają odrębne emanacje Diabła: Belzebub, Python-Luzbel, Belial, Szatan, Asmodeusz, Abaddon, Meririm, Astaroth, Lucyfer. To oni w dniu Sądu Ostatecznego stoczą walkę z legionami niebiańskimi.

Francesco Loredan pobladł. Pietro gwałtownie zamknął księgę, nad którą byli pochyleni, a wówczas doża drgnął.

- Mamy do czynienia z ludźmi nieuleczalnie chorymi, Wasza Wysokość. Jeden z nich jest szczególnie niebezpieczny, uważa się za samego Diabła i prowadzi bardzo ryzykowną dla nas grę. Sądzę, że stanowi zagrożenie oczywiste i namacalne, a przy tym tak wielkie, jak nigdy dotąd. Ten człowiek przybiera różne imiona, a fakt, że wśród nich pojawia się Chimera, dowodzi jego zamiętania do ironii. Lubuje się w wyszukanych metaforach, chce nas nimi omotać i wciągnąć w labirynt swoich

szarad. Oczywiście jest jednak to, co najbardziej nas interesuje - Il Diavolo chce przeprowadzić Wenecję przez dziewięć kręgów, oddać we władanie dziewięciu legionów, które powiodą ją do czyścica, by następnie mógł zostać przywrócony złoty wiek. To pociąga za sobą konieczność wyeliminowania Waszej Wysokości i wiemy już, że to Wasza Wysokość osobiście stanowi ich cel. Strzygi chcą cię zabić, panie, i wprowadzić do tego pałacu nową władzę. Wenecję czeka apokalipsa. To, co widziałem, było aktem chrztu legionów, które przygotowuje nasz Lucyfer, aby dokonać zamachu stanu. Utworzył własną hierarchię i już projektuje wielkie instytucje. Jest coś jeszcze...

Pietro przez chwilę krążył po komnacie. Potem przystanął i szepnął:

- Wiedział, że tam jestem.

Usiadł. Z twarzy Loredana wyzierało przerażenie.

- Ile mamy czasu?

- Jesteśmy w Kręgu Trzecim, Wasza Wysokość. Doża wolno przesunął na niego spojrzenie.

Jego twarz stała się władcza i sroga. W oczach zapłonęły iskry.

- Nazwiska, Viravolta! Słyszysz? Chcę mieć nazwiska! Pietro zerknął na Vindicatiego.

Wszyscy milczeli.

- Niech Dziesięciu i Criminale zaangażują w tę sprawę wszystkie siły, jeśli tak trzeba - dodał Loredan. - Ale macie ich znaleźć!

Doża wstał, szeleszcząc purpurowym płaszczem.

- To już jest wojna.

\* \* \*

Emilio otrzymał rozkaz zwerbowania siedemdziesięciu dwóch tajnych agentów. Wszyscy stawali przed nim i przed Piętrem w jednej z sekretnych sal Piombi, tuż obok więzienia, tam gdzie zwykle przesłuchiowano więźniów.

Pietro chciał skorzystać z okazji, aby dowiedzieć się, co słyhać u Giacomina, jednak przy wejściu do cel, gdzie jeszcze niedawno przebywał, zobaczył Lorenza Basadonnę, gburowatego strażnika, który na jego widok wyszczerzył w uśmiechu poczerwiałe zęby i unioś lampę.

- Cóż to? Pilno ci do nas wrócić?

Nie pozwolił Viravolcie wejść, potrząsając pękiem kluczy nad wielkim brzuszyskiem w geście, który należało nazwać wulgarnym.

- Mogę z nim przynajmniej pomówić?

- Jeśli chcesz - rzucił Lorenzo, śmiejąc się oblesnie. Pietro krzyknął, wołając Casanovę:

- Giacomo, Giacomo! To ja, Pietro! Słyszysz mnie? Po chwili więzień się odezwał. Udało im się zamienić kilka słów, ale Basadonna wciąż stał między nimi, rozkoszując się tą odrobiną władzy, jaką posiadał. Lubił zresztą obserwować tych dwóch i pełnić rolę mistrza ceremonii. Gdyby nawet Pietro wszedł nieco dalej w głąb mrocznego korytarza, zobaczyłby za ledwie oko i część twarzy Giacomina za wizjerem... Ich rozmowę co jakiś czas przerywały krzyki i żalosne błagania więźniów, zdołali jednak powiedzieć sobie dość, by Viravolta upewnił się, że Giacomo cieszy się dobrym zdrowiem. Oczywiście, nie mógł mu nawet wspomnieć o sprawie, która go tu sprowadziła, ale cieszył się z tego osobliwego spotkania. Pietro miał ochotę wykorzystać okazję i podjąć z Vindicatim negocjacje, bo

uważał, że Casanova nadaje się na agenta. Jednak ani Emilio, ani przełożony Quarantia Criminale nie chcieli o tym słyszeć. Zapewne obawiali się, że nie czas na podejmowanie dodatkowego ryzyka.

- A damy? - zapytał Giacomo. - Pietro, opowiedz, jakie są teraz kobiety, tam, za murami!

- Tęsknią za tobą, Giacomo! - zażartował Pietro.

- Przekaż im moje ukłony. Powiedz... Widziałeś się z Santamaria?

Pietro spuścił głowę, wpatrując się w przykurzone buty. Wahał się.

- Prawdę mówiąc... cóż... Tak, a właściwie nie, ja...

- Pietro! - krzyknął Giacomo rozkazującym tonem. - Zrób coś dla mnie. Idź do niej i oboje wynieście się z tego miasta, nie oglądając się za siebie!

Pietro uśmiechnął się.

I ja już na to wpadłem, Giacomo!

Tak, myślałem o tym.

- A co z tobą? Wytrzymasz? Casanova odparł z przekonaniem:

- Wytrzymam!

\*

Rekrutacja agentów trwała. Wnikliwości Pietra i Emilia nie umykał żaden szczegół ich życia. Skoro Cień tworzył legiony, należało się przygotować do kontrataku. Każdy szpieg w służbie Republiki miał poręczyć życiem, majątkiem i rodziną wierność przysiędze, którą składał przed Vindicatim.

Rada Dziesięciu także podlegała tym rygorom. Zdrada, bez względu na rodzaj i następstwa, oznaczała jedną lub kilka natychmiastowych egzekucji. Gdyby nie odnaleziono winowajcy, Dziesięciu uderzałoby na oślep, a śmierć spadłaby jak grom na jednego z podejrzanych agentów. W ciągu trzech dni w Wenecji powstała istna tajna armia, obecna w całym mieście. Należeli do niej szlachetnie urodzeni i *cittadini*, rzemieślnicy, aktorzy, ladacznice. Rozproszyli się od placu Świętego Marka po Rialto, od Prokuracji po Mercerie, od Canareggio po Santa Croce, od Giudekki po Burano. Ich zadaniem było zebranie wiadomości dzięki wykonywanej pracy, wdziękowi, kontaktom. Jak nigdy dotąd, nadzwyczajny wymiar sprawiedliwości Rady Dziesięciu funkcjonował bezlitośnie i z wielkim rozmachem. Wobec tak poważnego zagrożenia zastosowano bezprecedensowe środki. Doża był strzeżony całą dobę przez dziesięciu zbrojnych, na których znak w każdej chwili mogło przybyć pięćdziesięciu kolejnych. Po chwili paniki przyszedł czas na doskonałą organizację i zaplanowane działania. Cień miał swoje Zwierzchności, Księstwa i Archaniołów, Republika zaś - własne siły niebiańskie, własne legiony pod wodzą strzegących laguny Rafaela, Michała, Gabriela, Hezediela i innych. Podziemia willi Mora zostały dokładnie przeszukane. Rzecz jasna, niczego nie znaleziono - ani ołtarza, ani egzemplarza *Piekła*, ani obrazów zdobiących ściany. Przede wszystkim zaś, nie natrafiono na ślad człowieka.

Schody, które wiodły do krypty z ogrodu, zostały zamurowane.

\*

Trzeciego dnia wieczorem wyczerpany Pietro spotkał się z Landrettem na moście Rialto. Życie w Wenecji toczyło się najzwyczajniejszym trybem. Rialto... Pietro i jego lokaj przyszedli tu ulicami wyłożonymi płytami marmurowymi z Istrii, które ostatnio ponakłuwano, aby nie były tak śliskie. Od łuku szerokości dziewięćdziesięciu stóp biegł most nad Canal Grandę, na którego wysokim sklepieniu stało

około osiemdziesięciu sklepików, straganów i domków krytych łożem, a pod tym pełnym życia targowiskiem przepływały duże łodzie i gondole. Po kilku dniach deszczu, a nawet burz, nad Wenecją znów świeciło słońce. W Zielarni wrzało. Barki podpływały, by wyładować tu warzywa, owoce, mięso, ryby i kwiaty. W tym miejscu można było kupić niemal wszystko, kupcy korzenni zachwalali towar, wymachując rękami, inni oferowali paniom biżuterię, namawiali do przymierzania nowych ozdób. Sprzedawcy win, oliwy, skór, ubrań, sznurów i koszy, urzędnicy, którzy wymknęli się z pobliskich biur, celnicy, notariusze, asesorzy, sklepikarze, oficerowie i włóczędzy - trzy ulice wiodące do tego lśniącego białą mostu nieustannie wypełniał gwarny tłum płynący tędy niczym rzeka. Wenecja tętniła życiem! Gondolierzy wciąż śpiewali *Żyj, Wenecjo, pełnią życia. I panuj nam w pokoju i miłości...*

- Och - szepnął Pietro, masując skronie. - Mój drogi Landretto... Zastanawiam się, czy nie lepiej mi było w więzieniu.

- Niech pan nie plecie głupstw. Lepiej działać niż gnić w lochu. Przynajmniej jest pan wolny i może się swobodnie poruszać.

- Owszem mogę nawet szybko biegać, uciekając przed rozwścieczoną sforą. Co prawda...

Spojrzał na lokaja z wymuszonym uśmiechem.

- Co prawda, mógłbym choćby dziś spakować manatki, Landretto. Może Giacomo ma rację... Może powinienem odnaleźć Annę... Wzięlibyśmy trzy dobre konie i ucieklibyśmy stąd, żeby szukać przygód w innych stronach...

Rozmarzył się na chwilę. Już widział, jak ucieka z Anną Santamaria przez Veneto, potem Toskanię, może do Francji.

- Jednak Emilio miał rację. Za mocno zaangażowałem się w tę rozgrywkę, żeby teraz uciec. Poza tym wiem tak dużo, że sam mógłbym zostać oskarżony o spisek przeciwko państwu, a to byłby już koniec.

Pietro odwrócił się i oparł o balustradę mostu, zapatrzony w Canal Grande. Ciągące się wzdłuż brzegów wille nabierały w promieniach zachodzącego słońca cudownej, różowawej lub pomarańczowej barwy. Wenecja otulona iluzją rozkoszowała się radością życia i niewypowiedzianym szczęściem. Pietro marzył, by znów cieszyć się tą słodyczą. Chciałby o wszystkim zapomnieć, bez reszty oddać się tej spokojnej kontemplacji, przywrócić miastu jego najpiękniejszy przydomek: Serenissima.

- Czy wiesz, co zabija człowieka, Landretto?

- Nie, ale domyślam się, że zaraz mi pan powie.

- Popatrz na te wille, pałace, na tę cudowną lagunę, popatrz na te bogactwa, wsłuchaj się w śpiewy i śmiech. To nie nędza zabija człowieka.

- Nie?

- Nie - odparł Pietro. - Bo to nie ona wzbudza zazdrość i pożądanie...

Przeciągnął się, rozłożył ręce i bezradnie się uśmiechnął.

- Zabija go dostatek.

\*

Pietro i jego lokaj długo stali na moście, zapatrzeni w otaczające ich bogactwo. Nagle Viravolta zacisnął dłoń na ramieniu Landretta.

W dogasających promieniach słońca pojawiła się ona.

\*

Zatrzymała się nieco dalej, wpatrzona w łagodne, przesnute lekką mgiełką światło, to światło o zachodzie, żółtobiałe z odcieniem barwy pomarańczowej, która połyskiwała na fasadach domów i powierzchni wody. Na twarzy Anny Santamarii Pietro zobaczył uśmiech. Przechodziła teraz kilka kroków od niego, poniżej, po nabrzeżu, między straganami i sklepami. Pietro znów uległ oczarowaniu - podziwiał kolor jej włosów, wdzięk postawy, delikatność palców. Szła przed nim, urzekająco naturalna, i oto Czarną Orchideę ogarnęła fala gorącego pożądania. Wydawało mu się, że Anna pojawiła się tak nagle, jakby spadła z nieba, tajemniczego i ukrytego, i że lada chwila tam powróci. Wyrosła przed nim niespodziewanie, nie wiedzieć skąd. Tym razem nie zauważyła go, pozostał anonimowy w tłumie na moście.

Lecz już po chwili Viravolta spochmurniał - dostrzegł towarzyszącego niedostępnej bogini senatora Ottavio. Małżonek podszedł do niej, by ująć ją pod ramię. Ottavio o rozpląszczonym nosie, nalanych, ospowatych policzkach, podwójnym podbródku, lśniącym czole, nad którym sterczały dwie śmieszne kępi siwych włosów, poważny, surowy, próżny Ottavio, który kiedyś był opiekunem Czarnej Orchidei. Szedł, odgrywając rolę godnego i władczego w tej czarnej szacie, pełen tak charakterystycznej emfazy, z ordynarnymi, złotymi medalionami, które wyglądały na jego piersi jak tandetna dekoracja, w *beretcie* na głowie. Taką samą *berettę* miał także tu obecny senator Campioni. Pietro go nie lubił.

Czy i tym razem Anna mu się wymknie? Czy ma pozwolić, żeby odeszła?

Okazja była zbyt korzystna.

Casanova. Ona. Tu i teraz.

Znak od losu.

Przynajmniej taką mam nadzieję.

Odwrócił się do Landretta, zdumionego wyrazem jego twarzy i napięciem.

- Panie... nie!

Pietro wahał się przez sekundę, potem wyjął z butonierki orchideę.

- Tego się obawiałem - szepnął Landretto, kręcąc głową.

- Rób, co chcesz, byle to dostała - powiedział Viravolta, podając mu kwiat. - I chcę wiedzieć, gdzie mieszka!

Mężczyźni wymienili długie spojrzenie. Landretto westchnął, biorąc orchideę.

- Zgoda.

I już zamierzał odejść.

- Landretto? - zatrzymał go Pietro. Lokaj stanął. Pietro uśmiechnął się do niego.

- Dziękuję.

Landretto poprawił kapelusz i odszedł. Dobrze. Zgoda, myślał. A ja? Kiedy wreszcie ktoś chociaż trochę zajmie się mną?!

\*



Tego wieczoru, gdzieś w Wenecji, w blasku świecy, kobieta imieniem Anna Santamaria upajała się wonią czarnej orchidei. Uśmiechała się, myśląc o tysiącu nocy, na które teraz ożywała w niej nadzieja. A księżyc zdawał się schodzić z nieba do jej oczu, aby zwilżyć je łzami radości.

\* \* \*

Federico Spadetti, *capomaestro* i członek Cechu Szklarzy z Murano, był sam w ogromnej hali manufaktury, a przecież już zapadła noc. Czy rzeczywiście sam? Prawdę mówiąc, nie umiałby tego powiedzieć. Wiedział, że śledzą go agenci Dziesięciu. O mało nie trafił Pod Ołowiany Dach. A jego dalszy los pozostawał niepewny. Ale Federico Spadetti miał głowę na karku. Był człowiekiem przedsiębiorczym i odważnym. W cechu dobrze o tym wiedzieli, stanęli po jego stronie, bronili go nawet właściciele konkurencyjnych pracowni z Murano. Bo niesnaski i rywalizacja między członkami cechu to jedno, a otwarty atak władzy na któregoś z nich, to już zupełnie inna sprawa.

Mimo to Federico znalazł się w bardzo trudnej sytuacji.

Zawsze lubił zostawać sam w tym miejscu, kiedy cały świat cichł, pogrążony we śnie. Piece Wulkana wreszcie odpoczywały. Uśpiony ogień... Żaden robotnik, żaden uczeń nie kręcił się po manufakturze. Nie rozbrzmiewały krzyki, nawoływania, szcęk metalu, milczały miechy. Federico lubił tę przytulną ciemność, spokój, jaki ogarniał hale. Tego wieczoru trudno było cokolwiek tu dojrzeć. Spadetti siedział nieruchomo w swoim imperium i wpatrywał się w mrok, usiłując wykorzystać samotność do zebrania myśli. Na moment jego wzrok zatrzymał się na kryształowej sukni, sukni Tazzia, szacie natchnionej miłością, na perłach i szklanych płatkach z opalizującego kryształu, na diamentowym pasie. Nawet w środku nocy zdawała się roztaczać blask. Syn dziś ją ukończył. Federico uśmiechnął się. Za kilka tygodni znowu zacznie się karnawał. Właściwie nigdy się nie kończył, bo w Wenecji trwał przez pół roku. Ale w okresie Wniebowstąpienia osiągał apogeum. Federico głęboko odetchnął. Czy sprawy potoczą się po jego myśli? Tazio wraz z nim zaprezentuje suknię doży. Mając takie dzieło, wygrają konkurs w cechu. Przecież już teraz wszyscy uważali ich za zwycięzców. Francesco Loredan będzie zachwycony, pogratuluje im, przebaczy Federicowi, przekaże im wieńce laurowe, na które zasłużyli. Potem Tazio pójdzie do swej ślicznej Severiny. Spadetti zazdrościł synowi, myśląc o szczęściu, jakie go czeka! Severina kochała go do szaleństwa, więc okryje się satyną, aby ochronić jedwabistą skórę, i podejmie niezwykle wyzwanie, przywdziewając tę suknię, kryształową suknię. Roztoczy olśniewający blask, załśni tysiącami barw i promienną młodością. Będą się kochali, a Federico Spadetti pobłogosławi ich związkowi. Będzie nad nimi czuwał. Razem z nimi będzie wspominał własną żonę, która odeszła przedwcześnie, a tysiąc, dwa, dziesięć tysięcy robotników z cechu zaśpiewa na ich cześć.

Federico gładził brudnym palcem usta. Tak... Jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Na tę myśl z jego oczu spłynęły głupie łzy. On, Spadetti! Obywatel, szklarz z dziada pradziada, wzruszał się, kierował podszeptami serca! Już dziś wieczorem Tazio miał zaśpiewać serenadę pod balkonem ukochanej, błagać o pocałunek w altanie. Jakże jesteś szczęśliwy, synu! I jakże cieszę się twoim szczęściem! Gdzie się podziała jego młodość? A teraz... co go czeka? Pociemniało mu w oczach.

Podczas przesłuchań prowadzonych przez agentów Rady i Criminale dobrze sobie radził. Cóż zresztą miałby sobie do zarzucenia?

Sam wiesz najlepiej, Federico.

Błąd w sztuce. Tak, błąd! Dla pieniędzy, dla manufaktury. Dla Tazzia i jego kryształowej sukni. Błąd, który początkowo wydawał się drobiazgiem. Nie chodziło przecież ani o sprzedaż informacji obcokrajowcom, ani o przemyt czy cokolwiek podobnego! On tylko wykonywał swą pracę - wytwarzał szkła optyczne. A skoro klient pragnął zachować anonimowość, to przecież miał do tego pełne prawo. Skąd więc to poczucie winy?... Może dlatego, że Minos, nie chcąc figurować w księgach, zmusił Federica do sfalszowania dokumentów... A może dlatego, że szklarz miał niejasne, ale uporczywe wrażenie, że ktoś kupił jego milczenie już wówczas, gdy zgodził się na realizację tego zamówienia. Perspektywa zarobienia dwunastu tysięcy dukatów uciszyła obawy. Dwanaście tysięcy dukatów! Nie ma sprawiedliwości! Zawsze oskarża się ludzi, którzy najciężej pracują, o wszystko, co najgorsze.

Nie, powiedział sobie Federico, zaciskając pięści, nie dopuszczę do tego!

Miał jeszcze dość sił. Będzie walczył. A jeśli zajdzie taka potrzeba, powie, kim jest Minos. Wprawdzie zobowiązał się przed tym człowiekiem do milczenia, ale nie dopuści, żeby Rada Dziesięciu wtykała nos w jego interesy. Czy musiało się tak stać? Czego właściwie szukali? Minos też musiał mieć coś na sumieniu... i to z pewnością coś znacznie poważniejszego. Było to widać jak... w przejrzystej, kryształowej kuli. Federico nie mógł już odwlekać chwili przywrócenia takiej przejrzystości we własnych sprawach. Im dłużej czekał, tym większe było ryzyko, że popadnie w niełaskę władz, a taka niełaska czasami kończyła się konfiskatą dóbr, a nawet dożywotnim więzieniem lub śmiercią. Wydawało mu się oczywiste, że Rada niczego nie jest pewna. Na razie jej przedstawiciele byli uprzejmi, a przesłuchania prowadzono dość powściągliwie. Ale to nie mogło trwać wiecznie... A Federico dobrze wiedział, do czego zdolni są członkowie Rady Dziesięciu. Toteż jutro, już jutro, sam do nich pójdzie i wypłacie się z tej matni... Co najwyżej wyda się, że okazał lekkomyślność i połaścił się na niebagatelną sumkę w brzęczącej monecie. Spróbuje wyjaśnić Tazziowi, co się stało. Syn na pewno go zrozumie. Zrozumie, że zrobił to także dla niego, żeby... Och, coś tam się dzieje.

Federico rozejrzał się, czując, że nie jest już sam. Ktoś obserwował go, stojąc za jego plecami. I rozpałił się ogień w piecu.

- Kto tam?

Federico przez moment wpatrywał się w ciemną sylwetkę, jednak nie mógł rozpoznać rysów twarzy mężczyzny. Czyżby to był jeden z nich - agentów Rady? Jeśli nie, to może...

- To ja - usłyszał niski, posępny głos.

Federico krzyknął ze zdumienia. Szybko jednak zapanował nad sobą.

Już wcześniej myślał o takiej ewentualności. I obiecał sobie, że nie zadrży.

- Co za ja? - zapytał ostrym tonem.

Przez kilka sekund słyszał tylko miarowy oddech. Potem głos powiedział: - Minos.

Spadetti nie tracił zimnej krwi. Zerknął na warsztat, od którego dzieliło go parę kroków, ale nie poruszał się. Tam, oparty o warsztat, stał długi pogrzebacz, na pewno jeszcze gorący. Spojrzał także na rozpalony piec, w którym za kratką, po wielkich polanach, ślizgały się czerwone płomienie.

- Minos, ach tak... Witam. A cóż pana tu sprowadza? Mężczyzna chrząknął.

- Ostatnio odwiedzili pana wysłannicy Dziesięciu i Quarantia Criminale, prawda, mistrzu Federico? Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

- To prawda - przyznał Spadetti.

- Czy pan wie, że człowiek, który grzebał w pańskich księgach, to Czarna Orchidea, jeden z najlepszych agentów Republiki?

Mistrz zmrużył oczy. Mężczyzna chyba przyszedł tu zupełnie sam. Rozmawiali więc w pustej, rozległej hali.

- A Mroczni wezwali pana na przesłuchanie do pałacu... Minos odczekał chwilę, potem westchnął. Wolno przysunął drewniane krzesło i usiadł tuż obok kadzi, nad którą zwykle odlewano wyroby z gorącego szkła.

- Co im pan powiedział, Federico?

- Nic - odparł Spadetti. - Zupełnie nic.

- Wpadli na trop... mojego drobnego zamówienia. Prawda?

- Do tego nie byłem im wcale potrzebny. A Dziesięciu mogło to wykryć już wcześniej. Po prostu jeden z ich ludzi okazał się nieco mądrzejszy od innych.

- Tak, po prostu trochę mądrzejszy, oczywiście... Mężczyzna założył nogę na nogę. Po chwili milczenia Federico podjął:

- Te szkła optyczne... Tysiące szkła... Przecież nawet ja nic z tego nie rozumiem i nic nie wiem, *Messer*. Co pan z nimi zrobił?

- Federico, mam wrażenie, że to nie pańska sprawa. I przecież wyraźnie mówiłem, że ma pan zatrzeć wszelkie ślady tego zamówienia.

- Zamierzali przesłuchiwać moich czeladników, którzy dokładnie wiedzą, nad czym pracujemy. Robiąc to, narażałbym się na kłopoty. Nie mogę jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki usuwać wpisów z rejestru ani ksiąg rachunkowych, *Messer*. Moje uwagi są kontrolowane równie dokładnie jak wszystkie inne w naszym cechu. Nie muszę panu przypominać treści naszej umowy. Nie naruszyłem jej. I postarałem się, aby nie mogli do pana dotrzeć, tak jak pan sobie tego życzył. I nie dotrą... na razie.

Minos parsknął śmiechem. Zawołowana pogroźka mistrza była dla niego bardzo czytelna. Ten kaskadowy śmiech, wydobywający się spod kaptura, brzmiał, jakby mężczyzna osłaniał usta ręką. Spadetti po raz pierwszy poczuł strach.

- To pańska opinia, Federico. Moim zdaniem, chcąc ochronić siebie, działał pan tak, aby i wilk był syty, i owca cała. Dobry z pana kupiec. Problem w tym, *Messer* Spadetti, że... Diabeł pożera nijakich.

- Muszę panu powiedzieć, że diabły, lucyfery i wszystkie te brednie nie robią na mnie żadnego wrażenia.

- Doprawdy? To błąd, *Messer* Spadetti, wielki błąd... Mężczyzna lekko się pochylił. Jego głos brzmiał głucho i groźnie.

- Imię Minosa figurowało nadal w pańskich księgach, prawda?

- Co z tego? Minos to nic nie znaczy.

- Uważa pan, że sędzia Piekieł nic nie znaczy, Spadetti? Dlaczego przyjął pan to zamówienie, skoro nie był pan w stanie dotrzymać warunków umowy? Powiem to panu... Bo jest pan zbyt łakomy, przyjacielu. A to paskudna wada i grzech główny. Myślał pan wyłącznie o pieniądzach, które przyniesie to zamówienie... Ale po co? Żeby pański syn mógł na czas wykonać tę... kryształową

suknię? To dla niego, Spadetti? Och, proszę się nie zamartwiać, nie winię za to cechu. Jest pan taki sam jak wszyscy jego członkowie. Tak jak ci, którzy dawniej sprzedali honor Republiki, dając się przekupić francuskim szpiegom z kliki Colberta. Jesteście gotowi zdradzić każdą tajemnicę państwa za sakiewkę złota, którą ktoś wam podsunie... Połowa przegniłych korporacji w tym mieście gotowa jest sprzedać się obcym. Ale u kresu drogi nie czeka złoto, Spadetti, nie złoto...

Minos wstał. Federico wyprężył się i znowu zerknął na pogrzebacz.

- Powiedziałem już, że nie mam pretensji do tej kryształowej sukni ani do cechu, skądże...

Spadetti po raz pierwszy ujrzał uśmiech rozmówcy. Uśmiech, który błysnął tak, jak błyszcząły jego oczy.

- Tylko do pana.

Federico z krzykiem rzucił się w stronę warsztatu, żeby chwycić pogrzebacz. Nie zdążył.

Mężczyzna błyskawicznie ruszył do ataku. Uderzając z całej siły, wbił nóż w brzuch Spadettiego. Przytrzymał sztylet głęboko w trzewiach ofiary i obracał, zadając potworny ból, i patrzył, jak przerażony Federico wywraca oczy, mocno krwawiąc i słabnąc. Potem wyciągnął ostrze z rany i podsunął je Spadettiemu pod nos.

- Spójrz na to, mistrzu, i docień ironię: przeniesiesz się do krainy cieni za sprawą twojego własnego szklanego sztyletu z rękojeścią z masy perłowej, z węzłem i trupią główką. Przyznaj, że to sprawiedliwe, aby grzesznik zginął od rzeczy wykonanej jego plugawymi rękami! Należysz do Kręgu Trzeciego, Spadetti. Nie rozumiesz tego, ale to nic. Wiedz tylko, że to będzie twoim ostatnim i jedynym tytułem chwały.

Federico drgnął, a potem osunął się na ziemię.

- Au kresu drogi jest Piekło, Spadetti - dorzucił Minos. Po czym odwrócił się i zatopił spojrzenie w rozpalonych do czerwoności polanach.

\*

Po godzinie Minos uśmiechnął się z satysfakcją, patrząc na swe dzieło.

- Podsunąłeś mi mistrzowski pomysł, Spadetti - stwierdził.

Andreas Vicario, członek Wielkiej Rady, właściciel niezrównanej Librerii, tej niesamowitej biblioteki mieszczącej się w sercu Wenecji, odwrócił się, ponownie zerkając na swe dzieło.

Potem jego kroki rozbrzmiewały jeszcze przez chwilę w dużej, cichej hali manufaktury.

\*

Zakrwawiony szklany sztylet z brzękiem upadł na posadzkę.

## **KRAĞ CZWARTY**

### **PIEŚŃ X**

#### **Arsenał i piękne koronki**

W manufakturze Federica Spadettiego jak zwykle panowało wielkie poruszenie, jednak ten dzień różnił się od innych istotnym szczegółem - po hali kręciło się trzydziestu agentów przysłanych tu przez Dziesięciu i Quarantię. Ludzie ci przesłuchiwali kolejno wszystkich czeladników, uczniów i

robotników szklarza z Murano, a także osoby zatrudniane przez innych członków cechu na całej wyspie. Taka aktywność zdradzała rozczarowanie i gniew doży i Emilia Vindicatego. Władzom zadano jeszcze jeden cios. Emilio nie posiadał się z oburzenia. Związani, zakneblowani, czterej ludzie, którzy mieli strzec mistrza, dali się zaskoczyć, nie wszczynając alarmu. Teraz Minor Consiglio, rada Francesca Loredana w ograniczonym składzie, dowiedziała się o wszystkim. Emocje sięgały zenitu. Pietro wraz z Brozzim przystanął nieopodal miejsca, w którym niedawno przeglądał księgi Federica. To tu minionego wieczoru Spadetti spotkał się z Minosem. Kryształowa suknia była zbryzgana krwią. Błady, milczący Tazzio tępo patrzył w dal, czyszcząc utkany ze szkła koronkowy kołnierz sukni. Poruszał się jak automat. Antonio Brozzi, lekarz Quarantii, pojawił się przed godziną niczym złowieszczy kruk, by wykonać czarną robotę. Miał przy sobie czarną torbę i niezwykle kaduceusz, którym wymachiwał, równocześnie gładząc siwą brodę.

- Przykro mi, że znowu dodałem panu pracy - powiedział Pietro.

- Cóż! - odparł Brozzi. - Proszę się o mnie nie martwić. Wymuszony uśmiech lekarza bardziej przypominał grymas.

- To rutyna, panie Viravolta. Przyzna pan, że to już rutyna. A potem, wzdychając, pochylił się nad nową zagadką.

\*

Ciało Federica Spadettiego zostało poćwiartowane, a następnie wsunięte do pieca. Okruchy szkła - podobne do znalezionych u stóp Marcella Torretone w teatrze San Luca - leżały na posadzce. Federico Spadetti został nadmuchany w metalowych cylindrach, przy użyciu żelaznych szczypiec, jak dmucha się szkło, które wytwarzał od lat. W ten sposób strzępy jego ciała i zmiażdżone kości tworzyły poskręcane, niesamowite i przedziwne arabeski. W pewnym sensie było to kolejne dzieło sztuki, które przemawiało samo za siebie. Tylko dzięki obrączce, która jakimś cudem zsunęła się z palca i upadła nieopodal szczątków ciała, Tazzio rozpoznał ojca. Rano Federico nie pojawił się w manufakturze, a uczniowie, którzy przychodzą najwcześniej, zastali Tazzia samego w tej rzeźni. Po powrocie z wyprawy do altany Severiny Tazzio przez część nocy bezskutecznie szukał ojca. W końcu zajrzał do hali, żeby sprawdzić, czy Federico nie przesiaduje w swoim kantorku. Od tej pory nie powiedział ani słowa poza tym, co powtarzał, kiedy uczniowie znaleźli go klęczącego przed kryształową suknią: „To mój ojciec... Zamordowany. Zamordowany, ktoś go zamordował. To mój ojciec...”.

- Zaczynałem się już niepokoić - powiedział Brozzi. - Nie widzieliśmy się prawie tydzień, Viravolta! Tydzień bez pana i oto kolejne niesamowite zwłoki... Hm!

To, co zostało z Federica Spadettiego, znajdowało się w kadzi, wymieszane z gliną. Kadź stała pod kranem doprowadzającym wodę i była nią obficie wypełniona. Tak powstała błotnista maź. Na kadzi napisano kredą:

*Noi passavam su per l'ombra che adona  
La greve pioggia, e ponavam le piante  
Sovra lor vanità che par persona.*

*Stąpamy, deptając widem gęste zgraje,*

*Dżdżem katowane i stawiamy pięty  
Na ich marności, co się kształtem zdaje.*

- Kara Trzeciego Kręgu - powiedział Pietro. - Oczywiście.

- Obżarstwo - dodał Brozzi, unosząc biwi.

- Leżący w błocie, smagani czarnym, lodowatym deszczem.

Pietro patrzył na ciemną maź w kadzi.

- Chimera jest coraz bardziej dowcipny.

- I co ja mam z tym począć? - mruknął Brozzi, zanurzając szpatułkę w gęstym błocie, które jeszcze wczoraj było ciałem mistrza szkła i kryształu.

Pietro odwrócił się i spojrzał na Tazzia. Suknia odzyskała już pełny blask, ale chłopak nadal ją polerował. Pietro wziął taboret i usiadł przy chłopaku. Wokół po całej hali krążyli agenci Quarantii, szukając śladów złoczyńcy. Przygnębienie młodzieńca wzruszyło Pietra. Aluzja wroga, który piętnował Spadettiego za zachłanność, zapewne nie dotarła do Tazzia, nieświadomego rzeczywistych przyczyn tego dramatu. Ale ten makabryczny widok - ciało ojca przemienione w bezkształtną masę, niczym biblijny Adam, zanim Bóg uformował go z bryły gliny - będzie go nękał do końca życia. Pietro także był wstrząśnięty i wściekły. Na majstrze ciążyły podejrzenia, ale Czarna Orchidea nie przewidział, że Chimera może tak szybko się go pozbyć, w dodatku - w taki sposób. Tak, był wściekły. I wiedział, że musi działać błyskawicznie.

- Powiedz mi, chłopcze - zagadnął Pietro - czy mnie pamiętasz?

Nieobecny duchem Tazzio milczał.

- Uwierz mi, że... uczynię, co w mojej mocy, żeby odnaleźć tego, kto to zrobił. Wiem, co znaczy ból po stracie kogoś bliskiego. Domyślam się, jak cierpisz, i wiem, jak marną pociechą są w takich chwilach słowa.

Uniósł rękę, zawahał się i łagodnie położył ją na ramieniu młodzieńca.

- Może to niewłaściwa chwila, ale potrzebuję pomocy. Żeby odnaleźć tego... Minosa. Bo przecież to on, prawda? Czy kiedyś już o nim słyszałeś?

Tazzio wciąż milczał, mrugając oczami, i uporczywie polerował kryształową suknię.

Pietro próbował nadal skłonić go do rozmowy, ale na próżno. Postanowił nie nalegać i poszedł do grupy agentów Quarantii, żeby przesłuchiwać robotników. Tak upłynęło pół dnia i nadszedł czas, żeby pogodzić się z faktami - tylko trzy osoby słyszały o Minosie, choć większość dłużej lub krócej uczestniczyła w produkcji tych zagadkowych szkielec. Nikt nie potrafił podać tożsamości wroga.

Pietro wrócił i usiadł na taborecie. Tazzio wciąż był w pobliżu. Viravolta starał się zebrać myśli, powiązać fakty. Po pierwsze - Marcello i broszka kurtyzany Luciany Saliestri znaleziona na deskach teatru San Luca. Ta broszka doprowadziła go do senatora Campioniego.

Pietro zaczął mówić do siebie.

- Marcello Torretone, agent rządu... Załóżmy, że ojciec Caffelli, świadom podwójnej osobowości Marcello, odkrył istnienie Ognistych Ptaków. Wyznał to Marcellowi, a ten zebrał nowe informacje, ale nie zdążył przekazać ich Radzie Dziesięciu; został zamordowany w San Luca. W tym samym okresie jeden z Ptaków poznał i posiadał Lucianę Saliestri, ukradł jej broszkę, prezent od

Giovaniego, i podrzucił ją w teatrze, żeby skierować podejrzenia na senatora. Chyba że Luciana sama należała do sekty i dobrowolnie oddała mordercy klejnot... W ten sposób mogła upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, rękami władz pozbywając się łagodnego reformatora, jakim był senator Campioni.

Pietro poprawił upudrowaną perukę. Obcasem pantofla z lśniąca kłamrą uderzał w posadzkę, jakby chciał, niczym metronomem, odmierzać rytm swoich myśli.

- Tak, dotąd wszystko wydaje się logiczne. A zatem kluczem jest Luciana. Muszę się z nią zobaczyć, możliwe, że coś jeszcze przede mną ukrywa. Tak, już biegnę, moja droga! I usłyszysz trochę nowin. Dobrze. Potem przerażony ojciec Caffelli nie śmiał nawet kiwnąć palcem. Jego też dopadli. Być może Marcello wydał przyjaciela, kiedy go torturowano? Caffelli zawisł na wieży San Giorgio. Ptaki miały powody do zadowolenia. Ale cóż, odłamki szkła z San Luca doprowadziły nas do Federica Spadettiego, członka cechu, no i do tajemniczego Minosa. Spadetti także został zamordowany, a my nie wiemy o Minosie nic poza tym, że zamówił masę szkła do binokli. Szkła do binokli, *Santa Maria*, po co mu one?

Pietro westchnął, przecierając oczy.

- No i przede wszystkim o każdym moim kroku decydują Wergiliusz i Campioni: jeden pcha ku Dantemu i Mocom Zła, drugi ku tym Ognistym Ptakom i willi Mora... Ktoś nami manipuluje. Il Diavolo odkrył moją obecność w krypcie, a może został uprzedzony, zanim udałem się na miejsce? Ale jeśli tak było, dlaczego mnie oszczędził? Mógł mnie pojmać w każdej chwili... Czyżbym i ja miał odegrać w tej sprawie wyznaczoną przez niego rolę? Nie, myślę... myślę, że to wszystko tylko mrzonki... Jakaś niesamowita gra...

Pokiwał głową.

Nagle usłyszał tuż obok czyjś głos.

- Minos był w Arsenale.

Ręka Pietra zawisła w powietrzu. Spojrzał na Tazzia.

- Co takiego?

- Minos był w Arsenale. Viravolta pochylił się nad chłopakiem.

- Znasz go! Wiesz, kim jest, prawda?

- Nie, ale wiem, że był w Arsenale. Pół roku temu słyszałem, jak ojciec rozmawiał z jednym z jego ludzi.

- A kim był ten człowiek?

- Nie wiem.

Wciąż polerował kryształową suknię, widział w niej swoją twarz, setki jej ruchliwych, przezroczystych odbić. - Minos był w Arsenale - powtórzył.

\* \* \*

Arsenał w dzielnicy Castello pod każdym względem przypominał potężną fortecę. Zajmował znaczną część całego obszaru Wenecji. Tu od wielu wieków toczyła się gra o potęgę militarną i gospodarczą Wenecji. W Arsenale pracowało dwa tysiące pirotechników, cieśli, specjalistów od naprawy kadłubów, wyrobu żagli, lin, a także inni rzemieślnicy. To był odrębny świat, otoczony wieżami, strzeżony przez wartowników, którzy czuwali przy dokach, hangarach i zamkniętych

warsztatach, kuźniach, odlewniach. To tu powstało pięć galer i osiem galeonów, które nieustannie strzegły adriatyckiej zatoki, a także galeoty żeglujące między Zante i Korfu. Fregaty i okręty uzbrojone w czterdzieści, pięćdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt dział przemierzały obszar od Gibraltaru po Konstantynopol. *Mude* i na pozór zwyczajne statki walczyły z piractwem na morzach.

Kiedy tylko Pietro usłyszał od *Tazzia*, że Minos był w Arsenale, w nieznanych okolicznościach i w niewiadomym celu, który należało dopiero ustalić, powiadomił o tym Emilia Vindicatego, a następnie osobiście się tam udał na czele dwudziestu agentów oraz inkwizytorów wysłanych przez Dziesięciu. Pewnego wieczoru Tazio przypadkowo usłyszał rozmowę ojca z mężczyzną, którego twarzy nie widział, ale który powołał się na Minosa. Tazio zdołał zrozumieć zaledwie strzępy tej rozmowy - że wspomniany Minos miał powiązania z niektórymi konstruktorami z Arsenалу i potajemnie zlecił im prywatne zamówienie, podobnie jak uczynił, aby zdobyć sławetne szkła. Umocniło to Pietra w przekonaniu, że ten ukrywający swoją tożsamość Minos jest znanym obywatelem Wenecji.

Pojawienie się Czarnej Orchidei i zbirów Mrocznych wywołało piorunujące wrażenie. Szli za Viravoltą, który gestem ręki lub skinieniem głowy dawał im znak, aby przetrząsnęli teren. Ich kroki rozbrzmiewały między warsztatami rzemieślników i w stoczni. Przemierzali hale, pojawili się przy dokach. Wyglądało to na przygotowania do bitwy, a ludzie szeptali, że sprawa jest najwyższej wagi. Gdy Pietro przesłuchiwał w odlewni jednego z konstruktorów, przyniesiono mu księgi. Ogniste Ptaki jak zwykle działały skrycie, pod nosem Dziesięciu i Quarantii. Minos złożył zamówienie na dwie lekkie fregaty, ale to był dopiero początek - to, co przy okazji odkrył Pietro, zmroziło mu krew w żyłach. Powiązanie informacji zebranych w Arsenale z uzyskanymi od dowództwa wojsk miasta nie zajęło wiele czasu. Wezwano piętnaście osób. Żadna z nich nie potrafiła podać tożsamości Minosa, który najwyraźniej działał poprzez anonimowych pośredników. Pietro krążył przez jakiś czas pośród ksiąg, kul armatnich, które tu odlano, moździerzy i beczulek prochu, których setki wypełniały magazyny. Potem, wczesnym wieczorem, poszedł spotkać się z Emiliem Vindicatim. Sam nie mógł jeszcze uwierzyć w to, co zamierzał mu powiedzieć, chociaż zdawał sobie sprawę, że wszystko to prawda.

- Czarna Orchidea!

Dyskretnie zaanonsowano Pietra. Zastał Emilia w Sali Kolegium. Francesco Loredan odbywał właśnie spotkanie ze swą Radą. Emilio nie był sam, towarzyszył mu mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna o pociągłej twarzy i cerze tak jasnej jak biały marmur. Miał dłonie pianisty, sprawiał wrażenie niezwykle uduchowionego, i tylko starannie przycięta broda, okalająca jego twarz wąskim paskiem, czyniła go nieco bardziej przyziemnym. Był ubrany w obszerną koszulę i surdut, którego krój i kolorystyka pozwalały obeznanemu z modą Piętrowi odgadnąć, że ten strój pochodzi z Francji. Emilio szeroko uśmiechał się do gościa, jakby zachwycony jego fanfaronadą. Rozmawiając z nim na przemian po francusku i włosku, wychwalał jego „niezwykły talent” i cieszył się, że ma „zaszczyt podejmować go w sercu Serenissimy”. Wkrótce Pietro dowiedział się więcej o nieznanym.

- Och, *Messeri* Pragnę przedstawić panu Pietra Luigiego Viravolte de Lansalt, jednego z... hmm... doradców naszego rządu - powiedział Emilio, wciąż płaszcząc się przed gościem. - Pietro, poznaj mistrza Eugène'a-André Dampierre'a, sławnego artystę malarza, który towarzyszy w Wenecji Jego Ekscelencji ambasadorowi Francji. Mistrz Dampierre wkrótce zaprezentuje swoje dzieła w Bazylice San Marco. Przepiękne, natchnione dzieła o tematyce religijnej.



Mistrz Eugène-André Dampierre dumnie skłonił głowę. Pietro powitał go w podobny sposób.

- Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać, Emilio? - zapytał Pietro. - Być może przybyłem nie w porę, ale waga sprawy jest wielka.

Uśmiech zniknął z twarzy Emilia. Zwrócił się do Dampierre'a i pełen serdeczności ujął go za rękę, mówiąc:

- Zechce pan wybaczyć, mistrzu! Sprawy miasta nie pozostawiają nam chwili wytchnienia. Wrócę za kilka minut.

- Ależ oczywiście - odparł Dampierre, znów skłaniając głowę.

Emilio wyszedł z Piętnem do sąsiedniej sali.

- Przybył nowy ambasador Francji - powiedział Vindicati. - W tej chwili rozmawia z dożą i Małą Radą. Oficjalne objęcie funkcji dokonało się wczoraj wieczorem i jego poprzednik już wyjechał. Odtąd ochrona ambasadora, Dampierre'a i Loredana będzie mi spędzać sen z powiek. Ich bezpieczeństwo to sprawa najwyższej wagi, a nie wolno nam ujawnić, co naprawdę dzieje się w Wenecji. Na razie oficjalne przyjęcia będą się odbywały wyłącznie w pałacu, ale przecież nowo przybyły zapragnie też zwiedzić miasto. Na zaproszenie doży weźmie udział w uroczystościach Wniebowstąpienia, które w związku z tym muszą być bardziej okazałe niż zwykle. Będzie uczestniczył w obchodach, a pozostało nam niewiele czasu, aby się do tego przygotować. A teraz już istna perełka: wyobraź sobie, że jego Ekscelencja chce zakosztować drobnych przyjemności weneckiego życia, jeśli się uda - po części incognito. Ustalono już, że jutro uda się na bal wydawany przez Andreasa Vicario w Canareggio... Wyobrażasz sobie? Czuję się, jakbym musiał stać na głowie!

- A to jeszcze nie koniec zmartwień, Emilio - powiedział Viravolta, rzucając mu posępne spojrzenie. - Podczas pobytu w Arsenale odkryłem nowe, porażające fakty.

Zapadła cisza. Emilio z niepokojem spojrzał na Viravolte.

- O czym mówisz?

- Wszystko zostało zaplanowane dawno temu. Bóg jeden wie jak, ale Minos, unikając kontroli zamówień publicznych i zamówień na własny koszt, a może defraudując państwowe pieniądze, zakupił dwie fregaty, o których absolutnie nic nie wiadomo. Już ten fakt jest zdumiewający, a to zaledwie początek. Wyobraź sobie, że pół roku temu Arsenał wodował dwie galery, które powinny pływać po zatoce: „Santa Marię” i „Klejnot Korfu”. Te galery zniknęły dwa dni temu gdzieś na Adriatyku. Ani Arsenał, ani żaden z urzędów cywilnych i wojskowych nie wiedzą, co się z nimi stało. Znowu zapadła cisza.

- Chcesz... chcesz powiedzieć, że... - wydusił z siebie Emilio.

Pietro ujął go pod ramię.

- „Santa Maria” i „Klejnot Korfu” są uzbrojone. Jedna w sześćdziesiąt, druga w osiemdziesiąt dział, Emilio. Bóg wie, co może się stać, kiedy wpłyną do portu...

Vindicati chwycił się za głowę.

- To jakiś obłąd! Czy naprawdę myślisz, że Minos zbroi galery, żeby wypowiedzieć nam wojnę?

- Odkąd zobaczyłem, co działo się w willi Mora, gotów jestem uwierzyć we wszystko. Minos, Wergiliusz, Chimera. Nie wiem, czy to jeden człowiek, ale jestem pewien, że Ogniste Ptaki są

wszędzie, jak powiedział ojciec Caffelli, i że administracja Republiki tkwi w tym po szyję. Rozumiesz? Sytuacja jest poważniejsza, niż sądziliśmy!

Emilio przełknął gorzką pigułkę. Dobiegł ich odgłos otwierających się drzwi sali, w której doża obradował z Minor Consiglio, witając ambasadora Francji. Gwar i kilka radosnych okrzyków towarzyszyło pożegnaniom. Emilio wsparł się na ramieniu Viravolty, usiłując zapanować nad nerwami.

- A mnie tu każą mizdrzyć się przed całym światem! *Porca miseria!* Pietro, muszę się nimi zająć. Błagam, masz moje upoważnienie do prowadzenia śledztwa, kiedy ja sam będę musiał wypełniać inne obowiązki. Przyjdź jutro wieczorem na bal Vicaria, przyda się każda para oczu. A tymczasem poluj na Ogniste Ptaki. Ja zajmę się dożą i naszymi drogimi politykami. Pietro w milczeniu skinął głową i obaj wrócili do Sali Kolegium, gdzie czekał malarz Eugene-Andre Dampierre. Tam Emilio rozpostarł ramiona i z radosnym uśmiechem podszedł do doży i ambasadora, mężczyzny około pięćdziesiątki, o pomarszczonym czole i siwych włosach wymykających się spod kapelusza. Był ubrany w szamerowany złotem czerwono-niebieski surdut i białe spodnie, a jego pierś zdobiły liczne orderzy. Słuchał Loredana, który w swej purpurowej szacie obszytej gronostajowym futrem, z berłem w ręce, zwracał się do niego i uśmiechał się, jakby byli starymi przyjaciółmi. Pietro wznosił oczy i spojrzał na *Wiktorię pod Lepanto*.

Pomyślał, że do jego zwycięstwa jest jeszcze daleko.

\* \* \*

Luciana Saliestri niedawno wstała. Teraz była niedaleko altany z widokiem na Canal Grandę, przy czerwonej sofie, na której leżała, po raz pierwszy przyjmując Pietra, kiedy przyszedł, aby z nią pomówić. Gdy zobaczyła Czarną Orchideę i wsłuchiwała się w jego aluzje, zaproponowała mu partię domina. Teraz układała grę na niskim, finezyjnie zdobionym stoliku, między dwiema filiżankami kawy. Uśmiechnęła się i mrugnęła okiem, a siedzący na wprost Pietro podziwiał urok i wspaniałe kształty kurtyzany. Rzuciła mu figlarne spojrzenie, położyła palec na ustach, potem musnęła nim policzki podkreślone różem, dotknęła muszki, którą nosiła w kąciku ust. Suknia z koronkowymi falbankami odsłaniała jej ramiona. Wisiorek w kształcie delfina zwiisał między falującymi piersiami, subtelnie rysującymi się pod suknią. Na szyi miała przezroczystą apaszkę. Po kilku minutach doszła do wniosku, że nie ma ochoty na domino. Dość! Nie to mi dzisiaj w głowie!

Wstała i wdzięcznym ruchem wygładziła suknię, która delikatnie szeleszcząc, ułożyła się wokół jej stóp. Apaszka osłaniała jej piersi, a Pietro niemal widział ich mleczną biel i jasne sutki. Luciana była niczym kwiat, którego słodki słupek krył się pośród olśniewających płatków. Viravolta wcale się nie dziwił, że senator Campioni się w niej zakochał. Oparła długą nogę o stół, na którym Pietro postawił filiżankę z kawą, i niby niechcący rozrzuciła domino. Viravolta z przyjemnością patrzył na zgrabną łydkę pani domu, nie miał jednak czasu na igraszki. Co prawda, te mogłyby się stać częścią jego planu i ułatwić zdobycie informacji dzięki broni przyjemniejszej od pistoletów, szpady czy arkebuz. Lecz od pierwszego spotkania z Luciana wiele się zmieniło. Minionego wieczoru Landretto przyniósł Piętrovi ważną wiadomość. Padał deszcz. Czarna Orchidea jeszcze teraz widział lśniąco oczy i opadające na czoło włosy lokaja, gdy zdjął kapelusz i powiedział: „Anna Santamaria jest zazdrośnie strzeżona przez męża. Przebywa w ich willi w Santa Croce... Wie, że wciąż pan za nią szaleje. Dałem jej kwiat...”.

Tak, teraz mógł odzyskać Annę Santamarię. Wystarczyło wykonać jeden gest. I mimo narzuconego mu zakazu, gotów był na wszystko, byle ją zobaczyć.

Pogodny głos Luciany, przymilny i drwiący zarazem, rozbrzmiał tuż nad jego uchem:

- Co pan sądzi o moich pantofelkach, Pietro? Czy mam w nich zostać?

Nie odpowiedział.

- Włożyłam dla pana jedną z moich najładniejszych sukni, zauważył pan? W Wenecji uważają mnie za kokietkę, ale nie jestem taka jak te, które łapia mężczyzn przy Prokuracji, mój miły panie. Nie wypycham staników muślinem i nie ukrywam poduszek pod spódnicą, jak to robią inne, żeby poprawić sobie figurę. Nie noszę peruk i nie fryzuję włosów. A właśnie - podobają się panu moje włosy? Chwileczkę, zaraz je rozpuszczę...

Zrobiła to jednym zręcznym ruchem. Włosy opadły kaskadą na jej ramiona, a w ślad za nimi, niby to przypadkiem, spadła apaszka. Luciana zakryła dekolt dłońmi, udając zawstydzoną, choć wstydu raczej nie знаła. Potem opuściła je powoli.

Jej piersi znalazły się kilka centymetrów od twarzy Pietra.

- Peruki, tiurniury i kosze, podobnie jak wulgarne barwiczki zostawiam dla tych, których uroda wymaga poprawek. Sprawiam sobie najpiękniejsze toalety, niezmiennie dziękując memu świętej pamięci małżonkowi. To prawda. Pokój jego duszy! Jak pan wie, ten anioł był mistrzem handlu i pieniądza. Czasami zatracił zdrowy rozsądek. Ze mną jest inaczej - lubuję się w zgoła innych grach i nie mam sumienia ich sobie odmawiać. Po cóż mi majątek, jeśli nie miałby służyć uczynieniu mnie jeszcze ponętniejszą? Prawdę mówiąc, zawsze czułam się najlepiej... na wolności. I skoro tylko dukaty wpadają mi w ręce - wydaję je! Trwonię je jak szalona. Mam do tego wielki talent. A potem czekam, by znów sięgnąć do skarbczyka, który pozostawił mi mój ukochany mąż! To był święty człowiek!

Przechyliła głowę i oparła ręce na ramionach Viravolty. Udawała, że się o niego ociera, i kręciła biodrami. On nadal siedział, ona stała.

- Chce pan sprawdzić?

- Sprawdzić? Ale co? - zapytał Pietro.

- Sprawdzić to, co mówiłam o tiurniurach.

Mówiąc to, zsunęła przyodziewek, który jeszcze miała na sobie, i odwróciła się. Pietro patrzył teraz na jej biodra i najbardziej jędra, najpiękniejsze pośladki, jakie kiedykolwiek widział.

- Widzi pan? Czysta natura.

Wenecjanka zakończyła popis. Znow zwróciła na niego oczy. Patrzyli na siebie w milczeniu. Pietra zaskoczył smutek, który, jak mu się wydawało, zagościł na moment na twarzy młodej piękności. Przez chwilę była chyba bardziej szczerą, bardziej poważną. Potem odrzuciła głowę do tyłu i znow się roześmiała. Słońce przebiło się przez białe chmury nad Canal Grandę, zalało altanę i wdarło się do salonu, przynosząc łagodne, wieczorne ciepło.

- Zrzuć wreszcie tę pelerynę, surdut i kamizelkę, Pietro Viravolta... i powiedz mi, co najbardziej lubisz.

Pietro wstał. Po chwili wahania podniósł z podłogi suknię kurtyzany.

- Pani, dość żartów.

Luciana spojrzała na niego pytająco.

- Pani, ze swą urodą mogłabyś skazać na wieczne potępienie każdego z papieży i wiedz, że w innych okolicznościach ja także bym się nie wahał. Ale cóż, czas nagli i... mam inne plany. Proszę więc... Nie traktuj tej odmowy jak afrontu, bo nie takie są moje intencje.

Luciana mrugała oczyma, jakby wylano jej na głowę wiadro zimnej wody. Trochę się dąsała, nie wiedząc, czy ma odegrać rolę obrażonej kurtyzany, czy zranionego ptaszęcia. Stała się w tej chwili niezwykle kobieca. Wyzbyła się cząstki kokieterii i afektacji i właśnie ta przemiana uczyniła ją bardzo sympatyczną. Pietro mimowolnie zastanawiał się, jak by się zachowała, gdyby nagle przestał panować nad sobą i chwycił ją w ramiona. Znał się na umizgach, a intuicja i duże doświadczenie powodowały, że umiał przeniknąć psychikę kobiety, która wyrażała się także w sposobie uprawiania miłości. Był przekonany, że Luciana oddałaby mu się z nieokiełzaną namiętnością i gniewem, który tlił się w niej jak chęć zemsty. U szczytu uniesienia porwałby ją jak tonącą. Już teraz sprawiała wrażenie zagubionej. Intuicja podpowiadała Viravolcie, że w głębi duszy, choć udawała, że broni się przed uczuciem, gotowa była zebrać o prawdziwą miłość. Tylko zaspokajając namiętność, mogła grać przed sobą komedię, która ratowała ją przed wewnętrznym strachem, karmiona poczuciem znużenia i nieustanną pogonią za nowością. W ciągu tych kilku sekund milczenia Czarna Orchidea wyczytał z twarzy tej młodej kobiety, jak subtelne przeżycia kłębią się w jej sercu. Wzruszyła go. I to rozczulenie złagodziło jego postawę wobec kurtyzany, choć idąc do niej, postanowił być twardy. Musiał jednak zachować ostrożność. Jeżeli Anna Santamaria była Czarną Wdową, to Luciana mogła okazać się tarantulą. Dziś nie wolno nikomu ufać...

Twoja mroczna strona, Luciano - ty także jesteś zagubiona, przepadłaś dla tego świata.

W końcu przybrała obojętny, nieco oziębły ton.

- Rozumiem... Zapewne jest pan bez reszty zaprzątnięty nią...

Powiedziała to z lekką nutką goryczy w głosie.

- ...tą Anną Santamaria. Teraz Pietro niemal osłupiał.

- Słucham?!

Uniosła głowę, spoglądając na niego z wymuszonym uśmiechem na ustach.

- A cóż pan myślał? Drogi przyjacielu, ja także zebrałam informacje na pański temat... Czarna Orchidea. Pietro Ligi Viravolta, uwolniony z Piombi... Agent rządu, uwięziony po tym, jak podeptał honor senatora Ottavio...

Pietro zagryzł wargi.

Teraz to Luciana była górą.

- Uważa mnie pan za głupią, roznamiętnioną liberynkę? O, nie! Z pewnością tak o niej nie myślał. Mówiła dalej:

- Widzi pan, ja też nie o wszystkim panu powiedziałam.

- Jak pani zdobyła te informacje?

Luciana zatrzymała spojrzenie na filiżance kawy.

- Proszę mi powiedzieć, panie Czarna Orchideo, dlaczego miałabym panu pomagać?

Zapadło milczenie.

- Dla Marcella Torretone. I dla senatora Campioniego, którego sytuacja wydaje się dziś wielce niepewna. Tak, Luciano, powodów jest wiele! Naprawdę jest mi pani potrzebna. Proszę mi wierzyć, że doża i Dziesięciu potrafią to docenić. Proszę, jeśli pani coś wie, niech pani mówi!

Wciąż się wahała. W końcu westchnęła:

- Od czasu do czasu odwiedza mnie jeszcze jeden senator - powiedziała. - Ktoś, kto nie bardzo pana lubi, panie Viravolta.

Znowu zatopiła spojrzenie w jego oczach.

- Senator Ottavio. Pietro zmarszczył brwi.

I nagle z okrucich zaczął układać się witraż. Skradziona broszka, Ogniste Ptaki, informacje o Giovannim Campionim... I fakt, że Pietro od dawna pozostawał z dala od spraw Republiki, uwięziony w Piombi... Tak, musiał bardzo zawadzać...

- Ottavio... No proszę... Mój dawny mentor... Oczywiście...Zwrócił się do kurtyzany.

- Dlaczego wcześniej mi pani o tym nie powiedziała? Luciana wzruszyła ramionami.

- Chronię ludzi, którzy do mnie przychodzą, przyjacielu. Wszystkich bez wyjątku. Co by pan powiedział, gdybym zdradziła Ottawiowi, że pan u mnie był?

- I mam nadzieję, że powstrzymała się pani przed tym? - szepnął, mrużąc oczy.

Obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

- Spokojnie, Messer Viravolta. Dobrze wiem, co leży w moim interesie.

Kolejny punkt dla niej. Pietro zamilkł, potem zdobył się na śmiech. Wpadł na nieco dziwaczny pomysł.

- Luciano, muszę przyznać, że byłby z pani dobry tajny agent... Pomówię o tym z Radą Dziesięciu, jeśli pani pozwoli.

Przyjęła komplement z umiarkowaną radością.

- Zostawmy Dziesięciu w spokoju. Ja także nie szukam na razie dodatkowych zajęć.

- Przyznaję, że bardzo chętnie zabawiłbym się w werbowanie agentów. I mam już dla pani idealny pseudonim...

Zerknął na rozrzucone na stoliku domino i podniósł jedną kostkę. Dwie szóstki.

- Luciano... Mam dla pani propozycję. Uśmiechnął się nieco pogodnie.

- Czy zechciałaby pani zostać agentką „Domino”?

\* \* \*

Dwa dni przed tą rozmową diuk von Maarken opuścił nocą swój zamek w Austrii, podziwiając z oddali jego delikatne blanki. Otulony szerokim, czarnym płaszczem wysunął się teraz jak zjawa z gondoli, która przywiozła go do Canareggio. Uniósł głowę, patrząc na księżyc skrywający się za chmurami. Dwaj służący z pochodniami towarzyszyli mu w drodze. Szedł za nimi w milczeniu do bramy pałacu, w którym go oczekiwano. Padły hasła, brama się otworzyła. Diuk wszedł do środka. Po kilku minutach siedział przy kominku, popijając wino.

Chimera zajął miejsce na wprost niego.

- Owoc już dojrzał - powiedział van Maarken. - Widziana z Passarowitz, Wenecja jest bezbronna. A co pan osiągnął?

- Realizuję ustalony wcześniej plan.

- Tak, tak... Pozwoliłem panu bawić się i działać na pański sposób, ale wątpię, czy pańskie fantazje i grymasy okażą się skuteczne. Czy naprawdę potrzebne były te wszystkie inscenizacje? Czy ktoś tu wierzy w pańskie salonowe sztuczki? I ta satanistyczna sekta... Żaden rozsądny człowiek stojący u władzy nie obdarzy nawet szczyptą zaufania tak szalonego przeciwnika... Wszystko da się zwalić na szatana i te biblioteczne bzdury...

Chimera zaśmiał się krótko.

- Myli się pan... To jest Wenecja. Wszyscy wpadli w panikę. Doża i jego ludzie czują się bezsilni. Wiemy, o jaką stawkę toczy się gra, i dobraliśmy właściwe metody. A oni się pogubili, nie wiedzą, co począć. Spójność naszego planu wciąż jeszcze im umyka, bo właśnie tego chcemy. Tak, muszę przyznać, że dobrze się bawię. Wszyscy wpadają w moje sidła. I będą w nie wpadali, dopóki nie zadamy decydującego ciosu. A wtedy i pan podziękuje Dantemu i fantazji swego sługi.

- Przyznaję, że ma pan istic włoską fantazję. Powinien pan pisać sztuki teatralne. A pańskie... przedstawienie w Mestre?

Il Diavolo znowu się zaśmiał.

- Słyszał pan o Carlu Gozzim i jego Granelleschi?

- Nigdy.

- Nazywają ich Nedorzecznyimi... Jest to rodzaj wędrownej akademii, która skupia wesołych kompanów, rozkochanych w literaturze pięknej. Oni sami nazywają się wrogami emfazy i twierdzą, że rozwijają nauki starożytnych, dbając o „czystość idiomu”... W rzeczywistości to wykształceni Wenecjanie. Raz do roku wybierają sobie przywódcę, „naiwnego arcygłupca”, który czuwa nad swoją trzódką niczym komiczny król. Ta grupa stała się dla mnie inspiracją. Moje Ogniste Ptaki to ludzie wielce dystyngowani, więc farsa wypadła doskonale. Zapewniam jednak, że tam, gdzie kończą się żarty, rekrutowałem wyłącznie ludzi, którzy będą nam wierni.

- Wkrótce się przekonamy, czy ma pan rację - powiedział von Maarken.

Jego oczy rozbłysły, gdy zapatrzył się w płomień buchające w kominku.

- Tak, przekonamy się... Wenecja padnie w ciągu kilku godzin... A wtedy na srebrnej tacy podam Austrii klucz do morza. Najwspanialszy, najpiękniejszy z klejnotów. A pan... otrzyma należytą nagrodę, zgodnie z naszą umową. Zapewniam, że mój rząd tego dopilnuje.

Eckhart von Maarken odruchowo strzepnął pyłek z surduta, mlasnął i jednym haustem wypił kieliszek wina.

\* \* \*

Była już późna noc, kiedy Viravolta podszedł pod balkon willi Santa Croce, gdzie zamieszkiwał Ottavio. W czarnym kapeluszu i czarnym *tabarro*, w masce na twarzy, otulony długą peleryną, w rękawiczkach, w każdej chwili gotów chwycić za szpadę, nie zapomniał wsunąć do butonierki swego ulubionego kwiatu.

Mrużąc oczy, starał się oszacować odległość dzielącą go od trzeciego piętra. Po chwili namysłu postanowił gwizdnąć, jak zwykł był to robić za dawnych czasów. Raz, drugi... Na górze nic się nie poruszyło. Czy Anna już spała? Ale przecież paliło się światło. Gdyby przypadkiem pojawił się Ottavio, Czarna Orchidea ukryłby się po prostu w mroku, w podcieniach. Gwizdnął jeszcze raz, potem rozejrzał się wokół. Nie było nikogo. Musiał podjąć decyzję.

No, Anno, usłysz mnie wreszcie!

Już zamierzał podjąć wspinaczkę, gdy coś się poruszyło. Spojrzał w górę i przez krótką chwilę widział sylwetkę Anny, jej zaczesane do tyłu jasne włosy, które lśniły w oknie. Nie mógł ujrzeć twarzy, ale ręka uniesiona do piersi podpowiedziała mu, że ukochana odgadła, kto stoi pod domem. Pierś Anny falowała, kobieta zdusiła okrzyk. Bez słowa odwróciła się i zniknęła w komnacie.

Pietro nabrał tchu i zaczął się wspinać. Można było pozazdrościć mu sprawności. Błyskawicznie dotarł do parapetów okien na pierwszym piętrze, po chwili znalazł się już na drugim. Stanął na występie w murze i chwycił się konstrukcji balkonu. Noc była jego sprzymierzeńcem.

Przywarł do muru, gdy dołem, podśpiewując, przechodził tragarz, a tuż za nim dwaj Strażnicy Nocy. Wstrzymał oddech, myśląc, że znalazłby się w kiepskim położeniu, gdyby przyłapano go, siedzącego na tej ścianie niczym pająk. Przez moment obawiał się nawet, że jego buty ześlizną się z lichego wsparcia, jakie zdołały sobie znaleźć. Peleryna cicho szeleściła na wietrze, a on, ugiąwszy kolana, starał się nawet nie drgnąć i wręcz wtopić w ścianę domu. W końcu mężczyźni zniknęli. Pietro spojrział w górę, upatrzył sobie jeszcze kilka punktów oparcia, a potem, szeleszcząc peleryną, nonszalancko wskoczył na balkon.

Wylądował cicho jak kot, tuż za przejrzystymi firankami. Powoli zbliżał się do drzwi balkonowych. Zauważył, że serce wali mu jak młot. Za zasłonką dostrzegł leżącą sylwetkę.

Rozchylił firanki, które zasłaniały mu ten widok.

Była tu, w łóżu z czerwonym baldachimem. Patrzyła na niego dużymi oczyma, niepewna, co począć. Ogarnięta szczęściem, ale i obawą, śledziła każdy jego ruch jak myśliwy. Była ubrana w bordową koszulę nocną z satyny i koronek. Włosy spięła srebrną klamrą. Długo patrzyli na siebie w milczeniu - on w progu balkonu, ona nieruchoma w łóżu. W końcu Anna wstała, podbiegła i padła mu w ramiona. Pocałunek zatarł w pamięci, Viravolty cierpienia w Piombi i niepokoje, jakie dręczyły go od wyjścia z więzienia. Poczuc znowu bliskość cudownego ciała, bujnych piersi, które przywarły do jego torsu, dotyk zręcznego języka i tę odurzającą woń - to wszystko było jak czar. Zastanawiał się, jak mógł odwlekać chwilę spotkania, dlaczego nie zaczął jej szukać zaraz po uwolnieniu, nie bacząc na konsekwencje. Teraz nic mu już nie groziło, nic nie miało znaczenia. W głębi ducha zawsze był przekonany, że właśnie tak będzie wyglądało ich spotkanie, i cud, który w końcu się ziścił, przyjął jak coś oczywistego. Kochał ją - był tego pewien. Kiedy odsunęła się od niego - nie bez żalu - uczyniła to tylko po to, by zatopić spojrzenie roziskrzonych oczu w jego twarzy.

- Najdroższy, to szaleństwo! Szaleństwem jest przychodzić tu do mnie!

Pietro zauważył wysuwające się spod poduszki płatki czarnej orchidei, tak naiwnie ukrytej. Wtulając głowę w jego ramię, szepnęła:

- Landretto przekazał ci, że tu jestem, prawda?

- Anno! Nie mogę cię stracić, ja... Nie było minuty, żebym o tobie nie myślał. Kiedy siedziałem w więzieniu... bałem się, że będę musiał wyrzec się ciebie, i wtedy...

- Wiesz, że powinienes! Powinienes!

Pietro oddałby wszystko, aby już teraz sięgnąć po owoc, który podsuwał mu los. Anna Santamaria była tak blisko, w jego ramionach. Dusila szloch i śmiech, targana lękiem i radością. Chciałby wziąć ją na ręce i zanieść do tego łóża, być z nią, zapomnieć o wszystkim, wtopić się w noc;

albo porwać ją, już teraz, zabrać daleko stąd, by spełnił się słodki sen, który w najcięższych chwilach trzymał go przy życiu... A pamiętał, że to otoczenie jest mu nieprzyjazne.

Ujął ją za ramiona.

- Anno! Mamy niewiele czasu.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Oboje drżeli.

- Gdzie Ottavio?

- Wyszedł - odparła Anna - w przeciwnym razie nie pozwoliłabym ci tu wejść. Ale w każdej chwili może wrócić... Twoja wizyta to czyste szaleństwo! Tamtego dnia, kiedy zobaczyłam cię w Mercerii, myślałam, że umrę! A przecież wiedziałam... Byłam pewna, że...

Czarna Orchidea rozejrzył się po pokoju.

- Mogłabyś mi powiedzieć, gdzie jest jego biurko? Anna zacisnęła palce na ramionach Pietra i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Co takiego?!- Zaprowadź mnie do jego gabinetu, proszę! Szybko! Potem wszystko ci wytłumaczę.

Zawahała się, zanim ruszyła w stronę drzwi.

- Co ty wyprawiasz?! Wiesz, że moje damy do towarzystwa są zawsze w pobliżu! Wystarczy lada szmer, żeby...

- Znam te twoje przyzwoitki! - syknął Viravolta. - Zaufaj mi, będę się poruszał bezszelestnie. A teraz już, proszę, zaprowadź mnie tam!

\*

Tak też się stało. Anna niosła świecę, przy której blasku przeszli przez przytulny buduar. Zwierciadło w złożonych ramach, nad którymi rzeźbiarz pracował z zapalem godnym dzieła sztuki, odbiło po drodze nikły płomyk. Ominęli miękką sofę, a zaraz potem Anna przytknęła ucho do drzwi, nasłuchując, co dzieje się w sąsiednim pokoju.

- To tu.

Wolno naciskała klamkę.

Pietro podszedł do biurka i zapalił drugą świecę, ona tymczasem podeszła do drzwi łączących gabinet z dalszymi pokojami i przystanęła, wyłożając słuch.

- Pospiesz się! - szepnęła wystraszona.

Dwie pieczenie przy jednym ogniu, myślał Viravolta. Jeśli wolno tak powiedzieć...

Ale nie mógłby zmarnować takiej okazji.

Na umeblowanie gabinetu składały się, oprócz biurka, biblioteka z ciemnego drewna oraz astrolabium, którego nikt nigdy chyba nie używał. Na ścianach wisiały dziesiątki map, ukazujących rozkwit Wenecji na przestrzeni wieków. Wenecja - miasto i pasja - Ottavio był kolekcjonerem starych rycin. Portrety zadufanych w sobie przodków, których oczy wyrażały arogancję i pobłażliwą wyższość, wyłaniały się z mroku, zdając się z powagą strzec cennych sprzętów z cedru i mahoni - komody o złożonych okuciach, kredensu z sześcioma szufladami, sekretarzyka, z którego mrocznej paszczy wysuwały się listy, a przede wszystkim długiego na sześć stóp biurka, do którego Pietro usiłował się dostać. Szperał w kapeluszu i w peruce, którą wybrał specjalnie na ten wieczór. Maską zaczynała mu



przeszkadzać, więc zerwał ją z twarzy. Trzymając w zębach jedną spinkę, drugą grzebał w zamku, a tymczasem Annę oblewał pot ze strachu. Oparta o drzwi oddychała coraz szybciej.

- Czego tu szukasz? Błagam, pospiesz się!

Pietro, któremu udzieliło się jej napięcie, zmarnował jeszcze kilka sekund na zmagania z zamkiem. Zdusił radosny okrzyk, gdy ten wreszcie ustąpił.

Pietro wysunął szufladę. Mnóstwo nieistotnych dokumentów... Nóż do papieru... I jeszcze jakiś zwój pergaminu, przewiązany fioletową wstążką. Pietro przysunął świecę i rozwinął pergamin na skórzanej podkładce, która leżała na biurku.

Nie rozumiał tego, na co patrzył. To był jakby... plan z wyrysowanymi rozetami, symbolami matematycznymi, strzałkami wskazującymi różne kierunki. Ujrzał obliczenia kątów i hiperboli, szkice frontonów nieznanymi willi, jakby wszystko to było zapisem projektów szalonego architekta. Obok niedbałego szkicu budynku widniały precyzyjnie wyrysowane linie, a także chaotyczne zapiski. Pietro zmrużył oczy. Jego uwagę zwróciły dwa słowa: PANOPTICA, i przede wszystkim ledwie widoczne na marginesie, filigranowe, wypisane tak, jakby ołówek lub pióro ledwie muskały pergamin, imię: MINOS. Zapewne by krzyknął, gdyby nie zerknął na Annę, która gwałtownie drgnęła.

Z dołu dobiegały jakieś odgłosy. Spojrzała na Viravolte, ogarnięta paniką.

- Wróci!

Świeca drżała jej w ręce.

Pietro miał ledwie kilka sekund na refleksję. Rzucił zagadkowe plany do szuflady i zatrasnął ją. Starał się obrócić zamek. Anna, drżąc jak liść na wietrze, patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Pietro, błagam cię!

Czoło Czarnej Orchidei zrosił pot.

- Już, już - szeptał, trzymając w zębach spinkę i manipulując przy zamku.

Teraz słychać już było kroki na schodach.

- Anno? - odezwał się niski głos, który Pietro znał tak dobrze. - Anno, nie śpisz?

Z oczu Anny wzyrało przerażenie. Świeca, którą kurczowo trzymała, kołysała się w jej rękach, jakby miała lada chwila wypaść.

- Już kończę...

- Pietro!!!

- Anno?

Zamek zaskoczył. Pietro uniósł głowę, przesunął fotel i zdmuchnął świecę na biurku. Unosząc poły szlafrocza, Anna przeszła, niemal przebiegła, przez gabinet. Oboje zniknęli za drzwiami buduaru, w chwili gdy Ottavio otwierał te, przy których parę sekund wcześniej czuwała Anna. Przez moment stał w progu, mrużąc oczy i rozglądając się. Pogładził dłonią podwójny podbródek i wszedł.

Anna i Pietro minęli buduar. Czarna Orchidea szybko wymknął się na balkon. Zanim przeskoczył balustradę, spojrzął na Annę i ściskając w rękach poły peleryny, przytulił ukochaną, żegnając ją gorącym pocałunkiem.

- Przysięgam, że jeszcze się zobaczymy. Kocham cię!

- Ja także cię kocham - wyszeptała. Ottavio otworzył drzwi.

Peleryna Pietra załopotiała nad balustradą i zniknęła w ciemnościach.

- Wszystko w porządku, mój aniele? - zapytał podejrzliwie Ottavio.

Stojąca na balkonie Anna odwróciła się. Błady księżyc spoglądał na nią jak oko niebios. Firanki falowały, poruszone lekką bryzą. Twarz Anny Santamarii rozbliła w promiennym uśmiechu.

## PIEŚŃ XI

### **Bal u Vicaria**

#### PROBLEM ZŁA

Andreas Vicario, członek Wielkiej Rady

*O kłamstwie w polityce (rozdział XIV)*

*Głównym przejawem zła w polityce jest posługiwanie się kłamstwem, które zwyczajowo stało się niemal jej istotą, wielu myśli bowiem, że kłamstwo jest konieczne, czy to dla zapewnienia społeczeństwu ochrony, czy to dla utrzymania go w stanie wykluczającym podjęcie działań przeszkadzających władzy. Z tego powodu każda władza działa zgodnie z zasadą gry pozorów, nie szcędząc obietnic szczęścia, które następnie, w rzeczywistym funkcjonowaniu, stara się odraczać, co wymaga wielkiej zręczności i talentu. Oligarchicznej strukturze grup interesu przeciwstawia się utopijna idea ochrony interesu ogółu. Oświadczam dziś, że Ateny umarły i że z tego wszystkiego pozostało tylko egoistyczne oblicze człowieka. Czy Szatan nie jest mistrzem pośród kłamców? Dlatego tak swobodnie czuje się w antyszambrach możliwych tego świata.*

Landretto czekał na Viravolte w gondoli, która miała ich zabrać do willi Andreego Vicario. Pan domu wydawał bal kostiumowy i w normalnych okolicznościach Pietro ochoczo podbiłby tam kilka serc lub przynajmniej zabawił się trochę, jak za dawnych czasów. Jednak perspektywa spotkania z Emiliem Vindicatim, przebranymi agentami Quarantii i ambasadorem Francji, który właśnie objął stanowisko, wcale go nie cieszyła. Zagraniczni dyplomaci wyrażali często, mniej lub bardziej otwarcie, chęć zakosztowania radości życia w Wenecji, a miasto zawsze ich do tego zachęcało, ponieważ sen o rozkoszach i szczęściu, nierozzerwalnie związany z Wenecją, już od dawna stanowił niezwykle istotny element reputacji miasta. W roku 1566 powstał nawet katalog wymieniający dwieście „najważniejszych kurtyzan miasta” oraz ich adresy i taryfy. Katalog krążył ukradkiem, docierając nawet do przedstawicieli władz. Niegdyś sam Henryk III zapragnął, by Veronica Franco, jedna z owych luksusowych kurtyzan, towarzyszyła mu podczas pobytu w Republice. Rzecz jasna, doża, którego obowiązywała etykieta, nie mógł uczestniczyć w tych pół prywatnych, pół oficjalnych rozrywkach gościa. Teraz, gdy przyjazd nowego ambasadora Francji zbiegł się niemal z Sensą, pamiętano przede wszystkim o oficjalnym obyczaju i już rozmawiano o bieżących problemach dyplomatycznych. Zwykle przedstawiciele obcych państw otrzymywali wspaniałą gondolę - w przypadku Francuzów była to „Negronne” - którą miano wykorzystać dopiero w dniu Wniebowstąpienia, gdy ambasador w towarzystwie doży będzie uczestniczył w głównych uroczystościach organizowanych w Republice. Po przyjeździe do Wenecji Pierre-Francois de Villedieu, bo tak nazywał się ambasador króla Francji, natychmiast wysłał swego szambelana do Pałacu Dożów, aby poprosić o audiencję i złożyć wyrazy

uszanowania. Następnie jego sekretarz przedstawił w Senacie memorandum, zawierające instrukcje oraz kopię listów uwierzytelniających. Tego ceremoniału przestrzegano zazwyczaj bardzo skrupulatnie - od spisku Bedmara w ubiegłym stuleciu szlachetnie urodzeni nie mogli utrzymywać kontaktów z obcymi dyplomatami, a do spotkań dochodziło wyłącznie w Kolegium, Radach oraz w Senacie. Z tego względu doża oraz pan de Villedieu pragnęli pierwsze rozrywki zorganizowane dla ambasadora zachować w tajemnicy przed ogółem Wenecjan. Nie bez znaczenia były także skryte obawy doży i wyjątkowa sytuacja w mieście. Pierre-Francois de Villedieu, skłonny do podjęcia tej gry, której nie brakło pikanterii, a którą sam po części zainicjował, ochoczo korzystał z okazji. Wszędzie towarzyszył mu protegowany malarz, Eugene-Andre Dampierre, który już wkrótce miał zaprezentować w Bazylice San Marco dzieła stanowiące dar dla Wenecji.

Pietro spędził dzień na zbieraniu i analizowaniu informacji zgromadzonych przez Dziesięciu i Quarantię, mimo to nie zdołał posunąć się w śledztwie. Przygnębiające wrażenie, że wciąż tkwi w martwym punkcie, pogłębiało jego frustrację i niepokój. A już zupełnie dobijał go fakt, że oto udawał się na bal maskowy w marnym przebraniu - czarno-złotej masce na oczach, kapeluszu z białymi piórami i kolorowym surducie, nasuwającym skojarzenie z arlekinem i z barwnymi, egzotycznymi ptakami, jakie widział podczas dawnych wypraw z Konstantynopola do wiejskich rezydencji w Turcji, gdy stykał się z ludźmi Orientu i wielkimi podróżnikami. Nie zamierzał tego wieczoru rozstawać się ze szpadą i pistoletami, wsunął także sztylet do wysokiego buta. Landretto miał jak zwykle czekać w gondoli na powrót Viravolty. Tym razem jednak zapowiadała się długa noc.

Łódź głucho uderzyła o pomost, cumując przy wiodących do willi schodach. Plusk wody ucichł i Pietro wysiadł. Zewsząd przyplływały inne gondole. Kobiety i mężczyźni w maskach i upudrowanych perukach wysiadali, śmiejąc się wesoło. Panowie pomagali swym damom, a potem prowadzili je do gościnnego domostwa. Służący w liberiach czekali, świecąc pochodniami przybywającym. Nad drzwiami, przy których Vicario polecił na tę okazję ustawić dwa kamienne lwy, rozpięto girlandy kwiatów. Pietro rzucił okiem na okazały budynek, istny pałac - z eleganckimi balkonami i łukami w stylu nawiązującym do gotyku, a zarazem architektury mauretańskiej czy może bizantyjskiej - podziwiając talent i odwagę tego, kto tak zręcznie połączył różnorodne wpływy, tworząc harmonijną fasadę, z którą nie mogły się równać inne domy w Wenecji. Nieco dalej, na lewo, Pietro zobaczył fronton owej ezoterycznej Librerii, w której czytał drukowaną edycję *Piekle* Dantego i inne złowieszcze dzieła. Skinął na Landretta i wszedł do willi. Znalazł się w innym świecie. Za wrotami otwierał się westybul z fontanną, przypominający atrium rzymskiego domostwa. Tu kolejna grupa lokajów sprawdzała tożsamość gości, odbierała wierzchnie okrycia oraz podarunki dla pana domu. Sam Andreas Vicario, ubrany w czarno-srebrny kostium i słoneczną maskę, którą zdejmował, witając gości, odpowiadał na pochlebstwa i zachęcał wszystkich, aby zatopili się w tym nierzeczywistym świecie, który zrodził się z jego wyobraźni.

Tuż obok niego Emilio Vindicati w rudej kamizelce, płaszczu i spodniach, z maską lwa na twarzy i skrzydłami na plecach, także obserwował przybywających na bal Wenecjan. Widząc go w tym przebraniu, Pietro zawahał się, zakłopotany, nie wiedział bowiem, jak wyznać, że mimo przestróg opiekuna złamał zakaz i odszukał Annę Santamarię, by paść w jej ramiona. Emilio mu zaufał. A jego zalecenia były jasne - wolność Czarnej Orchidei zależała od dotrzymania obietnicy. Tymczasem

musiał koniecznie pomówić z Emiliem o tym, co znalazł w biurku senatora. Ottavio był zamieszany w sprawę - to nie budziło wątpliwości. Viravolta rozmyślał jeszcze przez chwilę. Tak, będą musieli o tym pomówić... I to jak najszybciej. To nic, że przy okazji Pietro przyzna się do swojej drobnej przewiny. Ale w końcu to błahostka wobec dokonanego odkrycia, no i nikomu nie stała się krzywda. Lecz odpowiednia chwila jeszcze nie nadeszła. Jutro. Powiem mu jutro. Czarna Orchidea westchnął i podszedł do Vindicatego. Wcześniej ustalili, w jakich przebraniach pojawią się u Vicaria. Przyglądali się sobie nawzajem, uznając, że wyglądają śmiesznie, ale nie robili uwag na ten temat. Mieli ważniejsze sprawy. Pietro stanął obok Emilia, a ten dyskretnie przedstawił go Andreasowi Vicario, który uśmiechnął się i w milczeniu skinął głową. Potem Emilio i Viravolta odeszli, by znaleźć spokojniejsze miejsce.

- Ambasador już przybył, Pietro. Nie trać go z oczu, jest przebrany za pawia i możesz mi wierzyć, że taki kostium pasuje do jego osobowości. Stara się być tak majestatyczny, że popada w skrajną śmieszność. Jego protegowany malarz paraduje w białej todze i wieńcu laurowym. Naszym Francuzom nie brakuje pokory, zgodzisz się ze mną... Ale w tym tkwi ich urok. Karnawał, Pietro! Doża pozostaje w pałacu pod dobrą ochroną, tu zaś wprowadziłem dziesięciu naszych ludzi, którzy, podobnie jak ty, zachowują anonimowość. Wmieszaj się w ten tłum i miej na wszystko baczenie.

- Rozumiem - powiedział Pietro.

Przedsiónek prowadził do ogromnej loggii o ażurowych, bogato zdobionych oknach, które ciągnęły się przez cały parter, aż do drugiego wejścia - portalu, *cortile*, wychodzącego na ulicę. Arkady nad salą były rzęsiście oświetlone i przystrojone girlandami. Schody prowadziły do apartamentów na piętrze. Przy wschodniej i zachodniej ścianie stały kominki. Tapiserie, kształtne meble, obrazy mistrzów składały się na wystrój przestronnych pomieszczeń, przygotowanych na bal. Na dwóch stołach czekały już wyszukane dania: przepiórki, bekasy, kuropatwy, kapłony, pieczeń cielęca z warzywami, sole, węgorki, ośmiornice, kraby, placki, sery, kosze pełne owoców, bogactwo jadła, palety barwnych deserów, a do tego wyśmienite włoskie i francuskie wina. Lokaje podawali złote i srebrne sztucce, porcelanowe i kryształowe talerze. Drewniane figurki niewolników, ustawione na końcach stołów, podsuwały gościom przyprawy, a zarazem zdawały się strzec ładu. Czekające między czerwonymi storami sofy i fotele zapewniały gościom możliwość prowadzenia spokojnych rozmów, natomiast środkowa część sali przeznaczona była dla jeszcze nielicznych o tak wczesnej porze tancerzy. W głębi, przed *cortile*, ulokowano orkiestrę. Także muzycy występowali w przebraniach. Około czterdziestu osób przechadzało się po salonach, nawiązując pierwsze rozmowy. Do przybyłych miała dołączyć jeszcze niemal setka gości. Dom był znacznie większy, niż można by przypuszczać, patrząc na fasadę i przedsiónek. Marmurową posadzkę ułożono z rombów w pastelowych barwach z dominacją beżu i błękitu. Pietro krążył między kolombinami, poliszynelami, pantalonaia, truffaldinami, brighellami, skapenami i mnóstwem innych postaci, wystrojonych w pióra, kryjących twarze za maskami na oczy o haczykowatych nosach; między kobietami przesadnie wymalowanymi i przysłaniającymi swe oblicza delikatnie zdobionym, weneckim wachlarzem. Pełno tu było surdutów, kamizelek, zjaw w trój graniastych kapeluszach, błyszczących płaszczach, zwiewnych sukniach, mocno wydekoltowanych, muszek przylepionych na urzekającym policzku lub na krągłej piersi. Pietro dość szybko odnalazł w tej gromadzie ambasadora w czarnym kapeluszu zwieńczonym

białą kryzą, ubranego na niebiesko i ciągnącego za sobą tren, który miał imitować ogon pawia. Francuz wspierał dłoń na gałce srebrnej laski. Już teraz otaczała go tęczowa gromadka kurtyzan, które Vicario zachęcił do towarzyszenia kawalerowi, nie ujawniając jego tożsamości. W pobliżu kręcił się malarz w rzymskiej todze, wyraźnie zainteresowany zakąskami, które pasowałyby do chianti. Zapewne byli tu także agenci Quarantii, rozproszeni po całej sali. Wciąż przybywali nowi goście, orkiestra dyskretnie przygrywała. Alkohole lały się już strumieniami. Loggia była największym pomieszczeniem na parterze willi. Stąd można było przejść do bogato urządzonych i przystrojonych salonów, gdzie czekały miękkie sofy, głębokie fotele, komody zastawione kosztownymi bibelotami. Dwa drewniane balkony pozwalały zaczerpnąć świeżego powietrza i popatrzeć przez chwilę na okoliczne kanały lub wędrujący po niebie księżyc. Pietro wiedział, że za salonami Vicario przygotował komnaty i alkowy, w których podchmielone, rozpalone pary prędzej czy później zakończą ten wieczór, oddając się innym rozkoszom we dwoje lub w liczniejszym gronie.

Viravolta uśmiechnął się, dostrzegając w pobliżu znajomą piękność. Luciana Saliestri wyglądała zachwycająco. Nosiła *morette* - maskę bez ust, o łagodnych, stylizowanych rysach - którą trzymała przed twarzą, oraz drapowaną suknię. Jej kolczyki roztaczały blask, włosy były zwinięte w kok. Luciana także rozpoznała Pietra, gdy do niej podchodził.

- Dobry wieczór, moja Domino. Cieszę się, że postanowiła pani przyjść...

- Nie mogłam odrzucić zaproszenia pana Vicario, drogi przyjacielu. I proszę nie nazywać mnie przedwcześnie „Domino”, bo nie powiedziałam jeszcze, że przyjmuję pańską propozycję. Wie pan, że z natury jestem niezależna. Pomysł pracy dla Mrocznych nie odpowiada mojemu temperamentowi.

Czarna Orchidea uśmiechnął się promiennie.

- Jest pani doskonała pod każdym względem. Nie chcę ograniczać twój wolności, pani, lecz proszę, byś rozejrzała się dla mnie, może dowiesz się czegoś, co ułatwi mi pracę dla szlachetnej sprawy. Jest tu wiele osób, wkrótce rozwiążą się języki...

Za maską dostrzegł figlarny blask w oczach Luciany.

- Oczywiście, myślę o panu. Od niedawna zostałam nawet świętoszką dla dobra Republiki. Kto wie, może i pan ponownie rozważy moją propozycję?

Pietro milczał. Po chwili Luciana odwróciła się na pięcie i odeszła, śmiejąc się.

- Do zobaczenia, aniele.

Powiódł za nią wzrokiem. Ta kobieta naprawdę wiedziała, jak zabrać się do rzeczy. Wciąż jednak wyczuwał w niej swoisty, skrywany smutek. Przed oczyma stanęła mu twarz słodkiej Ancilli Adeodat. Co mogła teraz robić? Czy tęskniła za nim, czy raczej za swoim oficerem marynarki? Czy kapitan już wrócił? Inne ciało, inne rozkosze... Rozkosze, których się teraz wyrzekł dla pięknej Anny Santamarii. Kiedy myślał o ostatnim spotkaniu z nią, tak przelotnym, w tak niezwykłych okolicznościach, serce biło mu mocniej. Uwielbiał takie przygody. Och, marnował czas, krążąc wśród anonimowych gości, których wciąż przybywało, choć przecież miał wiele ważniejszych i ciekawszych zajęć.

Gdy wszyscy już przybyli, Andreas Vicario powitał gości, którzy zaraz potem podeszli do stołów. Wkrótce Vicario otworzył bal. Kilka par tańczyło menueta na środku sali. Orkiestra grała głośniej. Rozległy się śmiechy, mężczyźni uganiali się za kobietami, niektórzy szeptałi im do ucha, inni

brali w objęcia i śpiewali cudowne serenady. Luciana rychło znalazła się w kręgu zalotników, a ambasador wiódł coraz bardziej ożywioną rozmowę ze swym żeńskim audytorium, które nie szczędziło mu docinków, gdy popełniał gafy, mówiąc po włosku. Mistrz Dampierre chwycił widelec i manewrował nim jak pędzlem, mrużąc oko i zerkając na szkic Veronesego wiszący między dwiema figurkami niewolników. Loggia Vicaria była ogrodem rozkoszy. Rozmowy stawały się coraz gorętsze, zewsząd dobiegały radosne okrzyki, robiło się coraz głośniejsze. Tańce trwały godzinami bez przerwy, tworzyły się grupy, a część z nich przechodziła do sąsiednich salonów.

Pietro nie oddalał się zbyt od pana de Villedieu.

- Pani - rzekł ambasador, pochylając się nad tajemniczą brunetką - wdzięki, jakimi obdarzył cię los, przypisać mogą o zazdrość najpiękniejsze damy Europy... Zapewniam, że jestem koneserem. A pani - zwrócił się do blondynki o zniewalającym uśmiechu - to proste: jesteś jej odbiciem w cieniu, a raczej, sądząc po tych złocistych włosach, nie jesteś ani odbiciem, ani cieniem, lecz cudowną słoneczną bliźniaczką. Oto stanąłem przed dwiema gwiazdami i nie wiem, która z was zdolna jest dokonać wspanialszej rewolucji. Dwie boginie... dwie strony tego samego medalu, z których każda warta jest wszystkie skarby świata. Drogie panie, pomyślcie tylko, w jak trudnym znalazłem się położeniu. Jak wybierać między wodą a ogniem? Czy pozwolicie, bym skosztował obu?

Roześmiał się fałsetem, osłaniając usta ręką. Kurtyzany skłoniły główki, mówiąc coś wesoło. Wieczór przemieniał się w noc. Gra trwała jeszcze przez jakiś czas, w końcu jednak ambasador rozejrzał się po sali i uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, by opuścić loggię i przenieść się do jednej z komnat oddzielonych czerwoną kotarą. Pewien łatwego, a tak zręcznie przygotowanego triumfu, już rozkoszował się myślą o tym, co nastąpi. Vicario raz jeszcze pojawił się przed gośćmi, aby uatrakcyjnić zabawę. Zwołał dwa ukryte pod plafonem sznury i oto na zebranych spadł deszcz z płatków róż. Białe i czerwone kwiaty pokryły marmurową posadzkę, znów zaczęły się tańce, biesiadnicy tłoczyli się przy stołach. Ryż i kotyliony, którymi rzucano ze śmiechem w innych, rozdawano garściami. Czasem ktoś pośliznął się, wdeptując w kałużę wina, potłukło się parę kieliszków, więc służba poczęła krążyć po salonach, uprzątając ślady niezręczności.

Cóż, rozmyślał Pietro, w tych okolicznościach wiele się dziś nie dowiem...

Do świtu pozostały dwie godziny, a ambasador wciąż paradował, strosząc piórka. Goście zaczęli się rozpraszać. Nikt już nie tańczył, a orkiestra grała tylko od czasu do czasu. Zmęczeni muzycy bez zapału tręcali struny instrumentów. Fala cofała się równie szybko i dyskretnie, jak szybko przyplęwała wczesnym wieczorem. Dwu-, trzyosobowe grupki rozmawiały półgłosem przy storach, loggia pustoszała, salony praktycznie się wyludniły. Niektórzy wracali do domów, inni przechodzili do komnat i alków. Andreas Vicario przygotował na piętrze wiele gniazdek dla kochanków tej nocy. W końcu ambasador zwabił dwie Wenecjanki i zniknął za kotarą. Pietro, który krążył pośród gości i obserwował ich, zdołał rozpoznać połowę agentów Quarantii. Skinał im głowę, podążając za ambasadorem. Po drodze zdążył jeszcze zerknąć na Emilia Vindicatiego, który nie opuszczał przedsonka.

Pietro szedł przez salony. Musnął palcami jedną z wyściełanych aksamitem sof i wtedy wyraźnie usłyszał westchnienia i szepty. Spoglądając za oparcie jednego z foteli, zobaczył kobietę leżącą z podkulonymi nogami na kanapie i zamaskowaną mężczyznę, który zdobywał ją szturmem.

Ślicznotka miała zaróżowione policzki i uśmiechała się z rozkoszą, wodząc rękami po plecach kochanka. Pietro uniósł brew. Nieco dalej stał inny mężczyzna, wtulony twarzą w kotarę, a przed nim klęczała kurtyzana.

Ambasador udał się na górę, do specjalnie przygotowanego pokoju. Pietro wszedł po schodach i zobaczył Francuza, gdy wraz z dwiema Wenecjankami zniknął w komnacie. Zamknęły się drzwi. Pietro podszedł bliżej, ciężko wzdychając. I znowu miał nasłuchiwać pod drzwiami! Przed oczyma stanął mu ojciec Caffelli w casa Contarinich, potem w pamięci ożyły wersy Menueta Cieni. Westchnął jeszcze raz. A zatem przyszło mu czekać pod drzwiami ambasadora, którego nie darzył nawet szczyptą szacunku, i gapić się w podłogę! On, Czarna Orchidea, Pietro Luigi Viravolta de Lansalt w roli lokaja! Teraz już wiedział, na co czasami skazuje drogiego Landretta. I nagle ogarnęła go fala głębokiego zrozumienia dla chłopaka, którego zdarzało mu się traktować tak podle! Potarł ręką kark. Wkrótce stąd wyjdzie. Ktoś go zmieni na warcie, i basta!

Przed oczyma wirowały mu wszystkie maski tego wieczoru. Maski... Oszolamiający taniec masek stanowił doskonałą analogię do sytuacji, w której znalazł się przed paroma dniami.

Karnawał.

Usłyszał głośnie jęki i drgnął nerwowo. Po nich rozległy się kolejne.

Ale te odgłosy w niczym nie przypominały westchnień kochanków. Rozpoznał głos Luciany. O nie!

Wzywała pomocy.

Pietro gwałtownie ocknął się z drzemki. Rozpaczliwie starał się ustalić, skąd dobiegają jęki. Pchnął jakieś drzwi i zobaczył kochanka ujeżdżającego kobietę w masce. Zajrzał do następnej komnaty - nie, to nie tu, potem do jeszcze jednej...

Zamarł.

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Stał na balkonie wychodzącym na kanał. Na głowie miał *larve*, trójgraniasty kapelusz, i *bautę*, długi czarny woal, opadający na ramiona od białej maski. Widząc Pietra wbiegającego do komnaty, szybko się odwrócił. Peleryna łopotała za nim, gdy przeskakiwał przez balustradę i trzymając się jej, zręcznie chwycił się wystających kamieni fasady. Pietro ruszył za nim i nagle krzyknął. Luciana zwisała z balkonu, tuż pod nim. Charczała. Mężczyzna przywiązał jej do nóg siatkę pełną czarnych kamieni, której biedaczka na darmo próbowała się pozbyć. Co gorsza, lina, która otaczała jej szyję, zaciskała się, naciągana przez ciężkie kamienie, a Luciana drżącymi dłońmi przytrzymywała ją, jęcząc w agonii. Sznur zaczął pękać. Pietro skoczył kobiecie na ratunek, ale było za późno. Usłyszał suchy trzask łamiącej się drewnianej balustrady, lina świsnęła, wymykając mu się z rąk. Krzyknął z bólu, a z jego rozciętych dłoni popłynęła krew. Zamknął oczy. Luciana runęła w dół, jej głowa roztrzaskała się o kamienne nabrzeże, a ciało potoczyło do kanału. Dwaj mężczyźni, zapewne agenci Quarantii, których także zaalarmowały krzyki, skoczyli do wody, żeby wyłowić kobietę.

Zlany potem, wzburzony Pietro rozejrzał się wokół. Chwycił się barierki i z trudem wdrapał na dach. Zrzucił maskę, którą wciąż jeszcze miał na twarzy. Spadła do kanału i popłynęła z prądem.

Przez moment zatrzymał się na szczycie willi Vicaria. Zwinnym susem przedostał się na drewniany taras, jeden z tych, na które Wenecjanki przychodziły wygrzewać się w słońcu, by nadać

włosom niezwyklej odcień blondu. Nabrał tchu, opierając się o komin, i rozejrzał na wszystkie strony. Jutrzenka, ledwie zaczynająca rozjaśniać świat, pomogła mu dostrzec cień zabójcy uciekającego po dachach pośród lasu *fumaioli*, z których nie unosił się jeszcze dym. Pietro przygotował się do skoku i po chwili znalazł się na sąsiednim tarasie. Następny skok był bardziej niebezpieczny, bo dachy znajdowały się w odległości około trzech metrów. Peleryna tajemniczego zabójcy, niewątpliwie należącego do spisku Strzyg, łopotała w powietrzu. Nagle uciekinier odwrócił się i wyciągnął rękę. Błysnęło. To był strzał z pistoletu. Pietro przywarł do tarasu i nieomal ześliznął się w pustkę. Zabójca chciał wykorzystać tę chwilę, by zsunąć się po ścianie willi. Pietro ruszył w pościg, a gdy stanął na krawędzi dachu, ujrzał, jak mężczyzna usiłuje zejść na ulicę.

Pietro odrzucił połę płaszcza i wyciągnął zza pasa pistolety, mierząc w uciekającego.

- *Messer!* - krzyknął.

Mężczyzna znieruchomiał, patrząc na niego.

Przez chwilę spoglądali na siebie. Wtedy dłoń mężczyzny zsunęła się z kamienia. Próbował odzyskać równowagę, jego ręka przesuwiała się, szukając pewniejszego oparcia, bezradnie biła w powietrzu. Potem runął w dół i głucho uderzył o ziemię.

Zdyszany Pietro zszedł ostrożnie, nie chcąc podzielić losu przeciwnika. Wkrótce znalazł się na marmurowym chodniku, przy mężczyźnie. Pochylił się i chwycił go za kołnierz. Spod maski, z kąćka ust nieznajomego, spływała strużka krwi.

- Nazwisko! - krzyknął Pietro. - Mów, jak się nazywasz!

Nieznajomy jęknął, potem uśmiechnął się blado.

- Ramiel... - powiedział. - Z zastępu Tronów... Uśmiechnął się znowu, a jego ręka zacisnęła się na ramieniu Pietra. Ciało wyprężyło się, potem bezwładnie osunęło na chodnik. Głowa kiwała się jeszcze przez kilka sekund, zanim opadła na bok. Mężczyzna nie oddychał. Pietro wstał, zostawiając zwłoki na ulicy. Otarł pot z czoła.

\*

Byli tam.

I zamordowali Lucianę.

## PIEŚŃ XII

### **Skąpcy i Rozrzutnicy**

Krąg Czwarty: *Skąpcy i Rozrzutnicy, wyjąć wszystkim piersi mocą, ogromne głazy przeciw sobie toczą...* Bogata wdowa Luciana Saliestri została wyłowiona z kanału przez agentów Quarantii. W tym miejscu woda była dość głęboka, by umożliwić żeglugę. Luciana opadła na dno i wydobyć jej ciała zajęło sporo czasu, mimo że natychmiast rozpoczęto akcję pogłębiania. Nie żyła, zanim wpadła do wody, bo jeśli nawet nie udusiła jej lina wrzynająca się w szyję, dzieła dopełniło uderzenie o nabrzeże. Patrząc na wyciągane z wody zwłoki, Pietro przypomniał sobie arie Ofelii, spowitej długimi, lśniącoymi woalami, o bladej twarzy i ustach rozchylonych jak u martwej ryby. Kamienie, które pociągnęły Lucianę na dno, ugrzęzły w mule. Na kanale mijały się czarne gondole, ciche, żałobne



łodzie. Na jednej ze ścian komnaty, gdzie Pietro zaskoczył mordercę, odnaleziono rytualną inskrypcję, która tym razem brzmiała:

*Wszyscy oni mieli  
Umysł tak kosy za ziemskiego trwania,  
Że w dóbr rządzeniu miały zapomnieli.*

Luciana... Luciana, która trwoniła fortunę na toalety, by łatwiej frymarczyć wdziękami, fortunę, spadek po mężu, kupcu bławatnym, znanym ze skąpstwa, zupełnie jak Pantalón, alegoryczna postać ze sztuk teatralnych. Śpiewny głos młodej kobiety wciąż jeszcze brzmiał Piętrowi w uszach. „Pokój jego duszy!”, powiedziała, myśląc o swym małżonku, panu Saliestrim, którego pieniędzmi szastała. „Widzi pan, biedak miał głowę do interesu i potrafił robić pieniądze. Zdarzało mu się tracić rozsądek. Ze mną jest zupełnie inaczej - gustuję w innego typu negocjacjach, i nie mam sumienia odmawiać sobie tej gry”. Ona, która zawsze chciała być wolna, ona, której uroda i młodość zawróciły w głowie senatorowi Campionemu i wielu innym, miała znaleźć się wkrótce sześć stóp pod ziemią, gdzie człowiekowi towarzystwa dotrzymywały już tylko robaki. Tam cielesność nabierała innego znaczenia.

Przygnębiony Pietro siedział pod ścianą, kilka metrów od wejścia do willi Vicaria. Landretto był przy swym panu. Tymczasem Emilio Vindicati rozmawiał z właścicielem domu, a zmęczeni agenci upominali się o listy gości, do których mieli dotrzeć. Pietro był przekonany, że ten „trop” nie doprowadzi ich dalej niż wszystkie poprzednie.

Luciana. Jego niedoszła Domino. Zamordowana. Jeszcze jedno zabójstwo.

Viravolta nie był już w stanie logicznie myśleć. Żałował, że nie zatrzymał kurtyzany przy sobie. Co gorsza, zapewne naraził ją na niebezpieczeństwo, bawiąc się w rekrutację. Na myśl, że coś takiego mogłoby spotkać Annę Santamarię - a przecież wciąż mogło! - krew zastygła mu w żyłach. Dość tego! Musi natychmiast powiedzieć Emiliowi, co znalazł w gabinecie Ottavia. Teraz jednak Pietro czynił sobie wyrzuty. Luciana nie zasługiwała na taki los. Tej śmierci można było zapobiec. Gdyby Pietro wykazał więcej rozsądku, gdyby wcześniej rozmawiał z Vindicatim... Mdlilo go, chciało mu się płakać. Ambasador zasnął spokojnie w objęciach swoich Wenecjanek, szczęśliwy jak papież, oszołomiony winem, upojony miłością. Nie obudziło go nawet zamieszanie w willi. W pewnej chwili wyszedł przed dom. Zdołał doprowadzić się do ładu - miał na sobie kostium pawia, ale czerwone, łzawiące oczy zdradzały, że spędził burzliwą noc. Pojawił się, gdy wydobywano zwłoki, i zareagował pełnymi przerażenia okrzykami, jednak Emilio szybko go uspokoił i odesłał do oficjalnej rezydencji, przydzielając gromadę lokajów i silną eskortę. To była ciężka próba dla dyplomatycznych dobrych manier, ale Vindicati potrafił znaleźć odpowiednie wytłumaczenie i w końcu przekonać ambasadora, że nie stało się nic strasznego. Malarz zniknął gdzieś tej nocy. Zapewne wymknął się do domu, marząc tylko o kilku godzinach spokojnego snu.

Ogniste Ptaki wypełniały swój plan i gdy wszystkie oczy zwróciły się na Pierre'a-François de Villedieu, zamordowały Lucianę. Bieg wydarzeń wskazywał, że kolejną ofiarą może stać się senator Giovanni Campioni. Ludzie doży wciąż pozostawali w tyle za spiskowcami. Pietro także. *Il Diavolo* wodził ich za nos. Wiedza o kręgach i karach wymierzonych w dantejskim piekle nie wystarczała, by

odgadnąć tożsamość kolejnych ofiar. W tej grze Dziesięciu mogło nadal przegrywać. Czarna Orchidea wsunął rękę do kieszeni płaszcza, by zerknąć na najnowsze znalezisko. Przeszukał mordercę Ramiela z zastępu Tronów. Nie znalazł nic... oprócz karty, na którą teraz spoglądał. Karty tarota. Rzecz jasna - Diabeł.

Miał wrażenie, że została przygotowana specjalnie na tę okazję. Przedstawiała Lucyfera przed zodiakalnym kręgiem ukazującym Dziewięć Legionów opisanych przez Raziela w *Mocach Zła*. Trzy obszary zasłonięte były ciałem bestii. Jedna z rąk Diabła, potężna i wygięta, trzymała kobietę - wisielca z kamieniami przywiązanymi do nóg - a w lewym dolnym rogu jakaś zamazana postać toczyła głaz. Chimera znów uciekł się do mglistej, ale przejmującej grozą metafory. I jeszcze raz Chimera bądź jego wysłannicy pojawili się jak zjawy, ugodzili w samo serce i zniknęli, nie dając przeciwnikom najmniejszych szans. Tak atakowała kobra. Viravolta zwrócił oczy na kartę tarota. Twarz Diabła była wykrzywiona w grymasie, jego oczy ciskały gromy, nad łbem sterczały rogi jak u kozła. Pietro, który w przeszłości sam uprawiał wszelkie karciane gry i żywo interesował się astrologią, oswoił się z taką symboliką. I znowu miał wrażenie, że ta „wiadomość” była przeznaczona właśnie dla niego.

Podniósł głowę, kiedy podszedł do niego Emilio Vindicati.

- Nie zdołaliśmy, przynajmniej na razie, ustalić tożsamości zabójcy. Pietro... czy wiedziałeś, że majątek Luciany Saliestri był znacznie większy, niż sądziliśmy? Rzeczywiście, powinna była palić świece za duszę męża. Była tak rozrzutna, jak on skąpy. To pewnie bawiło Il Diavolo... Może się bał, że Luciana o czymś ci powie?

Pietro ciężko dźwignął się z miejsca. Wiedział, że czeka go trudna rozmowa.

- Powinieneś teraz odpocząć - podjął Emilio. - Ja też pójdę się przespać. Obu nam tego trzeba. Pietro westchnął.

- Tak, zaraz pójdę. Ale przedtem, Emilio... muszę ci o czymś powiedzieć.

Ton jego głosu zaintrygował Vindicatiego, który zastanawiał się, o jakiej katastrofie dowie się lada chwila.

- Luciana rzeczywiście ze mną rozmawiała. Wyobraź sobie, że od czasu do czasu gościła u siebie kogoś... kto nie darzy mnie sympatią.

Emilio zmarszczył brwi.

- Masz na myśli...

- Tak, przyjacielu, mam na myśli Ottavia. Ale to jeszcze nie wszystko. Posłuchaj. Rada Dziesięciu musi wezwać go do pałacu. A jeśli to możliwe, przeprowadzić rewizję w willi Santa Croce. I to jak najszybciej, Emilio! Teraz może zacząć coś podejrzewać.

- Czekaj, czekaj... O czym ty mówisz? Pietro, ty... Jego twarz rozjaśniła się, by niemal natychmiast się zasępić.

- Widziałeś się z nią. Przyznaj, że się z nią widziałeś! Poszedłeś do niej!

- To był trop, Emilio! Musiałem! I dostałem się do gabinetu Ottavia! Znalazłem tam coś... niezrozumiałe plany ze wzmiankami o Minosie! Emilio, to nie może być przypadek!

Vindicati kiwał głową. Nie wierzył własnym uszom. Jego czoło pobiadło. Zmęczenie tą nocą i ostatnimi wydarzeniami zrobiło swoje.

- Pietro, zamierzasz mi powiedzieć, że... że odwiedziłeś Annę Santamarię? I że podstępnie wdarłeś się do prywatnego gabinetu senatora? Byłeś w jedynym miejscu, gdzie... Nie wierzę własnym uszom!

- Emilio, rozumiesz, co do ciebie mówię?

- A czy ty zrozumiałeś, co ja ci mówiłem? Na Boga! Przecież przysięgałeś!

Teraz naprawdę się rozgniewał. Obrzucił Pietra piorunującym spojrzeniem.

- Emilio, jestem przekonany, że Ottavio należy do spisku! To poważna sprawa! Trzeba jeszcze dziś rano przeprowadzić rewizję w jego domu.

- Przestań! Wydaje ci się, że mogę przewrócić dom Ottavia do góry nogami na twoje skinienie? Chcesz rewizji? Ale na jakiej podstawie? Twoich insynuacji? Bo tak chce Czarna Orchidea, więzień, którego wyciągnąłem z Piombi i który tak mi się odwdzięcza? Czarna Orchidea, który obiecał zapomnieć o Santamarii? Czarna Orchidea, śmiertelny wróg Ottavia? Wezmą mnie za głupca! Kto uwierzy, że nie robisz tego z chęci zemsty? Kto uwierzy...

- Wiem, co widziałem, Emilio, to nie było urojenie.

- A co widziałeś? - syknął, rozkładając ręce. - Plany. Cudownie! I imię Minos! Przecież od śmierci majstra to imię powtarza cała Wenecja. Pietro, to mają być dowody? Mam tylko szczyptę podejrzeń. Co mam począć? Chcesz, żebym w imieniu Czarnej Orchidei wysłał po Ottavia uzbrojonych ludzi?

- Wyobraź sobie, że w sumie byłaby to tylko uczciwa rekompensata. Emilio...

Pietro chwycił Vindicatiego za ramię.

- Musisz mi zaufać. Ottavio to najpoważniejszy trop, na jaki trafiliśmy.

Emilio zacisnął zęby i długo patrzył na swojego agenta. Upłynęło kilka sekund, zanim skinął głową, westchnął i powiedział:

- Postaram się zorganizować spotkanie z Criminale w pałacu. Ale w tajemnicy, Pietro. Nie weźmiesz w nim udziału. Rozumiesz? Nikt nie może wiedzieć, że ty za tym stoisz. W przeciwnym razie pozbawimy się resztek wiarygodności. Nie mogę sobie pozwolić na utratę twarzy. Zaklą.

- O nie, nie mogę do tego dopuścić.

- Oczywiście. Ale nie pozwól mu się wymknąć! On jest jednym ze Strzyg, jestem tego pewien! Może to nawet sam Il Diavolo!

- Il Diavolo... On... Tak, tak, na pewno. Emilio znowu westchnął.

- Może teraz powiesz mi, co właściwie zamierzasz?

- Chcę się spotkać ze starym znajomym.

Mówiąc to, Pietro bawił się kartą tarota, którą wyciągnął z kieszeni.

- To niejaki Fregolo.

Postawił kołnierz płaszcza, osłaniając twarz. Z ciemnych chmur zaczął padać deszcz.

- Jest wróżbitą. Jak nikt czyta z kart.

\* \* \*

Andreas Vicario, wciąż jeszcze w czarno-srebrnym kostiumie, z maską w ręce, stał samotnie w loggii, którą opuścili już wszyscy. Agenci Quarantii polecili, by niczego nie dotykać, dopóki nie zakończą śledztwa. Andreas uśmiechnął się, zerkając na płatki róż, kotyliony, serpentyny i girlandy,

które teraz zaścięły posadzkę. To był udany bal. A on doskonale bawił się ofiarami i nadętymi szlachciami. Przychodziło mu to bez trudu, taki już miał charakter. Teraz pozostał sam w swoim imperium i gratulował sobie kolejnego pokazu siły. Wkrótce sprawą zajmie się sama Wielka Rada, nie da się tego uniknąć. I na kilka dni przed Wniebowstąpieniem w Wenecji zaczną wrzeć. Teraz wszyscy już poszli - goście i ludzie Criminale. Andreas czekał tylko na oficjalne zezwolenie, by polecić służbie uporządkowanie domu. Cieniem na tym dniu kładła się wyłącznie śmierć Ramiela, którego niemal schwytano na gorącym uczynku. Ale to za mało, by Czarna Orchidea przedstawił władzom dowody wskazujące na związek Vicaria ze sprawą. Być może nawet zaczynał go podejrzewać, choć Andreas nie sądził, by tak było. Zasięgnął informacji na temat tego Pietra Viravolta i wiedział o nim niemało. Ten człowiek miał wyrobioną reputację, a Andreas rozumiał jego sposób myślenia. Viravolta nie zadowolił się prawdami oczywistymi. A przecież taką prawdę miał w zasięgu ręki! Była jaskrawa, oślepiająca jak... słońce!

Minos spojrzął na swoją maskę i wybuchnął śmiechem.

\* \* \*

Gdzieś na skraju adriatyckiej zatoki, między szesnastym stopniem szerokości geograficznej północnej a czterdziestym stopniem długości geograficznej wschodniej, nieopodal kanału Otrante, młody marynarz szedł z mostku w kierunku kajuty kapitana. Zbiegł po kilku schodkach, zanurzył się w mroku i zapukał, a potem otworzył drzwi. Kapitan stał za biurkiem, ubrany w galowy mundur - niebieski surdut z epoletami i złotymi guzikami, na głowie zaś miał perukę. Na biurku leżały mapy regionu, sekstans i kompas. Marynarz zsalutował i trwał w pozycji na baczność. Kapitan oderwał się od marzeń. Znużyły go długie godziny bezczynności. Myślał o Ancilli, kochanej Ancilli Adeodat, którą zostawił w Wenecji. Miał nadzieję, że wkrótce ujrzy swą słodką Mulatkę, której ciała i pogody ducha tak bardzo mu brakowało. Musiał wytrwać jeszcze przez kilka dni. Wiadomość, którą przekazał mu marynarz, utwierdziła go w tym przekonaniu.

- Delegacja „Santa Marii” przybyła z wizytą, panie kapitanie. Przed chwilą przyplłynęła łódź z trzema żołnierzami. Przekazali nam ten list. Wkrótce dołączą do nas fregaty.

Kapitan wziął list, który podał mu marynarz, złamał pieczęcie i szybko przeczytał. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Spojrzął na marynarza, zagryzł usta, po chwili powiedział:

- W porządku. Nie każmy im czekać. Zaraz przyjdę na mostek.

I rzeczywiście wkrótce pojawił się na pokładzie. Wilgotne deski skrzypiały pod jego nogami. Od czasu do czasu fala obmywała mostek, z nieba lał się żar słoneczny. Kapitan sięgnął po lornetkę, rozkoszując się wiatrem od morza. Uniósł głowę i patrząc w czyste niebo, oswajał się z jaskrawym światłem. Głęboko odetchnął świeżym, słonawym powietrzem, które miało na niego zbawienny wpływ. Poczł ogarniającą go radość. Nad jego głową marynarze kręcili się po omasztowaniu, przy wantach i linach, niczym ptaki w wolierze. Kapitan spoglądał na zagubioną zatoczkę u brzegów wyspy Korfu, gdzie znalazły schronienie okręty. Potem podszedł do delegacji „Santa Marii”. Wyglądził ręką plastron, trącając przy okazji order, którymi lubił się popisywać. W drugiej ręce ścisnął rękojeść wiszącej u boku szabli. Przywitał trzech żołnierzy z „Santa Marii”.

Zaczęły się rozmowy. Dyskusja i negocjacje potrwały pół godziny, następnie delegacja wsiadła do łódki i odplłynęła w stronę swojej galery. Kapitan odprowadził łódź wzrokiem, a potem kazał

zebrać załogę, by wydać ostatnie rozkazy i rzucić kilka słów zachęty. Do stojącego u jego boku marynarza powiedział:

- Do spotkania z flotą von Maarkena dojdzie u wybrzeży Palagruzy.

Potem głęboko odetchnął i rzucił z satysfakcją:

- Ruszamy!

Spojrzał w górę na grotmaszt.

- Postawić żagle! Odplywamy.

Załoga ruszyła do pracy - jedni uwijali się przy linach, inni wspinali na bocianie gniazdo, jeszcze inni chwytały za wiosła i ster. Ogromne żagle rozwijały się wolno. Majtkowie zostawili wiadra i szczotki, żeby zluzować cumy. Słychać już było chlupot wody, zgrzyt wioseł, które uderzały o siebie, zestrzajając rytm. Nieopodal „Santa Maria” także szykowała się do drogi. Rozbrzmiewały krzyki, śmiechy, nawoływania, śpiewy, na które tak długo sobie nie pozwalano. Okręt kipiał życiem, żagle napinały się na wietrze, rufa z rzeźbą syreny o rozwianych włosach nurzała się w spienionych falach. Od dziobu po bezan sprawdzano kule i działa. W kajucie kapitana sekstans i kompas podskakiwały na rozłożonych mapach.

Majestatyczne, dumnie prężące się w słońcu „Santa Maria” i „Klejnot Korfu”, a także dwie towarzyszące im fregaty, oddalały się od zatoki, niczym białe ptaki na mieniących się wodach. Za jakiś czas, w rejonie Palagruzy, na Adriatyku, dołączą do nich dwie inne galery i cztery fregaty.

I cała armada ruszy w kierunku Serenissimy.

\* \* \*

Po kilku godzinach ciężkiego, niespokojnego snu, który pełen był koszmarów, Pietro przebrał się i wraz z lokajem poszedł na spotkanie z Pięciem Fregolo, który przyjmował przy ulicy Vallaressa, tuż przy placu Świętego Marka. Fregolo był jednym z tych astrologów, których rady zasięgali nawet możni tego świata. Pietro Viravolta sam uciekał się czasem do takich sztuczek (i przejawiał nawet pewne zdolności do tej sztuki), kiedy w jakże odległej przeszłości wziął go pod swe skrzydła senator Ottavio. Ale tego rodzaju „profesje” poddane były ścisłemu nadzorowi, więc Fregolo przyjmował na zapleczu sklepu, którego witryna kusila przechodzących ulicą Vallaressa bardzo porządnym towarem. Głównym zajęciem wróżbity był bowiem handel szlachetnymi meblami, zapewniający mu więcej niż „przykrywkę”; zresztą nikogo to nie myliło, ale pozwalało relatywizować znaczenie drugiego fachu, o którym właściciel rozmawiał ze sceptykami, okazując rozbawienie. Do osób zainteresowanych konsultacjami odnosił się z pełną powagą. Zerknąwszy na dobrze sobie znany szyld, zielony ze złotymi literami, Viravolta wszedł do sklepu. Jak się spodziewał, zastał Fregola siedzącego przy biurku, pośród lśniących sekretarzyków, bogato zdobionych szaf i innych meblarskich rarytasów. Atmosfera bogactwa i przytulności, woń drewna i wosku... Pietro w paru słowach przedstawił Fregolowi powody swojej wizyty, a tymczasem Landretto snuł się między komodami, dla zabawy wyszukując i otwierając ich ukryte szufladki. Słuchając Viravolty, Fregolo zmarszczył brwi i spoważniał. Potem poprosił obu panów, by poszli z nim na zaplecze. Minęli dwie zasłony. Fregolo wskazał im fotele. Znaleźli się we wnętrzu, które w niczym nie przypominało sklepu. Wszystkie ściany obite były niebieskimi tkaninami w gwiazdy. Panował mrok. Na okrągłym stoliku wyściełanym czerwoną skórą leżały dobrane traktaty ezoteryczne, kryształowa kula i zegar w pięknym skórzanym

etui. Pietro uśmiechnął się, zakładając nogę na nogę. Fregolo poprosił mężczyznę o chwilę cierpliwości. Zniknął za kotarą. Wrócił zupełnie odmieniony. Zamiast *tabarro* i brązowych spodni miał teraz długą szatę w gwiazdy z szerokimi rękawami, na wschodnią modłę, i czapkę na głowie. Twarz okalała siwa, przycięta w szpic broda, brwi były gęste, twarz blada jak pergamin. Ten czarodziej gwiazd wyglądał jak doża. Oto, jak rodzą się osobistości, pomyślał Pietro. Wiedział, jak wielkie wrażenie wywierają na słabych duchem wspaniałe szaty.

- Proszę pokazać mi tę kartę.

Pietro podał mu przedmiot. Fregolo zaczął uważnie mu się przyglądać.

- Diabeł... Tę kartę namalowano niedawno. Po raz pierwszy widzę coś takiego. Nie jestem pewien, czy należy do całej talii, ale znając pańską relację, nie dziwię się temu. Być może naprawdę zrobiono ją specjalnie dla pana. Mit Diabła jest dość podobny do mitu Smoka, węża. Zazwyczaj to piętnasta wielka tajemnica tarota. Znajduje się między Wstrzemięźliwością a Domem Bożym... Symbolizuje połączenie czterech żywiołów dla zaspokojenia namiętności za wszelką cenę. W astrologii odpowiada Trzeciemu Domowi zodiakalnemu... Jest w pewnym sensie przeciwieństwem nie Boga, ale Cesarzowej, która oznacza władzę i inteligencję, albo Afrodyty, greckiej odpowiedniczki Wenus.

- Wenus dla Wenecji... - szepnął Pietro do Landretta.

- Najczęściej uosabia chaos, małą bożą, Moce Zła... Zauważył pan to w aluzji do Dziewięciu Legionów. Jednak tradycyjny wizerunek jest inny. Tu Diabeł jest półnagi, co zdarza się często, lecz zwykle opiera się na kuli leżącej na cokole z sześciu różnych warstw. Jest hermafrodytą o niebieskich skrzydłach nietoperza, nosi czerwony pas związany pod pępkiem, ma szponiaste stopy. Prawą rękę trzyma w górze, lewą zwraca ku ziemi szpadę bez rękojeści. Ma żółtą czapkę, splecioną z półksiężyców i pięciu jelenich rogów. Przy nim stoją dwa diabełki, żeński i męski, z ogonami i rogami albo w ognistych wieńcach. Wisielec ukazany na tej karcie, a raczej powieszona kobieta z kamieniami u nóg, to pomysł na tę szczególną okazję. Ale aluzja jest oczywista. Kamienie symbolizują grzechy ciężące na ofierze... a duch toczy je przed sobą, aby się uwolnić jak Syzyf lub żeby pokazać je całemu światu.

- Czy domyśla się pan, skąd może pochodzić ta karta?

- Nie mam pojęcia - odparł Fregolo. Pietro przysunął się do wróżbity.

- Czy słyszał pan o Ognistych Ptakach?

Czy ta nazwa zrobi wrażenie na Fregolu? Pietro wyczuł, że rozmówca jest jeszcze bardziej zakłopotany, jednak nie uległ panice, jaka oładnęła ojcem Caffellim i senatorem Campionim. Cofnął się, zagłębił w fotelu i bacznie obserwował Pietra.

- Powiedzmy, że... zwykle staram się być na bieżąco z rozmaitymi... nurtami okultystycznymi.

- Messer Fregolo, mówi się, że Diabeł jest w Wenecji...

- Tę wiarę trzeba traktować bardzo poważnie.

- Obawiam się, że sprawa ma charakter... polityczny. Wiele wskazuje, że są w nią zamieszani niektórzy senatorowie.

- Polityka - odparł Fregolo - to ulubione pole walki Dobra ze Złem. Gdy mówi się, że nastął mrok, należy pamiętać, że nie stało się to wyłącznie za sprawą człowieka, ale także pod wpływem

ukrytej inspiracji. A ona pochodzi od samego Lucyfera i jest nie tylko mitem, lecz także rzeczywistością. Radzę się pogodzić z tą prawdą, w przeciwnym razie skaże się pan na przegraną. I niech się pan przygotuje na wydarzenia, które nie mieszczą się w głowie.

- Oczywiście, przyjacielu, oczywiście... Ale co pan wie o Ognistych Ptakach?

- To chyba swoista... sekta. Niektórzy z moich klientów mówili mi o nich, choć nie otwarcie. Wydaje mi się, że jeden z nich należy do tej sekty. Z półśówek wywnioskowałem, że proponuje mi, bym do nich dołączył. Ale ja nie skłaniam się ani ku kabale, ani ku czarnej magii... Odrzucając grę mrocznych sił, można narazić na śmierć swe ciało, lecz godząc się na nią, traci się znacznie więcej, przyjacielu, skazuje się własną duszę na zatracenie.

Pietro oblizał wargi. Aż nazbyt dobrze rozumiał, co ma na myśli astrolog.

- Ten klient, o którym pan mówi, ten, który nakłaniał pana do podpisania paktu... Kim on jest?

Fregolo wahał się, pocierając dłonią czoło.

O nie! - pomyślał Pietro. Tym razem wszystko mi wyśpiewasz! Nie wyjdę, dopóki się nie dowiem, choćbym miał cię torturować, choćbyś miał zjeść, karta po karcie, wszystkie swoje talie!

W końcu Fregolo przysunął się do Viravolty i zniżonym głosem powiedział:

- To rzeczywiście, jak pan sugerował, jeden z weneckich senatorów...

- Tak? - Pietro zmrużył oczy, wyciągając szyję.

- Tak. Nazywa się... Giovanni Campioni.

Zaskoczony Pietro spojrział na lokaja.

Landretto wydał usta.

To kłamstwo.

## KRAĞ PIĄTY

### PIESN XIII

#### Karty i panopticum

- To kłamstwo! Ohydne łgarstwo! Spisek! Kolejna próba zniszczenia mnie!

Senator Campioni siedział naprzeciwko Pietra, Emilia Vindicatego i Rady Dziesięciu w pełnym składzie w jednej z tajnych sal weneckiego Piombi i wyrzucał z siebie lawinę słów, nie kryjąc wzburzenia i obrazy. W rozmowie uczestniczył także dowódca Quarantia Criminale. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak wiele siły potrzebował Campioni, by stawić czoło kolejnemu wymierzonemu w niego atakowi. Była sobota i przygotowywano się do posiedzenia Senatu. Jego Ekscelencja przywdział obszytą gronostajami szatę i *berettę*. Na jego twarzy malowała się rozpacz. Przedstawiono mu okoliczności śmierci Luciany Saliestrii i to sprawiło, że wyglądał, jakby nagle postarzał się o dziesięć lat. Pobladły, siwy, patrzył rozgorączkowanymi oczyma, z których wyzierały rozpacz i przerażenie. Chwilami milkł, powstrzymując szloch. Był idealnym podejrzanym. Należało tylko odpowiedzieć na pytanie, czy można ufać Fregolowi. Jednak Dziesięciu i Quarantii nie wolno było zlekceważyć żadnego tropu. Siedzieli obok siebie, przy ustawionych w podkowę stołach. Istny trybunał. Ernesto Castiglione, Samuele Sidoni, Niccolo Canova i inni wytrawni przedstawiciele weneckiej tajnej policji,

ubrani w ciemne szaty, srodzy, sprawiali wrażenie gotowych rzucić się na nieszczęsnego senatora i rozerwać go na strzępy, gdyby tylko wyrzekł jedno niewłaściwe słowo. Czy Campioni okazał się aż tak dobrym aktorem, czy może był tylko szczerzy, jak wciąż jeszcze myślał Pietro? Ale w tej chwili nawet Viravolta niczego nie był już pewien. Sytuacja stawała się jednak komiczna, Pietro wiedział bowiem, że lada chwila Emilio Vendicati przejdzie do sąsiedniego pokoju, by przesłuchać Ottavia. Zapowiadał się więc swoisty pojedynek senatorów. Pietro czuł narastający gniew - wiele by dał, żeby znaleźć się twarzą w twarz z małżonkiem Anny Santamarii. Był przekonany, że to Ottavio ukraść Lucianie broszkę odnalezioną w teatrze San Luca i że z tego powodu zamordowano kurtyzanę. Miał ochotę przeprowadzić to przesłuchanie na swój sposób - bez wszystkich tych środków ostrożności, jakie zastosuje Emilio, by nie naruszać „etykiety”, która była tu już po prostu nie na miejscu, a Viravolcie kojarzyła się tylko z giętym kręgosłupem. Chciał przygwoździć Ottavia. Tak, wbrew twierdzeniom Fregola, Czarna Orchidea czuł, że siedzący przed nim człowiek nie jest poszukiwanym wrogiem.

- Błagam, tylko pomyślcie, panowie - powiedział w końcu Campioni. - Broszka w San Luca, a teraz karta do nie wiem jakiej absurdalnej gry, które mają skierować na mnie podejrzenia! Czy nie wydaje się wam, że to zbyt oczywiste? Jestem niewinny! Wyobrażacie sobie mnie na czele tajnej armii, która ma mi umożliwić przejęcie władzy? To szaleństwo!

- Nasi wrogowie dowiedli już, że są podstępni, Wasza Ekscelencjo, i że stosują zaskakujące strategie. W przeszłości Wenecja przeżyła dramatyczne chwile. Nasze piękne miasto zawsze wzbudzało pożądanie. Skąd pewność, że ta wina, nazbyt jaskrawa, aby uznać ją za rzeczywistą, przynajmniej pańskim zdaniem, nie jest kolejnym wybiegiem, który ma przekonać nas o pana niewinności? Proszę nie liczyć zbyt na naszą inteligencję, bo znużyło nas już myślenie. Chcemy faktów. Znamy swoje uprawnienia i siłę, która dorównuje pańskiej. Czas nagli. Obawiamy się tego, do czego może dojść w dniu Wniebowstąpienia. Kochał pan Lucianę Saliestri, prawda?

- Och... - westchnął Campioni, ze wzruszenia kładąc spontanicznie rękę na sercu. - Nie mieszajcie czystego uczucia z tymi potwornymi zdarzeniami. Jak możecie dopuścić do siebie myśl, że byłbym zdolny skrzywdzić tego anioła? Jej okrutna śmierć rozdziera moje serce niczym sfera rozjuszonych psów!

- „Czyste uczucie” - podjął Ricardo Michele Pavi, dowódca Quarantii. - Brzmi to nieco zabawnie, gdy odnosi się do kurtyzany, pokój jej duszy, która nawykła oddawać się każdemu.

Pietro zakasłał.

- Zbrodnie z miłości to zjawisko stare jak świat - ciągnął Pavi. - Może był pan zazdrosny o jej kochanków? Wiedział pan, że było ich wielu?

- Tak, to był dramat, przyznaję, ale wyłącznie mój dramat. Cóż jednak wspólnego ma moja miłość do Luciany ze śledztwem w sprawie Ognistych Ptaków? Sprawdźcie raczej tego waszego wróżbitę! - A zatem przeczy pan, by kiedykolwiek odwoływał się do jego usług? - przerwał Vendicati.

Słyszając to, senator spuścił oczy.

- Ja... Rzeczywiście odwiedziłem go raz czy dwa. Ale to nie ma nic wspólnego z polityką, to nie było...

Widząc zmieszanie senatora, Pietro włączył się do rozmowy.



- Nie pan pierwszy tak postąpił - powiedział uspokajającym tonem. - Do wróżbitów zwracali się najmożniejsi, jak choćby August i wszyscy cesarze rzymscy. Proszę nie martwić się astrologiem. Jeżeli kłamał, trafi za kratki jeszcze dziś i tym razem już się nam nie wymknie. Chcemy tylko wiedzieć, co jeszcze ukrywa pan przed nami na temat Ognistych Ptaków. Kim jest Minos? Kim jest Wergiliusz? Kto każe się nazywać Il Diavolo?

Campioni zwrócił się do Viravolty.

- Dobrze. Powiem wszystko, co wiem. Proszę mnie jednak zrozumieć. Któryś z was... jest być może jednym z nich.

Tego już było za wiele dla Niccola Canovy, otyłego sześćdziesięciolatka o języku ostrym jak brzytwa. Przemówił z patosem, prężąc się w fotelu i niemal się zapluwając:

- Nie pogarszaj pan swej sytuacji, rzucając tak ciężkie podejrzenia na ludzi, którzy pragną ocalić Republikę!

Zapadła cisza. Campioni znów spuścił oczy.

- Grozili mi, nie to jednak jest najgorsze. - Znów szukał wsparcia, patrząc na Pietra. - Grozili członkom mojej rodziny i innym senatorom z rządu. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności, sprowadzając na nich niebezpieczeństwo. Był pan w willi Mora w Mestre, przekonał się pan, kim są, prawda? I dzięki mnie zrozumiał pan, jacy są groźni. Być może zmarnowaliście okazję, by ich zniszczyć. Teraz są silniejsi, i to oni prowadzą tę grę. Wiem, że nie zrezygnują.

Znowu zapadła cisza.

- Dobrze! Powiem wam wszystko. Zapewniam, że niczego nie będę ukrywał. Gdybym wiedział więcej, nie czekałbym, aż wilk zuchwale wyjdzie z lasu.

Dziesięciu, Pietro i dowódca Quarantii zamienili się w słuch.

- I tak nie mógłbym dłużej borykać się z tym w samotności. Otóż Minos jest członkiem Wielkiej Rady, ale nie potrafię podać jego nazwiska. Myślę, że to on próbował zwerbować wróżbitę Fregola, jak uczynił z wieloma innymi. Ogniste Ptaki to nie tylko szlachta, skądże. Wielu z nich to *cittadini*, którzy przeniknęli do administracji, lub biedacy, których łatwo omamić i skłonić, by uwierzyli w nierealne obietnice. Bardzo możliwe, że jednym z nich był Ramiel, zabójca mojej ukochanej Luciany. Nie wiem, czy przywódcy sekty mają wspólników poza granicami Republiki, ale wydaje mi się to wielce prawdopodobne. Pozostają ludźmi bez twarzy, a to czyni ich silniejszymi. To mistrzowie szantażu, którzy nakłaniają, by do nich przystać - najpierw drobnymi upominkami, niegodnymi obietnicami i innymi metodami przekupstwa, następnie zaś groźbą, gdy perswazja okazuje się niewystarczająca. Stawiają ludzi w niezwykle trudnym położeniu, czego przykładem jest choćby moja obecność w tej sali. Zamach stanu, który przygotowują, ma nastąpić wkrótce i słusznie obawiacie się święta Wniebowstąpienia, bo to dogodny moment. Doża będzie w zasięgu ręki. Cała maskarada, za którą się kryją, to tylko gra, mająca ułatwić sianie pogłosek o okultyzmie i zastraszyć ludzi. Wiem przede wszystkim, że jeden z nich... ma siedzibę o krok od Prokuracji gdzie wynajął kosztowny apartament w kamienicy, jednej z nielicznych, z których dachów można ogarnąć całą lagunę. Nie wiem jednak, w jakim celu to uczynił.

- Ekscelencjo, trzeba nam nazwisk! - zaatakował Canova. - Nazwisk!

- Otóż... Jest ktoś, kto jak sądzę, stoi za tym wszystkim, i kto...

- Jak pan „sądzi”? Nie chcemy domysłów, panie senatorze, ale nazwisk!

W sali zapadła kamienna cisza. Wszyscy zamarli. Wreszcie padło kilka słów, wyszeptanych przez Campioniego drżącym głosem.

- Mówię o senatorze Ottavio.

Rozległy się szmery, potem okrzyki. Canova kręcił się w fotelu. Oczy Pietra rozbłyły. Potem znów wszystko ucichło. Campioni przymknął oczy i gładził palcami nasadę nosa. Kiedy spojrzał na przesłuchujących go ludzi, odzyskał odrobinę pewności siebie. Canova pochylił się z lekka i zapytał roztrzęsiony:

- Czy jest pan świadom powagi tego oskarżenia? Campioni wolno pokiwał głową. Na jego czole lśniły krople potu.

- Proszę iść do Prokuracji i sprawdzić. I proszę uważnie słuchać tego, co teraz powiem. Za chwilę udam się na posiedzenie Senatu. A zasiadając tam, ani przez chwilę - powtarzam: ani przez chwilę - nie będę miał pewności, że rzeczy, o których mówimy, decyzje, które zapadną, raporty, które otrzymamy, nie zostaną natychmiast przekazane tym ludziom, a przynajmniej ludziom świadomym wagi spraw publicznych.

I kończył:

- *Messere*, pod jednym względem jesteśmy w pełni zgodni: to wszystko trwało zbyt długo. Musimy się zjednoczyć, nie bacząc na ryzyko. Ani ja, ani moi wierni zwolennicy w Senacie i Wielkiej Radzie, nie możemy dłużej uciekać. Zobowiązuję się przekonać ich, aby powiedzieli panom wszystko, co wiedzą o tej sprawie. Poznacie ich nazwiska i będziecie mogli zaliczyć ich do najwierniejszych. Wiem, że zdrada jest wszechobecna, ale proszę, abyście mi zaufali. Zjednoczę ich i razem podejmiemy walkę, wykorzystując wszelkie dostępne środki, choćby nawet trzeba było wszystko ujawnić. Doża podejmuje właśnie ambasadora Francji, to przykry zbieg okoliczności, jednak także ów dyplomata mógłby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Sądzę... że o sprawie powinna zostać poinformowana cała Wenecja. Nie przestanę powtarzać tego, w co zawsze wierzyłem: trzeba zaufać społeczeństwu tego miasta, które jak wspominaliście, ma za sobą niejedną ciężką próbę. Ci wystrojeni w falbanki, wesolo bawiący się podczas karnawału ludzie doskonale wiedzą, co leży w ich interesie.

Reakcja na ostatnią uwagę była zróżnicowana. Niektórym, wciąż jeszcze obawiającym się ludu i mającym w pamięci nie tak odległe wspomnienie doży Faliery, słowa Campioniego wydały się podejrzane. Nazwisko Ottavia zmaćło spokój, jak kamień rzucony do stawu. Inni skłaniali się ku sugestiom senatora. Po trwającej godzinę dyskusji Giovanni Campioni udał się do pałacowej sali, w której zaczynało się oficjalne posiedzenie Senatu. Wysłuchano go, on zaś był w pełni świadom, że uciekanie się do kłamstw wobec Dziesięciu i Quarantii jest niezwykle ryzykowne. Zrodził się zatem plan działania - nadszedł czas, by zebrać rozproszone owieczki i przygotować się do walki. Niezwłocznie wysłano ludzi, by sprowadzili na przesłuchanie wróżbitę Pietra Fregolo, choć zgromadzeni sceptycznie odnosili się do wagi jego zeznań. Czy sam wszedł do jaskini Iwa? Ricardo Pavi, dowódca Criminale, zwrócił się do Viravolty:- Sądzi pan, że Campioni mówi prawdę?

- Tak. Nie przypuszczam, by mógł w tej sytuacji prowadzić podwójną grę. Musimy dopaść Ottavia!

Pavi był bezpośrednim zwierzchnikiem Brozziego, lekarza Quarantii. Ten zaledwie trzydziestoletni mężczyzna o żarliwym spojrzeniu i surowej twarzy słynął z reakcji stycznych poglądów. Ci, którzy go znali, opowiadali po cichu, że w pewnych okolicznościach bez wahania osobiście przejmował przesłuchanie. Tropił przestępstwa kryminalne z oddaniem, był twardy, niezwykle logiczny i pełen inicjatywy. Dlatego też wzbudzał podziw wśród weneckich polityków i urzędników, choć ci ostami obawiali się jego nazbyt porywczego charakteru. Na jego usprawiedliwienie trzeba dodać, że widział, jak jego żona ginie z ręki lombardzkiego tragarza, który bardziej wyglądał na zbira. Po tym zdarzeniu zatracił wrażliwość, a przy życiu trzymało go tylko zadowolenie z dobrze wypełnionego obowiązku. Zyskał reputację ascety i żarliwego katolika.

- Jeśli wierzyć Campionemu, jeden z Ognistych Ptaków zamieszkał w pobliżu Prokuracji... przy ulicy Frezzeria dziesięć, a to tuż obok sklepu Fregola, właściwie za nim... Czy to zwyczajny zbieg okoliczności? Tak czy inaczej, jeśli Campioni powiedział prawdę, nie powinno być problemów z ustaleniem tożsamości najemcy.

- Pójdę tam teraz - powiedział Pietro. - Przekonamy się. Proszę jednak powiedzieć, Messer... Jego twarz się zasępiła.

- ...co się stało z galeriami z Arsenалу? Pavi także spochmurniał.

- Nie zdołaliśmy się dowiedzieć niczego nowego. „Santa Maria” i „Klejnot Krofu” żeglują gdzieś po Atlantyku, chyba że po prostu zatoneły. Nie możemy zakuć w kajdany wszystkich robotników z Arsenalu, a poszukiwania są bezowocne.

Spojrzał na Pietra.

- Bierzmy się do roboty! Agenci będą panu towarzyszyli. Proszę się spieszyć.

Pietro sięgnął po kapelusz i wstał.

\*

Kiedy wyszedł z sali, gdzie przesłuchiowano Campioniego, podążył na spotkanie z Emiliem Vindicatim, który także zakończył już rozmowę.

- I co?

Emilio wydał usta i zaciskając pięści, rzucił z goryczą:

- I co, i co! Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył! A ja nie mogę przecież oskarżyć go bez dowodów. Wyszedł z dumnie podniesioną głową, a ja, tak jak się obawiałem, zrobiłem z siebie głupca!

- Co takiego?! Czy wiesz, że w tym czasie...

- Tak, zlituj się wreszcie! Wiem! Ale Ottavio także oskarża Campioniego o prowadzenie własnej gry politycznej! Nie rozumiesz? Odbijają piłeczkę! Panowie senatorowie wodzą nas za nos! To jakbyśmy stanęli między dwoma szermierzami toczącymi zaciekle pojedynek i prowadzili bezowocną dyskusję. Postępując w ten sposób, w dwa dni zwrócimy przeciwko sobie całą szlachtę, a jesteśmy całkowicie bezbroni, Pietro! Nie mamy dosłownie nic!

Czarna Orchidea rzucił mu ponure spojrzenie. Zacisnął zęby.

- Nie, coś jednak mamy.

- Zmiłuj się - mruknął Emilio, kiedy Viravolta oddalał się szybkim krokiem. - Co ty znowu zamierzasz?- To, czego mnie nauczyłeś - odparł Pietro. I syknął:

- Będę improwizował.

\* \* \*

Apartament, o którym mówił Giovanni Campioni, pod numerem dziesiątym przy ulicy Frezzeria, znajdował się w kamienicy należącej do Lucrezii Lonati. Właścicielka rzeczywiście zgodziła się wynająć trzecie piętro, a minionej jesieni oddać do dyspozycji najemcy także taras. Pośrednikiem w tej transakcji był mężczyzna podający się za Florentyńczyka przebywającego czasowo w Wenecji. Przedstawił się jako *Messer Sino*. M. Sino... Anagram imienia Minos, co natychmiast zauważył Pietro. Pani Lonati zaprowadziła *Viravolte* i dwóch agentów na trzecie piętro, a tymczasem pozostali zajęli się przeglądaniem ksiąg. Zatrzymali się przed szerokimi, jasnymi drzwiami. Mieszkanie najczęściej było puste. Właścicielka raz widziała, jak tajemniczy lokator kogoś przyjmuje. Byli to mężczyźni w karnawałowych maskach i trój graniastych kapeluszach. Wnieśli na górę wiele drewnianych skrzyń, które Lucrezia wzięła za bagaże M. Sino. We Florencji był zapewne kimś ważnym, ale o nic go nie pytała. Dodała, że mężczyźni przebywali tu przez cały dzień, potem odeszli. Oczywiście, zastanawiała się, kim są ci dziwaczeni lokaje, ale lokator płacił hojnie i akuratnie, a to wystarczało, żeby powstrzymać ją od wtykania nosa w cudze sprawy. Florentyńczyk pojawiał się bardzo rzadko, zawsze w towarzystwie nieznanych jej osób. Ich opis, odpowiadający bardzo typowemu wyglądowi, niewiele wniósł do śledztwa.

Pani Lonati wiedziała, że obecnie w apartamencie nikogo nie ma, zapukała jednak na wszelki wypadek, a dopiero potem sięgnęła po klucz.

Pietro i dwaj agenci weszli do wygodnego, urządzonego z przepychem wnętrza, na które składały się cztery pokoje o zbliżonej powierzchni. Dość szybko skupili uwagę na drugim z nich. Landretto, który miał już dość roli piątego koła u wozu wszędzie, dokąd towarzyszył swemu panu, podszedł do *Viravolty*, przystępującego właśnie do rewizji. Wkrótce dołączyła do nich reszta grupy. Starannie przetrząsnęli każdy zakątek apartamentu.

No już. Dość mam tego dreptania w miejscu.

Pokój, który zwrócił uwagę Pietra, był komfortowo umeblowany. Trzy fotele stały na jedwabistych, orientalnych dywanach, pod jedną ze ścian niewielka biblioteka, a w niej kilka banalnych książek, które agenci przejrzelі mimo to kartka po kartce, by na zakończenie każdą z nich potrzęsnać jeszcze kilka razy. Naprzeciwko biblioteki wisiała szczegółowa mapa Wenecji. Pani Lonati stwierdziła, że wcześniej jej tu nie było. Na wyraźną prośbę lokatora od tygodni nie sprzątało tego pokoju, z czego cieszyły się jej służące. Lucrezia i tym razem przymknęła oczy na nieporządek, zadowolona ze sporych kwot zasilających jej sakiewkę. Podłogę i meble pokrywała warstewka kurzu. W sąsiednim pokoju ustawiono skrzynie przyniesione przez niezwykłych lokajów. Teraz były puste. Przede wszystkim jednak pod dużymi oknami z widokiem na ulicę, a nieco dalej na Prokurację i plac Świętego Marka, obok mapy półkul ziemskich, znajdowała się rzecz szczególnie interesująca. W pierwszej chwili dostrzegano się miniaturowe trumienki wyrzeźbione w czarnym drewnie, długie na dwa palce. Na każdej z nich wycięto krzyż i nazwisko:

*Marcello Torretone.*

*Cosimo Caffelli.*

*Federico Spadetti.*

*Luciana Saliestri.*

Viravolta zdusił okrzyk zdumienia. Odnotowano tu cztery pierwsze morderstwa, rzecz jasna jednak wróg nie posunął się do zaanonsowania kolejnych.

Kilka kroków dalej stało pół tuzina niezwykle instrumentów.

Czarna Orchidea pochylił się.

- Zapewne właśnie to znajdowało się w skrzyniach - powiedział do Landretta. - Ciekawe, bardzo ciekawe...

Mówił o teleskopach zamontowanych na podstawach i zwróconych w stronę okna. Lokaj pochylił się i zerknął przez jeden z nich, zobaczył jednak tylko zbliżenie ściany pobliskiego domu.

- Nic nie widać! - powiedział, przecierając szkło i próbując powtórnie przez nie spojrzeć.

Viravolta poszedł w jego ślady. Obaj próbowali zmienić ustawienie lunet, ale wciąż natrafiali na mur albo na pochmurne niebo.

Pietro wyprostował się i przez chwilę nad czymś się zastanawiał. Odwrócił się do Lucrezii i grupy agentów.

- Co to takiego? - zapytała Lonati.

- Pomóżcie mi - powiedział Pietro, patrząc na ludzi z Quaranti i.

I dodał:

- Przenieśmy to na taras.

\*

Giovanni Campioni miał rację. Budynek należał do najwyższych w Wenecji, w której tylko nieliczne domy miały więcej niż dwa piętra. Z tarasu widać było Kampanilę, Wieżę Zegarową i lagunę aż po San Giorgio i Giudeccę, a także dalsze dzielnice Wenecji, od Świętego Marka po Canareggio i Santa Croce. Pietro ustawił teleskopy w kilku punktach tarasu, a to, co odkrył, potwierdziło jego obawy. Zbladł.

Mój Boże... Odwykłem od modlitw i wzywania Cię na pomoc, ale tym razem...

- Co się stało? - zapytał Landretto.

- To, czego się obawiałem. Z czego buduje się teleskop, Landretto?

Młody lokaj drapał się po głowie, krzywiąc się i wsuwając rękę pod kamizelkę.

- Teleskop, co za pytanie... Pietro oderwał oko od lunety.

- Powiem ci. Teleskop składa się ze szklanych płytek. Z małych wklęsłych zwierciadeł.

Rozłożył ręce.

- Wenecja jest pokryta dwunastoma tysiącami dukatów w takich szklach!

\*

Teoria Pietra potwierdziła się bardzo szybko. To było wręcz niewiarygodne, odnaleziono jednak piętnaście mieszkań, wynajętych w tym samym czasie i na podobnych warunkach osobom o niezwykle nazwiskach - Semiaza, Samane, Aredros - imionach Mocy Zła - w najwyższych budynkach miasta. Do każdego przylegał taras, w każdym znaleziono teleskopy.

Otóż, zależnie od lokalizacji, można było stamtąd zajrzeć do domów największych patrycjuszy laguny, do dyskretnych *casini*, ogrodów Broglio, a nawet apartamentów doży! Minoszarzucił na miasto swą niesamowitą sieć, gęstą i misternie uplecioną, a jego teleskopy, zręcznie zamontowane na dachach i kominach, wycelowane były we frontony willi, zerkwały w niepozorne zwierciadło zapomnianej

fontanny, pozwalały obserwatorowi zajrzeć do najbardziej niedostępnej alkowy. System był tak przemyślany, że to panopticum, które mogło zrodzić się tylko dzięki ogromowi wiedzy i precyzyjnym wyliczeniom, przemieniło całe miasto w teren gier i odbić optycznych. Panopticum, myślał Pietro, przypominając sobie plany, które przeglądał w gabinecie Ottavia. Na pozór bezsensowne rysunki, które były podstawą tej instalacji, przesuwają się przed jego oczyma. Kartki poznaczone różami wiatrów, cyframi, równaniami, strzałkami. Oko, doskonałe Oko szpiegowało Wenecję! Opieczętowano mieszkania, intensywnie przesłuchiowano ich właścicieli, agenci Quarantii ruszyli do wszystkich dzielnic i parafii. W Wenecji zapanował niepokój, miasto obiegały pogłoski, ludzie szeptem przekazywali sobie niepewne wiadomości. Ponure wieści, w których prawda przeplatała się z fantazją, krążyły po Mercerii, a stamtąd ulatywały niczym pył pod arkadami Prokuracji i Rialto na obrzeżach stałego lądu. Nad miastem dożów zawisł gigantyczny, nieznany cień, nikt nie czuł się bezpieczny, nikt nie był już u siebie.

Wkrótce wszyscy zapomną o weneckiej pogodzie ducha.

Dlatego szlachetnie urodzeni i najwyklesji ludzie drżeli, nawet leżąc po ciemku w łóżach.

- Cóż za wspaniała instalacja, prawda, Landretto? Obserwowany nawet nie ma pojęcia, że stał się obiektem zainteresowania... Nie wierzę, żeby Ottavio sam na to wpadł.

Wtedy Landretto zwrócił na niego oczy i zapytał:

- I wciąż pan nie wierzy, że sam Diabeł zamieszkał w Wenecji?

#### PIEŚŃ XIV

##### **Gniewliwi**

Wielka Rada zbierała się w największej sali Pałacu Dożów. Na ławach Maggior Consiglio, ciągnących się ponad pięćdziesięciometrowym szeregiem, zasiadało niemal dwa tysiące osób. Doża zajął miejsce przy członkach swej Małej Rady, obok Dziesięciu i dowódcy Quarantia Criminale, któremu towarzyszył Antonio Brozzi. Za ich plecami wisiał sławny *Raj* Tintoretta, jedno z największych płócien olejnych świata, namalowane w roku 1590. Obraz imponował bogactwem postaci i symboliczną wymową. Palma Młodszy i Bassano byli twórcami fresku zdobiącego plafon, zaś *Apoteoza Wenecji* zajmująca owal w centralnej części fresku wyszła spod pędzla Veronesego. Właśnie na to malowidło spoglądał Pietro, którego teraz nie bawiła nawet ponura ironia pobrzmiwająca w tym tytule w chwili tak trudnej jak dzisiejsza. Gdy przed godziną przyszedł na plac Świętego Marka, ujrzał pogodny tłum stojący w kolejce przed Bazyliką. Zauważył mistrza Eugène'a-André Dampierre'a, który paradował przed pstrokatymi plakatami, zapraszającymi na wystawę jego dzieł, zgromadzonych, zgodnie z ustaleniami, w bocznej nawie. Doża raz jeszcze zmuszony był zachowywać się jakby nigdy nic w czasie spotkania z francuskim ambasadorem podczas inauguracji oficjalnych uroczystości, które miały odbyć się tego dnia, zapoczątkowane błogosławieństwem kapłanów z San Marco. Na razie jednak atmosfera była raczej ponura. Zwykle Wielka Rada zbierała się w każdą niedzielę i święto. Posiedzenie trwało do piątej po południu, a kończył je sam Loredan. Jeżeli dyskusja nie została do tego czasu zamknięta, przenoszono ją. Gdy dochodziło do poważnych niepokojów politycznych, a także kiedy przeprowadzano zmiany instytucjonalne, tak zwane

*correzione*, Wielka Rada zbierała się nawet codziennie. Również to poranne spotkanie, a był wtorek, miało charakter nadzwyczajny. Przybyła cała wenecka szlachta, pyszna, sztywna, wystrojona w długie peruki i czarne lub czerwone surduty. Stojąc przed setkami odświętnie ubranych Wenecjan, Emilio Vindicati mówił o zagrożeniach, jakie zawisły nad laguną, i dzielił się informacjami, które zdołała zgromadzić Rada Dziesięciu. Zadanie było niełatwe, raz po raz musiał bowiem zaznaczać, że „dla dobra wciąż trwającego śledztwa” część tych ustaleń zmuszony był... zachować w tajemnicy. Stało się to przyczyną zacieklej sprzeczki z Piętem. „Nie waż się otwarcie atakować Ottavia podczas posiedzenia Wielkiej Rady, Pietro! Wymów tylko jego imię, a - wiedząc, kim jesteś - rozniosą cię bez litości. Sam unicestwisz całą naszą pracę”. „Cóż więc robić?! - krzyknął Pietro. - Czyżby Ottavio był nietykalny? Odkrycie panopticum, tego dzieła na miarę Leonarda da Vinci, to jeszcze za mało?”. „Moim zdaniem, tak - odparł Emilio. - W końcu mamy poważny dowód. Trzeba jednak postępować bardzo rozważnie. Ottavio nie mógłby samodzielnie stworzyć takiej sieci, a Lonati na razie nikogo nie rozpoznała. Pomówię z dożą, postaram się wysłać inkwizytorów do Ottavia. Przypominam ci, że wciąż brakuje nam konkretnego dowodu. Bez dokumentu, który rzekomo widziałeś, nie mogę nic zrobić! Nie zapominaj jednak, że uzyskaliśmy pewną przewagę, bo choć Ottavio może domyślać się, że jest zagrożony, to nie wie, że stoi nad przepaścią... Proszę więc, żebyś nie zepsuł wszystkiego nieprzemysłanym działaniem”.

Oczywiście, Pietro był w stanie przyjąć tę argumentację. Przeklinał samego siebie za to, że nie zabrał planów panopticum, kiedy miał je w rękę, pamiętał jednak, dlaczego tak postąpił, i musiał przyznać, że była to słuszna decyzja. Nie mógł przecież narażać na niebezpieczeństwo Anny Santamarii. A to zagrożenie było tym razem bardzo realne. Ogarnął go niepokój. Należało za wszelką cenę odseparować Annę od Ottavia, wysyłając ją w bezpieczne miejsce. Strzygi nie lubiły żartów, Czarna Orchidea miał już nieraz okazję się o tym przekonać. Gdyby Annie spadł choć włos z głowy, Pietro nigdy by sobie tego nie darował. Musiał wymóc na Vindicatim przyrzeczenie, że zagwarantuje jej bezpieczeństwo. Albo lepiej sam się tym zajmie. Nie pytając Emilia o zdanie.

I bez względu na związane z tym ryzyko.

Tymczasem jednak w pałacu, w te wczesnomajowe dni, nikt nie chciał wierzyć własnym uszom. Szlachetnie urodzeni pobledli. Z ust niektórych wyrwały się okrzyki, inni w milczeniu kręcili głowami. Wśród obecnych był także Giovanni Campioni, który zasiadł obok kilku najznamienitszych senatorów, uczestniczących dziś w obradach Maggior Consiglio. Był tu również sam Ottavio, co dodatkowo komplikowało sytuację. Senatorowie mieli się spotkać tego dnia we własnym gronie, ale kalendarz normalnych prac uległ nieoczekiwanym zmianom. Kolegium, które zbierało się co rano w pełnym składzie, rozesłało swoich *comandadori* z wezwaniami dla senatorów już o świcie. Byli oni wprawdzie przyzwyczajeni do nagłych posiedzeń, nawet w środku nocy, mimo to jednak nie umknął im nadzwyczajny tryb tych poczynań. Za zamkniętymi drzwiami Maggior Consiglio liczni pałacowi juryści w *ormesino* z kosztownych tkanin, owiniętych pasami z czarnego aksamitu nabijanego srebrem, obszytych przy rękawach i kołnierzu pięknym futrem, szeptali, pracowali, snuli się, wykazując zdumiewającą aktywność. Zebrali się tu przedstawiciele ważnych instytucji weneckich, można by rzec - wszyscy, którzy mieli wpływ na losy Serenissimy.

Po obu stronach sali wisiały na ścianach portrety dawnych dożów. W tym łańcuchu brakowało jednego ogniwa - tam, gdzie powinien znajdować się wizerunek Baiamonta Tiepolo, spadkobiercy dożów ludowych, dążącego do wymuszenia powrotu do demokracji władzy, gdy dokonywało się zacieśnienie kręgu dopuszczonych do Rad, wisiał czarny woal. Wspomnienie Faliera i Gian Battisty Bragadina, przewodniczącego Czterdziestu, którego niesłusznie oskarżano o zdradę tajemnic państwowych Hiszpanii i skazano na śmierć, wydawało się wciąż żywe w tej sali. Campioni, coraz bledszy, spocony, siedząc o kilka metrów od czarnego woalu zakrywającego portret Tiepolo, miał szczególnie sprzyjające warunki, by to odczuć. Raz po raz ocierał czoło chustką. Ani on, ani doża, ani nikt inny nie byli już w stanie zapobiec zagrożeniu ze strony spiskowców. Dla nielicznych ta sytuacja stawała się szansą na rozwiązanie konfliktów, które i tak tliły się w wielu instytucjach władzy, a które mogły, narastając zwolna, przybrać znacznie ostrzejszy kształt. Zapadła decyzja o ujawnieniu wszystkim ważniejszym dygnitarzom Republiki przebiegu zdarzeń, do których doszło po śmierci Marcella Torretone. Wydawało się zresztą, że ludność Wenecji była już świadoma niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad miastem. Jednak bliska perspektywa świąt i zaufanie do rządzących tłumiły obawy. Choć najbardziej nieprawdopodobne pogłoski obiegiły miasto, rząd wciąż próbował uspokoić nastroje, nie dopuszczając, aby opinia publiczna poznała szczegóły sprawy.

Pietro nie spuszczał Ottavia z oka, ten zaś, marszcząc brwi i masując swój szeroki nos, mierzył Czarną Orchideę nienawistnym spojrzeniem. Teraz nie mógł już ignorować dawnego podopiecznego. Zapewne od dawna wiedział o jego uwolnieniu, kiedy jednak spotkali się twarzą w twarz, zrozumiał, jak ciężkie czeka ich starcie. Ottavio miał na głowie czapkę, na piersi krucyfiks i wyglądał niemal jak biskup. Od czasu do czasu wsuwał palec pod kołnierzyk, a jego policzki trzęsły się jak galareta. Gdy mrużył oczy, wydawał się jeszcze bardziej ponury. Widać było, że z trudem powstrzymuje się od wybuchu. Mężczyźni rzucali sobie milczące wyzwania. Potem ich oczy zwracały się na trzeciego uczestnika tej gry - senatora Campioniego, który błyskawicznie angażował się w tę cichą, podejrzliwą wymianę spojrzeń. Trójkąt doskonały! Pietro zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Vindicatiego: „Czyżbyś nie rozumiał? Dwaj senatorowie wzajemnie się oskarżają. Wodzą nas za nos! A my stoimy bezradnie pośrodku i debatujemy, kiedy oni toczą zaciekły pojedynek!”. W tej chwili Pietro gotów był rozważyć każdą hipotezę. Ostrożnie! Przecież senatorowie Campioni i Ottavio mogli być w zмовie i obrzucać się oskarżeniami, jak przypuszczał Emilio, żeby tym skuteczniej przeszkadzać w śledztwie Criminale i Dziesięciu. Choć Czarna Orchidea uważał tę ewentualność za niezbyt prawdopodobną, nie mógł jej lekceważyć. Dlatego w tej wymianie spojrzeń było więcej treści niż w niejednej rozmowie, a sala Wielkiej Rady stała się czymś więcej niż siedzibą władzy, bo także miejscem pojedynku pełnego jadowitych spojrzeń, siłowania się, walki, w której z wolna wytyczano granice w ławach zgromadzenia, niewidzialne podziały i bariery.

Jednak nawet tak zwierzęce emocje, targające zasiadającymi w ławach, nie przysłoniły powagi tej chwili. Każdy ze szlacheckich członków Wielkiej Rady wspominał teraz, jak składał przysięgę, uświadamiając sobie, że dziś nie sposób już udawać, że wszyscy tu obecni jej dotrzywali. „Przysięgam na Ewangelię, że zawsze bronić będę honoru i potęgi Wenecji... W dniu Wielkiej Rady nie wolno mi stać na schodach ani przy drzwiach sali, ani też na dziedzińcu pałacowym, ani w żadnym punkcie miasta, nakłaniając do głosowania na mnie lub innych. Nie wolno mi także przygotowywać



pism ani listów, ani przekonywać lub namawiać do przekonywania albo zabiegania o poparcie słowem, czynem, gestem, gdyby zaś zabiegano o moje poparcie, ujawnię ten fakt. Spośród wszystkich proponowanych decyzji zawsze wybierać będę tę, która wyda mi się rozważna po szczerym jej przemyśleniu. Nie będę rzucał oszczerstw ani nie dopuszczę się nieuczciwego czynu lub gestu i nie wstanę z miejsca, by wypowiedzieć pod czyimkolwiek adresem oszczercze słowo lub groźbę... A gdybym usłyszał, że ktoś inny bluźni Bogu lub Maryi Pannie, doniosę o tym Strażnikom Nocy”.

I oto dwa tysiące osób, znaczących w życiu politycznym więcej niż kiedykolwiek, w tej trudnej sytuacji pilnie słuchało każdego słowa debaty.

\*

Vindicati zaczął od przedstawienia okoliczności śmierci Marcella. Wspomnił o broszce Luciany Saliestri, co wywołało wielkie wzburzenie. Górę brała hipokryzja. Większość obecnych wiedziała o romansie Campioniego z kurtyzaną, a tego rodzaju libertyńskie postawy były w Wenecji powszechne. Mimo to senator wydawał się zdruzgotany tak szeroką wiedzą o jego wielkiej namiętności, zarówno wśród wrogów, jak przyjaciół lub podających się za nich. Zdołał się pozbierać po tym ciosie i siedział niczym drapieżnik gotów do ataku albo jak księżę, który pragnie usunąć się w cień, gdy tymczasem połowa obecnych zaczęła go lżyć, reszta natomiast broniła go zębami i pazurami. W ciągu kilku sekund padły najgorsze zarzuty i najcieplejsze słowa. Senator spływał rześystym potem, był chyba bliski zasłabnięcia. Po interwencji Loredana Emilio znowu zabrał głos i podał szczegóły zabójstw Cosima Caffellego, Federica Spadettiego i pięknej Luciany. O zabranie głosu proszono kolejno Antonia Brozziego i dowódcę Quarantia Criminale, następnie zaś jeden z miejskich architektów zaprezentował oszołomionym przedstawicielom weneckiej szlachty rekonstrukcję planów, którymi posłużył się Minos, realizując niesamowity projekt panopticum. Obecni zaniemówili. Jednak napięcie sięgnęło zenitu, gdy szczegółowo omówiono wyniki śledztwa przeprowadzonego w Arsenale i kiedy przyznano, że gdzieś na Adriatyku zaginęły dwie fregaty i dwie galery.

Rzeczywiście, słuchając tego, można paść trupem, pomyślał Pietro.

Nie warto było się łudzić - stał się świadkiem głębokiego kryzysu politycznego. Choć sprawa pozostawała jeszcze na poły tajemnicą, Viravolta nie pamiętał, aby w tym mieście, znanym ze spokoju, poczucia bezpieczeństwa i rozsądku, zapanował taki zamęt. Kiedy dyskusja przerodziła się w nieznośną i bezładną wrzawę, Pietro wznosił oczy ku górze i próbował dokonać głębszej analizy wydarzeń. Ilu spośród tu obecnych szlachciców uczestniczyło pamiętnego wieczoru w ezoterycznej ceremonii w willi Mora? Ilu należało do sekty Ognistych Ptaków?

Trzymał w palcach welinową kartę.

Krąg Pierwszy: Marcello Torretone - Pogaństwo

Krąg Drugi: Cosimo Caffelli - Rozwiążłość

Krąg Trzeci: Federico Spadetti - Zachłanność

Krąg Czwarty: Luciana Saliestri - Rozrzutność i Skąpstwo

Marcello Torretone, który wyparł się chrztu i szukał Boga, nie mogąc go odnaleźć, został ukrzyżowany. Cosimo Caffelli, rozwiązły kapłan - wydany na pastwę żywiołów na szczycie San Giorgio. Federico Spadetti, który ukochał dukaty i w swym zaślepieniu dopomógł stworzyć Panopticum Cienia - przemieniony w bezkształtną masę. Luciana Saliestri, liberynka trwoniąca majątek zgromadzony po pięćdziesięciu latach pracy skąpego małżonka - rzucona z kamiennym ciężarem swych grzechów na dno weneckiego kanału. Dante i *Moce Zła*, jako inspiracja tego przemyślanego, oszołamiącego cyklu spektakli, realizowanego - jak każde dzieło sztuki - z wielką dbałością o stronę estetyczną, legły u podłoża przerażającego obłędu. Trzeba przyznać, że była to dobra robota. Arcydzieło makabry. Pietro nie mógł wyzbyć się myśli o być może bliskiej prezentacji kar z kolejnych kręgów. Piąty zarezerwowano dla gniewliwych, których ślepy, niepoohamowany gniew doprowadzał do łamania wszelkich zasad moralnych. Szpiedzy krążyli po całej Republice. Pietro wznosił oczy, odkładając na chwilę pióro i kartkę, na której zaczął sporządzać smutny bilans. Emilio, nie panując nad sobą, opuścił ręce i powiedział:

- Proponuję, aby oddać teraz głos Piętrovi Viravolcie de Lansalt. Większość z was wie, kim obecnie jest, i nie ma sensu dłużej tego ukrywać. To jego zwą Czarną Orchideą. Możecie zadawać mu pytania, które się wam nasuwają.

Emilio wycofał się, by wrócić na swoje miejsce w sali, uprzednio prosząc Pietra, by stanął pomiędzy trybuną, na której zasiadał doża, a ławami zgromadzenia. Jednak zamiast uspokoić sytuację, zapowiedź wystąpienia człowieka znanego pod tym pseudonimem wywołała jeszcze silniejsze poruszenie, wręcz gniew. Niektórzy wstawali, gwałtownie protestując. Także Ottavio wykorzystał okazję i pilnując, by czynić to z godnością, zaczął głośno oponować. Viravolta de Lansalt! Co robił tu ten szpieg, który przynosił Republice wyłącznie wstyd? Jakim prawem więzień z Piombi został dopuszczony do udziału w śledztwie, które mogło zaważyć na dalszych losach Republiki? Ten łajdak, ten kryminalista! Inni, zaciekawieni i pełni niepokoju, nakłaniali oburzonych, by spokojnie usiedli. Informacje, które im przekazano, nieoczekiwanie zmusiły wszystkich członków zgromadzenia do zmierzenia się z przytłaczającą prawdą, którą przyjęli jak bolesny policzek. Sprawdziły się nawet obawy Francesca Loredana, którego również oskarżano, choć nie otwarcie. Morderstwa w Wenecji, groźba spisku ujawniona przez Dziesięciu i Wielka Rada, przed którą wszystko dotąd tajono? Pięćdziesięciu szlachciców postanowiło natychmiast opuścić salę i tylko usilne prośby, by nie naruszali obowiązujących zasad, zdołały ich skłonić do chwilowego pozostania. Jedni domagali się zawieszenia obrad, inni żądali, by je kontynuowano aż do pełnego wyjaśnienia sytuacji. Pietro wstał i z dumnie podniesioną głową przechodził między rzędami ław. Gdy zbliżył się do trybuny, zrobił jeszcze kilka kroków, a potem splótł ręce i czekał. Wrzawa z wolna cichła. Doża, którego ta sytuacja przerosła, zdołał powściągnąć nerwy.

\*

Viravolta stał samotnie przed zgromadzeniem. Doża zwrócił się do niego:

- Pietro Viravolta, prosimy o przedstawienie pańskiej opinii w sprawie grożącego nam dziś niebezpieczeństwa. W końcu to pan prowadził śledztwo...

Znów rozległ się szmer oburzenia. Ośmielono się powierzyć takie zadanie wyzutemu z wszelkich zasad ateuszowi, być może groźniejszemu od zła, które miał zwalczać! Na szczęście dożę

wspierali Dziesięciu i Minor Consiglio, i choć nikt nie pochwałał powierzenia sprawy Czarnej Orchidei, podkreślono jednak jego przydatność. Pietro zmrużył oczy i czekał, aż ta kolejna fala gniewu opadnie. Ale nie umknął mu sposób, w jaki doża przerzucił na niego odpowiedzialność, bo przedstawienie go jako prowadzącego śledztwo mogło być wstępem do obarczenia go w razie porażki winą za nieudolność weneckiego aparatu sprawiedliwości i uczynienia z Viravolty kozła ofiarnego. A byłoby to tym prostsze, że w Wenecji i tak uchodził już za czarną owcę. Być może te względy przesądziły także o jego uwolnieniu i powierzeniu mu śledztwa... Kiedy ta myśl przemknęła mu przez głowę, mimowolnie spojrzął na Emilia Vindicatego. Napięcie w sali stopniowo słabło. Przez cały ten ranek emocje nasilały się i opadały jak fale na morzu.

Pietro czekał, aż zapanuje cisza. Splótł ręce na plecach, wpatrując się w marmurowe płyty posadzki.

Chrząknął.

- Wasza Wysokość, Wasze Ekscelencje, *Messere*, rozumiem, że wszystko to wami wstrząsa, że godzi w wasze zasady. Możecie uznać, że pomysł Dziesięciu, by korzystać z pomocy kogoś takiego jak ja, był czystym szaleństwem, że cała wenecka szlachta winna zostać niezwłocznie powiadomiona o wszczęciu śledztwa, choćby miało to doprowadzić do paniki wśród ludności, a przede wszystkim sprawić, że nasz wróg stałby się bardziej czujny, a muszę przypomnieć, że i tak dotąd nie zdołaliśmy ustalić jego tożsamości. Jednak wydaje mi się, że nie warto teraz zastanawiać się nad tym, jak należało postąpić. Teraz przedmiotem naszej troski powinna się stać ta groźba, tak namacalna i bliska, której musimy się przeciwstawić.

Spojrzał na zgromadzonych, przeżąc pierś.

- Najważniejszą sprawą jest obecnie ochrona doży oraz instytucji państwa. Wasza Wysokość, to, co widziałem i słyszałem w Mestre, rozwiało wszelkie wątpliwości co do zamiaru dokonania zamachu na Waszą Wysokość. Od pewnego czasu myślę, że te niedawne morderstwa to nie tylko las, w którym łatwo ukryć najwyższe drzewo, ale wielkie oszustwo, gra, dygresja, mająca nas zmylić. Obawiać się zaś należy przede wszystkim jednego - święta Wniebowstąpienia.

Dał się słyszeć szmer.

- Sadzę, iż należy odwołać wszystkie oficjalne uroczystości.

Zanim Pietro zamilkł, szmer przerodził się w głośnie protesty.

- Święto Wniebowstąpienia! Zaślubiny Morza! Najważniejsze dni karnawału! To niemożliwe! Przecież tysiące ludzi tylko na to czekają!

- Viravolta, Wniebowstąpienie to wizytówka Republiki! Cała ludność wylegnie na ulice, przybędą przedstawiciele szlachty z całej Europy! Czy trzeba panu przypominać, że nowy ambasador Francji ma wziąć udział we wszystkich uroczystościach i że nie pojawiłyby ich odwołania?

- Nie wolno nam się poddawać! Wenecja nie skapituluje przed niczym i nikim!

Pietro przechadzał się, spoglądając raz na lewo, raz na prawo.

- Uściślijcie, to wy wszyscy będziecie wówczas bezbronni, najbardziej zaś doża. Co uczynimy, jeśli dojdzie do zaplanowanych działań, jeśli nieszczęśliwie nasz wróg da o sobie znać w chwili, gdy tysiące ludzi zgromadzą się na ulicach w przebraniach, dających całkowitą anonimowość? Jak zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom miasta pośród tłoku, zamętu i hałasu? Śledzono każdy nasz

czyn i gest, byliśmy szpiegowani, zaznaliśmy zdrady. Trzeba postawić Arsenał w stan pełnej gotowości, zamknąć drogi morskie wiodące na lagunę, a także drogi lądowe, i podjąć poszukiwania „Santa Marii” oraz „Klejnotu Kortu”. Nie łudźmy się; grozi nam niebezpieczeństwo tak poważne, że należy sięgnąć po najostre środki. *Messere*, pamiętajmy o jednym: być może Minos jest wśród nas, a niektórzy z obecnych w tej sali skrycie spiskują!

Tego już było za wiele. Senator Ottavio poderwał się z miejsca pośród szelestu szat. Jego brzuch leżał teraz na drewnianej barierce, on zaś przemówił, przybierając ton jadowitej ironii:

- Kimże jesteś, Viravolta, by nas pouczać?! Ta ohydna kpina trwa już zbyt długo. Czas, byśmy przejęli ster spraw, które należą do nas. Co się zaś tyczy tego... tego człowieka, zasługuje on jedynie na to, by wrócić tam, skąd wyszedł. Dość już igrałeś z Republiką i naszą naiwną łatwowiernością, Viravolta. Wracaj tam, gdzie twoje miejsce: do Piombi!

- Do Piombi! Do Piombi! - skandowało czterystu członków Rady.

Narastała wrogość, krzyki były coraz głośniejsze. Pietro nawet nie drgnął.

Na sali był także Andreas Vicario. Splótł ręce, osłaniając nimi usta i bacznie, spod oka, niczym polujący lis, nie okazując cienia emocji, obserwował w milczeniu bieg zdarzeń.

- Przystańmy na chwilę, aby rozeznac się w sytuacji! Zdobądźmy się na pewien dystans i przekonajmy się, w co próbuje się nas tu wciągnąć! - grzmiał Ottavio, zerkając na prawo i lewo, szeleszcząc czarną szatą zdobioną filtrem gronostajowym i biorąc na świadków obecnych w sali szlachciców, niczym wytrawny prokurator. - Nie bójmy się pytania: czy więzień z Piombi będzie nas uczył, jak powinien postępować rząd? Czy ja śnię?!

Pietro zacisnął zęby. Czuł ogarniający go gniew.

Nie wolno ci jawnie zaatakować Ottavia podczas posiedzenia Wielkiej Rady, Pietro! Wypowiedz jego imię, a wiedząc, kim jesteś - rozszarpia cię! Sam zniweczysz całą pracę.

- Połóżmy kres tym żartom, niech Czarna Orchidea zniknie! - zakrzyknął Ottavio.

Usta Pietra drżały. Spojrzał na Vindicatego i tylko nadludzkim wysiłkiem powstrzymał wybuch gniewu.

Wtedy z miejsca powstał doża. Wszystkie oczy zwróciły się na *bachete*, berło, które dzierżył w dłoni. Uniósł rękę.

- Sądzę...

Okrzyki padające jeszcze z różnych stron zagłuszyły jego słowa. Cisza powracała z wolna.

- Sądzę, że rezygnacja z obchodów święta Wniebowstąpienia nie wchodzi w grę. Co się zaś tyczy postawienia w stan pogotowia Arsenалу i wojska, jest to słuszna decyzja. Wzmocnimy kontrolę w całym mieście, a Dziesięciu i Criminale podejmą działania mające zapewnić ochronę Wenecjanom, w tym także mnie i naszym zagranicznym gościom. Zadanie jest niezwykle trudne, ale nie mamy wyboru. Tymczasem Pietro Viravolta...

Zamilkł, jakby przez chwilę się wahał, i dodał nieco ciszej:

- Sądzę, że już czas, aby odebrać panu tę sprawę. Tymczasowo oddaję pana w ręce Emilia Vindicatego. Pańską sprawą zajmiemy się później.

To było jak grom z jasnego nieba. Pietro uniósł brew i zagryzł wargę.

Zwrócił oczy na Emilia.

- Święto Wniebowstąpienia przebiegnie zgodnie z planem - dodał na zakończenie Francesco Loredan.

\* \* \*

Pietro został sam.

Pod eskortą wrócił do apartamentu w casa Contarinich. Do czasu podjęcia decyzji miał pozostać pod strażą, wydawało mu się jednak oczywiste, że znów trafi do weneckiego więzienia. Zdenerwowany i pełen goryczy opowiedział Landrettowi o ostatnich wydarzeniach i polecił lokajowi natychmiast udać się do Emilia Vindicatego, który nie mógł pozwolić sobie na rozmowę z nim po posiedzeniu Rady. Jego sytuacja także nie była łatwa. Jednak Pietro nie zamierzał tak od razu się poddawać. Miał jeszcze szansę wykorzystać czas zwłoki i uciec. Uciec, uciec! Zaciśnął pięści. A zatem cały jego trud poszedł na marne. Chimera zwyciężył. Sprytnie przygotowany plan doprowadzi do powtórnego skazania Viravolty. Pietro od dawna obawiał się takiej ewentualności, ale dopiero teraz perspektywa powrotu do celi stała się naprawdę realna. Był wzburzony. Nie, to niemożliwe, wykluczone. Nie może znowu stracić wolności. Co począć? Prowadzić wojnę na dwa fronty - przeciwko Ognistym Ptakom, a równocześnie przeciw Republice? Nie potrafił znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Czuł się usidlony, zgubiony. Zręcznie nim manipulowano, a on stał się tylko trybikiem w skomplikowanej maszynie spisku, jedną spośród wielu marionetek. Osamotniony, nie mógł już nawet liczyć na pomoc wąskiego grona sprzyjających mu osób. Jeżeli nie podejmie zdecydowanych działań, przegra. Zareagować? Ale jak? Znowu był tylko sobą - uzależniony od szlachetnie urodzonych, izolowany, skazany na los tego gorszego, który im nie dorównuje i którego można podejrzewać o jak najgorsze intencje. Cały trud... na darmo. Znalazł się w punkcie wyjścia. Zapewne już na zawsze. Jego nadzieje topniały jak śnieg w słońcu. „Lada sygnał, a lwy Wenecji rzucą się na pana i rozszarpiają na strzępy. A ja nie będę ich powstrzymywał, przeciwnie, zachęcę do agresji z całą siłą mej władzy”. Trzeba przyznać, że nie skłamał. Ale przecież Pietro nie uchybił swoim obowiązkom. Czy mógł działać szybciej? Podejmować większe ryzyko? Czym dziś zawinił? Loredan pod presją Rady postanowił publicznie go poświecić, rzucić na żer wrogów w zamian za uspokojenie sytuacji. Rozmyślając nad tym, musiał przyznać, że okazał się naiwny, wierząc, że sprawa mogłaby potoczyć się inaczej. Naiwny? Ale czy pozostawiono mu wybór? Nie! Taka była prawda, nieszczęsna prawda. Pietro skłonny był przyznać, że doża działał pod swoistym przymusem. W tej sytuacji względy polityczne nakazywały nie otaczać się ludźmi budzącymi kontrowersje, jak on. A wdzięczność? Czy Pietro mógł liczyć na choćby odrobinę wdzięczności ze strony Wenecji? Czy naprawdę pozwolił sobie na takie marzenia? Landretto wrócił po trzech godzinach. Trzymał w ręku list pisany ręką Vindicatego.

- Przyjacielu, sytuacja bardzo się skomplikowała - powitał go Pietro. - Mam niewiele czasu, dzień, może dwa. Ale już czuję się jak w więzieniu. To niemożliwe, Landretto. Postaraj się przygotować dla nas konie. W najgorszym razie uciekniemy z miasta, wykorzystując ten krótki okres.

Rozłożył list.

*Pietro!*

*Nie mogę już pozwolić sobie, by widywano mnie w twoim towarzystwie bez eskorty zbrojnych. Doskonale to rozumiesz. Nie otrzymałem oficjalnego rozkazu odprowadzenia cię do Piombi, ale doża*

*jest bardzo zakłopotany. Nie zamierzam cię jednak porzucić, przyjacielu. Nasza sytuacja jest fatalna, pamiętam jednak, co dla nas uczyniłeś. Spotkajmy się w Bazylice San Marco po północy. Wszystkim się zajmę. Nie próbuj uciekać, popełniłbyś wielki błąd. Kiedy emocje nieco ostygną, postaram się za tobą wstawić. Tymczasem pozostań w cieniu, bo chwila nie jest dla ciebie dogodna. Wieczorem ustalimy, jaką strategię działania przyjąć - zwłaszcza wobec Ottavia. Jeszcze nie wszystko stracone. Widziałem się z senatorem Campionim - wiesz, że wciąż mu nie ufam, obiecał jednak zebrać swoją partię i stanąć w twojej obronie, kiedy przyjdzie czas. Nie trać wiary. Muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć - dzięki Campioniemu uzyskałem nowe informacje.*

E.V.

Czarna Orchidea oderwał oczy od listu i zmarszczył brwi. Uchylił drzwi i zobaczył trzech uzbrojonych ludzi. Czterej inni zostali pod domem. Spojrzał na swojego lokaja.

- Posłuchaj, Landretto. Wieczorem muszę wyjść, żeby spotkać się z Vindicatim, być może po raz ostami. Za wszelką cenę muszę go przekonać, żeby zabrał Annę Santamarię w bezpieczne miejsce. Teraz to dla mnie najważniejsze. Gdyby sprawy nie potoczyły się po mojej myśli, pójdę po nią sam i wyjedziemy stąd. Przygotuj konia także dla niej, na wszelki wypadek, no i bądź gotów. Landretto, przyjacielu, liczę, że zajmiesz jakoś tych żołnierzy, którzy stoją pod drzwiami. Wyjdę przez okno na dach. Wrócę przed świtem...

Potem westchnął:

- Mam nadzieję, że wrócę.

PIEŚŃ XV

**Styks**

PROBLEM ZŁA

Andreas Vicario, członek Wielkiej Rady

*Inspiracje Zła (rozdział XVII)*

*Myliłby się, kto by sądził, że Zło zawsze jest owocem złej intencji, największe chlubi się bowiem często najszlachetniejszymi pobudkami. Zwie się ono Utopią, rodzi się z najczystszych pragnień, a jego droga usłana jest trupami. Zło może zniknąć tylko wraz z rodzajem ludzkim - stanowi wynaturzoną ekspresję Marzenia, które każdy pieści w sobie, oraz środków użytych, by to marzenie ziszczyć. Skłania mnie to do sformułowania następującej, być może szalonej kwestii: skoro Zło, jak zakładam, jest istotą człowieka i jego utraconych marzeń, zarazem zaś źródło przerasta samego człowieka, to być może jego najdoskonalsze wcielenie w Lucyferze również jest wytworem marzeń. Marzeń Boga. Przeklęty sen, koszmar Wszzechmogącego, którego Stworzenie przeczy nieskalanej perfekcji już w chwili, gdy wylania się z Nicości, by na zawsze zatopić się w beładnej rzece Historii.*

Podstęp Landretta, który udawał pijanego i szalał po nocy, odwracał uwagę wartowników dostatecznie długo, żeby Pietro zdążył wymknąć się na dach. Przywykł już do tego rodzaju akrobacji,

a nadzór żołdaków, którym udzieliła się panująca w mieście atmosfera niepokoju, nie stanowił poważniejszego problemu. Pietro udał się zatem zgodnie z umową do Bazyliki San Marco i dotarł tam około północy. W świątyni przechowywano zmumifikowane relikwie syryjskiego ewangelisty, sprowadzone z Aleksandrii przez owych kupców, którzy chcąc uchronić zwłoki przed rozkładem, obłożyli je polciami solonej słoniny. Od tego czasu doczesne szczątki świętego Marka nierozzerwalnie wiązały się z historią i losami laguny. Bazylikę odbudowano w jedenastym wieku. Wzniesiona na planie krzyża greckiego, stosowanym także w Konstantynopolu, otwierała się pięcioma portalami zdobionymi mozaiką w stylu orientalnym, ponad którymi wznosiły się kopuły pokryte ołowianymi płytkami. Wpływy bizantyjskie, islamskie, gotyckie, renesansowe łączyły się w całość harmonijną, lekką i elegancką, tak charakterystyczną dla architektury weneckiej. Doża co roku przypatrywał się z góry uroczystościom odbywającym się na placu, pod sławnymi kołnami z brązu, zrabowanymi z Konstantynopola podczas czwartej krucjaty. Na balustradzie ukazano cztery sceny, które zrobiły na Piętrze silne wrażenie, gdy tej nocy zbliżał się do świątyni: *Zdjęcie z Krzyża*, *Zstąpienie do Piekieł*, a także *Zmartwychwstanie* i *Wniebowstąpienie*.

List od Emilia mocno zaintrygował Viravoltę. Prawdę mówiąc, budził w nim narastający niepokój. „Muszę ci o czymś powiedzieć. Zdołałem dzięki Campioniemu nowe informacje”. Piętrowi bardziej zależało teraz na zadbaniu o los własny, a także Anny, ale skoro przywódca Dziesięciu wzywał go w tajemnicy do Bazyliki, i to o tak późnej porze, lekceważąc dobre obyczaje, sprawa musiała być bardzo poważna. Jakie informacje zdobył Emilio? Czyżby... zidentyfikował Minosa albo Il Diavolo? Czy dowiedział się czegoś o roli Ottavia w tej grze? Pietro zdawał sobie sprawę z tego, że musi brać pod uwagę najgorsze. Miał wrażenie, że jego godziny są policzone. W każdym razie wykluczał powrót do Piombi.

Późnym wieczorem plac był niemal wyludniony, a Bazylika w zasadzie zamknięta. Wystarczyło jednak, że Pietro trzykrotnie zapukał do drzwi, a te otwały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Wszedł. Potrzebował kilku sekund, żeby oswoić oczy z ciemnością.

Marmur i mozaika na złotym tle połyskiwały w mroku. Obrazy Dampierre'a, protegowanego ambasadora Francji, wisiały po obu stronach nawy. Otwarcie wystawy odbyło się bez problemów, a przez całe popołudnie setki zwiedzających obejrzały dzieła artysty. Złe przecucie ogarnęło Pietra, gdy tylko znalazł się w przestronnym przedsionku. Czujny, położył rękę na boku i nie ruszał się przez kilka długich sekund. W dali lśnił Pala d'Oro, ołtarz ze złota i emalii, inkrustowany drogimi kamieniami, przedstawiający życie Jezusa i apostołów, a na nim dzieła sztuki jubilerskiej, kielichy, kadzidła, bogato zdobione kuferki. Mozaiki, których widok zapierał dech w piersi, tworzyły opowieść biblijną w obrazach. Zdawały się skąpane w złocie, połyskiwały srebrem, wywołując owo „niebiańskie drżenie”, które przydawało im głębi i niepowtarzalnego blasku. Choć w świątyni panował półmrok, Pietro dostrzegł sylwetki dwóch ludzi, co wzmogło jeszcze jego ostrożność. Nagle zrozumiał, co zaniepokoiło go w pierwszej chwili - ciężka, charakterystyczna woń, z którą od pewnego czasu stykał się tak często.

Wtedy dotarła do niego oczywista prawda.

To pułapka.

Oczywiście, to pułapka.

Jego oczy oswajały się z mrokiem, a instynkt coraz wyraźniej podpowiadał, że powinien zerknąć na rozwieszzone w nawie obrazy. Równocześnie pamięć podsunęła mu wersy Dantego. Teraz niemal je słyszał, żywe i przerażające. Czytał je wielokrotnie w nadziei, że odnajdzie w nich wskazówkę, dzięki której uprzędzi posunięcia II Diavolo.

*Ta smutna struga brzeg podmywa szary,  
Jadem ziejący i w bagno rozwlekły,  
Styksem nazwane; gdym w te zakamary  
Rzucił spojrzenie, ujrzałem ociekły  
Błotem ogromy lud z nagimi ciała  
I z twarzą srogą, jakby z gniewu wściekły.  
Już nie rękoma na się uderzały  
Duchy: nogami i piersią, i głową;  
Zębami siebie darły na kawały.  
Tu dobry Mistrz mój rzecze do mnie:  
„Owo Ci, których w świecie złość przemogła licha”... .*

Krań Piąty, przeznaczony dla skłonnych do gniewu, zjadaczy błota w Czarnej Rzece. W rzece krwi... Pietro podszedł do jednego z obrazów Francuza, tuż przy zwisających z sufitu afiszach wystawy. Tematyka religijna, jak powiedział Emilio, przybliżając mu twórczość Dampierre'a. Czyste piękno... Pietro wolno przesunął palce ku jednemu z płócien i zauważył, że jego ręka drży. Jego obawy potwierdziły się. Mimowolnie cofnął się o kilka kroków.

Na palcu wskazującym i kciuku czuł lepka wilgoć czerwonej mazi.

Krew.

Cofnął się jeszcze i spojrzał na centralną część Bazyliki. Wystarczyło kilka sekund, by dostrzegł to, co dotąd tylko wyczuwał - wszystkie obrazy były pomazane krwią, zniekształcone posępnymi smugami, a tu i ówdzie jakimiś absurdalnymi gałganami, kawałkami ciała przylepionymi do płócien. Styks... Struga krwi! Szedł środkiem Rzeki, trzymając jedną rękę na pistolecie, a drugą wysuwając szpadę z pochwy. Zbliżał się do ołtarza i dwie sylwetki, które zauważył już wcześniej, rysowały się coraz wyraźniej. Wkrótce zrozumiał, jakie to nowe „arcydzieło” przygotował II Diavolo.

Prawie nagi mężczyzna przywiązany był do ołtarza. Zwisaly z niego strzępy ubrania, a może jego własnej skóry, sądząc po tym, jak mocno był pokrwawiony, a cztery liny zawiązane na jego nogach i rękach napinały się, przymocowane do kolumn wspierających nawę - dwie wysoko w górę, dwie tuż nad posadzką. Przed tak rozpiętą ofiarą, rzuconą na proste, drewniane krzesło, rozlewała się czarna, błotnista kałuża. Głowa mężczyzny zwisła bezwładnie i można by pomyśleć, że to on pluł tą mazią niczym smętna fontanna. Pietro zorientował się, że nieszczęśnik jeszcze żyje. Zobaczył błędne spojrzenie, kiwającą się głowę, błaganie o pomoc, nim przyjdzie mu wyzionąć ducha. Nagle chrapliwy, urywany oddech ustał.

Potem rozległo się westchnienie, przeciągłe westchnienie agonii, szmer, który zagubił się w ciszy Bazyliki. Potem wszystko się skończyło. Właśnie w momencie, gdy Pietro ujrzał twarz tak



okrutnie potraktowanej ofiary. Stał, jak rażony gromem, nie mogąc opanować drżenia rąk. Nie wierzył własnym oczom.

- Emilio... - wyszeptał pobladłymi wargami.

Tak, to był on - Emilio Vindicati, chorąży Rady Dziesięciu. Serce Pietra ścisnęło się z bólu.

Wtedy w Bazylice San Marco rozbrzmiał głos, który wstrząsnął Piętrzem. Zdawał się dobiegać zewsząd, dochodził zza potężnych kolumn, z wnętrza posągów, z olśniewającej mozaiki. Osaczał go z lewa i z prawa.

- Oto, jak winien kończyć ten, którego pokonał Gniew, mości Viravolta. Witaj.

Pietro zmrużył oczy. Za ofiarą, za tym smętnym czarnym motylem, stał zakapturzony Cień, Il Diavolo we własnej osobie, ten sam, którego widział podczas tajnej ceremonii w willi Mora. Stał dumnie wyprostowany, zastygły w patetycznej postawie, zadufany w szaleństwie, jakby prezentował nowe widowisko.

- Drogi przyjacielu, pragnąłem, byś ujrział ten obraz, zanim cisnę ciało twojego druha do laguny. Emilio Vindicati zakończy swój ziemski byt w innej rzece, gdzie wreszcie wtopi się na wieki w błoto, z którego powstał. Czas, byś zrozumiał, jaki los czeka tych, którzy stają mi na drodze.

- Emilio! - krzyknął Pietro rwącym się głosem. Zrozumiał. Nie wiedział jak, ale Emilio pierwszy wpadł w pułapkę. Może sprawił to list identyczny z tym, który Pietro otrzymał w casa Contarinich. Chimera zapewne zmusił Emilia do napisania bileciku do Viravolty, a potem poddał go torturom, jak Marcella Torretone i ojca Caffellego. Pietra ogarnęła fala wściekłości. Bez namysłu ruszył do natarcia ze szpadą w jednej, a pistoletem w drugiej ręce. Błyskawicznie dopadł wroga i natychmiast przebił go szpadą, krzyząc:

- Giń!

Wyciągnął szpadę z ciała wroga i usłyszał głuchy dźwięk. Oniemiał, widząc, jak czarna peleryna opada na posadzkę. Metalowy hełm potoczył się pod jego stopami, pękł kij owiązany słomą.

Kukła, tandetna kukła!

Cała świątynia wypełniła się szyderczym śmiechem.

- Rozczarowujesz mnie, przyjacielu. Spodziewałem się, że stać cię na więcej. Czarna Orchidea nie potrafi sprostać własnej reputacji...

Pietro nie zdążył oszacować następstw swojej pomyłki. Wróg wyłonił się zza kolumny i jednym susem dopadł do ołtarza, a potem runął na Viravolte, by zadać mu potężny cios w głowę. Przez ułamek sekundy Czarna Orchidea stał, chwiejąc się i tocząc bezprzytomnym wzrokiem. Potem poczuł, że zapada się w czarną otchłań, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł i stoczył się z kilku stopni wiodących do ołtarza. Pistolet i szpada wysunęły mu się z rąk.

Zakapturzona postać zatrzymała się nad nim.

- Och, Viravo Ita... Teraz, kiedy jesteś zdany na moją łaskę, powinienem z tobą skończyć. Ale uspokój się...

Potwór ukląkł i pogładził go po policzku.

- Stanowisz element planu, Pietro, jesteś narzędziem, wymarzonego winnym, kozłem ofiarnym wymiaru sprawiedliwości.

I znów wybuchnął głośnym śmiechem, myśląc o rzece wzburzonej krwi, w której topili się potępięcy.

\* \* \*

Kiedy Pietro się ocknął, w Bazylice panowało ogromne poruszenie. Kościół był oświetlony. Viravolta poczuł, że dwaj żołnierze ujmują go pod ręce i zmuszają, żeby wstał. Najpierw ktoś chlusnął mu w twarz wodą, potem wymierzył siarczysty policzek. Jak w koszmarnym śnie ujrzał przerażoną twarz Landretta, a nieco dalej Antonia Brozziego, który kręcił się przy zniszczonych płótnach Dampierre'a.

- Dalej! Do Piombi z nim i niech już nie wychodzi z celi!

- Ale... Emilio...

Chciał się odwrócić, spojrzeć na ołtarz. Zauważył tylko resztki kukły, która grała rolę Cienia. Krzesło, na którym siedział Emilio, było puste. Pozostały tylko plamy krwi i liny, teraz leżące na posadzce. Żołnierze brutalnie wlekli Viravoltę za sobą, nie zważając na protesty Landretta. Jakiś głos wrzeszczał mu nad głową:

- Co zrobisz z Emiliem Vindicatim? To ty jesteś winowajcą, to ty!

Broniąc się przed ponownym omdleniem, Pietro szedł za żołnierzami. Na zewnątrz różowopomarańczowy brzask rozświetlał niebo, sprowadzając na świat nowy dzień.

\*

Strzępy szat Emilia Vindicatiego odnaleziono po kilku godzinach w jednym z weneckich kanałów. Przybity tym ciosem, kolejnym z cyklu dramatycznych i niepojętych zdarzeń, doża słuchał raportu swoich ludzi, w chwili gdy Pietra doprowadzono do więzienia, gdzie powitał go drwiącym spojrzeniem i zjadliwymi uśmiechami strażnik Lorenzo Basadonna:

- Jakże się cieszę, że cię widzę, mój kwiatuszku.

## KRAĞ SZÓSTY

### PIEŚŃ XVI

#### Disa

Piombi.

Znowu. Być może już na zawsze albo do czasu publicznej egzekucji.

A tam, za murami, wciąż tkął swą sieć nieuchwytny Chimera.

Pietro czuł się pokonany. Na szczęście nie ciśnięto go do Pozzi, lochu na dole pałacu, gdzie znajdowały się najgorsze cele. Tam gnili najbardziej nieszczęśliwi skazańcy, w ciasnocie, bez światła. W brudzie, wilgoci, w murach przesiąkniętych saletrą, znosili skutki podciekania *acqua alta* i niedostatku tlenu. Jedyłą ucieczką były dla nich wspomnienia o życiu na wolności i modlitwy do świętych, których wzywali, wykuwając ich imiona na ścianach więzienia i przystaniając to piekło freskami, jakby to mogło przemienić je w raj. Pietro nie obawiał się także tortur, choć tuż po przekroczeniu bram ujrzał jednego z więźniów prowadzonego na sznurze na mękę. Torturowany klęczał z rękami skrępowanymi na plecach, a ciężarki unosiły go w górę. Musiał potwornie cierpieć, bo

prosta machina rozdzierała ciało, łamała kości, wykręcała stawy. Krzyczał. Nie wrócił już na górę. Pietro był wciąż żywy i cieszył się na razie dobrym zdrowiem. Jednak coś w nim pękło. Długo się trzymał, zachowywał zimną krew, siłę, przekonanie, że los w końcu się do niego uśmiechnie. Teraz wszystko się skończyło. Nie miał pojęcia, co może wydarzyć się w mieście. Nie wiedział, co robić i myślał w tej chwili doża, dowódca Criminale, Brozzi i wszyscy inni. Basadonna powiedział mu, że Landretto starał się o widzenie z nim. Wieść dotarła także do pięknej Ancilli Adeodat, lecz kobiety nie wpuszczono do pałacu. Pietro zamartwiał się o Annę Santamarię, nie miał bowiem żadnych wiadomości o niej. To potoczyło się za szybko. Kiedy tylko nabrał podejrzeń wobec Ottavia, powinien był o wszystkim zapomnieć, zabrać Annę i uciec. Ale to nie było takie proste. A teraz, w cichej celi, nie dawało mu spokoju.

Pietro krążył po celi, walił głową o ścianę, mówił do siebie. Zaciskał pięści, rozpaczliwie szukał jakiegoś wyjścia, gorączkowo myślał, co zrobić, aby usłyszało go całe miasto, gdy reprezentująca je szlachta widziała w nim już tylko skazańca winnego ciężkiej zdrady, a prawdopodobnie też zabójcę Vindicatego. Szaleństwo sięgnęło szczytu. Spełniały się plany Il Diavolo, ale niemal nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, wokół panowały brutalność i niekompetencja. Pietro nie był naiwny - już rozgłaszano nowe wersje wydarzeń. Stawał się współnikiem spisku, może nawet jednym z jego pomysłodawców, gotowym za wszelką cenę wymknąć się z więzienia, zdolnym manipulować Radą Dziesięciu. Krążyły najohydniejsze pogłoski na jego temat. Nie będzie miał już nawet prawa do obrony.

- Nie! Nie!!!

Najgorsze, że teraz nie był nawet w stanie myśleć. Twarz Emilia wciąż stała mu przed oczyma. Widział ukrzyżowanego

Marcella, Caffellego na szczycie świątyni, Spadettiego, który spłonął we własnym piecu, Lucianę i Vindicatego w weneckich kanałach, gromadę zjaw wśród gruzów Willi Mora. Jakaś jego część próbowała jeszcze ogarnąć całą sytuację, inna poddała się, nie rozumiejąc niczego. Był bliski szaleństwa. Został sam, odcięty od świata, jak wówczas, gdy był dzieckiem z *campo San Samuele*. Nie potrafił się już bronić. Zniszczyli go. „Wenecjo, tak gorąco cię kochałem, kochałem jak kobiety, które brałem w ramiona, a które stapały się z tobą, były twoim odbiciem, twoją duszą i ciałem! Wenecjo, chroniłaś mnie jak matka, a cóż mi dziś czynisz? Przypominasz mi, gdzie jest moje miejsce! Miejsce renegata, nędznika, plebejusza! Dlaczego miałbym cię nigdy nie zdobyć? Dlaczego chcesz wciąż być bezlitosną kochanką, choć wielbię cię, mimo że mnie odtrącasz?”. Pietro zaczynał się gubić. To miasto, którego tarczą pragnął być, wyparło się go, uznało za jednego z niegodnych bękartów. Wenecja nie była już Wenecją, ale warownym grodem Disa z dantejskiego *Piekła*:

*Tu, synu, koniec wodnej drogi;*

*Oto gród Disa przed nami odkryty:*

*Liczne i groźne w nim siedzą załogi (...)*

*Wtem barka nasza wbiegła w rów kolisty,*

*Który krainę beznadziejną grodzi;*

*Mur nad nami zdał się barwy żelazistej (...)*

*Spojrzę, nad tysiąc czartów się uwija  
U wrót i woła głosy zjadliwemi:  
„Kto jest ten śmiałek - pytają - i czyja  
Stopa za życia w martwych staje ziemi?”.*

Wenecja była jak Trzy Furie, Wenecja była Meduzą, Gorgoną, która zamieniła go w skałę przykutą do celi. Pietro próbował zebrać siły, ale na darmo. Widział tylko coraz więcej rys na wizerunku, jaki sam sobie stworzył, na wierze we własne możliwości. A jeśli pęknie jak te antyczne portrety, które niegdyś wzbudzały w nim bezgraniczny podziw, portrety cesarzy zastygłych w mozaice? Dziś jedno było dla niego jasne i unicestwiało go - tak bardzo oddalił się od swych marzeń! Jakby to wszystko pchnęło go ku granicom obłędu, na drogę, która nie była jego! Czarna Orchidea, agent Republiki! I nagle, pośród tego nieznośnego strachu, gdy cały świat wydawał mu się ułudą, Pietro dostrzegł falę własnych wspomnień, okruchy pamięci związane z tym kultem, jedynym zasługującym na trud - kultem rozkoszy, upodobaniem do poszukiwań, subtelnej gry uwodzenia, do szczytu ekstazy, kultem kobiety, wielu kobiet, tych zbłąkanych aniołów, jedynej religii, jaką chciał wyznawać, religii miłości, prawdziwej miłości, pięknej, zmiennej albo wiecznej, tragicznej i niepewnej - jedynej prawdy, w którą wierzył! Biodro, krągłość piersi, zbliżenie ciał, pocałunki zagubione w gęstwie jedwabistych włosów, oszołomione twarze, drżące usta, które wypowiadają jego imię w długiej jak wieczność chwili spełnienia! A pośród nich wszystkich ta jedna - nieosiągalna bogini, Anna Santamaria! Gdzie miał rozum? Dlaczego nie uciekł z nią już pierwszego dnia? Cóż za absurdalna pycha skłoniła go do wyparcia się własnej natury? Pietro zachwiał się, wciąż jednak powstrzymywał gorzkie łzy, które pieczętowały jego klęskę. Oparty o ścianę celi, osuwał się z wolna, aż poczuł zimny dotyk podłogi. Nie odrywał oczu od świetlika, za którym widać było korytarz, a od czasu do czasu także cień Basadonny, tylko czekającego, by dobić Viravoltę ironicznym żartem.

Niedaleko siedział wciąż Giacomo Casanova. Pietro z ciężkim sercem wyznał mu, co zaszło, ograniczył się jednak do minimum. Giacomo zdołał zrozumieć jedno: że jego przyjaciel był przekonany, że wszystko już stracone. Zapytał o Annę, nieświadomie potęgując przygnębienie i strach Pietra. Zaproponował mu, jak za dawnych, dobrych czasów, partyjkę kart z celi do celi, jedną z tych drobnych rozrywek, które przy wsparciu Basadonny doprowadzili do perfekcji, dzieląc los więźniów. Ale wkrótce w głosie Casanovy nie pobrzmiwała już nawet nutka wesołości, bo i on zaczynał wątpić, czy zdoła wyjść cało z opresji. Bez końca czekał na rozprawę apelacyjną i nie mógł pojąć, dlaczego ów proces jest ciągle odraczany. Pietro rozumiał to aż za dobrze.

Powinieneś być uciec, powiedział Casanova. Uciec, jak ci radziłem, do Francji.

Potem obaj zamilkli.

Zapadła ciężka, nieznośna cisza.

Pierwsza noc była koszmarem. Wspomnienia o poprzednim pobycie w Piombi mieszały się z gorzką rzeczywistością chwili obecnej. Nękały go demony pamięci. Rzucił się na prycy, chwycił siennik niczym tonący, który czuje, że lada chwila bezpowrotnie pochłonie go głębia. Było mu na przemian zimno i gorąco, bladł lub pąsował przez te godziny przemijające w ciemnościach gęstych jak zapomnienie, w które miał tu popaść. Jego oczom pozostawał tylko ten duszący świetlik, nie mógł

uwolnić się od wrażenia, że runął w przepaść bez dna, i to doznanie pogłębiło rezygnację, z którą niegdyś potrafił walczyć, a która dziś wzięła nad nim górę. Głos, ten cichy głos wewnętrzny, który dotąd pomagał mu wytrwać, stawał się coraz cichszy.

Rano zamilkł.

Pietro znowu usiadł pod ścianą celi.

\*

Korytarzem przemknął cień widoczny w blasku pochodni. Pietro zobaczył go w świetliku i słysząc pobrząkiwanie kluczy, pomyślał najpierw, że to Lorenzo Basadonna, niosący mu strawę w paskudnej żeliwnej misce, i że zaraz usłyszy jeden z jego wulgarnych żartów, którymi sypał jak z rękawa.

Drzwi się otwały... Pietro pomyślał, że śni.

\*

Stała przed nim elegancka postać w czarnej pelerynie z kapturem. W milczeniu szła korytarzem i tylko szelest szat zdradzał jej obecność. Dwie subtelne jak koronka dłonie koloru jutrzeńki uniosły się do kaptura, aby go zrzucić.

Twarz Anny Santamarii wyłoniła się z mroku.

\*

Upłynęła długa chwila, zanim Pietro uświadomił sobie, kogo ma przed sobą. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko najprawdziwszego anioła. Po raz pierwszy czuł, że łzy napływają mu do oczu, i pełen wdzięczności wobec losu, który zesłał mu ten cud, omal nie padł na kolana przed ukochaną. Wstał. Ogarnęła go słabość - ugięły się pod nim nogi, o mało się nie przewrócił. W końcu odzyskał równowagę i wziął ją w ramiona.

- To ty! To naprawdę ty!

- Tak, najdroższy, to ja... Dowiedziałam się, co się stało.

- Ale... Ale jak? Anno, musisz uciekać, słyszysz? Póki jeszcze czas! Moje obawy były uzasadnione. Ottavio jest zamieszany w to wszystko, co się wydarzyło, grozi ci niebezpieczeństwo! Sądziłem, że nie zdołam cię uprzedzić o...

- Podziękuj swojemu lokajowi, Pietro. Znów masz wobec niego dług wdzięczności. Być może ja także. Zdołał mnie uprzedzić. Nie martw się. W tej chwili Ottavia nie ma w Santa Croce. Nie wiem, czym się zajmuje, ale zagląda do domu tylko od czasu do czasu... Nawet wtedy zachowuje się jak zjawą. Ja dla niego nic nie znaczę...

- Na pewno znaczysz o wiele więcej, niż mogłabyś sobie wyobrazić - powiedział Pietro.

Długo trzymali się w objęciach. Pietro wciąż nie mógł uwierzyć, że Anna jest przy nim, że może znowu ją do siebie przytulić. Gładził jej włosy, upajał się jej zapachem, tulił z całej siły. Czuł radość w sercu, ale równocześnie nie mógł wyzbyć się niepokoju. Właśnie dlatego podjął:

- Anno, cokolwiek o tym myślisz, nie powinnaś zostawać w Wenecji! Wyjedź daleko stąd, powiedz Landrettowi, żeby zabrał cię w jakieś bezpieczne miejsce. Będę spokojniejszy, jeśli...

- To znacznie bardziej skomplikowane. Mamy niewiele czasu, więc powiem tylko, że gdybym teraz uciekła, pogorszyłabym sytuację. Ottavio wydaje się bliski obłędu, poza tym... Pietro, rozmawiałam z kimś... z kimś, kogo znasz. Jest naszym sprzymierzeńcem.

Viravolta spojrział na nią niedowierzająco.

- Nie przyszłam tu sama - powiedziała.

Gdy zamilkła, w drzwiach stanął Giovanni Campioni.

- To ja, panie Viravolta.

Pietro patrzył na niego podejrzliwie. Giovanni wszedł do celi, Anna cofnęła się. Splótłszy ręce na piersi, senator podjął:

- Doża zgodził się, bym pana odwiedził, być może po raz ostatni. Pański lokaj powiedział mi, jak ważna jest dla pana Anna. Postanowiłem ją przyprowadzić. Nie zapomniałem... co próbował pan zrobić dla Luciany i dla mnie.

Westchnął, ale zaraz się opanował. Widać było, jak wiele kosztuje go ten pozorny spokój.

- Ale teraz proszę mnie wysłuchać. Sprawy nabrały tempa. Nasze spotkanie musi pozostać tajemnicą. Loredan ma związane ręce. On także ryzykuje własną głowę, a szlachta już podejrzliwie na niego patrzy. Wiem, że oskarżają pana o zamordowanie Emilia Vindicatego, i przyznaję, że jest pan idealnym kozłem ofiarnym. Jednak zapewne nie dziwi pana, że nie wierzę w pańską winę. W każdym razie - nie w tej sprawie. Wysłuchał mnie pan, gdy się spotkaliśmy. Jestem panu winien to samo. A ta młoda dama przekonała mnie, że jest pan człowiekiem szlachetnym. Teraz nikt nie potrafi trzeźwo myśleć ani ogarnąć tego, co się wydarzyło. Świątujemy dziś triumf anarchii i zaślepienia. Niewątpliwie tego właśnie pragnęły Ogniste Ptaki. Mogą cieszyć się z sukcesu.

Pietro usiłował zebrać myśli. Głos Giovanniego wypełniał celę i dźwięczał mu w uszach. Lorenzo Basadonna wrócił po Annę i senatora. Stał teraz, obserwując ich. Giovanni zgromił go wzrokiem. Strażnik z przesadną pokorą skłonił głowę, potem zerknął na nich zuchwale i oddalił się ciężkim krokiem, kuśtykając. Pietro pomyślał, że Basadonna przypomina larwę, która powraca do lśniącego jedwabnego kokonu, wlokąc za sobą smrodliwy tren. Viravolta położył rękę na czole. Doskonale wiedział, że ta nieoczekiwana wizyta Anny i senatora jest jego jedyną i ostatnią szansą.

- Ja... sam nic nie mogę zrobić - powiedział. - Giovanni! Proszę mi wierzyć, to szaleńcy. Wpadłem w zasadzkę. W San Marco ujrzałem Ciebie. To on zabił Vindicatego, a potem wyrzucił jego zwłoki... Emilio był... w makabrycznym stanie. Otrzymałem list, który wywabił mnie z casa Contarinich. Udałem się w wyznaczone miejsce i za późno zwęszyłem podstęp. Ale doża nadal jest w niebezpieczeństwie, a biorąc pod uwagę zachowanie Wielkiej Rady, należy uznać, że jego pozycja jest w tym powszechnym zamęciu bardzo niepewna, zwłaszcza teraz, kiedy Dziesięciu pozbawiono przywódcy. Oczywiście, jest jeszcze Pavi z Criminale i osobiście darzę go zaufaniem. Ale to niewiele w obliczu tego, co nas czeka. Senatorze, musi mnie pan stąd wyciągnąć!

Giovanni smętnie pokręcił głową.

- To niestety nie leży w mojej mocy, przynajmniej nie teraz. Powinien pan o czymś wiedzieć...

Campioni głęboko westchnął. Zamaszystym gestem, niczym czarodziej, wyciągnął z kieszeni zwój papieru przewiązany czerwoną szarfą i rozwinął go, podsuwając Viravoltcie.

- Nie siedziałem beczynn timer przez kilka ostatnich dni. Wciąż tropię Minosa, a szlachta, którą wokół siebie skupiłem, prowadzi własne śledztwo. Jeden z tych ludzi dokonał zadziwiającego odkrycia. Oniemiałem, gdy natrafiliśmy na ten dokument.

Odchrząknął.

- Viravolta, trzymam w ręku szkic traktatu.

- Traktatu?

- Jest to traktat dotyczący wzajemnego wsparcia, a właściwie wstępny projekt. Odnaleziono na pół spalony egzemplarz w kominku jednego z mieszkań wynajętych na panopticum, a wykrytego i przeszukanego przez Paviego i Criminale. Dokument nie został opatrzony pieczęciami ani podpisami, jednak wyraźnie wskazuje dwie partie. Jedną z nich reprezentuje Chimera, a drugą...

- Drugą?

Campioni zmrzył oczy. Był ponury.

- Niejaki Eckhart von Maarken. - Zamilkł na chwilę. - Słyszał pan o nim?

- Nie - odparł Pietro. Senator podjął:

- Von Maarken to jeden z najbogatszych ludzi w Austrii. Jest jednak uważany przez własny rząd za renegata. Oskarżono go o defraudację państwowych pieniędzy i oszustwa, ale wobec braku dowodów ograniczono się do usunięcia go ze stanowiska. Ambicja i megalomania tego człowieka nie pozwoliły mu pogodzić się z tym upokorzeniem. Długo pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zna Wenecję jak własną kieszeń. Bywał nawet u Loredana! Austria od dawna spogląda łakomym wzrokiem na Adriatyk i musi pan pamiętać, Viravolta, że powiększyła swój obszar o Niderlandy i część Włoch... Państwo ma za sobą krwawą wojnę sukcesyjną - cesarzowa Maria Teresa zachowała swe dziedzictwo dzięki wsparciu Anglii i teraz zapewne bardziej skupia się na problemach z Fryderykiem Pruskim i utracie Śląska niż na próbach podbicia Wenecji, ale w Wiedniu, Budapeszcie i Pradze szepcze się, że szykuje zemstę, która będzie dla nas bardzo dotkliwa. Tak czy inaczej, von Maarken to nieprzewidywalny gracz, któremu nie brak ani poparcia, ani pieniędzy. Działa samodzielnie i nie zdziwiłbym się, gdyby podjął próbę zbrojnej akcji, aby odzyskać względy i pozycję w swoim kraju. Dotąd nikt z nas nie brał właściwie pod uwagę takiego zagrożenia. Dodam jeszcze, że von Maarken miał ponoć opuścić swój zamek w Knittelfeld jakieś dwa tygodnie temu. Być może przebywa tu, w sercu Republiki.

- Von Maarken miałby być Minosem?

- Albo Il Diavolo, jeśli nie jest to jedna i ta sama osoba. Najwyraźniej znalazł sprzymierzeńca w Ottaviu, ale trudno przypuścić, żeby mógł zorganizować spisek na taką skalę bez szerszego poparcia na miejscu, w Wenecji. Traktat przewiduje gotowość połączenia sił morskich i lądowych. Prawdopodobnie część Ognistych Ptaków to jego austriaccy zwolennicy, musi jednak liczyć także na rekrutację na naszym terenie. Teraz chodzi głównie o to, żeby wypłoszyć ich przed świętem Wniebowstąpienia, które zaczyna się pojutrze... Mamy bardzo mało czasu.

Pietro zastanawiał się przez chwilę. Te informacje głęboko nim wstrząsnęły.

- Odnalezienie traktatu to istny dar Opatrzności... Ale czegoś tu nie rozumiem... Nie mogę się połapać w tych wszystkich kalkulacjach. Czy doża jest poinformowany?

- Jeszcze nie, brak mi dowodów na to, co mówię, a traktat może być po prostu kolejnym szaleństwem.

- Wspomniał pan o nim Emiliowi Vindicatiemu? Giovanni spojrzał na Viravolte ze zdziwieniem.

- Nie?... To dobrze. Wasza Ekscelencjo, proszę mnie wysłuchać. Jeżeli von Maarken przebywa w Wenecji, postarajmy się go odnaleźć. Ale drugim kluczem do tej sprawy jest tożsamość Minosa. A gdyby ten był rzeczywiście Wenecjaninem...

- Jest Wenecjaninem - wtrącił jakiś głos z zewnątrz. Przez moment Pietro myślał, że to Casanova, bo głos nie był mu obcy. Rozbrzmiał nagle, jak rozedrgany krzyk, z sąsiedniej celi. Tak, na pewno kiedyś go już słyszał. Kiedy wytężał pamięć, senator rozglądał się po korytarzu.

- Jest Wenecjaninem - powtórzył głos.

- Fregolo... - szepnął Viravolta. - Astrolog! Mężczyzna trafił do Piombi tuż po rozmowie z Piętrzem.

Był przesłuchiwany i torturowany, ale uporczywie powtarzał, że jest niewinny. Teraz odezwał się także Casanova:

- Słuchajcie, nie rozumiem nic z tego, o czym mówicie, ale mam wrażenie, że atmosfera za murami jest nieco napięta... A to więzienie staje się coraz dziwniejszym miejscem. Czy mogę włączyć się do rozmowy? Ponoć jesteśmy w ostatnim salonie, gdzie toczą się dyskusje.

Campioni poczerwieniał. Pietro poprosił go gestem, by nie zważał na gadaninę Casanovy.

- Fregolo? - powtórzył Viravolta, podnosząc głos.

- To pan zadenuncjował mnie Radzie Dziesięciu! - krzyknął senator. - Za te fałszywe zeznania zapłaci pan głową!

Brodąta twarz astrologa pokazała się w świetliku. Gdyby uczestnicy tego dziwnego spotkania mogli go zobaczyć, byłiby bardzo zaskoczeni. Nie był już tym Fregolem, który czytał z kart i patrzył w kryształową kulę, podniosły i dumny w swych szatach usianych gwiazdami, w pokoju za kotarą. Miał na sobie brudne strzępy ubrania, był wystraszony, jego twarz opuchła. Wychudzenie i osłabienie ciała, które wyglądało jak szkielet, praktycznie uniemożliwiało mu wszelki wysiłek. Przesiadywał w celi skulony, oparty o drzwi i oddychał z trudem. Brzęknęły łańcuchy. Potem wszystko ucichło, aż w końcu astrolog podjął:

- Proszę mi wybaczyć, Ekscelencjo. Ale... grożono mi, tak jak i innym. Ogniste Ptaki pojawiły się u mnie... żeby wskazać pana jako winowajcę, którego mam wydać. Lecz teraz, gdy lada chwila mogę wyzionać ducha, a pan jest tak blisko, nie chcę i nie muszę już milczeć. Nie śmiem wierzyć, że w ten sposób zasłużę na pańskie przebaczenie, ale mogę wam jeszcze pomóc. Viravolta i Campioni wymienili spojrzenia.

- Minos nie mógł zawsze pozostawać anonimowy - ciągnął Fregolo.

- A zatem pan go zna! Czy pan wie, jak się nazywa? - krzyknął Pietro.

- Nie. Ale wiem, kto może znać jego nazwisko. Zlekceważyliście w tej przykrej sprawie pewien trop. Tak mi się wydaje... Mówię o pierwszym morderstwie, w teatrze San Luca.

- O śmierci Marcella? Co pan ma na myśli?

- Nie chodzi mi właściwie o Marcella, ale o jego matkę, Arcangielę Torretone. Dziś jest kaleką bliską obłądu. Prowadzi smutny żywot w klasztorze San Biagio della Giudecca. Jedna z siostr zakonnych powiedziała mi, że Arcangela opowiada wszystkim wokół, że spotkała samego Diabła. Mniszki uważają to za brednie kobieciny niespełna rozumu, przyzna pan jednak, że zbieg okoliczności jest zadziwiający.



Pietro znów spojrzął na senatora i zapytał głośno:

- Czy... to wszystko?

- Może się okazać, że to dużo - odparł astrolog, wzdychając. - Proszę mi zaufać... Trzeba z nią pomówić.

Ponownie zapadła cisza.

- Dobrze. A co zrobicie ze mną? - zapytał Casanova. Pietro ujął Campioniego pod ramię.

- Wasza Ekscelencjo... Oto moja propozycja. Nikt nie zechce nas słuchać, dopóki mamy tylko podejrzenia i domysły, zwłaszcza teraz, kiedy każdy coś podejrzewa, a Rada pozostała bez Emilia. I pan, i ja wiele ryzykujemy. Proszę iść do San Biagio i pomówić z Arcangela, zobaczymy, co z tego wyniknie. Potem - proszę mi zaufać! - niech pan wstawi się za mną, aby doża udzielił mi ostatniej audiencji. Jeżeli zdobędziemy nowe informacje, ocali mnie pan, pozwalając z nim negocjować. Niech mi pan nie odmawia, wiem, że proszę o dużo, ale to moja jedyna szansa. Daję słowo honoru, że uczynię, co w mojej mocy, aby pomóc w rozwiązaniu tej sprawy. Wiem, że nie cieszę się zaufaniem Republiki, mogę się jednak przydać w inny sposób. Potrzebuję pańskiej protekcji, Ekscelencjo, zdaję się na pana. Mój los jest w pańskich rękach.

- Doża dowie się, że...

- Płyniemy jedną gondolą, Ekscelencjo. My także musimy zawrzeć przymierze, w przeciwnym razie Wenecja skazana będzie na zgubę.

- Ale... przecież... Zdaje pan sobie sprawę, że... moja pozycja... Przychodząc tu, już i tak...

- Giovanni! Luciana nie żyje, doży grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nie możemy bezczynnie czekać. Przyszedł pan do mnie i postąpił pan słusznie. Należy...

Viravolta zamilkł.

Giovanni wahał się, patrząc w oczy więźnia.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Pójdę do San Biagio. Co do reszty... zobaczymy.

Odsunął się. Anna Santamaria znów padła w ramiona Czarnej Orchidei.

- Kochany, musimy już iść - szepnęła.

- A ty? Co zamierzasz?

- Będę gotowa. Przysięgam, że zachowam ostrożność.

Liczę na opiekę Landretta. Ale nie wyjadę bez ciebie, najdroższy.

- Anno...

Campioni odwrócił się i zawołał:

- Strażnik!

Wkrótce Pietro usłyszał ciężki krok nadchodzącego Lorenza.

- Anno!

Z trudem przyszło im rozłączyć splecione dłonie. Wciąż jeszcze patrzyli sobie w oczy... A potem Anna wyszła z celi.

Senator także po raz ostatni spojrzął na Viravolte i opuścił izdebkę.

- Amen! - rzucił ze swej celi Fregolo.

- Ejże! Nie odchodźcie! - krzyknął Casanova. - Może ktoś powie mi w końcu, co tu się dzieje!

\*

Zatrzasnęły się drzwi. A kiedy Campioni był już daleko, Viravolta pomyślał: Działaj, Giovanni!  
Czasem trzeba zdać się na innych - jesteś moją jedyną nadzieją.

I poprawił się od razu:

Naszą jedyną nadzieją.

PIESN XVII

### **Arcangela**

Giovanni Campioni udał się do klasztoru San Biagio della Giudecca, gdy zapadała noc. Ubrany w płaszcz i czarną szatę, w *beretcie* na głowie, wysiadł z gondoli w towarzystwie dwóch mężczyzn. Razem przemierzyli kilka uliczek, następnie szli wzdłuż ciemnego muru budynku klasztoru. Wokół panowała niezmacona cisza. Giovanni zatrzymał się przed furtą klasztorną i poprosił, aby zaanonsować go Arcangeli Torretone. Matka przełożona, kobieta sześćdziesięcioletnia o bladej, pokrytej zmarszczkami twarzy, wyszła do furty i spojrzała na niego podejrzliwie przez małe, zakratowane okienko. Widok senatorskiej szaty rozwiął jej obawy. Otworzyła furtę. Obok niej stały trzy siostry. Na dźwięk dzwonu jedna z sióstr szybko ruszyła w głąb budynku. Matka przełożona poleciła żołnierzom, by zaczekali na Giovanniego w przedsionku, a następnie wprowadziła go do klasztoru. Wkrótce znaleźli się w otwartym na gwiaździste niebo wirydarzu, przeszli przez refektarz i znów zapuścili się w długie korytarze.

- Wasza Ekscelencja wie zapewne, że Arcangeli ma ci się rozum. Jest z nami już od dawna. Syn odwiedzał ją od czasu do czasu. Nie zawsze go poznawała, da pan wiarę? Mocno się postarzała i utyla, a kalectwo uniemożliwia jej swobodne poruszanie się. Czasami dręczą ją nocne koszmary. Smutny jest los tej biedaczki, Ekscelencjo! Czynimy, co w naszej mocy, by złagodzić jej cierpienie i szaleństwo, ale czasami ten klasztor przypomina azyl dla obłąkanych. A najgorsze są te posępne wycia, które nagle rozdzierają nocną ciszę i nasze serca. W ten sposób wzywa Pana Naszego, a my nie mamy odwagi pozostawić jej sam na sam z rozpaczą... Wyznam jednak, że uprzykrza nam życie i odrywa nasze myśli od modlitwy i skupienia.

- Powiada matka, że syn odwiedzał ją co pewien czas. Kiedy ostatnio tu był?

Matka przełożona zastanawiała się przez chwilę, wciąż prowadząc go korytarzem.

- To było... dwa dni przed jego śmiercią, choć mogę się mylić. Czy prawdą jest, że Marcello został zamordowany? Powinien pan wiedzieć, że nie znamy okoliczności jego śmierci... *Santa Maria*, o nic nie zamierzam pana pytać! Nie wiem nawet, czy Arcangela jest świadoma, że jej syna nie ma już wśród żywych. Ale, Wasza Ekscelencjo... bardzo się niepokoiśmy. Co się dzieje w Wenecji?

- Nic, co mogłoby jeszcze bardziej zakłócić życie tej wspólnoty - odparł Campioni, starając się nadać głosowi uspokajający ton.

- Wie pan, co mówi Arcangela? Nieustannie powtarza, że widziała Diabła. Tak, Diabła, Diabła! To imię nie schodzi jej z ust. Wznosi ręce do nieba, odmawia różaniec. Wydaje mi się, że zmieniła się po wizycie tego mężczyzny, który... Oczy Giovanniego rozbłysły. Zatrzymał się.

- Jakiego mężczyzny? Kto jeszcze ją odwiedzał? Kto? Kto i kiedy u niej był?

Chwycił matkę przełożoną za ramię, może trochę za mocno. Zaintrygowana, wręcz spłoszona, próbowała się uwolnić. Jej czarny habit załopotał. Zmieszany senator wydusił z siebie kilka słów, przepraszając za tę porywczosć.

- Kto? - powtórzył.

- Nie wiem, Ekscelencjo. Podał się za jej krewnego... Rozmawiali przez godzinę, a po jego wyjściu Arcangela wpadła w swoisty trans. Była przerażona, o tak, tępo patrzyła przed siebie. Ale jej czasami się to zdarza... Zapomina...

- Boże! On tu był. Astrolog miał rację. Przyspieszył kroku, matka przełożona podążyła za nim.

- O czym pan mówi, Ekscelencjo? Co się stało? Może powinnam była... Ale ona jest obłąkana, rozumie pan...

- Kiedy to było? Przed śmiercią jej syna czy później?

- Chyba po jego śmierci. Tak, kilka dni później. Giovanni przetaił oczy, potem znowu przystanął.

- Myślę, że ktoś chciał ją zastraszyć - szepnął.

- Zastraszyć? Ale po co? To nieszczęsna istota, zamknięta w klasztorze!

- Proszę się nie martwić. Niech siostry otoczą ją troskliwą opieką. Czy zdaniem matki przełożonej, Arcangela mogłaby rozpoznać tego mężczyznę? Czy zna jego nazwisko?

- Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Najlepiej... proszę zapytać o to ją samą. Przekonamy się, czy ma dość rozumu, by z panem pomówić i cokolwiek sobie przypomnieć.

Tu, za murami klasztoru, gdzie życie przypominało przedwczesne zamknięcie w grobowcu, Giovanni Campioni poznał Arcangelę Torretone. Matka przełożona trzy razy zapukała do drzwi, a potem, nie czekając na odpowiedź, wprowadziła senatora do zimnej, ascetycznej celi. Za wąskim zakratowanym oknem widać było ciemne niebo. W izdebce o posadzce z zimnego kamienia jedyne umeblowanie stanowiły łóżko, zawieszony na ścianie duży krzyż, taboret i stolik do lektury. Właśnie przy tym stoliku siedziała Arcangela, nie miała jednak przed sobą żadnej książki. Splotła ręce na kolanach i patrzyła przed siebie, jakby pogrążona w głębokich rozmyślaniach. Jej twarz była blada i pełna niepokoju, przede wszystkim jednak Arcangela sprawiała wrażenie osoby trwającej w bolesnym osłupieniu. Giovanniego przebiegł dreszcz. Ta kobieta nie była chyba zbyt stara, jednak teraz, gdy siedziała nieruchomo, sprawiała wrażenie osoby przytłoczonej brzemieniem lat. Nosila kornet, którego cień padał na jej twarz, okoloną kilkoma niesfornymi kosmykami siwych włosów, wymykających się spod niego. Nie zareagowała na wejście matki przełożonej i senatora, nawet nie odwróciła głowy. Przełożona podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu.

- Arcangelo, dobrze się czujesz? Jest **tu** ktoś, kto chciałby z tobą pomówić... To pan senator.

Kobieta nie zareagowała.

- *Messer Campioni* pragnie zadać ci kilka pytań na temat twego syna.

Arcangela odwróciła się powoli i spojrzała na Giovanniego. To, co wyczytał z jej oczu, potwierdziło wrażenie, jakie odniósł, ujrawszy mniszkę: była niespełna rozumu, miała w sobie coś przerażającego. Odrzucił poły peleryny i usiadł na taborecie. Kobieta siedziała zwrócona do niego bokiem. Giovanni wstał i przeniósł taboret, by spojrzeć jej w twarz.

- Tak... Pójdę już - powiedziała matka przełożona. - W razie potrzeby proszę mnie przywołać, panie senatorze.

A potem zamknęła drzwi, zostawiając Giovanniego sam na sam z Arcangela. Przez kilka minut oboje milczeli. Campioni patrzył na wychudzoną twarz, która przed laty zachwycała miłośników teatru, i rozmyślał o coraz częściej rozbrzmiewających w Wenecji, a nawet tu, w klasztorze, głosach osób przekonujących, że „zaślubione Chrystusowi” na co dzień żyją w ziemskim piekle klasztorów. Większość z nich wybrała służbę Bogu z własnej, nieprzymuszonej woli, nie brakowało tu jednak i takich, które w bardzo młodym wieku zmuszono do przywdziania habitu. Wstępowały do klasztoru w wieku dziesięciu, dwunastu lat, bo taka była wola rodziców lub tradycja rodzinna. Niektóre przez czterdzieści, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat żyły w ciszy takich miejsc, jak San Biagio czy Sant’Anna w Castello. Do młodziutkich mniszek dodać należało ofiary nieszczęśliwej miłości, nieudanych małżeństw i te młode, buntownicze istoty, które nie dały się złamać i nie przystały na małżeństwo ustalone przez rodziny czy też na haniebne targi na małżeńskiej aukcji. To były całe gromady kobiet, zmuszonych wybierać między małżeństwem z rozsądku a habitem. Najbardziej wykształcone z nich oskarżały Republikę o tyranję, czasem czyniąc to otwarcie. Giovanni pomyślał o Lucianie Saliestri. Ona, aby uciec przed takim losem, musiała użyć wdzięków, jakimi obdarzyła ją natura. Usta senatora zdrzały. Luciana, dla której gotów był smażyć się w piekle, Luciana, libertynka, buntownicza, w głębi duszy pozostała czysta, dziewicza... Był tego pewien, zawsze w to wierzył. Luciana i jej nieustanne poszukiwania, Luciana pragnąca odnaleźć raj na ziemi! Giovanni chciał dać jej wszystko, choć nigdy naprawdę jej nie zdobył. Luciana pędziła na oślep ku ogrodom rozkoszy. Między pełną izolacją a gorączkową pogonią za wolnością toczyło się życie mniszek i kurtyzan, wiodąc jedne i drugie ku nicości.

Arcangela wciąż pogrążała się w medytacji. Tak, pomyślał Giovanni, tylko dzięki współczuciu matki przełożonej ciągle jeszcze mieszka tu, a nie w azylu dla obłąkanych, w tym odrażającym miejscu na wyspie San Servolo, w mrocznym grobowcu, przytułku dla odtrąconych przez świat. To było piekło, najprawdziwsze piekło. O czym mogła myśleć Arcangela, gdy Giovanni na nią patrzył? Może wspominała swój pogrzeb - ten dzień, kiedy podczas ceremonii żałobnej leżała zwrócona twarzą do ziemi pośród palących się świec i brzmienia litanii. Czyż nie umarła, zanim jeszcze przekroczyła progi San Biagio? Na poły obłąkana, na poły sparaliżowana, przywdziała welon, mroczny welon powtórnych zaślubin - tym razem z Bogiem, który odebrał jej męża i którego obwiniała być może w skrytości ducha o to, że uczynił jej syna odmieńcem. Marcello zapewne o tym wiedział, musiał wyczytać brak zrozumienia z pełnych miłości, zasnutych łzami oczu matki. To było bolesne jak wyparcie się dziecka dla innego Ojca, który nie zgodził się go uznać. Giovanni potarł twarz ręką. Przypomniała mu się książeczka napisana przez pewną mniszkę - czytał ją przed dwoma laty - *Wiera, między światłością a piekłem*. Tą mniszką była jedna z przyrodnich sióstr Morandini. Czasami do klasztoru trafiały trzy lub cztery dziewczęta z jednej rodziny. W tej sytuacji trudno było uniknąć pewnych naruszeń reguły. Widywało się mniszki tańczące w rozmównicy przy dźwiękach fujarek i trąbek, słyszało się o niedozwolonych zabawach, dyskusjach politycznych organizowanych przez zakonnice przy wsparciu ich kochanków. Pietro Viravolta także zapracował sobie na więzienie skandalem tego rodzaju, gdy w tajemnicy odwiedzał w klasztorze hrabinę Coronini, pamiętał też

historię tajemniczej M\*, która ponoć bez większych problemów wymykała się z zakonu Santa Maria degli Angeli w Murano do jednego z weneckich *casini*... Wtedy także Dziesięciu zajęło się tropieniem występku i bezwzględny karaniem winnych. Twarz Emilia Vindicatego przesunęła się przed oczyma senatora jak zjawy. Pochylił się.

- Arcangelo... Nazywam się Giovanni Campioni. Chciałbym pomówić o ostatniej wizycie Marcella.

Zmarszczyła brwi. Błady uśmiech rozjaśnił twarz kobiety. Gdy uniosła głowę, prostując iście łabędzią szyję, jej wdzięk zadziwił Giovanniego. Ale ten uśmiech był niepokojący.

- Marcello... no właśnie... jak on się miewa? Giovanni chrząknął, w zakłopotaniu wierząc się na taborecie. Splótł ręce.

- Arcangelo... Pamięta pani, o czym mówił, kiedy przyszedł tu po raz ostatni?

- Marcello... To mój syn, pewnie pan wie. Kocham go. To Marcello. Cieszy się miłością Boga, tak jak i ja. Błogosławione dziecko, o tak. Bardzo często się za niego modłę. Jak on się miewa?

- Odwiedził panią? Mówił... o teatrze? O pracy w San Luca?

Arcangela zamarta, jakby zobaczyła albo usłyszała coś niezwykłego. Uniosła dłoń, położyła palec na ustach. „Cii!” - szepnęła. A potem zapatrzyła się w punkt na ścianie celi. Wyglądała na bardzo skupioną. Giovanni zwrócił oczy na tę samą ścianę, ale nie zauważył niczego, co wyjaśniałoby wydarzenie opisane przez Giacoma Casanovę reakcją kobiety. Mimo to Arcangela zdawała się coś tam widzieć.

- Marcello czasami mnie odwiedza - powiedziała. - W dzień albo w nocy.

- Kiedy pojawił się tu po raz ostatni?

- Wczoraj. Wydaje mi się, że to było wczoraj. Giovanni zmarszczył brwi, a jego twarz wyrażała głęboki smutek. Chciałby chwycić kobietę za rękę, wyciągnąć ze świata, w którym się schroniła...

- Nie, Arcangelo. To nie mogło być wczoraj. Jest pani pewna, że przyszedł wczoraj?

Arcangela skupiła się, wsparła brodę pięścią i znowu się zamyśliła. Teraz, ku zaskoczeniu Giovanniego, upodobniła się do małej dziewczynki, która z namaszczaniem szuka odpowiedzi na trudne pytanie.

- Wczoraj... Nie, nie wczoraj. Może jutro? Tak, właśnie. Przyjdzie jutro. Prawda?

Giovanni stłumił westchnienie. Obawiał się, że niepotrzebnie tu przyszedł. Zamilkł, a Arcangela wciąż powtarzała: „Wczoraj? Jutro. A może pojutrze”... Wahał się jeszcze przez chwilę. Może istniał jakiś skuteczny sposób przywołania jej do rzeczywistości? Wrodzona dobroć Giovanniego powstrzymywała go od brutalnych posunięć, ale czas nagił, tu zaś najwyraźniej potrzebny był wstrząs. Może ostre słowa przywrócić zakonnicy jasność myśli...

- Arcangelo... Opowiedz mi o tym drugim mężczyźnie, który cię odwiedził. Opowiedz mi o Diable, Arcangelo.

Nie musiał długo czekać na efekt: twarz Arcangeli zastygła jak maska. Kobieta gorączkowo szukała różańca, który leżał na stole. Przesuwała ogniwa drżącymi palcami, szepcząc pacierze. W jej oczach widać było panikę.

- O tak, widziałam go, *Messer*, przyszedł, żeby mnie nastraszyć. To było wieczorem... Och, nie powiedział mi, że naprawdę jest Demonem, ale ja go poznałam! Bóg przestrzegł mnie przed nim, ujrzałam go we śnie...

- Arcangelo, to bardzo ważne: kim on jest?

- Chciał mnie nastraszyć... Powiedział, że umrę i będę cierpieła piekielne katusze, przedtem i potem. Że będę całkowicie sparaliżowana i że nic, nawet światłość Boga, nie zdoła mnie ocalić. Przemawiał łagodnie, z gorzką słodyczą Kusiciela, bluźniercy, zbuntowanego anioła... Kazał mi zamilknąć na zawsze w ciszy klasztoru, zagroził, że w przeciwnym razie na zawsze pozostanę w jego mocy. Myślał, że Marcello mi o nim opowiadał - tak, rozmawialiśmy dużo i czasem Marcello mówił mi o swoich niepokojach, tak jak temu pocziwemu ojczulkowi z San Giorgio Maggiore. Może próbował zdobyć mojego syna... Marcello! Czy Diabeł już w tobie był?

- Kim jest ten człowiek, Arcangelo!

Po raz pierwszy zwróciła oczy na Giovanniego. Była przerażona. Jej źrenice pały.

- Jakże, więc pan nie wie? Próbował się przebierać, ale przybrał postać weneckiego szlachcica, doskonale o tym wiem! Przyszedł do mnie w tej cielesnej powłoce... Mówię o *Andreasie Vicario, Messeri* O mężczyźnie z *Librerii Canareggio, Librerii Diabła! TO VICARIO!*

Powtórzyła to nazwisko wiele razy, aż w końcu jej słowa przemieniły się w potworny, przeciągły, bolesny jęk.

## PIEŚŃ XVIII

### Heretycy

Przyszli po Pietra nazajutrz rano, kładąc przynajmniej tymczasowo kres kolejnej nocy strachu. Wysłuchał *Basadonny* z ogromną ulgą i po raz pierwszy miał ochotę nawet błogosławić strażnika. *Fregolo* i *Casanova* błagali, żeby o nich nie zapomniał, a *Viravolta* obiecał, że wstawi się za nimi, kiedy tylko okaże się to możliwe. Zaczynał odzyskiwać nadzieję. Teraz wszystko zależało od rozmowy z *Loredanem*. *Pietro* spotkał się z *Campionim* przed Salą Kolegium. Już miał paść mu w ramiona, kiedy senator szeptem opowiedział mu o rozmowie z Arcangelą. Zaraz potem przyjął ich *Książę Serenissimy*. Tym razem doża nie był sam, lecz w towarzystwie członków swej Małej Rady.

- Musiałem sypnąć perłami sztuki dyplomatycznej, żeby uzyskać dla pana ostatnią szansę wypowiedzenia się - mówił *Giovanni*. - Doświadczenie negocjatora, które zdobywałem na europejskich dworach, ledwie wystarczyło... Nie wyobraża pan sobie, jak musiałem walczyć o to spotkanie. Oby raz w życiu okazał się pan godny tych starań, bo najbliższe chwile będą miały nieodwracalny wpływ na pański, a może także i na mój los. *Loredan* nie jest głupcem, wie, że musiał odesłać pana do więzienia pod presją Wielkiej Rady, a teraz poświęci panu zaledwie kilka minut. Jeżeli nie zdołamy go szybko przekonać, natychmiast każe pana zabrać do *Piombi*. Nikt nie chce już słyszeć o *Czarnej Orchidei*. Mała Rada gotowa jest ostro wystąpić przeciwko panu. To ludzie wrogo do pana nastawieni, a wyrazili zgodę na tę „łaskę” tylko dlatego, że niektórzy z nich darzą mnie jeszcze szacunkiem i że mamy wspólnych przyjaciół. Ale przyjaźń niewiele znaczy w tak twardej grze politycznej, jaka się obecnie toczy, i w obliczu zagrażającego nam niebezpieczeństwa. Zresztą szalę przeważały właśnie to

zagrożenie, gdyż bez Vindicatiego, bez pana i beze mnie nadzieje Rady stają się raczej płonne... a Sensa już jutro.

- Vicario - szepnął Pietro. - A więc nie przez przypadek skierowano mnie do jego biblioteki w Canareggio... pod jego dachem zamordowano Lucianę! Dostał pan jej zabójcę, Giovanni! Teraz musi za to zapłacić. Zaprosimy go na trochę inny bal. Jego wpływy w Wielkiej Radzie, a także tajemnica otaczająca śledztwo sprawiły, że znalazł się poza naszym zasięgiem. Musiał się świetnie bawić, kiedy sam pozował na ofiarę... Ale książki z Librerii dają doskonałe wyobrażenie o perwersyjnej osobowości tego człowieka. On, Ottavio i ten tajemniczy von Maarken... Odwagi, senatorze! Wróg nie jest już pozbawiony oblicza. Ma ich nawet kilka!...

- Hm... Oczywiście. Nie zapominajmy jednak o niezwykle istotnym szczególe, Viravolta. Poza szkicem dziwaczego traktatu mamy tylko słowa bliskiej obłędu mniszki. Nie wspomnę nawet o planach, które ponoć widział pan u Ottavia. To wszystko nie znaczy zbyt wiele.

- Mimo to elementy układanki zaczynają tworzyć spójną całość. Doża i Minor Consiglio muszą nas wysłuchać.

Mówili półgłosem, wokół bowiem stali wartownicy. Rozstąpili się, gdy jeden z nich szeroko otworzył drzwi Sali Kolegium.

- Jego Jaśnie Oświecona Wysokość oraz Rada wysłuchają panów.

Pietro i senator spojrzeli na siebie, a potem, ramię w ramię, weszli do sali.

\* \* \*

*...W obecności Jaśnie Oświeconego Księcia*

*Doży Wenecji Francesca Loredana, godnych przedstawicieli Minor Consiglio, Jego Ekscelencji Giovanniego Ernesta Luigiego Campioniego, członka*

*Senatu, oraz Pietra Luigiego Viravolta de Lansalt... Postanowiono, co następuje:*

*1. Wobec nowych informacji przekazanych przez panów Campioniego i Viravolte, znanego jako Czarna Orchidea, Minor Consiglio poleca wezwać pana Andreasa Vicario na przesłuchanie do pałacu w trybie pilnym, zlecając organom bezpieczeństwa publicznego dopilnowanie stawiennictwa wezwanego pod karą bezzwłocznego oskarżenia pana Vicaria o zabójstwo i zdradę państwa. 2. Michele'owi Ricardowi Paviemu, dowódcy Quarantia Criminale, oraz głównodowodzącemu Arsenatu zleca się kontynuowanie śledztwa w sprawie domniemanego związku diuka Eckharta von Maarkena ze zniknięciem galer „Santa Maria” i „Klejnot Korfo” oraz zapewnienie, przy pełnym wsparciu wszystkich sił porządkowych i organów bezpieczeństwa Wenecji, ochrony doży oraz obywatelom Republiki w okresie karnawału i Sensy, aż do ostatecznego usunięcia zagrożeń w rejonie laguny.*

*3. Uwzględniając, że Pietro Luigi Viravolta de Lansalt prawdopodobnie padł ofiarą manipulacji mających na celu obarczenie go winą za zabójstwo Emilia Vindicatiego, na co obecnie nie wskazują żadne dowody, a także biorąc pod uwagę fakt dostarczenia przez wyżej wymienionego Pietra Luigiego Viravolta de Lansalt informacji, które mogą okazać się szczególnie cenne dla prowadzonego śledztwa, tymczasowo odracza się jego uwięzienie i oddaje pod osobisty nadzór Michele'a Ricarda Pavięgo. Na życzenie Jego Jaśnie Oświeconej Wysokości przydziela się go do obrony miasta przy zachowaniu anonimowości i wyłącznie na dzień Zaślubin Morza. Następnie Viravolta zostanie wydany wymiarowi*

*sprawiedliwości. Od skuteczności jego działania zależeć będzie, czy zazna łaski, czy też zostanie ukarany przez właściwe sądy, stosownie do dowiedzionych mu win.*

#### *4. Jego Ekscelencja Giovanni Ernesto Luigi Campioni...”.*

Francesco Loredan masował sobie skronie. Wciąż jeszcze widział twarz Czarnej Orchidei, wydawało mu się nawet, że słyszy wypowiedziane niedawno słowa: „Ale... a co z Ottaviem? Co zrobimy?”... Loredan westchnął. Podjął dziś ogromne ryzyko. W pewnej chwili wznosił ręce ku niebu, modląc się do Przenajświętszej Panienki, potem odwrócił się, spojrzał na sekretarza, pokiwał głową i powiedział:

- Vincenzo...

- Słucham, Wasza Wysokość?

- Ten raport...

- Tak, Wasza Wysokość?

- Bądź tak miły... i spal go.

Mężczyzna zwany Vincenzem patrzył na dożę, nie wierząc własnym uszom. Loredan zdmuchnął pyłek, który osiadł na rękawie jego szaty.

- Vincenzo, zmiłuj się... Przecież powiedziałem: spal go.

\*

„Ale... a co z Ottaviem? Co zrobimy?”... Doża zawahał się.

„Tylko... Tylko pan jeden może go pograżyć. Ale błagam”... Zaczął kasłać.

„Proszę to załatwić dyskretnie”.

Zapamiętał także wyraz twarzy Viravolty, gdy opuszczał jego gabinet.

Powaga, wręcz srogość, pałające oczy. „Zajmę się tym”. Oddano mu szpadę. Doża wstał z tronu i przechadzał się wolnym krokiem, zaciskając rękę na berle. Był przygarbiony, jakby przygniatał go niewidzialny ciężar. Niemal widział, jak instytucje władzy upadają jedna po drugiej, jak w przeszłość odchodzą jego spokój i wszystkie nakazy etykiety. Tak - świat walił mu się na głowę.

A nazajutrz czekała go ceremonia Zaślubin Morza.

\* \* \*

Senator Ottavio szedł po schodach willi Santa Croce. W tych niespokojnych godzinach jego twarz wyrażała ogromną powagę. Co prawda i tym razem udało mu się usunąć ze swej drogi tego piekielnego Viravolte, ale odkrycie panopticum było dotkliwym ciosem. Stworzenie tego niezwykłego systemu wymagało roku pracy. Plany nakreślone przez neapolitańskiego architekta i matematyka trzydzieści lat przed Benthamem, które zaraz potem zniknęły, świadczyły o unikalności pomysłu. Teraz Ottavia dręczyła obawa, że komuś uda się wykryć jego związek ze sprawą. Nie należało lekceważyć przeciwnika - byłby tego świadom nawet bez czterdziestu lat praktyki politycznej. Teraz wszystko rozegra się w ciągu kilku dni. Ottavio zwycięży albo pójdzie na dno. Uznał jednak, że powinien pozostawić sobie jakąś alternatywę. Jaką? To było najtrudniejsze pytanie. Prawdopodobnie szybko podejmie decyzję. Ostatnie rozmowy z Minosem i Il Diavolo były zupełnie jednoznaczne.

I gdy szedł po tych schodach, by usiąść w zaciszu gabinetu, każdy krok stawał się wielkim wysiłkiem.



Ottavio zdjął *berettę*, a czarną szlachecką szatę zamienił na czerwoną. Jak zwykle miał na piersi medaliony - jeden z Matką Boską, drugi zamykany, z miniaturowymi portretami rodziców. Ojciec był, jak teraz on, senatorem, matka w pewnym okresie uknuła niejedną intrygę w Pałacu Dożów. U pasa Ottavia wisiały dwa mosiężne klucze, których używał czasami, kiedy chciał zamknąć Annę Santamarię w jej apartamentach. Kiedy odesłał ją z Wenecji, a potem miał już pewność, że Czarna Orchidea trafił do więzienia, nie musiał stosować takich metod. Anna nie mogła bez jego zgody opuścić Marghery. Jednak po powrocie do miasta obsesja ożyła. W dodatku Viravolta znowu był na wolności! Na szczęście pod tym względem posiedzenie Wielkiej Rady potoczyło się po myśli Ottavia, a jego dawny protegowany został odsunięty od sprawy i zdyskredytowany. Brutus! Senator odetchnął na wieść o jego powrocie do Piombi. Co do jego drogiej małżonki, to teraz rozumiał lepiej, dlaczego od paru dni była kwitnąca i pełna radości, którą nieudolnie próbowała ukryć. O tak, zauważył te przelotne uśmiešky, kiedy się tylko odwrócił, to zamyślenie, tak odmienne od posępnej, przygaszonej zadumy, w jakiej trwała w Margherze. Teraz na pewno się już uspokoi. Warto też przypomnieć jej, kto tu rządzi, jeśli oczywiście zajdzie taka potrzeba. A kiedy już zapomni o Viravolcie, który stanowczo za długo zaprzętał jej uwagę, wróci do niego, Ottavia, choćby z konieczności. Nie można przecież służyć dwóm panom równocześnie. Senator miał okazję się o tym przekonać. Czasami trzeba wybrać swój obóz. I najlepiej, jeżeli to obóz zwycięzcy.

Ale nic nie było jeszcze pewne.

Ottavio przystanął w połowie schodów, ciężko dysząc. Zaczynał się martwić o własne zdrowie, bo od pewnego czasu miewał kłopoty z sercem. Pocił się. Wysunął z rękawa haftowaną chusteczkę z inicjałami i otarł czoło. Już u szczytu schodów zmarszczył brwi, pociągnął nosem i otarł go ręką. Sięgnął po mosiężne klucze i chciał obrócić je w zamku.

Zdumiał się, kiedy drzwi same się otworzyły.

Prowadziły do jego gabinetu, a stamtąd do buduaru i sypialni - sypialni Anny, która od dawna już nie chciała dzielić łoża z mężem, bez reszty opętana idiotycznymi marzeniami. Ottavio wielokrotnie próbował zmusić ją do współżycia, wiedział jednak, że dopóki myślała o Czarnej Orchidei, będzie między nimi stał cień Viravolty. Należało go usunąć. Zniszczyć. Obrócić w proch. Żeby nic już z niego nie zostało. Kiedy Ottavio wypełniał powierzone przez Chimere zadanie, kradnąc broszkę Luciany Saliestri, tę broszkę znaną na deskach teatru San Luca, aby skierować podejrzenia na senatora Campioniego, skorzystał z okazji i posiadał kurtyzanę. Wiele razy. Przyniosło mu to pewną ulgę. Ale dziś odmowy żony stały się już nieznośne. Musi ją złamać, za wszelką cenę.

Zaintrygowany, wręcz zaniepokojony Ottavio zmrużył oczy. Jego biurko stało w półmroku. Nagle ogarnęło go dziwne przecucie. Uśmiechy Anny, jej nieobecna twarz... Czyżby się z nim widziała? Gdy Ottavio rozważał tę hipotezę - bo już wcześniej przemknęło mu to przez myśl, ale dotąd raczej nie wierzył w słuszność swych podejrzeń, a teraz wydały mu się niemal namacalne i więcej niż prawdopodobne - poczuł kolejne uderzenie gorąca. A jeśli doża dowiedział się o nim czegoś więcej dzięki Czarnej Orchidei... A jeśli...

Zapalił właśnie świecę i uniósł ją, trzymając blisko twarzy. Na pół oświetlona płomykiem, zdawała się drzeć, gdy Ottavio zauważył, że jakaś ciemna sylwetka - sylwetka człowieka - pojawiła się w pokoju.

Ten ktoś siedział przy jego biurku.

- Czekałem na ciebie, Ottavio - powiedział intruz.

- Viravolta - wycedził przez zęby.

A potem na długo zapadła cisza. Przez tę chwilę zawieszenia w pamięci Ottavia ożyły dziwne wspomnienia. Ten wieczór w Santa Trinità, w pałacu Mandolinich, kiedy senator uległ czarowi kędzierzawego chłopaka, który udawał, że gra na skrzypcach, a potem rozprawiał o Arioście, mrugając okiem do kobiet, jakby proponował im znacznie mniej intelektualne rozrywki. Wieczór, kiedy Pietro trafnymi radami uratował go przed przegraną, a w dodatku wykonał kilka kuglarskich sztuczek. Zafascynowały go łotrowskie opowieści Viravolty, po części zmyślane, po części przeżyte między Kortu a Konstantynopolem, a także to upodobanie do kart i numerologii. Ale dlaczego... dlaczego Ottavio wziął go wówczas pod skrzydła, dlaczego traktował jak przysposobionego syna tego młodzieńca, jeszcze niemal chłopca, dając mu z dnia na dzień wszystko, czego dusza może zapragnąć? Tak, Pietro go oczarował, owinał sobie wokół palca... Ottavio lubił jego towarzystwo. Odbił rozmowę o nim z Emiliem Vindicatim, wspierał pierwsze kroki Czarnej Orchidei. W pewnym sensie oni obaj - Ottavio i Emilio - stworzyli Viravolte. Dzięki ich wsparciu stał się agentem Republiki, o którego przygodach krążyły opowieści i zabawne anegdotki, o którym szeptano podczas biesiad w domach weneckiej szlachty. Aż do tego przekłętego wieczoru, gdy Ottavio przedstawił go... Annie. Zauważył blask w ich oczach, dostrzegł nagłe zamieszanie obojga, ich umizgi. Miał ochotę obedrzeć ich żywcem ze skóry.

Także Pietro myślał w tej chwili o czasach, gdy byli przyjaciółmi.

Siedział w mroku. Jego twarz była niewidoczna. Tylko białe rękawy koszuli wyraźnie odcinały się od ciemnego blatu biurka. Położył kapelusz na skórzanej podkładce. Jedna z szuflad była wyłamana - właśnie ta, w której podczas poprzedniej wizyty znalazł plany panopticum. Ale oczywiście już ich tam nie było.

- Myślałem, że znowu siedzisz pod kluczem - powiedział głuchym głosem Ottavio.

Senator oparł rękę na sekretarzyku o bogato zdobionych szufladach, stojącym nieopodal drzwi.

- Znasz mnie. Źle znoszę samotność.

Pietro zerknął w kąt pokoju, na niewielki kominek, którego poprzednio nie zauważył.

- Spaliłeś je, prawda...?

Ottavio nie odpowiedział. Jego palce manipulowały przy sekretarzyku.

- Po co tu przyszedłeś, Viravolta? Wiesz, że wystarczy jedno moje skinienie, byś znowu gnił w więzieniu! Zapewniam, że wpakuję cię tam za każdym razem, kiedy będę musiał. I w końcu dostanę twoją głowę!

- Obawiam się, że długo na to poczekaasz, Ottavio. Czarna Orchidea westchnął.

- Dość żartów. Bądź rozsądny. Poddaj się. Wiemy, że spiskujesz z Andreasem Vicario i diukiem von Maarkenem. Wasz plan to czyste szaleństwo. Wenecja nigdy nie wpadnie w ręce takich ludzi. Popełniłeś błąd, godząc się ich wspierać. Dlaczego to zrobisz, Ottavio?

Senator splotkał potem. Równocześnie czynił, co w jego mocy, by zachować pozory spokoju. Nie mógł się teraz zdradzić. Wyprężył całe ciało, napiął mięśnie. Musiał dać upust emocjom. Postanowił nie hamować gniewu.

- Brednie! Co ty możesz wiedzieć, Viravolta! Nie masz żadnego...

- Dowodu? - zapytał Pietro. Znów zapadła cisza. Jako pierwszy odezwał się Pietro. - Ale mam przynajmniej... świadka. Wtedy otworzyły się drzwi buduaru.

\*

Anna Santamaria, której twarz okolona jasnymi włosami kryła się w mroku, stanęła przed Ottaviem w plisowanej sukni z czarnej koronki.

Stała dumnie wyprostowana. W opuszczonej ręce trzymała kwiat. Orchideę.

\*

Usta senatora wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- A więc to tak... - syknął Ottavio, starając się ukryć drżenie głosu. - Uknuliście spisek! Nie przestaliście spiskować przeciwko mnie!...

Gładził teraz palcami jedną z szuflad sekretarzyka o złożonych okuciach.

- To już koniec - powiedziała Anna.

Zamilkli wszyscy troje. Ottavio drżał, Anna stała wyprostowana jak bogini sprawiedliwości, Pietro siedział przy biurku. Atmosfera stawała się coraz bardziej przykra, coraz cięższa.

- To koniec - powtórzyła. Wtedy Ottavio wrzasnął:

- To się jeszcze okaże!

Szarpnął szufladę i zanurzył w niej rękę. Gorączkowo czegoś szukał.

- Czy tego szukasz? Ottavio odwrócił się i pobrał.

Czarna Orchidea wymachiwał przed nosem senatora małym pistoletem ze srebrną rękojeścią. Była to niemal miniatura.

Przez chwilę Ottavio rozglądał się wokół, jakby w panice szukał drogi ucieczki. Potem, widząc, że nie ma wyjścia z tej sytuacji, nagle znieruchomiał. Jego oczy błyszczały jak w gorączce, usta drżały. Wyglądał jak człowiek, który stara się nad sobą zapanować. Skulił się...

I ruszył na Viravolte.

Pietra zaskoczył ten atak i kiedy dziewięćdziesięciodwukilogramowe ciało senatora zważyło się na niego zza biurka, po drodze zrzucając brzuchem kapelusz, podkładkę i leżące na blacie dokumenty, nie zdobył się, by po prostu strzelić do Ottavia, nie czekając na wyrok procesu.

Wciąż jednak trzymał broń w ręce. Anna cofnęła się, tłumiąc okrzyk. Ta walka, którą staczali, miała w sobie coś z groteski. Była beładna, brutalna. Oczy senatora pały, z ust ciekła mu ślina, palce zaciskały się kurczowo, jak szczypce, medaliony podzwaniały na piersi. Na pół leżał na biurku, Pietro zaś na pół siedział. Ottavio usiłował wyrwać mu pistolet, jak dziecko, któremu zabrano zabawkę. Przez moment myślał nawet, że mu się to uda. I nagle rozległ się huk. Broń wystrzeliła sama.

A potem wszystko ucichło.

Anna znowu krzyknęła, patrząc na Pietra, który osunął się na fotel. Nogą odwrócił zwłoki Ottavia.

Ujrzeni wywrócone oczy senatora i strużkę krwi spływającą mu z kącika ust.

Pietro przez chwilę ciężko dyszał.

Patrzył na Annę, której twarz była blada jak papier.

- Musiałem... Tylko jeden z nas mógł wyjść stąd żywy - powiedział.

\* \* \*

U podnóża willi Santa Croce Anna, w czarnym płaszczu z kapturem, gotowa była wsiąść do gondoli, która już na zawsze zabierze ją z tego miejsca. Spojrzała na wyblakłą fasadę domu, na kolorowe rozety poniżej jej balkonu.

Pietro stał obok niej z Landrettem.

Położył rękę na ramieniu lokaja i bacznie mu się przypatrywał. Jasne loki o lekkim, kasztanowym odcieniu, trochę za długi nos, zawsze beztroski uśmiech w kącikach ust... Pietro pomyślał, że tamtego dnia, kiedy zabrał z ulicy pijanego do nieprzytomności Landretta, który wyśpiewywał sprośne piosenki i wpatrywał się w księżyc, podjął jedną z najtrafniejszych, najistotniejszych decyzji w życiu.

- Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś, przyjacielu. Nigdy. Gdyby nie ty, do dziś gniłbym w więzieniu, może w lochach Piombi. I nie znaleźlibyśmy się tu teraz we troje.

Landretto uśmiechnął się, zdjął kapelusz i skłonił głowę.

- Zawsze do usług, *Mess er Viravolta*... Czarna Orchidea.

- Teraz masz tylko jedno zadanie. Proszę, czuwaj nad nią. Znajdźcie sobie jakieś bezpieczne schronienie i nie wychylajcie stamtąd nosa. Spotkamy się, kiedy tylko będzie to możliwe.

- Wszystkim się zajmę - zapewnił Landretto.

- Śmierć Ottavia wywoła duże zamieszanie. Muszę niezwłocznie spotkać się z Ricardem Pavim, dowódcą Criminale.

Zwrócił się do Anny. Patrzyli na siebie w milczeniu. Poglądził ją po głowie, złożył gorący pocałunek na jej ustach. Czarna Wdowa... Tak, teraz naprawdę była wdową. Wdowa i orchidea.

- Dokąd teraz pójdziesz? - zapytała. - Gdzie jest ten Pavi?

Pietro ujął jej twarz w dłonie.

- Republika jeszcze mnie potrzebuje.

Westchnął i szybko się odwrócił. Jego peleryna zaszeleściła.

- Pietro, błagam... Bądź ostrożny! - krzyknęła, gdy odchodził.

Słońce kryło się za horyzontem. Czarna Orchidea zniknęła za zakrętem.

\* \* \*

Giovanni Campioni nie mógł pojąć, co się właściwie wydarzyło, bo wszystko rozegrało się w ciągu kilku godzin. Natychmiast po rozmowie z dożą udał się do dowódcy Quarantia Criminale, Ricarda Paviego, który w tym samym czasie otrzymał nowe rozkazy od Księcia Serenissimy. Czarna Orchidea także rozmawiał z Pavim, a grupa dwunastu żołnierzy została wysłana do willi Andreasa Vicario w Canareggio. Giovanni i Viravolta, nie mogąc iść z oddziałem, niecierpliwie czekali na efekty tak zdecydowanego kroku. Wczesnym popołudniem Viravolta aż się palił, by pobiec do willi Santa Croce na spotkanie z Anną Santamaria i senatorem Ottavio. Rada Dziesięciu, a właściwie Dziewięciu, doprowadzona do szału zamordowaniem Vindicatigo, w osłupieniu i z coraz większą konsternacją

śluchała relacji o ostatnich wydarzeniach. Choć Vnavolta wciąż wzbudzał nieufność Rady, decyzja doży była zrozumiała dla jej członków, a wspomnienie przyjaźni, jaką Emilio darzył Pietra, rozwiewało obawy. Także Pavi cenił Viravolte i gotów był stanąć w jego obronie. Postawę Rady zaostrzyły przede wszystkim informacje o jego prawdopodobnym udziale w spisku Vicaria. Dziewięciu oczekiwało wezwanego w pełnej gotowości, a przesłuchanie zapowiadało się na wyjątkowo drobiazgowo. Doniesienie senatora Campioniego o rzekomym tajnym traktacie, zawartym z niejakim von Maarkenem, w pełni uświadomiło im ogrom zagrożenia. Jak zwykle w takich okolicznościach pojawiało się wiele wątpliwości i opinie poszczególnych osób zmieniały się z dnia na dzień, a nikt nie potrafił z pełnym przekonaniem powiedzieć, jaką decyzję ostatecznie uzna za słuszną. Niektórym wymykało się nawet z ust, że Pietro miał rację i być może należałoby się zastanowić nad odwołaniem uroczystości z okazji Sensy. Ale teraz wszystko było już przygotowane na dzień Wniebowstąpienia, a odwołanie ceremonii wydawało się niemożliwe. W każdym razie padające na Vicaria podejrzenie o spisek z von Maarkenem ujawniło tę logiczną więź, której dotąd brakowało, by połączyć wszystkie zdarzenia od śmierci Marcella Torretone, a hipoteza o udziale senatora Ottavio w tej grze stawała się na tyle realna, by poczynić śmielsze niż dotąd kroki. Kiedy Giovanni rozstawał się z Viravolta, wiedział, że ten uda się do willi Santa Croce jeszcze tego popołudnia. Jak powiedział Pietro, teraz wróg nie był już niewidzialny - groźba terroru, jaki siały Ogniste Ptaki, stawała się mniej przerażająca, choć nie mniej realna, a głowy hydry, dwie, może trzy, miały znajome oblicza. Rozwiały się wszelkie wątpliwości - okultystyczna ceremonia w Mestre i ezoteryczne sztuczki zapożyczone z *Mocy Zła* Raziela były tylko maską sekciarskiego szaleństwa, pod którą kryła się rzeczywista groźba zorganizowanego spisku politycznego, znacznie wykraczającego poza działania takiej czy innej frakcji usiłującej wpłynąć na funkcjonowanie państwa. Czekając na efekt interwencji doży w Canareggio, Dziewięciu i Quarantia zbierali raporty rozproszonych po mieście agentów.

Przybywali kolejno, tworząc niezwykły korowód garbusów, wystrojonych w koronki kurtyzan, ślepych staruszek, przebranych żebraków i innych dziwnych postaci, które przewijały się, czasem w łachmanach, przez pałacowe sale. Kiedy słońce zachodziło nad laguną, do pałacu dotarła być może najważniejsza wiadomość. Żołnierze wrócili z willi w Canareggio. Nikogo tam nie zastali.

Andreas Vicario zniknął.

Rozpłynął się.

Nie mieli jeszcze żadnych nowin od Czarnej Orchidei. Wszystko miało się zatem dziać równocześnie.

Usłyszawszy o ucieczce Vicaria, Pavi przeklinał los i powolność działań żołnierzy. Ale sprawa stawała się wręcz oczywista - pośpiech, z jakim Vicario się ukrył, należało uznać za swoiste przyznanie się do winy. Andreas Vicario! Któż by pomyślał! Co prawda, ten człowiek, który zasłynął dzięki swej przekłętej Librerii - teraz Giovanni lepiej rozumiał skryte intencje, przyświecające tworzeniu tej imponującej kolekcji, a także jej praktyczne znaczenie - a zatem ten człowiek, należący do Wielkiej Rady, sprawował wiele publicznych funkcji w Republice. Kierował organami sprawiedliwości przy Rialto, potem uczestniczył w kontroli cechów, wreszcie ksiąg rachunkowych i rejestrów Arsenału... Giovanni składał te wszystkie elementy i coraz wyraźniej widział, jak są spójne. Ezoteryczne zainteresowania Vicaria, ta obsesyjna erudycja, której owocem była jego książka *Problem Zła*,

zastraszanie astrologa Fregola, a może także mistrza Spadettiego, tuż po pierwszej zbrodni, łatwość, z jaką zdecydował się zamordować pod swoim dachem Lucianę Saliestri... Na myśl o ukochanej Giovanniego ogarnął niewypowiedziany smutek i niepohamowany gniew. Przysiągł sobie, że Vicario zapłaci mu za tę zbrodnię, bez względu na wszystko. Będzie domagał się egzekucji na placu publicznym. A jeśli Vicario rzeczywiście dopuścił się zdrady państwa, Giovanni nie będzie musiał namawiać doży i Rady, aby sprawiedliwości stało się zadość. Rozszarpia tego zdrajcę na strzępy. Tylko jedno nie dawało Giovanniemu spokoju - ubolewał nad swoją ślepotą, ale przecież oni wszyscy zachowali się jak ślepcy, nawet Pietro Viravolta, mimo niewątpliwego talentu, którego dowiódł. Czy mogli zapobiec śmierci Luciany? To pytanie dręczyło senatora dniem i nocą, przeszkadzało skupić się na żałobie, tak potwornej, bolesnej jak rozjątrzona rana, żałobie, o której dziś wszyscy już wiedzieli, a jednak głębokiej, samotnej i skrytej. Tylko on przeżywał tę śmierć tak ciężko. Oczywiście, po fakcie łatwiej odtworzyć przebieg wydarzeń i połączyć je w całość. Ale jak mogli być aż tak naiwni? Jak Vicariowi i jego współnikom udawało się wymykać przez cały ten czas? Ile Ognistych Ptaków kręciło się jeszcze po Wenecji? Czy byli dość liczni, żeby powołać gabinet cieni i w skrytości knuć najstraszliwsze intrygi? Senat cieni, nielegalna Quarantia, diabelska Quarantia? Giovanni nie znał odpowiedzi na te pytania, nie potrafił jednak uwolnić się od nich, tak jak nie był w stanie choćby na chwilę odsunąć od siebie myśli o Lucianie. Jej twarz stała mu przed oczyma. Widział, jak się uśmiecha, jak beztronsko szepcze czułe słowa, to promienna, to lubieżna, czasem irytująca przewrotnością, ale czarująca nią niczym syrena swym śpiewem: „Ach, Giovanni... Czy wiesz, co mi się w tobie podoba? Ta wiara, że wybawisz cały świat!”. Wybawić świat! Właśnie, pomówmy o tym! Nawet jej jednej nie zdołał ocalić... I Giovanni zacisnął pięści, aż pobielaly mu stawy palców. Po chwili opanował się i czuł już tylko gniew. Cóż z tego, że oddawała się innym mężczyznom, że stale go raniła, raz pełna ciepła, raz zimna jak gład. Ale pewne uniesienia przeznaczała tylko dla niego. Przypomniawszy sobie jej twarzyczkę przesuwającą się nad nim, zaczerwienioną z rozkoszy. Giovanni, Giovanni... Z pewnością czasem grała. Ale mógł się jej zwierzyć, porozmawiać, spokojnie zasnąć, tuląc się do jej piersi. Dała mu wszystko, o czym marzył. Raz nawet powiedziała żartem: „Ejże, Giovanni, mój senatorze, można by pomyśleć, że tęsknisz do mamy!”. Tak, dla niej, i zapewne tylko dla niej, gotów byłby zdradzić Republikę. Aby zdobyć tę, którą natura stworzyła wolną, która nie mogła znieść żadnych pęt, kobietę wyzwoloną od nieudanego małżeństwa, wciąż poszukującą miłości, w którą ledwie śmiała jeszcze wierzyć. Kobietę, która oddawała się wielu, aby nie należeć do nikogo. Dla niej Giovanni mógłby zdradzić, gdyby tego zażądała... Ale Vicario? Dlaczego on dopuścił się zdrady?

Dla władzy. Tylko dla władzy.

Dla perły Adriatyku i snu o imperium...

Tuż po zapoznaniu się z raportem żołnierzy wysłanych do Canareggio, jeszcze przed wyjściem Viravolty, Giovanni i on usiedli wraz z Radą i Pavim nad mapą rozmieszczenia policji w poszczególnych dzielnicach na okres obchodów Sensy, a przede wszystkim w związku z planowanym przejazdem doży. Tymczasem agenci mieli podwoić wysiłki, by pojmać Vicaria i von Maarkena. Szeptano, że Austriak być może jest już w mieście. Czy to mogło być prawdą? O, tak - myślał Giovanni Campioni, głęboko przekonany, że się nie myli. Nie ma co do tego wątpliwości... Renegat przybył, aby być świadkiem chwil, które mają mu przynieść triumf... Zagrzebał się w jakiejś ciemnej

piwnicy jak żmija w norze i czeka, aż wystrzelą jego ostatnie działa! Ale jeszcze nie wygrałeś, von Maarken, zapewniam cię, że twoje zwycięstwo wcale nie jest pewne!

Nie, to jeszcze nie koniec, powtarzał sobie Giovanni. Co jednak robił w nocy na cmentarzu Dorsoduro, już ciemnym i chłostanym przez wiatr?

\*

Bo właśnie w tym miejscu niezmordowanie analizował ostatnie wydarzenia, zerkając raz w prawo, raz w lewo. W rękę trzymał pochodnię, jego oczy usiłowały przebić się przez mrok. Było coraz chłodniej i marzył, mimo gronostajowego futra; a może te dreszcze wywołał narastający niepokój? Przez chwilę Campioni szperał w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyjął z niej kartkę i jeszcze raz uważnie ją przeczytał.

Znalazłeś się w Szóstym Kręgu,  
Kręgu Heretyków,  
*Idąc okólną ścieżką po wiszarze,*  
*Co go tworzyły ściany w gruz rozbite,*  
*Nad okropniejsze przyszliśmy cmentarze.*  
*Powietrze było tak zaduchem syte,*  
*Co w przepaścistej otchłani się wszczyną,*  
*Żeśmy się skryli za grobową płytę,*  
*Na której napis ryty wypomina:*  
*„Tutaj spoczywa papież Anastazy,*  
*Zwrócony z drogi prawej od Fotyna”.*  
Przyjdź zatem, senatorze, gdy północ wybije,  
Przyjdź, ale sam, pochylić się nad grobem  
Tej, którą ukochałeś,  
Bo pośród ciżby Luciana Saliestri  
Ma jeszcze dla cię  
Pewien podarek.  
WERGILIUSZ

Ten list napisany był stylem uderzająco podobnym do otrzymanych wcześniej przez Viravolte. Wergiliusz, o którym opowiadał mu Pietro - być może był to Vicario kryjący się pod pseudonimem? - zapraszał go więc w miejsce, gdzie pochowano nieszczęsną Lucianę. Tu, nad maleńki skrawek trawy, pośród setek rozrzuconych steli, między którymi gwizdał zimny wiatr, wywołujący dreszcz u senatora i targający płomieniem pochodni. Liścik trafił do Campioniego przez posłańca, w chwili gdy senator zamierzał udać się do swej willi w pobliżu Ca' d'Oro. Giovanni za późno zorientował się, co zawiera ten list, żeby podjąć próbę ustalenia, kto go przysłał. Propozycja, by poszedł na grób Luciany, była niezwykle okrutna, ale nie zaskoczyła go. Takie obyczaje miał ich wróg.

Luciana Saliestri  
Ma jeszcze dla cię  
Pewien podarek.

Co to mogło znaczyć? Oczywiście, Giovanni domyślał się, że to pułapka. Czy nie w ten sposób zwabiono Viravolte do Bazyliki Świętego Marka, także w środku nocy? Od senatora żądano, by przyszedł sam. Właśnie. Giovanni był wstrząśnięty, ale nie szalony. Za zgodą doży kazał trzydziestu agentom dyskretnie otoczyć cmentarz. Miał nadzieję, że przeciwnik nie zauważył tych nocnych manewrów. Jednak teraz sam czuł się śledzony, jakby spojrzenie Minosa albo tego Diabła, który tak przeraził Arcangelę, przenikało zasłonę ciemności, by obserwować każdy jego gest. Senator otarł ręką pot z czoła. Prawdę mówiąc, służył za przynętę. Pavi ze swoimi ludźmi także czaił się gdzieś w mroku, nieopodal, gotów do interwencji. To dodawało mu trochę otuchy. Ale Czarna Orchidea dotąd się nie pojawił. Może był w drodze, może „rozmowa” z Ottaviem nie potoczyła się po jego myśli...

Pavi proponował Campioniemu, by jego miejsce zajął żołnierz przebrany w jego szaty, ale Giovanni odmówił, obawiając się, że ten podstęp zbyt wcześnie wyjdzie na jaw, a szansa pokrzyżowania planów Chimery zostanie zaprzepaszczona.

Teraz zaczynał żałować tej decyzji.

\*

Wziął głęboki wdech i ruszył żwirowymi alejkami. Od grobu Luciany dzieliło go już zaledwie kilka kroków. Giovanni nie widział nawet jej zwłok. Wyłowiono je z kanału i nazajutrz pogrzebano. Obrządek był bardzo skromny, a Giovanni nie mógł w nim uczestniczyć, bo właśnie wtedy Rada Dziesięciu poddała go przesłuchaniu, zanim jeszcze postanowił zebrać swoich zwolenników i udowodnić wierność wobec Republiki. Kiedy na krótko pojawił się na cmentarzu, zobaczył tylko czarną trumnę, jedną z tych, jakie układano w pogrzebowych gondolach, pływających po kanałach Wenecji. Taka prosta i tragiczna była odyseja tego ciała, dawniej zachwycającego, ale skazanego na tę ostatnią drogę do miejsca wiecznego spoczynku. Giovanni szedł i słyszał tylko szum wiatru i skrzypienie żwiru pod własnymi stopami. Coraz mocniej się pocił i coraz mocniej drżał. Widział przed sobą tylko blask własnej pochodni. Jego oddech stał się płytki i przyspieszony, gdy podszedł bliżej i pochylił się nad jakąś stelą, potem znowu ruszył, zawahał się przy rozwidleniu ścieżek, skręcił w prawo, przemierzył kilka metrów i w końcu się zatrzymał. Stał przed grobem Luciany.

Przez moment patrzył na niego, osłupiały z przerażenia. Potem się pochylił.

Na kamieniu nagrobnym leżał liścik, przyciśnięty mnóstwem drobnych kamyczków. Giovanni chwycił go drżącymi palcami i przeczytał:

Papież Szatan, papież Szatan Aleppo!  
Czas, byś dołączył do Menueta Cieni, Campioni.  
Pół obrotu w prawo, sześć kroków w przód,  
Potem pół obrotu w lewo i dwadzieścia kroków zrób.  
Nad nowym grobem pochyl głowę,  
A zobaczysz, Ekscelencjo,  
Jak pocałować dziś Lucianę.  
WERGILIUSZ

- Co to za farsa! - krzyknął Giovanni, drżąc.



Dopiero po dłuższej chwili zdołał dojść do siebie.

Potem, wciąż rozglądając się niespokojnie, wykonał polecenia autora listu. Serce waliło mu jak młot. Po przejściu sześciu kroków znalazł się przy rogu alejki; dwadzieścia kolejnych doprowadziło go bliżej północno-wschodniego krańca cmentarza. Znów stanął i pobladł. Nerwowo mrugał oczyma.

- A cóż... cóż znaczy...

Zerknął w prawo i w lewo. Chciał pomachać pochodnią, żeby dać znak ludziom Pavięgo, którzy otoczyli cmentarz. W tym momencie w powietrzu świsnęła strzała z kuszy.

Przeszyła szyję Giovanniego.

Senator chwycił się za gardło, strugi krwi spływały po jego rękach, plamiąc palto. Chciał coś powiedzieć, ale poczuł potworny ból. Wywrócił ogromne, wytrzeszczone oczy. Pochodnia leżała u jego stóp. „Pochodnia”... Pochodnia była informacją dla wroga, pozwoliła mu wycelować w Giovanniego lepiej, niż zrobiłby to najzdolniejszy strzelec z doborowych oddziałów weneckich! Przez cały czas stanowił idealny cel... Przede wszystkim zaś nie spodziewał się takiego ataku, nie wierzył w taką możliwość, nie chciał wierzyć - ani on, ani inni. A teraz było już za późno. Och, Giovanni wyraźnie słyszał krzyki i nawoływania, dochodzące ze wszystkich stron cmentarza, zgrzyt otwieranych w pośpiechu krat, kroki ludzi biegnących po żwirze...

Ale umierał.

Chwiał się jeszcze przez kilka sekund, długich jak przyprawiająca o zawrót głowy wieczność, a potem upadł. Runął prosto do dołu, który dla niego wykopano, dołu w czarnej ziemi, głębokiego i mrocznego, nad którym wznosiły się stela i odwrócony krzyż. Na steli widniał napis:

TU SPOCZYWA GIOVANNI CAMPIONI

Senator heretyk z Wenecji 1696-1756 Odszedł, by dołączyć do tej, którą kochał

Padł twarzą w błoto. W ostatniej chwili myślał, jak wiele ironii jest w tej sytuacji: On, Jego Ekscelencja, legł przedwcześnie w grobie wykopanym dla niego przez Diabła; odszedł, by ucałować Lucianę w krainie cieni, on, zanurzony w błocie jak wiarołomny papież Anastazy, w oczach Wroga - uosobienie heretyckiej władzy. On, który marzył o reformie Republiki, śnił, że spełnią się utopie, i niemal zwyciężył w Senacie, Wielkiej Radzie i w duszy samego doży.

*Tutaj spoczywa papież Anastazy*

*Zwrócony z drogi prawej od Fotyna.*

Giovanni Campioni nie żył.

Ricardo Pavi uznał, że to najgorzej przeprowadzona spośród wszystkich akcji, jakimi dowodził. Czarna Orchidea przybył za późno. Brawo.

Spokojnie wydali senatora na pastwę mściwego Cienia.

**KRAĞ SIÓDMY**

PIEŚŃ XIX

## Gwałtownicy

Ottavio i Campioni nie żyli.

Jeden zginął w wyniku nieoczekiwanego spotkania z Czarną Orchideą, drugi z ręki jednego z Ognistych Ptaków. W pewnym sensie senatorowie wzajemnie się unicestwili.

Ale to nic.

Ottavio nie zdążył raczej niczego ujawnić. A mógł stać się kłopotliwy. Podobnie jak Minos, który od pewnego czasu miał skłonność do wykraczania poza to, co wspólnie ustalili. Był po prostu nadgorliwy. Jednak i ten problem zostanie dziś rozwiązany.

\*

Gdzieś w Wenecji przed dużym, owalnym lustrem w przepięknie rzeźbionej drewnianej ramie, przypominającym zwierciadła, jakie spotykało się najczęściej w buduarach, stał Il Diavolo. Uśmiechał się, muskając usta upierścienioną dłonią. Pojutrze zaczynał się karnawał, więc zabawiał się, przygotowując kostium, choć nigdy, przenigdy nie pokaże się w nim publicznie. Małpowanie doży było wszak zakazane. Il Diavolo nic sobie nie robił z zakazów i nie one go powstrzymywały - po prostu Serenissima już wkrótce nie będzie miała doży. Zaśmiał się. Podobał się sobie w tym przebraniu. I uważał te gałgany za symbol, pośmiertnie ofiarowany człowiekowi, któremu szykował rychłe już odejście. Wkrótce tę kukłę pochłonie ziemia. Żegnaj, Francesco Loredanie. Zaśmiał się znowu, a potem, uniósłszy rękę, wyrecytował szeptem wyliczankę:

Rada wybiera trzydziestu,  
Z tego dziewięciu pozostało w szrankach,  
By wybrać czterdziestu;  
Ci z nich, których okryła sława,  
To dwunastka wybór  
Dwudziestu pięciu mająca w swych rękach;  
Ale i z nich zostaje dziewięciu,  
Którzy zgodnie przyjmą czterdziestu pięciu.  
By z nich jedenastu  
Obrało czterdziestu jeden.  
Którzy w zamkniętej sali,  
Przy głosach najmniej dwudziestu pięciu,  
Powołują Księcia Republiki, by rządził,  
Tworząc statuty, ustawy i prawo.

Właśnie tak, zgodnie z niezwykle skomplikowaną procedurą, grupa czterdziestu jeden szlachetnie urodzonych Wenecjan dokonywała wyboru doży. Przy wyjściu z kaplicy dożów najmłodszy z radców Serenissimy wybierał chłopca, *ballottino*, który wyciągał z sakiewki *ballotte*, kulki wskazujące trzydziestu pierwszych elektorów. Ten początkowy etap mógł trwać nawet wiele dni, a kończył się losowaniem i wyborami cząstkowymi i stopniowymi, aż do zakończenia tej niesamowitej gry przypadku

i woli arystokratów, które następowało, gdy nowy doża uzyskał dwadzieścia pięć głosów zapewniających mu tron. Iluż manewrów i intryg trzeba było, żeby zapobiec jeszcze gorszym w skutkach konszachtom! Och! To złudzenie, że roztrzaskują się wspaniałe, kryształowe żyrandole! Il Diavolo wciąż się przeglądał, podśpiewując wyliczankę. Wreszcie zabawa go znudziła. Zdjął *como*, tę sławną dożowską czapkę, wzorowaną na tradycyjnych bizantyjskich nakryciach głowy, a wykonywaną ze szlachetnych tkanin, przetykanych, wyszywanych i obramowanych złotem: *zogia*, klejnot, jak mówili Wenecjanie, usiana była siedemdziesięcioma rzadkimi, lśniącoymi kamieniami - rubinami, szmaragdami, diamentami - oraz dwoma tuzinami pereł w kształcie łezki.

Il Diavolo miał tylko marną kopię tej czapki.

Skrzywił się, znów zerkając w lustro, potem rzucił nakrycie głowy na podłogę i wolno, bardzo dokładnie podeptał je.

Wybiła godzina Francesca Loredana. Podbita Wenecja będzie mogła jeszcze raz, ostatni raz wystawić jego truchło w Sali Piovego. Nowi inkwizytorzy będą przy nim czuwać wraz z oficjelami, którym przypadną odpowiedzialne funkcje w Republice, i nieodzownymi kanonikami z San Marco. Tłumy ujrzą ciało, zanim zostanie ono przeniesione do kościoła San Giovanni e Paolo, gdzie spoczęli poprzedni dożowie. W procesji pójdą szlachcice w czerwonych sukniach, ci, którzy poprą odradzające się państwo, kapituła Świętego Marka, muzycy kapeli królewskiej, przedstawiciele Scuole Grandi, kler świecki i zakonnicy, cechy z Arsenалу, trzej *Avogador di comun*, prokuratorzy stanu, pensjonariusze czterech wielkich *operadi*, notariusze i sekretarze kancelarii dożowskiej oraz ich przełożony, Wielki Kanclerz. Na czele konduktu stanie Il Diavolo we własnej osobie, jedyna opoka, jedyny władca zdolny bronić Republiki i przywrócić jej dawną imperialną potęgę królowej mórz.

Dość tego! Il Diavolo nie powinien kazać na siebie czekać.

Szachownica była już gotowa. Wydarzenia nabierały tempa.

Moce Zła jednoczyły się, aby w końcu dobić starą Republikę.

\* \* \*

Pod wspaniałą kopułą salonu willi Morsini w Margherze Eckhart von Maarken i jego sojusznik kończyli przygotowania. Postanowili założyć nową kwaterę główną na lądzie, tuż pod Brenta, by zebrać tu wszystkie siły. Członkowie Ognistych Ptaków, zgromadzeni pod chmurnym sklepieniem barokowego Salonu, szykowali się do ataku. Dumne oko antycznego boga zdawało się przenikać na wskroś niebo stworzone pędzlem malarza, by odnaleźć wszystkie zbłąkane owieczki. Po obu stronach dużego, owalnego salonu wielkie zwierciadła odbijały nieprzebrane tłumy zakapturzonych postaci, zgromadzonych na parterze willi. Zapadła już noc i wspaniałe żyrandole zalały światłem przygotowaną na tę okazję estradę, którą wyścielał krwistoczerwony dywan.

Werbunek Ognistych Ptaków był procesem długim i żmudnym. Ta stworzona z najróżnorodniejszych elementów armia opierała się na zadziwiającej organizacji. Była niezwykle machiną wielorakich, często sprzecznych motywacji, architekturą chaosu - znaleźli się tam najemnicy zwabieni żądzą zysku, przekupni urzędnicy, szlachta i intryganci zniechęceni letargiem państwa, ludzie niezamożni i biedacy, a do tego zastępy von Maarkena, który opłacał dwa austriackie bataliony. W ich skład weszła jego gwardia osobista, zaokrętowana na galery u wybrzeży Otrante, i najemnicy, których renegeat wytrwale ściągał z szeregów cesarskiej armii austriackiej. Rozczarowani przebiegiem

wojny sukcesyjnej, sfrustrowani, stali się dla von Maarkena doskonałym materiałem, gdy postanowił zasilić szeregi swojego prywatnego wojska. Dekadenci z Wenecji stanowili niespełna połowę zmobilizowanych w tajemnicy oddziałów. Do nich dołączyli Węgrzy, Czesi, a nawet nieliczni Prusacy. Dzięki zręcznym manewrom von Maarken dał do zrozumienia Fryderykowi Pruskiemu, jak korzystne byłoby dla niego oddanie władzy w Wenecji człowiekowi, który stałby się jego wiernym sojusznikiem. Sytuacja była ryzykowna, ponieważ w razie zwycięstwa austriacki książę zamierzał złożyć u stóp cesarzowej Marii Teresy dowody swego triumfu, by w ten sposób odzyskać przychyłność jej rządu. Ale Fryderyk i Maria Teresa byli zażartymi wrogami, a Śląsk stanowił główną, choć nie jedyną kość niezgody między nimi. Von Maarken prowadził grę na dwa fronty, jednak od dawna przywykł do takich manewrów. Pod tym względem czuł się nawet po trosze Wenecjaninem.

Projekt diuka von Maarkena zrodził się w jego umyśle nieoczekiwanie. Zdobyć Wenecję szturmem! Wydawało się to nie tylko zuchwałe, ale po prostu szalone. Z pewnością jeszcze kilkadziesiąt lat temu taki pomysł byłby całkowicie nierealny, a i dziś zaskoczyłby każdego, kto wierzył w potęgę Republiki, raczej już tylko pozorną. Wystarczyło zdrapać odrobinę patyny, aby von Maarken upewnił się, że prawdą jest to, o czym wiedzą niemal wszyscy - rozleniwiona Republika, ślepo zapatrzona w swoje odbicie, nie zważała na oznaki podupadania. Szlachta walczyła między sobą, instytucje państwowe przysypiały, kupcy gotowi byli słuchać nowego pana. Przed Wenecją upadło już niejedno imperium. Żegnaj, potęgo! *Venezia* była już tylko miastem, jakich wiele. A zdobycie miasta nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Zewnętrzny blask nie mógł zniechęcić von Maarkena do podjęcia zuchwałej próby podboju Wenecji - przeciwnie, stanowił dodatkową podniechęć. Odtąd z całą powagą rozważał już tę kwestię. W miarę jak jednoczył pod swym sztandarem sojuszników najrozmaitszej maści, stosując stare praktyki korporacyjne i masońskie, jego marzenie zaczynało przybierać realny kształt. A on wciąż snuł rozważania, starał się stworzyć prawdziwy plan tej bitwy i dość szybko ustalił, jaki moment będzie najodpowiedniejszy do podjęcia działań: każdy, kto brał pod uwagę atak na to miasto, powinien podjąć go w okresie świąt Wniebowstąpienia, w samym środku karnawału. Był to czas pokoju bożego, chwila, gdy władze miasta, wtopione w zamaskowany tłum, bezradne wobec ekstrawagancji społeczeństwa, skłonne były przyłączyć się do zabawy. Newralgiczne urzędy były wówczas w stanie drzemki, jeśli nie głębokiego snu. Na myśl o tym diuk-rebeliant uśmiechnął się. Wenecja warta jest wojny, a gdy ją zdobędzie, otworzą się przed nim Adriatyk i Morze Śródziemne. Dzięki temu von Maarken zasłuży sobie na małe zmartwychwstanie w państwie Marii Teresy. I już nigdy nie będzie traktowany jak parias, heretyk między swymi.

Jednak tym, co wobec pierwotnego zamysłu jego przedsięwzięcia okazało się różnicą między nabożnym życzeniem a realizacją marzeń, była natura sojuszy, na które mógł liczyć w samych instytucjach władzy Republiki. I właśnie to ostatecznie przekonało von Maarkena, że cała ta operacja jest możliwa.

Wiedział, że sztuka *combinazione* stanowi część włoskiego ducha. I potrafił doskonale wykorzystać tę skłonność. Mimo to jego instytucjonalni i lokalni sprzymierzeńcy byli bronią obosieczną. Musiał przyznać, że Il Diavolo, Chimera, siał panikę w Republice i czynił to po mistrzowsku. Co do zaplanowanych morderstw, każde z nich było nieodzownym ogniwem pewnego łańcucha wydarzeń. Nic nie było tu dziełem przypadku. Musieli kolejno pozbyć się Marcella Torretone,

księdza z San Giorgio czy też mistrza Spadettiego, nie wspominając już o najwspanialszym trofeum - groźnym Emiliu Vindicatim, potężnym mistrzu Rady Dziesięciu! Diuk powstrzymał śmiech na to wspomnienie. Co się tyczy Luciany Saliestri, zwykłej wysłuchiwać w łóżku zwierzeń całego świata, ona również stała się dla nich poważnym zagrożeniem, ale zagrożeniem przewidywalnym. Na etapie, gdy przygotowania do ataku były jeszcze niepewne, nie mogli pozwolić sobie na najmniejsze ryzyko. Von Maarkena uderzyła przenikliwość Il Diavolo, który jeszcze przed ich pierwszym spotkaniem w willi w Canareggio zaczął ustawiać pionki i wiedząc, że trzeba będzie bezwzględnie pozbyć się kilku kłopotliwych osób, opracował plan systematycznych ataków, uśmiechając się przy tym przewrotnie do największego włoskiego poety, jaki stapał po tej ziemi. Eckhart chciałby się dowiedzieć, że pierwotnie tylko najwyższa konieczność utrzymania w tajemnicy spisku i tożsamości jego twórców prowadziła rękę Chimery, ale przecież, dzięki doskonałości dantejskich, ezoterycznych inscenizacji, zbrodnie zmyliły przeciwników. Viravolta i Ricardo Pavi wpadli w te sidła. Także przygotowanie panopticum i przeniknięcie do Arsenału były prawdziwymi wyczynami. Il Diavolo był w pewnym sensie artystą. Ale właśnie to zaczynało drażnić von Maarkena. Na cóż było im tyle inscenizacji? Ten spektakl przynosił szkodę im samym. Trwał zbyt długo, a oni grzeszyli pychą. Mnożenie fałszywych tropów to jedno, przesadne ściąganie na siebie uwagi - to co innego. Il Diavolo był graczem. Był nim także Viravolta, toteż dość szybko trafił na trop - nie jakiegoś samotnego szaleńca, jak można było pomyśleć i jak przez pewien czas kazał mu myśleć Il Diavolo, ale grupy interesu. Bez większych problemów wykrył związek szklarza z Murano z całą sprawą, potem zdemaskował działania w Arsenale i natrafił na ślad panopticum... I mimo że ostatecznie śledztwo wszczęte przez dożę nie przyniosło większych efektów, to zdaniem von Maarkena posunęło się ono za daleko. Czujność władzy nie będzie, jak zakładał, uśpiona na czas karnawału, wręcz przeciwnie - będzie wzmożona. Arsenał postawiono w stan pogotowia, to zaś mogło okazać się decydujące, a było skutkiem kaprysów przerośniętego ego estety, który był jego sojusznikiem. Nazbyt pewny siebie, człowiek ten wyraźnie delectował się całą sytuacją. Czy to bezmyślność, czy megalomania? Z pewnością, ale także ogromny talent organizatorski i niespotykana przenikliwość, jakiej dowiódł, opracowując drobiazgowy plan. Dlatego w głębi ducha Eckhart czuł się poważnie zaniepokojony. Nie chciał jeszcze przyjmować do wiadomości, że może ponieść klęskę, bo klęska równała się śmierci, przede wszystkim - jego śmierci. Ale nie podzielał bezkrytycznego optymizmu Il Diavolo, na którego patrzył to z podziwem zabarwionym zazdrością, to znowu coraz bardziej nieufnie. Eckhart nie był głupcem. Gdyby Republika upadła, Il Diavolo mógłby wykazać ambicje znacznie wykraczające poza to, co miało mu przyspaść. Gdy nie będzie już Loredana, kiedy zdobędą symbole władzy książęcej, opanują instytucje, może dojść do innego rodzaju starcia. Von Maarken doskonale zdawał sobie sprawę, że w jego obozie mogą wybuchnąć wewnętrzne walki i że on sam może znaleźć się w niebezpieczeństwie... Już teraz powinien się na to przygotować.

\*

Il Diavolo był w tym czasie niedaleko i jak zwykle przemawiał do tłumów. W jego zachowaniu było coś szczególnego - szczypta operetkowego szaleństwa i najwyższa powaga. Stojąc na wyściełanej aksamitem estradzie, raz jeszcze opisywał planowany przebieg walk. Będą cztery strategiczne punkty działań. Pierwszy w okolicach Rialto i biur prawnych, które trzeba jak najszybciej

opanovać. Biura będą w tym czasie zamknięte, więc ta akcja powinna odbyć się bez większych strat. Następnie Arsenał, żeby uniemożliwić wypłynięcie statków, które mogłyby przyjść z odsieczą wrogowi, gdy do laguny zbliży się flota von Maarkena z austriackimi chwatami i wspierające ją fregaty. Potem przypływie „Bucentaur”, okręt flagowy, który zabierze dożę. A na zakończenie plac Świętego Marka i pałac, co oczywiście stanowić będzie najtrudniejszy etap walki. Pozostają jeszcze inne newralgiczne punkty, które trzeba będzie sukcesywnie zdobywać, korzystając z zamętu. Bez reszty skupiony na mobilizacji zwolenników, Il Diavolo recytował teraz swoje zalecenia i wskazówki niczym różaniec. A w skrytości ducha już przeobrażał weneckie instytucje tak, by odpowiadały jego marzeniom.

Zamierzał najzwyczajniej zlikwidować Senat i skupić władzę w rękach jednej Rady, ograniczając jej uprawnienia do nadzoru nad magistratura i Quarantia, także okrojonymi o połowę; chciał położyć kres rotacji funkcji i urzędów publicznych, której celem było zapobieganie przechwyceniu władzy przez jedno stronnictwo, miał także zamiar objąć nadzorem Arsenał, przejmując władzę nad Radą Dziesięciu, do której planował dołączyć dwudziestu nowych inkwizytorów rządowych. Rada sprawowałaby też bezpośredni nadzór nad cechami oraz Scuole Grandi, miejskimi instytucjami dobroczynnymi. Il Diavolo planował już wyświęcenie patriarchy, który byłby depozytariuszem funkcji królewskich w państwie (czyli jego samego!), a do którego należałaby ostateczna decyzja w każdej istotnej sprawie dotyczącej polityki Wenecji. Marzył o zaostreniu kar więzienia, o egzekucjach, dzięki którym uporałby się z rozbojami i prostytutką, o kontroli przepływu cudzoziemców dzięki nowym zezwoleniom na pobyt, o odzyskaniu terytoriów w basenie Adriatyku i Morza Śródziemnego, o bezwzględny rozprawieniu się z przeciwnikami władzy, o comiesięcznej kontroli ksiąg rachunkowych *casini* i domów gry, o podwyższeniu podatków i ceł, które zasilą skarb, o zastrzeżeniu prawa publikowania gazet i informacji dla instytucji rządowych, o reformie Strażników Nocy, z których powstałaby państwowa milicja patrolująca dzielnice, tropiąca nadużycia i przestępstwa, a także kontrolująca handel. Ale nie zamierzał na tym poprzestać; chciał, żeby w Wenecji istniał jednolity system wymiaru sprawiedliwości, podporządkowany władzy politycznej i zapewniający jej bezpieczeństwo i świetność. A on, Il Diavolo, przywróciwszy jedynie słuszną silną władzę, zrzuci maskę, żeby wypełniać swą misję. Skończy z szaradami, z dantejskimi scenami. Będzie Potęgą w blasku dnia. A gdyby wciąż natykał się na przeszkody, usunie je, jedną po drugiej, jak Campioniego i jego utopijne pomysły. To była udana operacja. Il Diavolo jeszcze dziś uśmiechał się na jej wspomnienie. Senator już nigdy nie stanie mu na drodze. Nikt inny też się na to nie odważy.

Chimera na moment zwrócił oczy na Eckharta von Maarkena. Austriak patrzył na niego, wykrzywiając twarz w grymasie, który w założeniu był uprzejmym uśmiechem.

Tak, wkrótce się tobą zajmę, pomyślał von Maarken.

W tej samej chwili Il Diavolo, kryjąc za maską zjadliwy uśmiech, odpowiedział skinieniem głowy.

Nieszczęsne, głupie książątko! Kto by uwierzył, że nawet nie wiesz, że jesteś tylko pionkiem.

Podali sobie ręce i razem, na oczach Ognistych Ptaków, wzniesli je w triumfalnym geście.

\* \* \*

Kiedy wszystko się skończyło, Andreas Vicario wyszedł wreszcie z kryjówki. Nadstawił ucha - wokół panowała niezmacona cisza. Teraz już nikogo tu nie było. Uśmiechnął się, przesunął palcem po

ustach. Jego zęby błysnęły w świetle żyrandoli jak kły potwora, który nagle wyłonił się z mroku. Pełnym elegancji gestem, w którym biały rękaw koszuli uniósł się w powietrze, Andreas odsunął kotarę i ukryte za nią drzwi do tajnego schowka. Pociągnął zamaskowaną dźwignię. Ściana biblioteki przesunęła się z głuchym zgrzytem. Zawsze wiedział, że pewnego dnia skomplikowane plany, które zamówił u architekta, mogą go ocalić. Trzeba było przebudować całe zachodnie skrzydło willi, żeby pomieścić w nim książki, a także aby wykonać dyskretne i bezpieczne wyjście. Teraz krążył po korytarzach wypełnionych manuskryptami i chyba już po raz setny usiłował przeanalizować ostatnie wydarzenia. Kilka minionych godzin poświęcił na rozmyślania. Nie wiedział, jak to się stało, ale do doży dotarły pogłoski o jego udziale w spisku. Czy zdradził go któryś z Ognistych Ptaków na jego żołądź? Ktoś, może ten astrolog Fregolo, powiedział za dużo? A może to paradoksalna przenikliwość tej wariatki, Arcangeli Torretone, która tkwiła w klasztorze San Biagio? Czyżby w końcu odgadła, kim był ów podający się za Lucyfera gość? Chimera nie chciał pozbyć się Arcangeli, twierdząc, że jej brednie nie wydostaną się poza klasztorny mur. Po tej rozmowie, kiedy to Andreas zdołał zastraszyć Arcangelę tak skutecznie, że popadła w obłąd, ponowna wizyta w San Biagio byłaby bardzo ryzykowna. Matka przełożona i mniszki stały się teraz czujne. Dlatego zostawili tę sprawę niezalutowaną... A dziś Andreas przeklinał własną słabość. No cóż! Trudno było ukrzyżować całą Wenecję! Ale sytuacja stawała się groźna. Na myśl o tym uśmiech zniknął z twarzy Vicaria, ustępując miejsca posępnej powadze. Jednak pewność, że chwila prawdy się zbliża, dodawała mu otuchy - wystarczyło tylko zgromadzić zapasy, żeby dotrzeć do lepszych czasów, kiedy i on będzie mógł powrócić do normalnego życia. Powinien też za wszelką cenę skontaktować się jakoś z kompanami. Musi jednak zachować szczególną ostrożność. Choćby w tej chwili zachowywał się tak, by nikt nie domyślił się jego obecności w domu. Szybki rzut oka zza ciężkiej zasłony wystarczył, by potwierdzić obawy - grupa żołnierzy strzegła wejścia do willi od strony kanału. Vicario uniósł brew i zagryzł usta. Po chwili znów krążył po bibliotece, pośród półek, na których wiele pokoleń jego rodziny zgromadziło tysiące książek.

E. de Paganis, *Nowy Behemot*, Genewa 1545.

Ojciec Meurisse, *Historia czarownic i czarów*, Loudun 1642.

William Terrence, *In Cathedrals Shadow*, Londyn 1471.

Andreas zamierzał opuścić Librerie drzwiami prowadzącymi do drugiego skrzydła budynku, by dotrzeć do salonu i wziąć kilka tysięcy dukatów ukrytych w globusie... Chciał też zabrać broń i pieczęć, która była mu potrzebna. Przy odrobinie szczęścia zdąży wziąć jeszcze zapas żywności i coś do picia. Potem wróci do biblioteki - korytarzyk, schody, ukryte drzwi i oto znajdzie się na tyłach domu, gdzie czeka gondola. W ten sposób wymknie się niezauważony. Kiedy ludzie doży i Quarantii pojawili się przed kilkoma godzinami w jego domu, zdążył tylko wśliznąć się za przesuwaną ścianę na drugim piętrze. Tym razem spokojnie przygotowuje się do wyjścia i nie zwracając na siebie uwagi, uda się do Marghery. Tak, wyjdzie z tego cały i...

Zatrzymał się. Miał wrażenie, że w pobliżu przesunął się jakiś cień.

Przygotowując się na najgorsze, rozejrzał się niespokojnie. Czyżby żołnierze już go wykryli? Czy w willi był ktoś oprócz niego? Przez kilka sekund wyęczał słuch, nie poruszając się.

Cisza.

Poszedł dalej.

Anonim, *Melchizedech*, Mediolan 1602.

Anonim, *Inwokacje do Diabła*, Paryż 1642.

E. Lope-Tenezar, *Diabolus in Musica*, Madryt 1471.

Vicario pomyślał, że jeżeli dopisze mu szczęście, dotrze do Marghery jeszcze dziś. Może tam jego nieobecność kogoś już zaniepokoiła. Na to jednak nie mógł liczyć, bo całkowita anonimowość była żelazną zasadą tajnych zebrań. Kiedy znajdzie się na łądzie, musi zdobyć konia i skontaktować się ze swoimi ludźmi, a potem spotka się z Chimera i von Maarkenem. Zmarszczył brwi. Tak, przy odrobinie szczęścia będzie tam przed świtem. Nie chodziło mu tylko o „wygodę osobistą”, o nie, tu stawką było życie albo ś...Znów przystanął, naprężony.

Tym razem był pewien, że coś usłyszał.

To był jakby pomruk, głuchy, niski, charakterystyczny. Ten dźwięk nie miał w sobie nic z ludzkiego głosu.

Andreas Vicario poczuł, że zlewa go zimny pot.

Zobaczył błyszczące w ciemnościach oczy - dużo oczu, co najmniej trzy pary, jakby łytał na niego swoimi ślepiami Cerber, który wymknął się z piekła.

Co tu się dz...

Andreas Vicario dokonał błyskawicznej oceny sytuacji i oto doszedł do niesamowitych wniosków, które zmroziły mu krew w żyłach. Ogarnął go niewypowiedziany strach, nie zdążył już jednak przemyśleć tego, co podpowiedziała mu intuicja i co nagle stało się oczywistością przyprawiającą o zawrót głowy.

Ze wszystkich stron Librerii rzuciły się na niego cienie.

## PROBLEM ZŁA

Andreas Vicario, członek Wielkiej Rady

*Podjeźliwość wobec Zła* (rozdział XXI)

*Być może warto wyjaśnić, dlaczego niektórzy wyobrażają sobie jeszcze, że u kresu Zła skazane będzie na zagładę: będąc w swej istocie tylko podejrzliwością i zdradą, nie zdoła stworzyć trwałej struktury ani też oprzeć swej władzy i dominacji na zmiennej, zepsutej materii. Innymi słowy, zdrada, którą ucieleśnia Zło, posunie się tak daleko, że zdradzi samą siebie, niczym Piotr, który wyparł się Chrystusa, czy Judasz, który pchnął Go na Krzyż, by następnie szukać - jeden w apostołstwie, drugi w zadaniu sobie śmierci - jakiejś formy odkupienia winy. Wynika z tego, że Zło, nie mogąc sobie zaufać, kopie własny grób i przyspiesza swą zagładę, jest zatem przyczyną swej zguby, przyczyniając*



się mimowolnie do tego, czego obawia się najbardziej od zarania dziejów - do Triumfu dobrego Boga, którego nienawidzi.

Podsumowując - nikomu nie wolno ufać. Andreas Vicario miał rację.

\* \* \*

Czarna Orchidea przybył na miejsce na kilka godzin przed świtem. Słyszano przejmujące jęki i krzyki, które dobywały się z Librerii, a jeden ze Strażników Nocy patrolujących nabrzeża zauważył, że brodzi we krwi - krwi żołnierzy, których Quarantia przydzieliła do obserwacji willi przy Canareggio. Od wczesnego wieczoru wszystko się komplikowało. Pietro nie mógł otrząsnąć się z szoku, jakim była dla niego nagła śmierć Campioniego. Pavi i senator długo spierali się, czy należy przyjmować tajemnicze zaproszenie na cmentarz Dorsoduro. Ale senator upierał się, miał bowiem nadzieję, że da ludziom z Criminale szansę identyfikacji jednego, a może nawet wielu Ognistych Ptaków. Stało się jednak to, czego Pietro najbardziej się obawiał - doszło do kolejnego zabójstwa, tym razem w Szóstym Kręgu, i Campioni runął do otwartego grobu jako heretyk i odszczepieniec, ponieważ pragnął inaczej pokierować sprawami państwowymi. Znając cynizm Chimery i jego upodobanie do inscenizacji, Pietro był przekonany, że ta nocna wycieczka jest szaleństwem. Ale żadne argumenty nie były w stanie przekonać senatora, cierpiącego po śmierci Luciany i pragnącego ją pomścić. Strzała z kuszy, zapewne wypuszczona z altany jednej z willi, które otaczały cmentarz, położyła kres jego życiu, wykluczając go z gry. Na co on liczył? - myślał zdesperowany Pietro. Senator bardzo późno poinformował Pavię o liście, który otrzymał, a decyzję podjął już wcześniej i przygotowywał się do pójścia na cmentarz. Trzeba było improwizować, w chwili gdy większość agentów i policji skierowano do poszukiwań Andreeasa Vicario. I mimo wszystkich środków ostrożności, Pavi i jego ludzie nie mieli dość czasu, by szczelnie zamknąć cmentarz Dorsoduro. Nie zdołali zapobiec strzałowi ani określić, skąd padł, pozwalając zabójcy spokojnie oddalić się z kryjówki. Tak oto determinacja Campioniego obróciła się przeciwko niemu, impulsywny charakter doprowadził go do popełnienia błędu, który przyplacił życiem. Jednak także Pavi popełnił pod nieobecność Czarnej Orchidei poważny błąd, postanawiając towarzyszyć Campioniemu, zamiast przeszkodzić mu w udaniu się na to ryzykowne spotkanie. Również on padł ofiarą ciekawości i gorączkowej chęci działania. Powinien był zatrzymać senatora, choćby musiał użyć siły. Łatwo jednak wyciągać takie wnioski *post factum*. Być może w tych okolicznościach Pietro postąpiłby tak samo. Zapewne także postawa Campioniego nie dopuszczała dyskusji ani sprzeciwu. Teraz sytuacja była jeszcze trudniejsza i choć Pietro, Dziewięciu i Quarantia mnożyli wysiłki i wykazywali ogromną wolę rozprawienia się z wrogiem, to nie przypuszczali, żeby w Librerii Vicaria dane im było odnaleźć coś, co rozwiąże ich problemy. Czuli się zhańbieni i obawiali się, że najgorsze dopiero przed nimi.

Pewne było przynajmniej, że Ottavio zniknął z szachownicy. Viravolta zrelacjonował Paviemu to, co wydarzyło się w willi San Croce, a Pavi natychmiast powiadomił o śmierci Ottavia dożę. Ten, znużony i zniechęcony, nie potrafił podjąć żadnej decyzji i bez reszty skupił się na nadchodzącym święcie, które w świetle ostatnich wydarzeń wydawało mu się coraz bardziej ryzykowne.

Wszystko to działo się, zanim jeszcze Strażnik Nocy, odziany w czarny płaszcz, uniósł latarnię na wysokość swej zamaskowanej twarzy, by spojrzeć na mężczyznę, który do niego podszedł. Pietro -

bo Pavi pozostał w pałacu, przydzieliwszy Viravolcie zbrojny oddział - zauważył przy załomie muru człowieka pochylonego nad ciałami. Przez ułamek sekundy widział charakterystyczny profil Antonia Brozziego, lekarza Criminale. Skulone ramiona, przygarbione plecy, przystrzyżona w szpic bródka - oto, co zobaczył, obserwując mężczyznę, który dał wyraz odrazie, mrużąc raz po raz „fuj” i sięgając do torby. Prawdopodobnie znowu wyrwano go ze snu w środku nocy. Pietro wrócił do mężczyzny z lampą. Zaczynał siąpić drobny deszcz.

- Wszyscy zostali zabici?

- Chyba tak. Odkąd ich odnaleźliśmy, nikt nie wszedł do willi ani z niej nie wyszedł. Czekaliśmy na pana.

Pietro spojrział na fasadę Librerii, przytrzymując kapelusz. Kilka kropli wody wpadło mu do oczu. Miał wrażenie, że niebo zalewa się łzami, gdy on pała gniewem i żądzą zemsty. Chwytał pistolety, które miał za pasem, i skinął na żołnierzy uzbrojonych w pistolety, piki, szpady i broń do miotania pocisków, nakazując im iść do willi. Landretto, który podążał za nimi, podbiegł do swego pana, aby powiedzieć mu, że Anna Santamaria schroniła się u dawnej przyjaciółki w dzielnicy Castello, on zaś zamierzał tam wrócić, by nad nią czuwać. Teraz jednak bez pozwolenia ruszył za Czarną Orchideą i żołnierzami.

Wszyscy weszli do środka drzwiami frontowymi. Minęli wewnętrzny dziedziniec z fontanną, której szmer zlewał się z bębnieniem deszczu, potem znaleźli się w loggii na parterze. Pietro zostawił kilku ludzi przy wychodzącym na ulicę *cortile*. Wystarczył rzut oka, żeby ożyły wrażenia wieczoru, kiedy to Vicario wydał ów pamiętny bal. Tu po raz ostatni Pietro rozmawiał z Luciana. Spojrział na kominki po obu stronach pokoju, na puste dziś stoły, których strzegły posążki niewolników. Bez trudu przypomniał sobie światła, zamaskowane pary, wirujące w tańcu, kotyliona pod deszczem kwiatowych płatków, bufety uginające się pod ciężarem jadła. Lecz tej nocy loggia wyglądała zupełnie inaczej - pogrążona w mroku, pozbawiona ozdób, okryta się kurzem i posępną aurą domu, w którym krył się zabójca i zdrajca. Teraz nikt tu nie tańczył, orkiestry zamilkły, a w patio, gdzie stały fotele i wygodne sofy, nie jęczała już żadna kobieta, nie szeleściła podkasana suknia, nie było masek poniewierających się na ziemi ani rąk opadających w miłosnym uniesieniu. Pietro szybko wbiegł na górę, znalazł korytarz i drzwi, za którymi ujrzał Ognistego Ptaka w masce i czarnym szalu, tego, który zabił Lucianę. Towarzyszący Piętrovi żołnierze kolejno otwierali drzwi komnat, biegali po całym domu. Viravolta ruszył korytarzem i natrafił na drzwi prowadzące do Librerii, w drugim skrzydle rezydencji. Pochylił się i przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Zmrużył oczy, nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się powoli.

Libreria była jeszcze oświetlona. Pietro miał przed sobą dziesięć rzędów półek. Przez moment stał nieruchomo w progu tego labiryntu, potem ruszył przed siebie. Wyścielające korytarz zielone dywany tłumiły odgłos jego kroków. Na rozwidleniu skręcił, po chwili zrobił to jeszcze raz, i jeszcze raz. W końcu dotarł do głównej alejki. Przed nim otwierała się pierwsza sala biblioteki, długa na piętnaście metrów. Z tej perspektywy Pietro dostrzegł jakieś ruchy, postacie pochylone nad czymś, czego nie mógł rozpoznać. Wyraźnie słyszał dyszenie. Znajdował się pośrodku sali, w której regały rozchodziły się jak ramiona gwiazdy. Stojąc u ich zbiegu, patrzył na znajdującą się dalej, za podwójnym załamaniem półek, bardziej klasyczną salę w kształcie kwadratu. Podeszedł jeszcze kilka kroków. Stąd wyraźniej widział, co dzieje się w głębi pomieszczenia, i zrozumiał, że zakłócił niesamowitą ucztę.

Gdy to sobie uświadomił, z korytarzy przed nim wyłoniły się potwory. Rzuciły się na niego, potężne, czarne, wygłodzone, wyjące.

Co to ma...

Pietro krzyknął i cofnął się o krok. Trzymając pistolet w wyciągniętej ręce, wycelował w psa, który, tocząc pianę z pyska, dziko ujadał, nie przerywając biegu. Rozległ się wystrzał, zapach prochu uniósł się w powietrzu. Trafiony w łeb pies zastygł, zwinął się w kłębek i ze skowytem zwałił się na podłogę. Tymczasem Pietro obrócił się w lewo, żeby wystrzelić z drugiego pistoletu. I tym razem pies upadł, ale dźwignął się na łapy; był tylko ranny i tocząc rozwścieczonymi ślepiami, czołgał się w stronę Pietra. Viravolta odrzucił pistolety, gdy do Librerii wpadli dwaj żołnierze. Krzyknęli, zdumieni. Pistolety upadły nieopodal Pietra, a on wyciągnął już szpadę. Wtedy skoczył na niego jeden z psów ze sfory, niemal chwytając go za gardło. Pietro zdołał nadstawić ostrze szpady, które przeszło zwierzę. Viravolta razem z nim runął na dywan. Żołnierze stanęli przy nich i pośród charkotu zdychających bestii oczyszczali bibliotekę. Po chwili cały oddział zbiegł się do Librerii, a w obramowaniu drzwi pojawiła się twarz Landretta. Chłopak chciał przede wszystkim sprawdzić, czyjego pan nie ucierpiał w tej nietypowej walce.

Viravolta pospieszył tam, gdzie dostrzegł uczujące psiska. Znalazł zwłoki Andreasa Vicario.

Jego czarne ubranie było podarte na strzępy i przesiąknięte krwią. Gdziekolwiek wilgotne paszcze i ostre szczęki psów odsłoniły kości, szarpiąc ciało. Pietro przykucnął i oparłszy rękę na kolanie, szepnął:

- Marnotrawcy, których rozszarpia psy... Landretto pochylił się nad nim i zapytał:

- Co takiego?

Pietro spojrzał na lokaja. Zacisnął zęby.

- Gwałtownicy, Landretto... Samobójcy przemienieni w drzewa, które mówią i rozpaczają, marnotrawcy, których rozszarpują psy w drugim jarze... Sąsiadują z sodomitami, wrogami Boga i sztuki...

- Pana zdaniem...

Pietro znów spojrzał na zwłoki.

- I tym razem zbrodnia została dokładnie zaplanowana. To oczywiste, że Vicario stał się kłopotliwym współnikiem... Został odrzucony i zdradzony przez własną partię. Zapewne zaczął być dla tych ludzi zagrożeniem... Może dowiedzieli się, że go zdemaskowaliśmy... Ale jak? Landretto... Czyżby był wśród nas jeszcze jakiś zdrajca? Ich informator?

Viravolta i lokaj długo patrzyli sobie w oczy.

- Wracaj do Anny - powiedział Viravolta - i ani na minutę nie spuszcza z niej oka. Zobaczymy się, kiedy będzie już po wszystkim.

Grupa żołnierzy otoczyła Pietra. Jeden z nich na widok trupa zatkał nos palcami, krzywiąc się z odrazą.

Andreas Vicario, zwany Minosem, sędzia Piekieł i prawa ręka Lucyfera, zszedł ze sceny, zamordowany przez swoich.

PIESN XX

## Minotaur

Tradycja weneckiego karnawału sięgała dziesiątego wieku. Z czasem wydłużył się do sześciu miesięcy - od pierwszej niedzieli października do piętnastego grudnia, a następnie od Trzech Króli do Wielkiego Postu. A potem przychodził czas Sensy, Wniebowstąpienia Pańskiego, i znów karnawał rozkwitał z pełną mocą. Cała Wenecja aż huczała od przygotowań. Dziesięciu, a raczej Dziewięciu pozostałych przy życiu i czekających na następcę Emilia miało zatem wypełnić nierealne zadanie, utrzymując ład i zapewniając bezpieczeństwo podczas zabaw przy wsparciu Quarantii i komendanta Arsenалу. Jak co roku nadzór nad uroczystościami w mieście powierzono urzędnikom Rason Vecchie, urzędu kontrolującego rachunkowość i wydatki publiczne. Oficerowie Criminale i inni funkcjonariusze mieli pilniej niż kiedykolwiek czuwać nad przestrzeganiem zasad bezpieczeństwa. Żadne przebrania, a zwłaszcza uniform żołnierza, nie mogły stanowić pretekstu do pojawiania się z bronią, w tym z kijami, maczugami, laskami czy włóczniami. Agenci rządowi, również przebrani i rozproszeni po całym mieście, stanowili oczywisty wyjątek od tej reguły. Cóż mogli jednak uczynić w tłumie liczącym dziesiątki tysięcy anonimowych osób? Arsenał postawił w stan gotowości statki, które w każdej chwili mogły wypłynąć na wody laguny, a czekały przy Giudecce, u wybrzeży Murano, Burano i San Michele. Lekkie jednostki krążyły po wodach, odbywając rejsy patrolowe.

Na ziemi i wodach Wenecji panowało niezwykle poruszenie. Nadszedł czas najwyższej euforii, pełnej swobody, gdy byle prostak mógł przeistoczyć się w króla, szlachcic zaś w kanalię, kiedy wszystko nagle stawało na głowie, gdy odwracały się role, gdy chodziło się na rękach, a każde szaleństwo i każdy wybryk były dozwolone. Gondolierzy w najszybkim strojach wozili po kanałach swoich pasażerów. Miasto przystrojono w niezliczone łuki triumfalne... Na Piazzetie drewniana machina w kształcie ciastka z kremem kusila łakomczuchów, gromady ludzi zbierały się wokół linoskoczków, scen komediowych, teatrzyków marionetek. Stojąc na taboretach i wskazując palcem gwiazdy, które nie rozbłysły jeszcze na niebie, jarmarczni astronomowie obwieszczali nadciągającą apokalipsę. Rozbrzmiewały okrzyki, westchnienia, śmiechy, ludzie tryskali radością życia.

\*

I wtedy z cienia wyłoniła się ta, którą zwano Damą Kier. Dotąd stała pod arkadami, teraz zaś przeszła kilka kroków, rozkładając wachlarz. Jej długie rzęsy zatrzepotały pod maską. Czerwone usta zaokrągliły się. Wygładzając fałdy sukni, upuściła chusteczkę. Pochyliła się, żeby ją podnieść, i spojrzała na agenta, który stał dalej, na rogu Piazzetty, by się upewnić, że zrozumiał jej znak. Jej gest miał oznaczać: „On tu jest”.

\*

I rzeczywiście był tutaj, w tłumie.

Człowiek powołany do spełnienia najważniejszej misji - zglądzenia doży Wenecji.

Dwa rogi z imitacji kości słoniowej sterczały nad jego głową. Łeb gniewnego byka z wysuniętymi, groźnie rozdętymi nozdrzami. Posępne oczy spod ciężkiej błyszczącej maski. Zbroję, już prawdziwą, utkano ze srebrnych kótek i płytek, dość lekkich, by nie krępować i nie spowalniać ruchów. Pod krwistoczerwoną peleryną kryły się dwa skrzyżowane na plecach pistolety - potrzebne, żeby

wypełnić zadanie. Metalowe nagolenniki osłaniały nogi nad skózanymi butami. To był olbrzym, potężna istota, której gorący oddech zdawał się świstać przez nozdrza.

Minotaur.

Gotów pożerać dzieci Wenecji w labiryncie rozbawionego miasta, czyhał, by odmienić bieg historii. Karnawał rozpoczął się na dobre.

## PIEŚŃ XXI

### Sensa

Czarna Orchidea krążył w okolicy Fondaco dei Tedeschi, między placem Świętego Marka a Rialto. Nieopodal targu składy Fondaco zajmowały strategiczną pozycję nad Canal Grandę. Jak wiele innych budynków w Wenecji, także one przez lata istnienia nie uchroniły się przed zgubnym działaniem czasu - w roku 1508 wybuchł pożar, po którym całkowicie je przebudowano. Pietro znajdował się na wewnętrznym dziedzińcu składów, na końcu jednej z trzech galerii, pod podświetlonym plafonem. Prowadził ożywioną dyskusję z zamaskowanym mężczyzną, otulonym w czarny szal. Stali przed drzwiami wychodzącymi nad kanał. Agenci pałacu i Quarantii, a także innych sił wojskowych patrolowali miasto, starając się zachować jak największą dyskrecję. Pietro postanowił pokazać się tu z odkrytą twarzą, miał nadzieję, że stanie się przynętą dla wroga, że sprowokuje go do gwałtownego ruchu, a przez to - do popełnienia błędu. Wzmocniono posterunki przy Arsenale, Rialto, Pałacu Dożów, przy Fondaco.

Było tu około pięćdziesięciu dodatkowych ludzi, a także zapasy broni, baryłki z prochem i żywność. Takie małe fortyfikacje rozmieszczono we wszystkich dzielnicach Wenecji. Rzecz jasna, mieszkańcy miasta nie mieli pojęcia, że siedzą na beczce prochu; sytuacja była trudna, żeby nie powiedzieć - wybuchowa. Pietro zamienił jeszcze kilka słów z agentem, poprawił kapelusz i kwiat w butonierce i odrzucając pelerynę, odszedł w stronę *campo* San Bartolomeo.

Natychmiast ogarnął go gwar świętującego miasta.

Jego ostatnie rozmowy z Ricardem Pavim były bardzo gorące, noc wyczerpująca. Pietro znalazł tylko godzinę na sen, a przecież dziś musiał być niezwykle czujny. Przemierzał ulice, bacznie śledząc wszystko, co mogłoby dziwić lub niepokoić. Dwa tysiące agentów czuwało nad bezpieczeństwem Republiki, a ich obowiązkiem było pilnowanie lub rozpraszanie nielegalnych zgromadzeń i rewidowanie mieszkańców podejrzanych o ukrywanie broni pod kostiumem. W tłumie, nieświadomym zagrożenia, napięcie wykazywali tylko funkcjonariusze państwowi. Nie chcąc psuć tradycyjnej zabawy, musieli prowadzić niełatwą grę - agenci starali się zachowywać uprzejmie i spokojnie, w razie potrzeby interweniując z uśmiechem na twarzy. Urzędy zajmujące się sprawami gospodarczymi i prawnymi zostały zamknięte. W Pałacu Dożów wszystkie wejścia były pilnie strzeżone, na dziedzińcu zgromadzono pokaźne siły zbrojne. Pietro przystanął na moment przy Rialto. W okolicach mostu zobaczył przebranych żołnierzy, którzy pozornie grali w karty lub gawędzili w grupkach, obserwując przechodniów. Inni udawali żebraków, w łachmanach wtapiając się w tłum. Ustalono znaki rozpoznawcze, by uniknąć chaosu w tej gromadzie oficerów w cywilu i przebierańców, patroli i tajnych agentów, którzy musieli sprawnie współdziałać. Pietro podszedł do stojącej pod

arkadami kobiety. Od kilku godzin spokojnie obserwowała przechodniów. Pod czarnym płaszczem ukryła sztylet. Pietro zamienił z nią kilka słów. „Jak dotąd, nic się nie wydarzyło, kawalerze!”, powiedziała, zgrabnym ruchem składając wachlarz. Po kilku minutach spotkał inną kobietę. Miała maseczkę, w kąciку ust muszkę, śmiały dekolt i wachlarz, którym się bawiła. Misternie uczesane włosy opadały lokami po obu stronach jej ładnej buzi. W pałacowych kuluarach nazywano ją Damą Kier.

I właśnie ona zasygnalizowała pojawienie się Minotaura.

Ledwie jednak zdążyła zwrócić uwagę na jego dziwne zachowanie, a już straciła go z oczu.

„Trzeba go odnaleźć”.

Nieco dalej mężczyzna w obszernym, ciemnym płaszczu i opasce na oku przyłączył się do grupki obstawiających zakłady w jednej z modnych ulicznych gier. Lotek, zwany *delia Venturina*, polegał na losowaniu z woreczka żetonów opatrzonych numerami lub symbolami Śmierci, Diabła, Słońca, Księżycy, Świata, za które można było wygrać smakowite pączki. Pietro stanął obok ślepcy i przez chwilę w milczeniu przypatrywał się grającym. Ręce łapczywie zanurzały się w woreczku, rozlegały się okrzyki radości lub rozczarowania na widok kulki.

- Może pan zagra? - zaproponował jakiś głos.

Pietro machinalnie wyciągnął monetę, szeptem rzucając kilka słów pod adresem sąsiada. Potem sięgnął do woreczka, a wydobywając żeton, zauważył, że mężczyzna z przepaską na oku wskazuje palcem róg placu.

\*

Wtedy zobaczył Minotaura.

Stał tam wyniosły, w odległości kilku metrów od nich. 394

Wydawało się, że jego ukryte pod maską oczy obserwują Viravoltę. Pietro zmarszczył brwi. „I co? I co?”, pytali otaczający go ludzie, ale ich głosy docierały do niego jak zza ściany. Wyprostował rękę, nie patrząc. „Śmierć! Śmierć! Nie dostanie pan pączka, *Messer..*”. Pietro już nie słuchał. Na razie obserwował Minotaura, ten zaś nie ruszał się z miejsca, tylko wolno skłonił głowę. Zza rogu Mercerii wyłonił się oddział żołnierzy. Minotaur błyskawicznie spojrzał na nich, a potem ruszył w przeciwnym kierunku.

Zaintrygowany Pietro postanowił iść za nim.

Minęli ulicę, potem drugą. Minotaur prawdopodobnie zmierzał teraz na plac Świętego Marka. W pewnej chwili odwrócił się i chyba zauważył Pietra. Przyspieszył kroku, a Viravolta uczynił to samo. Wkrótce znaleźli się na Piazzale dei Leoni, na tyłach pałacu. Znów wtopili się w gwarny tłum, tu bowiem królowały Moce Herkulesa - ludzkie piramidy, ustawiane przez grupy z poszczególnych dzielnic: Castellanych z parafii *de citra* wokół Castello, Niccolottich z parafii *de ultra*, z okolic San Niccolo w Dorsoduro. Pierwsi występowali w beretach i pasach koloru czerwonego, drudzy - czarnego. Ci amatorzy akrobacji zebrali się tu, by rywalizować, popisując się odwagą przed Wenecjanami. Wspinali się po ramionach kolegów, a utworzenie każdego kolejnego piętra witano gorącymi brawami. Pietro nie spuszczał Minotaura z oczu. Trudno mu było uznać za przypadek dziwne zachowanie potwora, którego tropił. I nie przypadkiem Minotaur pokazał się właśnie jemu,

*...Tak się bok góry zrobił niedostępny,  
Że cud był, ścieżka po urwisku strontem -  
Podobnie sterczał gościniec posępny;  
A na wierzchołku strzaskanej głowicy  
Kreteński leżał brzydki gad, w występny  
Sposób z kłamanej splotzon jałowicy...  
Jak buhaj, ciosem śmiertelnym raniony,  
Szarpie się głową, na kolana pada  
I, wstać nie mogąc, dryga w obie strony,  
Tak się miotala kreteńska szkarada... .*

Minotaur. Pietro zaklął, przeciskając się przez tłum i starając się nie zgubić bestii. Zobaczył, jak znika po przeciwnej stronie placu. Pietro zawahał się i zamiast okrążyć tłum, ruszył przez środek *piazzale*. Gdy biegł pośród wrzawy, niechcący trącił jednego z Niccolottich, tego, który był podporą jednej z dwóch konkurencyjnych piramid, tworzącej już czwarte piętro. Mężczyzna krzyknął i zaklął, usiłując zachować równowagę. Chwiał się przez moment... Aż rozkołysała się cała piramida. Stojący na szczycie młody chłopak, który właśnie zdążył się wyprostować, znowu przygiął nogi. Poczł, że przechyla się w prawo. Rozpaczliwie ratując się przed upadkiem, wymachiwał rękami. Zdołał chwycić sąsiada i w ten sposób wciągnął go w ten niebezpieczny taniec na wysokości... Cała konstrukcja kołysała się w prawo i lewo, jak ramię zegara, w które gapie patrzyli jak zahipnotyzowani. A potem piramida rozsypała się niczym domek z kart. Rozgniewany, wystraszony tłum otoczył pierścieniem rąk spadających mężczyzn, ruszając instynktownie do przodu, niczym fala pośród morza uniesionych w górę głów. Ale byli i tacy, którzy dostrzegli fatalne w skutkach potknięcie Pietra - kilku próbowało stanąć mu na drodze. Czarna Orchidea poczerwieniała i bronił się jak szalony. Jego pięść ugodziła w twarz osiłka, który chciał go złapać.

Pietro błyskawicznie uwolnił się od natrętów i wykorzystując chaos i zdumienie, ile sił w nogach pobiegł w stronę pobliskiego placu Świętego Marka.

Gdy już tam był, zatrzymała go jasnooka dziewczynka o mlecznej cerze.

- Dzień dobry! Jesteśmy pensjonarkami ze Świętej Trójcy! Nie, dlaczego akurat teraz!

Podsunęła mu kartonowe pudełko z nacięciem, na zachętę podzwaniając monetami, które zdążyła już zebrać. Chmara jej koleżanek krążyła w pobliżu, prosząc o datki pocziwych parafian. Ubrane jak mniszki albo w białe bluzeczki i niebieskie spódniczki, we włosach miały kokardy.

- *Messer!* Dla małych pensjonarek...

Pietro szybko rzucił do pudełka monetę i pobiegł dalej, łagodnie odpychając małą. Starł się odnaleźć Minotaura.

\*

Na placu panowało jeszcze większe poruszenie. Doża wyszedł do mieszkańców, by z tarasu przed Bazyliką San Marco oficjalnie otworzyć uroczystości i zabawy Sensy. Przedstawiciele cechów maszerowali pod swymi sztandarami, niosąc posągi i relikwie świętych patronów. Jedna z tych reprezentacji wyróżniała się spośród innych pięknem - tak wspaniale zaprezentował się Cech Szklarzy

z Murano. Wciąż szukając Minotaura, Pietro zauważył Tazzia, syna świętej pamięci Federica Spadettiego. Widok, choć przelotny, zachwyił go. Tazzio stał na wozie przystrojonym szarfami. U jego boku siedziała młoda kobieta o zaróżowionych policzkach, promiennie uśmiechnięta, roztaczająca blask kryształowej sukni. Ta jasna jak słońce kobieta wydawała się zjawą przybyłą z innego świata. I zapewne Viravolta nie był odosobniony w swych odczuciach, ponieważ słyszał wokół głośy podziwu i oklaski. A radosna nimfa, której boskie czoło wieńczył diadem, łagodnie machała tłumowi ręką. Czy to owa Severina, której Tazzio tak gorąco pragnął, a o której Spadetti opowiadał Piętrowi, kiedy widzieli się w Murano? Nietrudno było się w niej zakochać, Pietro doskonale to rozumiał. Severina wyglądała cudownie w szklanej sukni, z opalizującymi falbankami, pasem z pereł spiętym klamrą w kształcie gwiazdy, z kołnierzem ze szklanej koronki, w tej sukni z mieniącego się tęczą barw kryształu, odbijającego Pałac Dożów, strzelistą wieżę Kampanili, imponujące skrzydła lwa spoglądającego na lagunę, twarze zgromadzonych wokół ludzi. Tak, suknia odbijała całą historię Wenecji, rozpaloną fajerwerkami i pełną blasku.

A Severina wciąż machała ręką, uśmiechając się z wdziękiem do Wenecjan.

Miała u boku pełnego uwielbienia Tazzia, anioła o blond włosach i bladej twarzy, adonisa, który wypatrywał słońca, mknącego rydwanem Apolla, który kreśli na firmamencie hiperbole. Dzierząc sztandar, Tazzio z powagą patrzył przed siebie i ta wręcz ponura twarz kontrastowała z radosnym uśmiechem Severiny. Pojawił się dziś, jak od wielu dni, w żałobnych szatach, a na czarny kaftan włożył długi płaszcz z rękawami lamowanymi złotem. Zadzierał nos, jakby stał na dziobie statku, wiodąc za sobą dwa tysiące idących pieszo robotników cechu, nad których głowami łopotwały sztandary i proporce. Żółte młoty i busole na purpurowym tle, okręty czekające na przychylny wiatr na błękitnych chorągwiach, drapieźniki gotujące się do skoku na białych i czarnych proporcach sunęły w długiej procesji od placu do Arsenału Riva Ca' di Dio. Wkrótce wóz Tazzia dojechał do trybuny przed Bazyliką i zatrzymał się. Kładąc rękę na sercu, Tazzio pokłonił się głęboko. Pod wspaniałymi rumakami, które zdobiły trybunę, zasiadł Jaśnie Oświecony doża Wenecji. Pozdrowiał maszerujących, unosząc rękę. Gestem zezwolił młodzieńcowi unieść głowę, ten zaś usłuchał i wskazał władcy piękną Severine i kryształową suknię. Znowu rozbrzmiały gorące brawa. Francesco Loredan bez słowa zaczerpnął z podsuniętego mu kosza garść kwiatów i rzucił je nad głowy młodej pary, a potem zaprezentował zebrany złoty medal w kształcie gwiazdy, który Tazzio miał otrzymać z jego rąk po zmierzchu. Młodzieniec w końcu się rozchmurzył - spojrzał na Severine, uśmiechając się szczerze, i pocałował ją w usta.

Tymczasem Pietro nadal szukał Minotaura. W końcu dostrzegł go - dzieliła ich rzeka defilujących, którzy, złożywszy i przyjąwszy hołdy przed trybuną, zmierzali w stronę Prokuracji, okrążając plac i wzniesioną na tę okazję drewnianą arenę, następnie zaś odchodzili nabrzeżami ku Piazzetcie. A zatem Pietra oddzielał teraz od owej niesamowitej postaci, którą tropił, nieprzebrany tłum. Mężczyźni zmierzli się wzrokiem, żaden z nich nawet nie drgnął. Wydawało się, że czas znowu się zatrzymał. Stali tak - zagadkowy, rogaty potwór, górujący nad dwiema zamaskowanymi kurtyzanami, i mężczyzna kryjący pod peleryną broń, spięty, czekający tylko na właściwą chwilę, by ruszyć w pogoń... I kiedy ostatni z cechów zakończył swój pokaz, Pietro pomyślał, że ta chwila właśnie



nadeszła. Już pędził, ale puste przez kilka sekund miejsce natychmiast zagarnął tłum spieszący za cechami, oklaskujący je i wiwatujący, a czasem przedrzeźniający.

Cała ta gawiedz runęła na Pietra, pozbawiając go możliwości swobodnego przemieszczania się. Minotaur znowu zniknął. Viravolta przez długie minuty próbował przebić się przezgęsty tłum ciekawskich Wenecjan, którzy bezlitośnie spychali go ku Prokuracji.

Od rana w mieście odprawiano nabożeństwa, wszędzie rozbrzmiewało bicie dzwonów. Francesco Loredan na krótko wrócił do pałacu, by znów pojawić się publicznie. Zajął miejsce w *pozetto*, dużym krześle, które nieśli na ramionach dwaj mężczyźni, i w towarzystwie głównodowodzącego Arsenалу poruszał się wśród tłumu. Teraz emocje sięgały zenitu, zwłaszcza że doża garściami rzucał monety ze swoim wizerunkiem, tym gestem przypominając dzień swej intronizacji. Podążający za nim szlachetnie urodzeni rozdawali chleb, pieniądze i wino. Między czyjąś głową a ramieniem, które uniosło się przed jego nosem, Pietro dostrzegł srogie oblicze Ricarda Paviego, szefa Quarantia Criminale, który otoczył własnymi agentami straż przyboczną doży, by jak najlepiej chronić *pozetto*. Pod arkadami Prokuracji w najlepsze trwały koncerty. „Biedaczki” z pałacu - dwanaście starych kobiet znanych całemu miastu, byłych służących, które popadły w nędzę - tego dnia mogły liczyć na hojność, kiedy wyciągały rękę, kopniakami przeganiając konkurencję będącą w takiej samej potrzebie. Wieczorem pałac oświetlą pochodnie, by powitać przybywającą na Wielki Bal szlachtę zagraniczną i wenecką, a nad miastem wybuchną sztuczne ognie, przystrajając lagunę wieńcem spadających gwiazd. San Marco zaprezentuje się jak w biały dzień.

Pietro nerwowo rozpychał się łokciami, próbując przedrzeć się przez ciżbę, i przy okazji zasłużył sobie na jeszcze kilka uwag: „Ejże, przyjacielu, nie tak ostro!”, „Nie jest pan tu sam!”, „*Stia calmo*, kawalerze!”... Od czasu do czasu wspinał się na palce, starając się - choć nie wierzył, żeby to było możliwe - odnaleźć Minotaura, który tym razem zniknął bez śladu. W dali, na rogu placu, zobaczył oddalające się *pozetto* doży. Zapewne Jego Jaśnie Oświecona Wysokość zmierzał do Arsenалу, by asystować przy wodowaniu swej galery, „Bucentaura”. A gdyby coś przydarzyło mu się po drodze, zanim zdąży dotrzeć do laguny? Pietro szpetnie zaklął. Zadaszone drewniane galerie zainstalowane pod Prokuracją wiodły do dziedzińca pałacu. Przeciskał się nimi najszybciej jak mógł, pod prąd, pomiędzy szeregami straganów z koronkami, obrazami, biżuterią i kryształami, ale nieprzerwany strumień ludzki raz po raz unosił go w przeciwną stronę i spowalniał każdy krok. Na jego głowę sypały się obelgi.

Nagle Viravolta zatrzymał się.

Jak za sprawą czarów ujrzał pod nogami maskę.

Maskę Minotaura.

Pochylił się i podniósł ją. Zauważył wewnątrz zapieczętowany list. Otworzył go drżącymi rękami.

Przegrałeś, Viravolta!

Jesteśmy w Siódmym Kręgu.

*W dół spojrzysz: oto krwi rzeka już bliska,*

*Gdzie w kotłujące zanurzon jest piany,*

*Kto gwałtem bliźnich na ziemi uciska.*

Tak, Czarna Orchideo, to w rzece krwi  
Gnić będzie Loredan,  
Z twojej winy trafi do następnego kręgu.  
Który z nas dwóch pierwszy  
Dotrze do jego stóp?  
WERGILIUSZ

Coraz bardziej zdenerwowany, Pietro znowu zaczął się rozglądać. W pewnej chwili jego uwagę zwróciła wrzawa wokół areny na placu, tej, przed którą maszerowały cechy. Ściśle mówiąc, był to amfiteatr, zbudowany specjalnie na tegoroczne święta na wzór rzymskiego amfiteatru Tytusa. Zaczynała się kolejna defilada - czterdziestu ośmiu ludzi w przebraniach i maskach reprezentowało zaprzyjaźnione z Wenecją narody - Węgry, Anglia, Szwajcaria, Hiszpania składały hołd Wenecjanom, by następnie przejść przez drewnianą bramę. Inne postacie - tym razem ze znanych komedii - stojąc wokół areny, grały na trąbkach albo tamburynach. Z dala dobiegało muczenie byków i ujadanie psów. Za chwilę miała się rozpocząć właśnie na tej arenie gonitwa za bykiem. Dwieście zwierząt o potężnych torsach i dymiących nozdrzach miało wypadać na nią przez cały dzień, a także jutro i pojutrze. W tych okolicznościach obraz byka powiązany z symboliką ofiary wydał się Piętrowi szczególnie przejmujący. Viravolta rozglądał się po placu Świętego Marka, za wskazówkę przyjmując głosy tłumu i nie wiedząc, gdzie może się pojawić zagrożenie. Nagle usłyszał serię gwizdów.

\*

Stał u zbiegu placu Świętego Marka i Piazzetty. Spojrzał w stronę Kampanili. Nieopodal zauważył tłum niemal tak liczny jak ten, który oblegał amfiteatr. Zmarszczył brwi.

Skok śmierci.

\*

Zwano go tak także Lotem Turka. Ryzykowna zabawa robotników Arsenалу polegała na zjeździe po linie rozciągniętej między Kampanilą a Pałacem Dożów i popisywaniu się wykonywaniem wymyślnych sztuczek. Czasami jakiś pechowiec rozbijał się o fasadę. Tym razem przygotowano nie jedną, ale cztery albo pięć lin, które wystrzelili z Kampanili kusznicy, a robotnicy czekający na balkonach pałacu upewniali się, czy są dobrze zamocowane i bezpieczne.

Znów rozległo się gwizdnięcie, po nim jeszcze jedno.

Ale co to ma...

Widząc pierwsze zamaskowane postacie, zbliżające się do lin, Pietro zrozumiał, co się dzieje. Odwrócił twarz ku Kampanili, potem spojrział na pałac. Zaskoczony własnym odkryciem, bąknął jeszcze: „Ale... ale...” i wciąż patrzył to na jeden, to na drugi koniec liny, od strzelistej wieży do balkonów pałacu. Potem, przy gromkich brawach, pięciu mężczyzn w czerni przeleciało w powietrzu, ponad jego głową.

Lot Turka.

Pietro już wiedział, że nie wykonują go robotnicy z Arsenалу. Zrozumiał, w jaki sposób Ogniste Ptaki postanowiły wdrzeć się do pałacu.

## Ogniste Ptaki!

Byli tam Orinel z legionów Abaddona, Halan od Astarotha, Maggid z Księstw, Diralisen z Władztw i Azel od Tronów. Przelatywali kolejno nad głową Pietra, piątkami, zbierali się na balkonach. Viravolta śledził ich wzrokiem, gdy byli na linie, gdy patrzyły na nich tłumy nieświadomych podstępów mieszkańców. Na dachach Bazyliki pojawili się inni ludzie, którzy mieli na głowach kaptury, a z sąsiednich budynków wystrzelivano liny do balkonów po drugiej stronie pałacu. Przerażony Pietro przyglądał się bezradnie tym poczynaniom. Ludzie wokół niego śmiali się, pokazując akrobatów palcami. Viravolta spojrział na pałac, potem na ulice, którymi odjechało *pozetto* doży. Rozchylił pelerynę i sięgnął po mały garnuszek uczepony pasa i metalową łyżkę. Uderzając nimi o siebie, zaalarmował grupę żołnierzy stojących przy Porta del Frumento. Trzej z nich rozbawieni obserwowali postacie sunące po linach, nie rozumiejąc, w czym rzecz. Czwarty, bardziej rozbawiony, usłyszał podzwanie i zaczął krzyczeć, patrząc na Pietra. Coraz dalej na placu słychać było taki sam metaliczny dźwięk. Potem rozległ się on także przy Prokuracji i Mercerii, aż to podzwanie ogarnęło całą okolicę. Ogłoszono alarm! Pietro wahał się jeszcze, który z dwóch punktów działań wybrać - czy biec z garnizonem do pałacu, czy też spieszyć z pomocą doży. Postanowił zaufać żołnierzom strzegącym pałacu i pognał w kierunku nabrzeża. Obym zdążył na czas!

Ale już po kilku metrach znowu się zatrzymał.

\*

Na wodach laguny pojawiła się potężna sylwetka imponującego „Bucentaura”. Doża wsiadł na pokład w towarzystwie senatorów, szlachetnie urodzonych dam, przedstawicieli rodów, którym po latach służby dyplomatycznej na dworach europejskich władców przysługiwał status *Kavalier*. „Negronne”, flagowa galera ambasadora Francji, już pruła wody, ale na zaproszenie doży Pierre-Francois de Villedieu wsiadł na „Bucentaura”. Tron ustawiono na rufie pod dużym, czerwonym baldachimem. Ozdobiony herkulejskimi symbolami, jakich używali europejscy książęta, mienił się złotem i purpurą. Lew Nemejski sąsiadował z głowami hydry; u jego stóp bożek Pan wspierał Świat, powyżej namalowano medaliony w finezyjnie dekorowanych ramach przedstawiające cnoty Wenecji odpowiadające porom i miesiącom roku, jakby snuły opowieść ku czci Republiki: Prawda, Umiłowanie Ojczyzny, Duma i Hojność, Wiedza, Czujność, Honor, Skromność, Pobożność, Czystość, Sprawiedliwość, Siła, Umiarkowanie,

Pokora, Wiara, Powściągliwość, Miłosierdzie, a dalej alegorie Nauk i Sztuk i najwyższa Wspaniałość. Uskrzydłone lwy Świętego Marka znalazły się obok emblematów Arsenалу i najważniejszych weneckich cechów kowali, cieśli, uszczelniaczy i wszystkich tych, którzy przyczynili się do morskich podbojów Republiki. Sprawiedliwość i Pokój wysuwały się do przodu, przed symbole rzek stałego łądu - Adygi i Padu - dzięki którym była możliwa pokojowa dominacja Wenecji nad rozległymi terytoriami. Wokół „Bucentaura” i „Negronne” płynęła istna chmara statków i łodzi, kołysząc się na falach laguny. Były tam dziesiątki gondoli i *bissone* z dziesięcioma wiosłarzami każda, potężne szlacheckie gondole prześcigały się pięknem, chlubiąc się swym triumfem w niedawnych regatach, a ogromne wozy morskie, wyobrażające wieloryby, delfiny i trytony, dumnie unosiły dzioby. Damy w lekkich szatach, płynąc łódkami, pozdrowiały zgromadzonych na brzegu widzów, oczarowanych tą paradą. Sztuczne groty, zdobione algami i koralami, stada syren, potwory z morskich głębin, plujące

wodą niczym fontanny, zdawały się klócić pod srogim okiem Neptuna o muskularnym torsie. Cały ten magiczny pejzaż z wolna ustawiał się w szyku. Łodzie obierały kurs, łączyły się w grupy, ustawiały, zmieniały swe miejsce. A tłum z entuzjazmem przyglądał się długiej defiladzie barokowych obrazów, z których każdy wiązał się z jakimś bóstwem - na czele znalazła się oczywiście Wenus, zaraz po niej Mars, dalej Junona, Apollo, Minerwa. Pegaz, skrzydlaty koń, który wznosił kopyta, jakby chciał wzbic się nad morskie fale, zamykał ten pochód w blasku słońca, które przy nim bladło.

„Bucentaur” i jego barwna armada wypłynęli w piękny rejs.

## KRAĞ ÓSMY

### PIEŚŃ XXII

#### Zaślubiny Morza

Pietro pobiegł ku nabrzeżu. Tam ustawiono klatki z dzikimi zwierzętami. Lwica nerwowo krążyła za kratami. Azjatycki nosorożec opuścił łeb i bez przekonania rozgrzebywał podściółkę zabrudzoną odchodami. Gepard szczyrzył kły i uderzał łapą o kraty, a Arab dosiadał dromadera, który dumnie kroczył pomiędzy zachwyconymi widzami. Pietro przystanął na chwilę na nabrzeżu. Sztuczne ogrody pływające na tratwach zdobiły port. Oszłamiające bogactwem barw kwiaty w pojemnikach podkreślały piękno tego miejsca. Gdzieś trwały koncerty, gondole pływały od tratwy do tratwy przy dźwiękach barokowej muzyki, piersi przechadzali się po kładkach łączących te ogrody na wodzie. Pietro poszedł jedną z nich i błyskawicznie minął trzy tratwy, a następnie wskoczył do gondoli. Łódź niebezpiecznie rozkołysała się na wodzie, gondolier o mało nie wypadł. Z trudem utrzymał równowagę i powitał Pietra wiązką barwnych przekleństw. Właśnie w tej chwili Viravolta zauważył, że inne gondole suną w stronę „Bucentaura”, mieszając szyki wodnej defilady, przecinając drogę najadom i Neptunom wywijającym trójzębami.

- Zabierz mnie na „Bucentaura” - rzucił zadyszany Pietro. - To sprawa życia i śmierci!

Gondolier był czterdziestolatkiem o nalanej twarzy i ciężkich powiekach. Zakłopotany, z trudem hamował gniew i prawdopodobnie zamierzał pozbyć się natrętnego pasażera, ale coś we władczym spojrzeniu Viravolty powstrzymało go od gwałtowniejszej reakcji. Pietro podsunął mu pod nos przepustkę, którą otrzymał od Paviego. Widniały na niej podpis szefa Criminale i pieczęć doży.

- Doża jest w wielkim niebezpieczeństwie. Ruszaj ostro, przyjacielu, pospiesz się!

Gondolier zerknął na dokument ze zdumieniem, potem spojrział na Pietra i wreszcie trochę się rozchmurzył. Wahał się jeszcze, ale Pietro znów go ponaglił.

W końcu uśmiechnął się i poprawił beret.

- Masz szczęście, Messer. Trafieś na najszybszego gondoliera Republiki...

- To najlepsza okazja, byś tego dowiedział - skwitował Pietro.

\*

Zaślubiny Morza. Rejs doży po lagunie w dzień Sensy był jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu Republiki. Symbolika tej krótkiej odysei wymagała, by dotarł do San Niccolo del Lido, gdzie co roku rzucał z „Bucentaura” pierścień pobłogosławiony przez patriarchę i wypowiadał

słowa: „Zaślubiamy cię, morze, na znak wiecznej dominacji”: *desponsamus te, mare, in signum veri perpetuique dominii*. Ten gest zjednoczenia i odnowienia przymierza upamiętniał zwycięstwo z roku 1177, kiedy cesarz, aby wynagrodzić miastu swe poparcie dla Barbarossy, przybył pokłonić się papieżowi w progu Bazyliki Świętego Marka. Aleksander przyznał wówczas Wenecji panowanie na morzach. Po latach można było uznać ten gest za profetyczny, bo wkrótce Republika zaczęła budować swą potęgę. Dziś Francesco Loredan pokonywał tradycyjną trasę na pokładzie „Bucentaura” i, siedząc na tronie, prowadził rozmowę z ambasadorem Pierre’em-Francois de Villedieu, który po balu u Vicaria zaczął rozkoszować się tym, co znalazł w nowym dla siebie mieście. Gdyby sądzić po wyrazie twarzy, cuda, na które spoglądał, wprawiały go w zachwyt, wręcz w stan podniecenia. Zgodnie z nakazami gościnności, towarzyszyło mu kilka bogatych, szlachetnie urodzonych dam, a on rozglądał się wokół, obserwując lagunę i otaczające galerę łodzie, a od czasu do czasu wydawał radosne okrzyki i gratulował doży, nie kryjąc zachwytu nad tą morską paradą.

Loredan maskował głębokie zatroskanie uprzejmym uśmiechem. Ricardo Pavi pozostawał w pobliżu i choć zmarszczył brwi, a twarz miał kamienną, starał się nie okazywać zdenerwowania. Splótniwszy ręce na piersi, spoglądał ponuro w stronę Lido.

\*

Szyby na najwyższym piętrze pałacu wyleciały z brzękiem. Ognisty Ptak w czarnym kapturze na głowie przekoziółkował, a wstając, chwycił za pistolet. Dziesięciu jego kompanów biegło już w kierunku Sali Rady, piętnastu innych skierowało się ku Sali Kolegium. Dochodziło do pierwszych starć, a pod freskiem Tintoretta, *Wenecja przyjmująca dary morza*, rozległy się strzały. Rozbrzmiewały tym głośniej, że na czas zabaw zabroniono używania broni. Ludzie zebrani na zewnątrz bili brawa, przekonani, że to petardy zapowiadające wieczorny pokaz fajerwerków, tych najbardziej wyczekiwanych, uświetniających Wielki Bal. Po pierwszych salwach chwymano za szpady i sztylety, a liczny oddział żołnierzy ruszył spod Scala d’Oro do Anticollegium. W trzech punktach pałacu Ptaki wdzierały się po linach, inni spiskowcy schodzili z dachu. Upłynęło sporo czasu, zanim strażnicy zorientowali się, co się dzieje, a i tak już spóźnieni żołnierze poczęli rozpraszać zgromadzone na placu tłumy, aby uniemożliwić wrogowi kontynuację ataku z Kampanii. W tym czasie kilkaset metrów dalej, przy Rialto, Barakiel od Pythona-Luzbela, Turiel od Beliala, Ambolin od Asmodeusza i najemnicy von Maarkena zajmowali biura prawne, ekonomiczne i finansowe. Powszechne zamieszanie, które potęgował nieświadom zagrożenia tłum, praktycznie uniemożliwiło siłom porządkowym podjęcie działań.

\*

- Szybciej, szybciej! - krzyczał Pietro, myśląc ze złością, że gdyby miał dodatkowe wiosło, mógłby pomóc zmęczonemu już gondolierowi.

Pietro siedział na dziobie, trzymając jedną rękę na kolanie, drugą przy boku. „Bucentaur”, tak potężny na tle towarzyszących mu jednostek, był coraz bliżej, ale przecież wciąż daleko, a gondola raz po raz musiała wymijać liczne łodzie, którym przecinała drogę. Zewsząd padały obelgi, kilka razy byli o włos od zderzenia. „Uwaga!”, krzyczał Pietro na widok potężnych gondoli i prujących fale wozów morskich. „Na prawo! Na lewo!”. Rozglądając się, stwierdził, że podobnie zachowywały się inne gondole. Na niektórych wyraźnie widział aż nazbyt dobrze znane mu zakapturzone postacie. Zaciśnął

zęby i znów ponaglił swego gondoliera Tina, który i tak czynił, co w jego mocy, by zwiększyć dużą już prędkość. Po jego czole spływały strużki potu, mięśnie przeżyły się pod kamizelką i podwiniętymi rękawami koszuli. Jednak dopływali dopiero do cypla Giudecca i Pietro czuł, że Tino nie zdoła długo utrzymać takiego tempa. Zwrócił oczy na *bisnone* z dziesięcioma wioślarzami, przemykające obok nich w orszaku „Bucentaura”, wśród wielu podobnych. Poleciał Tinowi podpłynąć jak najbliżej i zawołał wioślarzy. Przez chwilę trwała niełatwa rozmowa, bo w panującym wokół zgiełku niknęły krzyki i nawoływania, w końcu jednak Pietro skinął głową i spojrzał na gondoliera.

- Nie wiem, jak ci dziękować, przyjacielu! Możesz być z siebie dumny, teraz jednak czas na zmianę. Bardzo mi pomogłeś!

Mówiąc to, wyjął kwiat z butonierki i rzucił go pod nogi gondolierowi, który wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Patrzył na czarną orchideę.

Gondola dotknęła łodzi. Pietro wskoczył na pokład, wioślarze zrobili mu miejsce. Byli silni, ale dopiero zakończyli gorączkowy wyścig na Canal Grandę. Aby narzucić sobie nowy rytm, zaczęli śpiewać między wdechami. Zjednoczyli siły, napinając bicepsy, by podjąć nowy wyścig, może nawet ważniejszy.

\*

Przy San Niccolo „Bucentaur” wykonał ostatni zwrot; jego burty przebiegło drżenie, obrócił się z wolna, ustawiając się dziobem do wyjścia z laguny. „Negronne” powtórzyła ten manewr i ustawiła się obok niego. Nadeszła uroczysta chwila.

Doża powstał z tronu, prosząc ambasadora, by mu towarzyszył. Senatorowie, szlachetne damy oraz przedstawiciele wielkich rodów zajęli miejsca po obu stronach mostku, tworząc szpaler honorowy, który przypominał barwną girlandę zdobiącą galerię. Loredan kroczył wolno i majestatycznie, ambasador podążał za nim. Oddalił się już o dobrych kilka kroków od czerwonego baldachimu, obserwując uśmiechy i blask zwróconych na niego oczu. Paziowie stojący przy obu burtach wzniesli w górę trąbki. Zagrały po raz pierwszy, a Loredanowi wydało się, że ponad ich dźwięk wzbija się ryk lwa nemejskiego. Nadal szedł w stronę dziobu statku. Tam czekał na niego paź, ciemnoskóry chłopiec z dalekiego łądu, wystrojony w błękitny turban, na którym błyszczał diadem. Na poduszce z czerwono-złotego aksamitu chłopiec trzymał pierścień. Tuż obok, wspierając rękę na ramieniu chłopca, stał patriarcha Wenecji w odświętnych szatach. Loredan dołączył do nich, wiatr rozwiął jego pelerynę, *zogia* lśniła na jego czole, berło i pierścienie błyszczały w słońcu, a on stanął, spoglądając z góry na morze i ludzi. Wtedy trąbki zagrały po raz drugi, nakazując lagunie spokój. Wszystkie łodzie zatrzymały się. Cała armada zastygła, lekko kołysząc się na falach. Od Świętego Marka po Giudeccę wszyscy zamilkli, wpatrzeni w „Bucentaura”.

Pięćdziesiąt metrów dalej, na zwykłej barce, którą widać było z galery doży, pewien mężczyzna spokojnie się położył. Zakapturzony człowiek ściągnął czerwoną serwetę z dziobu, następnie zajął właściwą pozycję. Poduszka, na której wspierał tors, lekko go unosiła, ułatwiając oddychanie, zwłaszcza w tej decydującej chwili. Podparł się łokciem. Wolno przesunął rękę do odsłoniętego przed chwilą arkebuza, drugą ręką podtrzymywał długą lufę, której koniec leżał na metalowej podpórce, mającej zapewnić stabilność broni w chwili wystrzału. Zwano go Łucznikiem, Strzelcem albo Gilarionem od Meririma z Księstw. To on w środku nocy, na cmentarzu Dorsoduro,

strzelił z odległości stu pięćdziesięciu metrów do senatora Campioniego i choć kierował się tylko płomieniem pochodni, trafił go pierwszą strzałą. Patrząc na dożę stojącego na dziobie statku, Gilarion wiedział, że nie może chybić. Zresztą tego zadania nie wypełniał w pojedynkę. Zanim znów spojrział przez wykonaną własnoręcznie lunetę, dzięki której mógł dokładnie wycelować, zmrużył oczy, zerkając na prawą burtę „Bucentaura”. W jej pobliżu zakotwiczył właśnie statek i gdy na galerze wszyscy zaabsorbowani byli ceremonią z Loredanem w roli głównej, Minotaur po drabinie linowej szybko piął się w górę, by w swej łopoczącej na wietrze czerwonej jak krew pelerynie stanąć w końcu przed dożą.

\*

On tam jest! Jest na pokładzie! - pomyślał Pietro.

\*

„Bucentaur” stał na środku laguny. W pewnej chwili wydawało się, że morze ucichło. Widok był wzruszający: „Bucentaur”, „Negronne”, gondole, łodzie duże i małe - wszystko zamarło i tylko postawione białe żagle i girlandy łagodnie kołysały się na wietrze. Doża, który oddalił się od tronu pod baldachimem, stał przy alegoriach Sprawiedliwości i Pokoju, sięgając po pierścień, który podsunął mu paź. Loredan uniósł błyszczący w słońcu klejnot w górę, na znak zwycięstwa. Tę scenę obserwowali wszyscy mieszkańcy Wenecji i jej posiadłości na stałym lądzie, a także obcokrajowcy, przybyli z całej Europy i Orientu. *Zogia* doży lśniła, nad jego głową błyszczała złota gwiazda. Wtedy donośnym głosem, który zdawał się czerpać siłę z siedmusetletniej historii oczarowywania świata, niczym z życiodajnego źródła, wykonując gest wspólnoty i braterskiego przymierza, pośród niezmałconej ciszy, księżę Wenecji wypowiedział tradycyjną formułę.

A mały paź w błękitnym turbanie uśmiechnął się promiennie.

*Desponsamus te, mare...*

\*

Gilarion właśnie zamierzał wystrzelić z arkebuz, gdy gwałtowne szarpnięcie pozbawiło go równowagi. Zaskoczony obrócił głowę, jednak kaptur zasłaniał mu widok. Nie zdążył strzelić, choć przed chwilą doża był w idealnej pozycji. Ledwie zauważył mężczyznę, który się na niego rzucił.

Pietro potężnym kopniakiem odrzucił arkebus. Broń wypadła z metalowej podpórki, przeleciała przez burtę i wzbila się niemal pionowo w powietrze, a potem wylądowała w wodach laguny. Gilarion zareagował zbyt późno. Krzyknął, zaskoczony, i w pierwszej chwili próbował chwycić arkebus, póki znajdował się w zasięgu jego ręki. Kiedy odwrócił oczy, zobaczył Czarną Orchideę.

Walka nie trwała długo.

Pietro wyrzucił przeciwnika za burtę. Potem przykucnął na moment na dnie łodzi, wsparłszy ręce na kolanach, wpatrzony w burtę, spocony, ciężko oddychał. Wstał. Wymachiwał rękami, dając znaki i niemal podskakując na chwiejnej łódce, która rozkołysała się na wodzie.

*Desponsamus te, mare, in signum veriperpetuique dominii.*

Doża rzucił pierścień do morza, a ten natychmiast zniknął, porwany przez fale.

Wtedy zewsząd, od placu Świętego Marka po Lido, rozległy się gromkie brawa i okrzyki radości. Cała ludność dawała wyraz uniesieniu.

\*

Ricardo Pavi spoglądał z mostku „Bucentaura”, poważny i skupiony. Starał się wychwycić każdy sygnał, ogarniał wzrokiem okolicę, poirytowany całym tym zgiełkiem, egzaltacją, flagami i chustkami powiewającymi w powietrzu, a nawet karnawałowymi przebraniami. Potarł kark dłonią, przyglądał krótko obcięte czarne włosy i wtedy dostrzegł wśród roju łodzi jedną niewielką, z nerwowo podskakującą postacią, która wydała mu się znajoma.

Wyteńczył wzrok.

Minęła go dostojna dama w malinowej sukni z ciężkiego jedwabiu.

Viravolta! To on...

Pavi poczuł, jak zamiera mu serce. Viravolta usiłował mu coś powiedzieć!

Za daleko, Pietro, jesteś za daleko!

Pavi próbował rozszyfrować znaki Czarnej Orchidei, choć osobie postronnej mogłyby się one wydawać tylko komiczne. Viravolta tańczył jak cała ludność miasta, wyraźnie coś krzyczał, i to na całe gardło, ale pośród zgiełku Pavi nie mógł go usłyszeć.

Co chcesz mi powiedzieć?

Przytykał ręce do głowy, jakby pokazywał, że ma tam... rogi?

Paviemu zrobiło się ciemno w oczach, gdy odwrócił się, żeby spojrzeć na dożę.

\*

*Desponsamus te, mare, in signum veriperpetuique dominii.* Loredan, który podczas ceremonii oderwał się myślami od gnębiących go problemów, także odwrócił się, wracając pod baldachim. Poglądził pazia po buzi i z zadowoleniem uśmiechnął się do ambasadora Pierre'a-François de Villedieu, a także do zgromadzonej na „Bucentaurze” szlachty. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł przed nim jakiś olbrzym.

Minotaur w zwieńczonej rogami masce, metalowej zbroi na ramionach i purpurowej pelerynie.

- Francesco Loredan? - zapytał gardłowy głos, głos, który brzmiał jak wyrok.

Twarz doży zamarła.

*W dół spojrzysz: oto krwi rzeka już bliska,*

*Gdzie w kotłujące zanurzon jest piany,*

*Kto gwałtem bliźnich na ziemi uciska.*

Minotaur odrzucił pelerynę na plecy, wsunął pod nią ręce i niczym iluzjonista wyciągnął dwa pistolety. Rozległy się krzyki przerażenia i zdumienia. Loredan patrzył w osłupieniu na tę maskę, pod którą niemal widział uśmiech. Pomyślał tylko: Tym razem to już koniec.

Ricardo Pavi z potwornym rykiem rzucił się na Minotaura. Olbrzym zachwiał się, padły dwa strzały, obłoczek dymu uniosł się w powietrzu, kule przebiły żagiel i czerwoną tkaninę. Napastnik runął na plecy. Żołnierze, jakby nagle wyrwani ze snu, biegli do doży. Po chwili na mostku, przy Minotaurze, kłębiło się sześć ciał. Żołnierze okładali go pięściami i atakowali pikami na oczach przerażonych Wenecjan.

\*



Pietro był za daleko, żeby od razu zorientować się, co zaszło na pokładzie „Bucentaura”, widział tylko, że toczy się tam walka. Dostrzegł szamotaninę, błysk halabard, usłyszał strzały.

W końcu ujrzał odświętne szaty doży, który powracał na dziób galery, i podnoszącego się Paviego.

Pietro o mały włos nie wpadł do wody, tak mocno rozkołysała się jego łódź. Na szczęście wylądował na jej dnie.

Odetchnął z ulgą.

\*

Ale nie na długo.

*Desponsamus te, mare, in signum veri perpetuique dominii.*

Na łuku laguny, przy Giudecce i Lido, pojawiły się galery. „Klejnot Kortu”, „Santa Maria” i austriackie jednostki dumnie sunęły w słońcu. Okręty wysłane z Arsenалу na cypel San Giorgio i mające zamknąć wejście do laguny, wydały głuchy odgłos. Galery wroga, dwu- i trójmasztowe, o kwadratowych żaglach, z załogami liczącymi po dwustu wioślarzy, były uzbrojone po zęby, a w ich ładowniach zgromadzono ogromne zapasy prochu. Teraz najwyraźniej tylko czekały, by podjąć walkę. Płynęły szybko, przy rozpiętych żaglach. Wyborni kusznicy i arkebuzerzy zajmowali stanowiska. Około trzystu dwudziestu dział wycelowano w Republikę i jej flotę. Wobec tych pływających fortec, którym towarzyszyło sześć fregat, Arsenal nie był, rzecz jasna, bezsilny, ale na lagunie roilo się od łodzi i pływających ogrodów, pełnych świętujących ludzi, a wolne przestrzenie za przesmykiem były niewielkie. Im bardziej wróg zbliżył się do miasta, tym trudniejsze staną się wszelkie manewry. Wzrosnie też ryzyko poniesienia przez Wenecję ciężkich strat. Przygotowując się na tę walkę, wystawiono z hangarów okręty wzorowane na dawnej, wyspecjalizowanej flocie wojennej, przede wszystkim legendarną lekką galerę zwaną *sottile*; w stronę napastników ruszyły też lekkie eskadry zwykle wysyłane na dalekie patrole w zatoce. Nie można było jednak mieć pewności, że przechwycenie jednostek przeciwnika nastąpi w porę, zanim Święty Marek albo „Bucentaur” znajdą się w zasięgu dział. Dwadzieścia jednostek rezerwowych pod dowództwem kapitana - generała marynarki wojennej - szykowało działa.

Pietro na swej łodzi, a Pavi na „Bucentaurze” myśleli o jednym - z lękiem spoglądali na nabrzeża Arsenalu. Ich uwagę przyciągnęły dwie eksplozje.

Był to drugi strategiczny punkt Wenecji, a teraz widać było unoszące się nad nim obłoki dymu. Zapewne toczyła się tam walka. Kto jednak odniesie zwycięstwo - dowódca Arsenalu czy Strzygi?

Viravolta i Pavi wstrzymali oddech.

Na nabrzeżu Świętego Marka zdezorientowana ludność rozglądała się, nie wiedząc, czy to dodatkowe niespodzianki świątecznego dnia, czy może coś znacznie poważniejszego.

\*

Aż nagle z portu wypłynęła fregata pod pełnymi żaglami, prując wody pośród dymu i płomieni wywołanych wybuchami prochu. Elegancka, dumna jak ptak, dołączyła do weneckiej eskorty. Wkrótce przyplłynęły za nią kolejne jednostki. - TAK! TAK! - krzyczał Pietro. - To nasi!

\*

Wszystko ucichło.

Potem rozbrzmiał pierwszy wystrzał armatni.

*Desponsamus te, mare, in signum veri perpetuique dominii.*

\*

I znowu rozpętała się burza.

## PIEŚŃ XXIII

### Falszerze

Sofia, młoda praczka, trzymała za rękę sześciolatniego synka. Oboje stali w ostatnich szeregach gapiów na nabrzeżu sąsiadującym z Arsenalem, w najdalej wysuniętym rejonie Wenecji, gdzie zorganizowano zabawy. Ettore, syn Sofii, pochłaniał białe i różowe kulki lodów, niemal tak duże, jak jego głowa. Raz po raz paćkał sobie nos, obracając lody na wszystkie strony, żeby złapać każdą spływającą z nich kroplę, zanim kapnie mu na palce. Lody mogły w każdej chwili spaść na bruk. Sofia przymilnymi uśmiechami żegnała kawalera, który oddalił się, przeszedłszy z nimi kawałek drogi. Potem zerknęła na syna i nieco zniecierpliwiona uniosła brew. Wzdychając, pochyliła się nad chłopcem.

- Proszę cię, Ettore, uważaj choć trochę!... Jeżeli będziesz tak trzymał lody, zaraz wylądują na zie...

Nagle nad ich głowami rozległ się przerażający świst. Zaraz potem usłyszeli straszliwy huk. W pierwszej chwili Sofia pomyślała, że to trzęsienie ziemi. Padła na ziemię, osłaniając swym ciałem Ettorego. Kilka metrów dalej fasada willi runęła jak podcięta. Lawina kamieni sypała się w dół, rozległy się krzyki. Obłok kurzu spowił Sofię, ludzie dławili się i kasłali. Kobieta uniosła głowę, uchyliła oko i poprzez dym zobaczyła pozbawioną frontowej ściany dwupiętrową willę. Można było teraz podziwiać wnętrze tego bogatego domostwa. W progu jednego z apartamentów pojawił się oszołomiony starzec, który ruszył w stronę wyrwanej ściany.

Kula, która poczyniła tu tak brutalne zniszczenia, została wystrzelona z działa „Klejnotu Kortu”.

Praczka popatrzyła na swą odświętną sukienkę, teraz brudną i podartą. Upewniła się, że Ettore nie ucierpiał. Ona sama zraniła się, padając na ziemię, i teraz z jej rozciętego czoła spływała krew. Wciąż pod wpływem szoku, spojrzała jeszcze raz na Ettorego i leżące na ziemi lody.

- *M... Mamma mia, Ettore... Przecież mówiłam!*

\*

Tymczasem Pietro zdążył wrócić na plac Świętego Marka. Za jego plecami „Bucentaur” i „Negronne” ociężałe wykonywały zwrot, żeby wyjść poza pole rażenia dział wroga. Chmara otaczających je małych i dużych jednostek, których zgodne szyki zostały tak nagle pomieszczone za sprawą incydentu, obracała się, usiłując ustawić się w jakim takim porządku, co wcale nie było proste. Łodzie mijały się, płynąc w przeciwnych kierunkach i tworząc obraz chaosu. Ponieważ jednak najpoważniejsze zagrożenie zostało zażegnane, więc gdy na morzu toczyła się wciąż walka, Pietro popłynął w stronę pałacu. Wszędzie tłoczyli się ludzie, nie pojmując, co właściwie się dzieje, i nie wiedząc, czy należy się śmiać, czy może lękać. Gdzieniedzie rozlegały się brawa, w innych miejscach górę brała panika.

Pietro spojrział na Kampanilę. Liny, mające służyć do pokazu Lotu Turka, zostały już przecięte. Agenci Quarantii wypełnili swój obowiązek. Kiedy Pietro przebił się przez tłum, rozsuwany już przez służby porządkowe, i dotarł do bram pałacu, chwycił za rękaw jednego z agentów, usiłującego wraz z kolegami utworzyć kordon. Mężczyzna odwrócił się, ciężko dysząc, gotów odeprzeć atak. „A, to pan!”, mruknął, rozpoznając Viravolte, i pozwolił mu przejść.

Za bramą trwały walki, ale ostatni członkowie Ognistych Ptaków, pełniący warty na dachach, także na ołowianych płytach Piombi, zorientowali się, że próba zgładzenia Loredana spełza na niczym i że okręty nadal wypływają z Arsenалу, by uniemożliwić galerom i fregatom Chimery wtargnięcie na wody laguny. Zatem nie powiódł się także plan zajęcia portu marynarki wojennej. Wieści rozchodziły się błyskawicznie. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, zgodnie z przewidywaniami - w kilku miejscach równocześnie - ale nie po myśli Strzyg. I kiedy na zewnątrz żołnierze wciąż borykali się ze zdezorientowanym tłumem, Pietro szedł przez dziedziniec. Tu starcia były zaciekłe. Wprawdzie część napastników opuściła już ręce, po prostu się poddając, lecz inni, ogarnięci desperacją, zsuwali się po ołowianych płytach, by dostać się do wnętrza. Ich peleryny łopotały na wietrze. Na Scala d'Oro i pod posągami Sansovino wciąż słychać było szcęk broni. Szermierze walczyli na schodach, wokół kolumn, wyskakiwali zewsząd, byli na balkonach, ich obcasy stukały na szarobiałym bruku, ostrza uderzały o siebie, rozbrzmiewały krzyki rannych, od czasu do czasu rozlegał się wystrzał, a w powietrze wzbijał się obłok dymu.

Zmęczony Pietro westchnął, obserwując całe to zamieszanie.

Przeklęty dzień.

Potem zebrał siły. I chcąc nie chcąc, sięgnął po szpadę. Dobrze! Najwyższy czas skończyć tę grę.

\*

W dali, na lagunie, walka wrogich flot mogłaby w innych okolicznościach nasuwać skojarzenie z obrazem Canaletta, i talentem Turnera, który uciekł od akademizmu i skupił się na tematyce wojennej. U schyłku dnia, gdy na niebo wypłynęły skłębione białe chmury, a po morzu sunęły okręty pod pełnymi żaglami, czasem pluąc ogniem z dział, wydawało się, że nadszedł dzień apokalipsy. Obok galery sunęły smukłe fregaty i *sottili*, prując fale i przeskakując od burty do burty, zależnie od manewrów podejmowanych przez atakującego i broniącego się przeciwnika. Ten, kto obserwował jednostki towarzyszące galerom, jeszcze wyraźniej dostrzegał nieustanny ruch na morzu. Z „Bucentaura”, który wycofał się na lagunę, dało się dostrzec małe sylwetki marynarzy na omasztowaniu i na pokładach.

Doża zasiadł na tronie, na dziobie okrętu. Ambasador Francji zajął miejsce u jego boku i szeroko otwartymi oczyma patrzył na toczącą się walkę. Uśmiech zastygł mu na twarzy. Był dziś świadkiem serii zdarzeń i nie wiedział, czy powinien odczuwać przerażenie, czy może ulgę. Spojrzął na Loredana.

- Ale... Wasza Wysokość... To wszystko...

Doża, który dochodził do siebie po dzisiejszych przeżyciach, podczas gdy Pavi przejął dowodzenie na okręcie, skrzywił się, wciąż jeszcze pobladły. Tym razem był o krok od śmierci.

- To... hm... rekonstrukcja.

- Doprawdy? - zapytał niepewnie Pierre-Francois de Villedieu.

- Tak... Urządzamy ją raz w roku. To jakby - odchrząknął - miejscowa tradycja.

Ambasador patrzył na przemian na dożę i na ujście laguny. Nagle ku niebu wzbił się ogromny czarny kłęb dymu. „Klejnot Kortu” trafiony z kilku dział w burtę przechylił się z potwornym trzaskiem. Jeden z masztów przelamał się. Rufa stanęła w ogniu, galera szybko nabierała wody. Wkrótce dziób wzniosł się ku niebu. Galera tonęła, marynarze skakali do wody. Widząc, że batalia jest przegrana, kapitan znajdującej się nieco dalej „Santa Marii” nakazał odwrót pod ogniem jednostek pływających i dział Arsenau. Słychać było miarowy łopot żagli na wietrze. Niektóre fregaty pojedynczo ruszały do ataku, ale większość szła w ślady „Santa Marii” i opuszczała pole walki. Uśmiech najpierw zniknął z twarzy Pierre’a-Francois de Villedieu, następnie znów się na niej pojawił. Dyplomata zwrócił oczy na dożę.

- Ale... to było takie autentyczne! - powiedział z niedowierzaniem.

- Rzeczywiście... - przytaknął zakłopotany doża. Nagle ambasador pisnął histerycznie, z zapalem klaszcząc w dłonie. „Klejnot Korfu” zniknął we wzburzonych wodach, ostatnie płomienie wzbity się ku niebu.

- Och, brawo! Wspaniałe, cudowne widowisko! Aż trudno uwierzyć, że w Wenecji ludzie potrafią się tak dobrze bawić.

\*

- Wróg ucieka! Wróg ucieka!

Wykrzykując te słowa, żołnierz wpadł na dziedziniec Pałacu Dożów. Za nim podążał oddział ściągnięty tu z Mercerii. Po chwili zauważył podnoszącego się Pietra Viravolte, który stoczył pojedynek z Ognistym Ptakiem, wijącym się teraz na ziemi w swym płaszczu z kapturem. Pietro uniósł zakrwawione ostrze szpady i rozejrzał się wokół.

Ogniste Ptaki. Przyfrunęły tu na linach, skakały z dachów, nagle pojawiały się balkonach. Teraz została ich ledwie garstka. Pietro szedł przez zasłany trupami dziedziniec. Jakiś mężczyzna doskoczył do niego. Viravolta uchylił się przed pierwszym ciosem, odparował kolejne natarcie i ugiął kolana, przechodząc do ataku, który zakończył, wbijając ostrze szpady w gardło przeciwnika. Chwilę później biegł po schodach Scala d’Oro, pośród leżących ciał. Słyszał jęki ciężko rannych, niekiedy błagalne wołanie o pomoc. Gdy znalazł się na górze, ujrzał, jak jeden z Ptaków, okrążony przez ludzi Paviego, uniósł ręce, rzucając szpadę i poddając się. Niemal naprzeciwko, po lewej stronie, dostrzegł innego, w panice zrzucającego pelerynę z kapturem. Nieszczęsny buntownik zapewne sądził, że w tym zamieszaniu zdoła się wymknąć. Podniósł głowę, widząc ostrze szpady Viravolty, który mógł go teraz zabić jednym pchnięciem.

- A cóż to? Zmieniamy obóz?

\* \* \*

Na szczęście na wyższych piętrach pałacu tylko sporadycznie staczano jakąś walkę. Łatwo było uporać się z niedobitkami Strzyg, ukrywającymi się w Sali Wielkiej Rady i Antykolegium. Podjęta przez buntowników próba uwolnienia więźniów Piombi także zakończyła się fiaskiem. Strzygi zrozumiały, że ich droga wiedzie teraz wprost do więzienia, gdzie przyjdzie im pozostać na długo.

Kiedy Pietro wyszedł z pałacu ze zwycięskimi oficerami Criminale, natknął się na dziewczynkę w błękitnej spódniczce. Szeroko uśmiechnięta, podsunęła mu kartonowe pudełeczko.

- Messer!

Buzia dziewczynki rozpromieniła się.

- To dla małych pensjonarek ze Świętej Trójcy...

Pietro uśmiechnął się.

\*

Jak za sprawą cudu - wszystkie te wydarzenia nie zdołały zakłócić zabawy, która w różnych punktach Wenecji toczyła się w najlepsze. Trudno to pojąć, ale mieszkańcy miasta nie stracili dobrego nastroju. Mimo zgiełku i zaciekleści, walki wtopiły się w powszechne zamieszanie - niektóre toczyły się z dala od spojrzeń Wenecjan, inne były tak sugestywne, że mówiono już o przewrocie, jednak władze z uśmiechem na ustach dementowały te pogłoski. Dowódca Arsenалу zwyciężył. W rejonie Rialto, w gmachach urzędów, nieliczne grupki Strzyg w końcu także się poddały. Zaszczyt odebrania ostatniego pistoletu z rąk agresorów przypadł Damie Kier, którą wprowadzono do biur, gdzie zabarykadowała się grupka zwolenników von Maarkena i Chimery. Ani ta, ani żadna broń nie miały już tego dnia wystrzelić.

\*

Trzeba przyznać, że obchody Sensy i Karnawał Roku Pańskiego 1756 roku były niezrównane.

\*

Na „Bucentaurze” ambasador szepnął, pochylając się ku doży:

- To było wspaniałe!

Zaraz jednak przypomniał sobie, że czasami warto okazać odrobinę krytycyzmu, i dodał:

- Choć może... nazbyt pompatyczne.

Francesco Loredan uśmiechnął się tylko do dyplomaty i odetchnął głęboko, wreszcie czując prawdziwą ulgę.

\*

Zaślubiny Morza dobiegły końca.

PIESN XXIV

### **Studnia Gigantów**

Sześć koni ciągnęło kareta Eckharta von Maarkena drogą z Marghery, a stangret ostro strzelał z bata. Wyruszyli, kiedy tylko załadowano kilka kufrów, które zabrał ze sobą w podróż książę-renegat. Teraz był uciekinierem. Posępnie spoglądał na przesuwający się przed jego oczyma krajobraz. W ciągu paru godzin rozwiały się jego szalone marzenia. Chwilami Austriak zakrywał twarz rękami, starając się zapanować nad strachem i złością, które go ogarniały. Bo przecież mknął właśnie drogą, która na zawsze oddalała go od Republiki Weneckiej. Został sam na sam z lawiną myśli i jakże bolesną perspektywą wygnania, tej wiecznej banicji. Nigdy nie powróci do swych dóbr, już w znacznej części przejętych i rozdanych innym przez Marię Teresę. Bezwrotnie utracił także honor. Krótkie, ostre pokrzykiwania stangreta, świst bata, dyszenie koni, pył, który wzbijał się spod kopyt i wirował

wokół karety, wszystko to zapadało w świadomość diuka jak krople wody ze studni bez dna, a jemu wydawało się, że cały świat spowija całun. Przeżywał koszmar, który trwał od tego straszego dnia pierwszego wygnania. Wszystko stracone, myślał. Wszystko.

Zacisnął pięści. Wyjeżdżał w pośpiechu, tak jak przybył - jako spiskowiec, upadły arystokrata, walczący wyłącznie o własną sprawę. Doża zwyciężył. Przeżył. Ottavio i Vicario zostali wyeliminowani. Ogniste Ptaki, Strzygi rodem z sennego kosmaru, złożyły broń. Tylko jemu i Chimierce udało się ująć cało. Zaczynali stanowić dla siebie nawzajem zagrożenie i w rzeczywistości, myślał von Maarken, stanowili je od pierwszej chwili. A wszystko to z winy jednego, jedynego człowieka, Eckhart był o tym przekonany - Czarnej Orchidei, tego Pietra Viravolta, którego Il Diavolo z niepojętych przyczyn zostawił przy życiu, kiedy mógł z nim skończyć raz na zawsze. Może właśnie tamtego dnia rozstrzygnęły się losy ich walki.

Eckhart wciąż nie mógł się z tym pogodzić. A teraz?

Ucieczka. Dokąd oczy poniosą. Powrót do Austrii był wykluczony, bo tam czekało go tylko więzienie. Podążał do Francji, gdzie miał garstkę przyjaciół. Być może uzyska tam czyjeś wsparcie i możliwość odzyskania pozycji. Gdy o tym myślał, ogarniała go wściekłość pomieszana z rozpaczą. Łzy zasychały mu w kącikach oczu. No, cóż! Został sam. Zupełnie sam. Ale to przecież minie, prawda? Przede wszystkim musi znaleźć bezpieczne schronienie. Potem podąży drogą, jaką już od dawna szedł przez życie - będzie walczył, aby ocalić resztki honoru, zbrukanego, ośmieszonego, on, teraz żaloszny cień dumnego arystokraty. Będzie się bił o to, co jeszcze mu pozostało. Diuk... owszem, był diukiem, a to już coś! Nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo pozbawiony miejsca na ziemi, tak odarty, jak samotny król na wygnaniu.

Czas wziąć się w garść! Wyjdę z tej opresji.

Może podszept intuicji, a może po prostu tłumiona obawa kazała mu wyrzeć przez okno, przed siebie. Widok był olśniewający - u kresu drogi wysadzanej cyprysami, za jeziorami i wzgórzami, słońce kryło się właśnie za horyzontem. Zauważył mały czarny punkt, na który początkowo nie zwrócił uwagi. Jednak widząc, że ten punkt rośnie i jest coraz bliżej, zmrużył oczy.

\*

Jeździec z rozwianym włosiem podążał za kareta. Poły jego peleryny łopotały na wietrze. Koń pędził galopem. Szerokie rękawy koszuli jeźdźca wydymały się jak żagle. Raz po raz poganiał rumaka, uderzając go ostrogami.

On! To on!

Von Maarken zaklął szpetnie.

Pietro Viravolta ruszył w pościg za nim i teraz pędził, co koń wyskoczy.

\*

Dowiedziawszy się o istnieniu willi w Margherze, gdzie Ogniste Ptaki spotykały się po opuszczeniu smętnych piwnic Mestre, Pietro natychmiast się tam udał. Towarzyszyło mu kilku żołnierzy i oficerów Criminale, miał jeszcze bowiem nadzieję dopaść Chimere i Eckharta von Maarkena albo jednego człowieka, który krył się pod tymi dwoma imionami. Zatrzymał się przed budynkiem wspierającym się na dwóch potężnych kolumnach w stylu antycznym i otwierającym się na park szeregiem okien weneckich, które prowadziły do ogromnych salonów. Nad salonami wznosiła się

szklana kopuła, przez którą do wnętrza zaglądało słońce. Pietro rozejrzał się i dostrzegł ślady niedawnej obecności ludzi, między innymi porzucone peleryny i płaszcze z kapturami - wspomnienie dni poprzedzających święto. Jednak dom był pusty, a raczej - prawie pusty.

Lokaj wyglądający na głupca ukrył się w jednym z zakamarków willi. To on pomagał von Maarkenowi załadować kufry. Sam także zamierzał uciec, ale zobaczył nadjeżdżających żołnierzy i szybko zawrócił, by zaszyć się w ciemnym schowku pod schodami. Nietrudno było go znaleźć i skłonić do mówienia. Pietro wciąż jeszcze widział, jak drżącym palcem wskazuje kierunek, w którym pojechał von Maarken. Viravolta natychmiast ruszył w pościg.

Wyprzedził wszystkich towarzyszących mu żołnierzy, toteż jechał samotnie, jak rycerz zagubiony na ścieżkach marzeń, gdy nad drogą zaczynały się już unosić wieczorne mgły, a słońce dogasało nad horyzontem.

Pietro był już o strzał z łuku od uciekającej karocy. Wciąż poganiając konia, wyciągnął zza pasa pistolet. Chciał wycelować w karetę, ale był jeszcze zbyt daleko, by strzelać. Pistolet w wyciągniętej ręce stał się jakby jej przedłużeniem.

\*

Znowu Viravolta!

Książę szybko cofnął głowę. Nie spodziewał się pogoni. Otarł ręką czoło, czując, że zlewa się zimnym potem. Próbował powstrzymać drżenie. Jego ręce zacisnęły się na gałce laski, którą zdążył chwycić, opuszczając wilgę. Po chwili głęboko odetchnął i znów wychylił głowę, by wydać rozkaz stangretowi.

- Szybciej! Szybciej!

Musiał przytrzymać czarną czapkę, żeby wiatr nie zerwał mu jej z głowy. Strzeliły bat i lejce. Czarna Orchidea nie przerywał pościgu i był coraz bliżej.

- Szybciej, na Boga! - krzyknął von Maarken. Karetą coraz mocniej kołysała na wybojach. Von Maarkenowi trudno było utrzymać się na miejscu, miał wrażenie, że koła podskakują, obijał się o ścianki. W końcu chwycił ręką za jedną z zasłonek zawieszonych w oknach. Zaklął i znowu wysunął głowę na zewnątrz.

Mężczyzna, który pędził za nim w czarnej pelerynie, upodabniającej go do nietoperza, wydał mu się nagle demonem; dziwny obrót rzeczy - dotąd to Strzygi jawiły się jako istoty demoniczne.

Zerknął jeszcze na tego demona - tak, teraz ścigał go mit, prześladowała legenda.

Galop. Pył. Wyboje.

- Szybciej! - krzyknął na całe gardło, czując, jak krew pulsuje mu w skroniach.

Jego twarz poczerwieniała.

\*

Pietro był coraz bliżej. Wkrótce od karety dzieliła go tak mała odległość, że znalazł się w tumanach kurzu, unoszących się za pojazdem. Turkot stawał się ogłuszający. Viravolta miał wrażenie, że te dźwięki są głośniejsze od zgiełku, jaki panował w mieście w tym świątecznym dniu i w ogniu walki. Stopniowo przesunął się wzdłuż lewego boku karety.

Przez moment zastanawiał się, czy nie wykonać jakiejś akrobatycznej sztuczki, która pozwoliłaby mu skoczyć na nadkola, tuż przy drzwiczkach. Gotów podjąć wszelkie ryzyko, już prawie

zdecydował się na szaleńczy wyczyn. Minał drzwiczki, nie patrząc na diuka, który z przerażeniem obserwował diabła przesuwającego się pod jego nosem. Przez ułamek sekundy byli tuż obok siebie - Pietro przytulony do końskiego karku, z rozwianymi włosami, von Maarken oniemiały, spoglądający wielkimi jak spodki, niebieskimi oczyma - może tak dużymi, jak owe *cristallo*, które wytwarzał niegdyś Federico Spadetti z Murano.

Tak, Federico! Ty, twój syn, jego Severina, no i ta kryształowa suknia. Nie zapomniałem o was.

I wtedy Pietro wymierzył z pistoletu do stangreta. Padł strzał.

- NIE! - krzyknął von Maarken.

Mężczyzna rozłożył ręce, kapelusz spadł mu z głowy, przewiązane wstążką włosy w niezwyklej rudym kolorze poruszyły się na karku jak marionetka. Jego tors opadł na kolana. Szara kamizelka stangreta była przedziurawiona. Ciało przez chwilę zakotłowało się - mogło runąć w przestrzeń między kołami pojazdu lub na jego prawą stronę. W końcu stało się coś zaskakującego - zamiast spaść, pozostało na koźle. I oto zmarły trzymał lejce, wciąż powożąc kareta, która pędziła ku śmierci; widok był isticie piekielny - oszalałe konie, tocząc pianę z pyska, galopowały z pałającymi oczyma, nie wiedząc, dokąd podążać, a trup siedział na koźle.

Od tego posępnego ekwipażu, nad którym nikt nie panował, Pietro wolał się nieco oddalić. Gdy znów się zbliżył, zacisnął zęby...

Nie zrobisz mi tego...

Nie namyślając się dłużej, stanął w strzemiączkach i przechylił się, wyciągając ręce. Chwytał lin, które przytrzymały ułożone na dachu, podskakujące teraz, kufry von Maarkena, i po chwili znalazł się na tyłach karety. Ugiął kolana, jego płaszcz łopotał, buty opierały się na ośkach, niebezpiecznie blisko kół obracających się z ogromną prędkością. Von Maarken znów wychylił się przez okno i oniemiał ze zdumienia. Koń Viravolty galopował bez jeźdźcy. Diuk wygiął szyję, żeby zobaczyć, co dzieje się z tyłu. Powiewająca na wietrze peleryna zdradziła obecność Czarnej Orchidei.

- Niech przestanie! Niech wreszcie przestanie!

Pietro uchwycił równowagę i teraz już mógł trzymać się jedną ręką, a drugą sięgnąć po szpadę. Zręcznym ruchem obrócił ją tak, aby rękojeść znalazła się bliżej kół. Przez cały czas obawiał się upadku. Pośliznął się, w ostatniej chwili zdołał chwycić linę. Pochylając się z trudem, już prawie wsunął rękojeść w szprychy. Ale ta pierwsza próba nie powiodła się, a drgania przeniosły się na całą rękę i ramię Pietra. O mało nie upuścił szpady. Krzyknął i ponowił próbę. Usłyszał zgrzyt. Drzazgi posypały się na wszystkie strony, koło zaczęło się kołysać, bliskie wypadnięcia. Pietro puścił linę, której się trzymał, i zeskoczył na ziemię. Turlał się w pyłe drogi po bolesnym upadku. Ciężko dysząc, odrzucił pelerynę, która owinęła się wokół jego głowy. Popatrzył na kareta.

Koło odpadło po dwudziestu metrach jazdy. Kareta podskoczyła, potem gwałtownie się przechyliła. Wywróciła się pośród trzasku drewna, ryjąc dół w suchej ziemi. Gwałtowne szarpnięcie ściągnęło konie na prawo. Kutry pospadły z dachu, lina pękła, kabina zsuwała się po pochyłości, by zakończyć tę podróż w ciemnym wąwozie.

Pietro dźwignął się z ziemi. Na szczęście nie połamał kości. Stanął nad wąwozem.



Widok był niezwykle. Viravolta ujrzał w dole ogromną kałużę, w której wylądowała karetka. Konie zdążyły uciec. Zwłoki stangreta leżały nieco dalej, z otwartych, roztrzaskanych kufrów wysypała się cała zawartość - złoto i odzież. Von Maarken także leżał na ziemi. Wypadł z karety, kiedy ta uderzyła o ziemię, już w dole. Pod szatą widać było, że jedna noga była nienaturalnie zgięta, druga do połowy zanurzała się w wodzie. Uwalany błotem mężczyzna nie poruszał się. Twarz miał zakrwawioną, oddech świszczący.

Pietro zbiegł po zboczu i zbliżył się do niego.

Diuk najpierw zobaczył klamrę przy jego bucie, który wypełnił mu całe pole widzenia. Mrugając powiekami, usiłował unieść głowę, ale tylko jęknął jak ranne zwierzę.

*Jako jaszczurka pod słonecznym biczem  
Z krzaku do krzaku w dzień kanikularny  
Przemyka, niby mknięciem błyskawiczym,  
Tak do dwu drugich potępieńców marnej  
Postaci zmijka przypadła gniewliwa,  
Żółta, czarnemi cętkowana ziarny.*

- Czy coś ci to przypomina, von Maarken? - zapytał Pietro. - To kara Kręgu Ósmego. Dla złodziei twojego pokroju, przemienionych w węże... To krąg oszustów, fałszerzy, siewców schizmy i niezgody... Wygląda na to, że kary nieco zmieniły charakter, nie sądzisz?

Stał sztywno nad diukiem, choć ten wyciągnął do niego rękę.

- To koniec, von Maarken - oświadczył Viravolta. Książę wykrzywił usta i zaśmiał się gorzko, z wysiłkiem. Po chwili ten uśmiech przerodził się w charkot. Ręka mężczyzny opadła w błoto.

- Tak ci się... wydaje... Ale został jeszcze ktoś... Twarz Pietra zastygła. Teraz przyklęknął.

- Mówisz o Il Diavolo, tak? Kim on jest? Mów, von Maarken! Skoro to nie ty, to kto?

Znow charkot. Pietro spojrział w małe, zimne oczy - ich błękit błyszczał złowrogo. Patrzył na twarz, którą teraz odmieniały ból i nienawiść. Na rzadkie, zlepione krwią siwe włosy. Von Maarken oddychał z coraz większym trudem.

- To... to...

Pietro pochylił się nad nim jeszcze mocniej.

- Kto? Kto to taki? Książę uśmiechnął się.

- Twój najgorszy koszmar.

Charczał, próbując się śmiać tym zduszonym śmiechem, który niemal nie wydobył się z ust. Potem jego twarz zastygła.

Diuk Eckhart von Maarken wyzionął ducha i powrócił do piekła.

\*

Pietro długo stał nad jego trupem. Karetka w diabelskim bagnie. Błoto. Roztrzaskane kufry. Zmarli w krainie rozpaczy.

Pietro westchnął, znużony. Jestem naprawdę bardzo zmęczony, pomyślał.

A Lucyfer wciąż szalał po świecie.

\* \* \*

I znowu we wspaniałej Sali Wielkiej Rady zebrały się dwa tysiące szlachetnie urodzonych Wenecjan, a doża zasiadł na swym tronie, pod *Rajem* Tintoretta.

Jednak niektóre rządy nieco się przerzedziły. Arystokraci, którzy na swą zgubę poparli Strzygi i których udział w spisku wykryto, byli właśnie przesłuchiwanymi i czekali na wyrok sądu. Niektórym groziła kara śmierci, inni jakoś wymknęli się z sieci i teraz udawali, że przyklaskują poczynaniom osób, przeciw którym wczoraj knuli. Obecnie najważniejsze było przywrócenie jedności Republiki, zdecydowane opowiedzenie się po stronie doży. Taki był właśnie cel tej ceremonii, podczas której nagrodzić miano ludzi dzielnie wspierających Wenecję w dniach trudnej i nieoczekiwanej próby. Dowiedli oni nie tylko odwagi, ale także oddania ojczyźnie. Toteż za wielkiego nieobecnego tego ranka uznać należało Ricarda Paviego, który nadal pracował, prowadząc przesłuchania w Piombi. Jednak oddano mu już cześć należną bohaterowi, i to zarówno na pokładzie „Bucentaura”, jak i na placu Świętego Marka. Dama Kier, zwyciężczyni z Rialto, robiła obecnie furorę, otoczona chmurą wielbicieli, którzy nie odstępowali jej nawet na krok. Dowódca Arsenалу, paradujący dumnie w uniformie ozdobionym orderami, wspierający się na lasce ze złotą gałką, stał teraz wyprostowany i wyniosły obok Loredana. Szlachetna, pełna dostojeństwa Anna Santamaria, która powróciła już z Castello, wzbudzała powszechny respekt. Nosila jeszcze czarne szaty, dla nikogo nie było jednak tajemnicą, że przeżyła ciężkie chwile w domu Ottavia, odgrywającego niebagatelną rolę w nieudanej próbie przewrotu. Uznano ją za ofiarę, traktowano jak księżnę, a jej romans z Viravolta, tym agentem od brudnej roboty, którego jeszcze wczoraj najchętniej oddano by katu, stał się tematem wesołych i przyjaznych dowcipów. Toteż usuwano się z drogi Annie, gdy w obszernej czarnej pelerynie, czasem podając komuś rękę, szła przez salę, by stanąć przy kochanku. A Pietro Viravolta z wiernym Landrettem u boku delectował się chwilami spokoju. Gdy Loredan uniósł się, by przemówić, wszyscy zajęli miejsca. Milkły śmiechy i rozmowy. Przed dożą stanęli wówczas Czarna Orchidea i Anna Santamaria, Dama Kier i dowódca Arsenалу. A szlachetnie urodzeni Wenecjanie spoglądali na tę niezwykłą grupę - dwoje agentów Republiki, mężczyzna i kobieta, a także wdowa i wojskowy w paradnym mundurze, z orderami. Loredan uśmiechnął się i bez słowa skinął ręką. Pomiędzy dwoma halabardnikami, w rogu sali, pojawił się mały paź w błękitnym turbanie, ten sam Mulat, który na „Bucentaurze” podawał mu pierścień. Teraz również niósł aksamitną poduszkę. Doża wstał i podszedł do małej grupki, wciąż się uśmiechając. Paż stanął u jego boku. Francesco mrugnął do niego okiem. Na chwilę przekazał mu *bachete*, swe berło. Widok był dość zabawny, bo paź, który musiał trzymać poduszkę obiema rękami, wsunął berło pod pachę tak, że błyszcząca kula na jego końcu sterczała mu nad głową. Chłopiec nie zdołał powściągnąć śmiechu. Tymczasem Loredan zwrócił się do dowódcy Arsenалу. Pierwszy medal przeznaczony był dla niego i zawisł obok innych na jego piersi. Ujawszy go za rękę, doża powiedział kilka słów. Dama Kier i Anna Santamaria ukłękły równocześnie... a salę przebiegł szmer podziwu wobec dwóch piękności, które składały hołd księciu Serenissimy. Doża podał im dłonie, pomagając wstać. Obu wręczył brosze wysadzane szlachetnymi kamieniami, które układały się w postać uskrzydłonego lwa weneckiego.

I wreszcie książę zbliżył się do Viravolty.

- Uznałem, że medal to za mało - powiedział doża.

Po czym wsunął rękę pod czerwony płaszcz i wydobył stamtąd kwiat.

Pietro uśmiechnął się, przyjmując czarną orchideę.

- Teraz znów jesteś wśród nas - szepnął Loredan i rozłożył ręce, prosząc całą czwórkę, by zwróciła się w stronę zgromadzonych.

- Oto Wenecja! - oświadczył.

Przejął z rąk pазia berło i nawet po tym prostym geście widać było, że dziś jest znowu silnym, zdecydowanym władcą. Pietro, Anna, Dama Kier i dowódca Arsenалу odwrócili się.

\*

Gromkie brawa rozbrzmiały w całej sali. Wydawało się, że *Raj Tintoretta* zstępuje na ziemię, gdy cztery tysiące rąk, przy wórcze okrzyków, uderzały o siebie, wywołując burzę, która przetaczała się pod złoceniami plafonu.

\* \* \*

Wokół Czarnej Orchidei stali Anna, która trzymała go pod ramię, Landretto, Dama Kier i kilku wielbicieli.

- Co teraz, *Messer*? - uśmiechnęła się Dama Kier, z zaciekawieniem spoglądając na *Viravoltę*.

- Co pan zamierza, gdy zakończyło się polowanie na ptaki?... Dalej będzie pan służył Republice? Czy może ruszy pan w poszukiwaniu nowych przygód, by nacieszyć się odzyskaną wolnością?

- Otóż...

- Bez względu na wszystko, proszę pamiętać o jednym - podjęła, nie czekając na odpowiedź. - Gdyby potrzebował pan przewodnika, który poprowadzi pana ku nowemu światu, chętnie służę pomocą.

Uśmiech *Anny Santamarii* zniknął bez śladu. Wspięła się na palce i szepnęła do ucha *Pietra*:

- Jeżeli jeszcze raz na nią spojrzysz, zabiję cię. *Viravolta* zdusił śmiech, a urażona *Anna Santamaria* posłała *Damie Kier* jadowity uśmiech. Ta roześmiała się beztrąsko. Jednak wiedząc, że w tej walce nie ma szans, skupiła uwagę na młodzieńcu, który towarzyszył *Czarnej Orchidei*.

- A pan, młody człowieku?

- J... ja? - zająknął się zaskoczony *Landretto*.

- Tak, właśnie pan! - powiedziała, składając wachlarz. - Polowanie... Czy to pana nęci?

*Landretto* odsłonił wszystkie zęby w uśmiechu, zdejmując czapkę. Starał się sprawić wrażenie pewnego siebie.

- Ale ja...

*Viravolta* znowu się roześmiał.

- Droga *Damo Kier*, znalazła pani nie tylko lokaja. *Landretto* jest królem na niejednym polu i gdyby nie on, nie spotkalibyśmy się tu dziś w takim gronie. Nieprawdaż, drogi przy...

\*

*Pietro* zamilkł na widok *Ricarda Pavięgo*, który wszedł do sali. Zapewne to jego ponura mina, tak rażąca na tle radosnych twarzy, przykuła jego uwagę. Ubrany na czarno szef *Criminale*, którego uważano obecnie za następcę *Emilia Vindicatęgo* w Radzie Dziesięciu, powoli przeciskał się przez tłum gości pałacu, idąc do *Czarnej Orchidei*. Zbliżył się, stanął przed *Piętrem* i odciągnął go na bok,

kładąc rękę na jego ramieniu. Pietro poprosił Annę Santamarię i grupę swych rozmówców o wybaczenie i odszedł.

Wtedy Pavi zaczął poufną rozmowę.

- Wracam spod Ołowianego Dachy, przyjacielu - powiedział. - Obawiałem się, że nigdy się z tym nie uporam... Ale dziś rano jeden z Ognistych Ptaków, którego uwięziliśmy w lochach, zdecydował się mówić. Wystarczyły cztery godziny tortur... Załamał się. Zapewne to jeden z nielicznych, którzy wiedzieli, czułem to... Pietro! Spojrzał Viravolcie w oczy.

- Wiem, kim jest Il Diavolo.

Pietro naprężył się, uśmiech zniknął z jego twarzy.

Stali tak przez kilka sekund. Potem Pavi niemal przytknął usta do ucha Czarnej Orchidei. Szef Criminale wymówił jedno nazwisko, tylko jedno, ledwie słyszalnym szeptem. Viravolta pobladał. Spojrzał Paviemu w twarz. Teraz był już pewien - usłyszał prawdę. Wszystkie niezrozumiałe wydarzenia, do których dochodziło podczas śledztwa, łączyły się w spójną całość. Wszystko stawało się jasne. Przerażony, chwycił się za głowę, bo obraz, który ujrzał, był straszliwszy od wszystkich koszmarów, które dręczyły go w związku z tą sprawą. Rozumiał już wszystko i przeklinał się za to, że wcześniej nie dostrzegł oczywistych dziś związków. Zerknął na Annę Santamarię, a ona zmrużyła oczy. Podobnie jak Landretto, zorientowała się, że wydarzyło się coś niezwykłego.

Pietro potrzebował czasu, by otrząsnąć się po tym, co usłyszał. Poprosił Pavięgo, by dał mu chwilę i podszedł do Anny.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem. Pietro zacisnął zęby i założył kapelusz.

- Obawiam się, że będę zmuszony wypełnić jeszcze jedno zadanie. Zostańcie tu, proszę. Wybaczcie, że muszę was opuścić. Wkrótce wrócę.

- Ale...

Pietro pocałował swą Czarną Wdowę w czoło i odwrócił się. Dama Kier uniosła kieliszek, uśmiechając się do niego.

- Wiadomo, gdzie teraz przebywa? - zapytał Viravolta Pavięgo.

- On także uciekł. I miał więcej szczęścia niż von Maarken... Nie dasz wiary, ale według naszego informatora ukrył się ponoć we Florencji.

- We Florencji? Zmarszczył brwi.

- Cóż, być może moja nieobecność potrwa dłużej, niż planowałem.

I po raz kolejny tego dnia spojrzął Paviemu prosto w oczy.

Il Diavolo. Florencja. Oczywiście. Miasto Dantego.

- Ricardo... Pietro zacisnął zęby.

- On jest mój.

\* \* \*

Chochariel od Serafinów z Otchłani z zastępu Pythona-Luzbela siedział zamknięty w lochach Piombi. Był chory i zakrwawiony. Torturowano go. Bolała go klatka piersiowa, oddychał z trudem. Od czasu do czasu z jego ust wyrывał się jęk, który przemieniał się w atak kaszlu. Dusił się. W Pozzi panowały głębokie ciemności. Mężczyzna miał na sobie strój Strzyg. Kaptur i porwana peleryna przesiąkły wilgocią. Lada chwila znów powróci *acqua alta*. Zadrżał na samą myśl o tym. Woda

podejdzie aż do jego celi, będzie ciekła po ścianach i w końcu go zabije. Chochariel był pewien, że skona w tym lochu. Ale Chimera też się nie wywinie. Jego palce o paznokciach, które podeszły krwią, kreśliły coś kawałkiem węgla na murze ciemnego lochu. Chochariel pisał słowa, niewidoczne, niepowiązane ze sobą, rysował krzyże i figury zrodzone z obłędu. Odtwarzał raj ze swych wyobrażeń pośród piekielnej nocy. Giganci! Giganci! Teraz wszyscy byli jak on: Ogniste Ptaki, które śniły, by stać się Gigantami, na zawsze pozostaną w okowach. Głosem, którym przemówiło jego szaleństwo, powtarzał niezmordowanie:

- Ujrzyć Raj...

*Jako wieńczące Monteregion mury  
Wokół u szczytów basztami się stroją,  
Tak w cembrowiny wnętrzu, w pół postury,  
Na wzór wież kołem wielkoludy stoją;  
Ich to, dziś jeszcze, kiedy huczy burza,  
Gniewem Jowisza gromy niepokoją.*

- Raj... Raj... Ujrzyć Raj...

Jego słowa, powtarzane jak niekończący się refren, gubiły się w mroku.

\*

I mrok pochłonał Chochariela.

## **KRĄG DZIEWIĄTY**

PIESN XXV

### **Zdrajcy**

Na placu San Lorenzo grała orkiestra. Ludzie zatrzymywali się, słuchali przez chwilę, potem wracali do swoich zajęć. Zakątek był urokliwy, miał w sobie coś z florenckiego Złotego Wieku, przypominał też o latach władzy Cosimy Starszego, wielkiego mecenasa sztuki. Nieopodal kościół Świętego Wawrzyńca, czysty przykład architektury renesansowej, lecz pozbawiony jakichkolwiek zdobień, prezentował wspaniałą ceglana bryłę. To była parafia medycejska - kaplice, rozrzucone pomiędzy budowlami sakralnymi, zdobione szlachetnym marmurem i rzeźbami, kryły groby najznamienitszych przedstawicieli dynastii. Mauzoleów strzegły alegorie Dnia i Nocy albo Świt i Zmierzchu - odwiecznych świadków potęgi władców Florencji. Pietro Viravolta, zajmujący miejsce w drugim rzędzie małej orkiestry, grał na skrzypcach. Z nieklamaną przyjemnością wykorzystał okazję, by znów sięgnąć po ten instrument. Wprawdzie kompani, których sobie dobrał, musieli czasami maskować jego błędy, ale wierzył, że trochę ćwiczeń pomoże mu odzyskać dawną maestrię. Pietro upudrował twarz i założył białą perukę. Jasny surdut lamowany złotem miał szerokie rękawy, spod których wysuwały się mankiety koszuli, tańczące przy każdym ruchu ręki. Grał, a przed oczyma przesuwały mu się wspomnienia z przeszłości. Na przykład po powrocie do Wenecji, gdy zakończył

krótką karierę wojskową, dołączył do zespołu San Samuele i umiał wieczory szlachetnie urodzonych barokowymi koncertami, a kiedyś zdarzało mu się dla rozrywki wspierać swym talentem muzycznym spektakle teatru z dzielnicy, w której wzrastał.

Pogoda w to czerwcowe popołudnie była piękna, niebo błękitne i czyste. Grając, Pietro obserwował przechodniów na placu, a przede wszystkim mężczyznę z krótką siwą brodą, który okrążył orkiestrę, by do niego podejść.

Nie czekając, aż muzyka umilknie, pochylił się i szepnął Viravolcie do ucha:

- Widzi pan tego człowieka?

W odległości dwudziestu metrów, na placu, stał otyły karzeł w białej koszuli z żabotem, czerwonej kamizelce, bufiastych spodniach i ciemnych wysokich butach. Pietro skinął głową.

- Proszę iść za nim... Ale dyskretnie. Karzeł doprowadzi pana do mężczyzny, którego pan szuka.

Pietro zmrużył oczy, żeby widzieć wyraźniej. Teraz nie mógł go zgubić.

Zakończył koncert deszczem *pizzicati*, które zwieńczyło długie i pewne pociągnięcie smyczka, doskonale współbrzmiające z orkiestrą.

\* \* \*

Pietro zostawił skrzypce i podążył za karłem ulicami miasta. Florencja... Dwieście lat przed Chrystusem etruskie miasto Fiesole założyło kolonię, która za czasów rzymskich stała się Florentią, gdzie stacjonował garnizon chroniący via Flamina - szlak z Rzymu do północnej Italii i Galii. W dwunastym wieku miasto uzyskało prawo wolnego handlu, a kontrolę nad nim sprawowało dwunastu konsulów i Rada Stu. Gubernator, zwany podestą, zastąpił nieustannie skłóconą radę. Życie polityczne miasta zawsze było bardzo ożywione. Dante urodził się w roku 1265, w drobno szlacheckiej rodzinie. Swą pierwszą miłość, Beatrycze, ujrzał w roku 1274. Spotkał ją jeszcze dwukrotnie, ale nigdy nie został jej przedstawiony i nie zamienił z nią ani słowa. A jednak to dla niej napisał *Vita nuova*, następnie zaś uczynił ją główną postacią *Boskiej Komedii*. Wreszcie, osierocony, studiował w Bolonii, gdzie silny wpływ wywarł na niego filozof Brunetto Latini, a także liczni poeci, jak Cavalcanti czy Cino da Pistoia. Szybko wpadł w wir życia politycznego, tak burzliwego w tamtych czasach. We Florencji gwelfowie, głoszący nacjonalizm, popierali doczesną władzę papieża, mając za przeciwników gibelinów, zwolenników dominacji germańskiego Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Rozpętała się wojna domowa. Dante, który stał po stronie gwelfów, uczestniczył w roku 1289 w bitwie pod Campaldino, zakończonej klęską gibelinów z Pizy i Arezzo. Zwycięstwo nie położyło kresu wewnętrznym waśniom - gwelfowie biali, bardziej umiarkowani, opowiadający się za niezależnością zarówno od papieża, jak i od cesarza, przeciwstawiali się gwelfom czarnym, ekstremistom, pragnącym, aby jedyna prawowita władza należała do Ojca Świętego.

Rozmyślając o tych burzliwych czasach w drodze na plac Signorii, Pietro mimowolnie porównywał je z tym, co przeżył w Wenecji. Wojna domowa - czy rzeczywiście mogłoby dojść do niej w Serenissimie? Na pewno nie. Lecz Bóg jeden wie, do czego doprowadziłoby zwycięstwo Strzyg i jak potoczyłyby się losy laguny. A kolejny przewrót mógłby nawet odmienić oblicze świata. Nigdy nie wolno uważać, że istniejąca równowaga dana jest nam na zawsze. Czasami pokój wisi na włosku. A

Czarna Orchidea przez ostatnie tygodnie czuł się jak linoskoczek, który balansuje właśnie na takiej cieniutkiej linii.

Idąc ulicami Florencji, Pietro miał wrażenie, że duch poety kroczy u jego boku. Dante poślubił Gemmę Donati, córkę liczącej się w mieście rodziny. Był zwolennikiem gwelfów białych. Pełnił odpowiedzialne funkcje w administracji i dyplomacji miasta. A napięcie stale rosło. Po krótkim wygnaniu przywódców przeciwnego stronnictwa czarni doszli do władzy w roku 1302, dzięki poparciu papieża Bonifacego VIII. Wówczas to Dante musiał opuścić miasto. Mieszkał w Weronie i Paryżu. W tym okresie zmianie uległy jego poglądy - uznając, że oświecony cesarz mógłby stworzyć unię europejską, kładąc kres wojnom i konfliktom, przeszedł na stronę gibelinów i nakłaniał włoskich książąt, by uznali władzę Henryka VII Luksemburskiego, który niedawno zasiadł na tronie. Lecz przedwczesna śmierć Henryka zburzyła nadzieje poety. W roku 1316 Rada Miejska zezwoliła Dantemu na powrót do rodzinnej Florencji. Odmówił. Nie chciał wracać, dopóki nie zostaną mu przywrócone godność i honor. I dokonał żywota w Rawennie, w roku 1321. *Komedię* zaczął pisać wkrótce po opuszczeniu Florencji, skończył ją tuż przed śmiercią.

Idąc przez Piazza del Duomo, Viravolta rozmyślał przez chwilę o cieniu katedry, potem, na pobliskim placu, stanął przed trojgiem sławnych drzwi baptysterium ze złożonego brązu. Jedne z nich, *Raj*, znów przypominały mu, że *Komedie* zyskała miano „boskiej” dopiero po śmierci autora, wraz z wydaniem z roku 1555.

Bo przecież kończyła się dobrze - olśniewającą wizją Boga.

A Viravolta, choć ocalał Wenecję, nadal polował na tajemniczego Lucyfera, Il Diavolo, rodem z Dantejskiego *Piekła*. Nie wiedział, jak zakończy się to ostatnie starcie. Nie mógł mieć pewności, że finał jego „Komedii” będzie pomyślny. Nade wszystko obawiał się, że i jego dotknie niepoohamowany gniew boży - bo jego droga wiodła wprost do Dziewiątego Kręgu Piekła. Wenecja stała u progu Czyśćca, Pietro mógł odnaleźć swój Raj wyłącznie u boku Anny Santamarii, swojej Beatrycze, jeśli tylko ujdzie z życiem z tego miasta. Karzeł zniknął za rogiem ulicy wiodącej na plac Signorii. Pietro przyspieszył kroku, wspominając kolejne etapy podróży przez labirynt rojeń Chimery.

Krąg Pierwszy: Marcello Torretone - Pogaństwo

Krąg Drugi: Cosimo Caffelli - Rozwiążłość

Krąg Trzeci: Federico Spadetti - Zachłanność

Krąg Czwarty: Luciana Saliestri - Rozrzutność i Chciwość

Krąg Piąty: Emilio Vindicati - Gniewliwość

Krąg Szósty: Giovanni Campioni - Herezja

Krąg Siódmy: Andreas Vicario - Gwałtowność

Krąg Ósmy: Francesco Loredan (nieudany zamach)

Eckhart von Maarken - Schizma, Sianie Niezgody,

Oszustwo Krąg Dziewiąty:... - Zdrada

Po śmierci Dantego Florencja przeżywała nowe tragedie. Choć rządy stawały się bardziej demokratyczne, a miasto stopniowo przekształcało się w republikę kupiecką, w roku 1348 wielka

zaraza zdziesiątkowała ludność. Medyceusze, potężny ród bankierów, zaczęli umacniać swą władzę w mieście. Cosimo de Medici otoczył się najwybitniejszymi artystami swych czasów, jak Donatello, Brunelleschi, Fra Angelico. Na czele wielkiego księstwa Toskanii, którego stolicą była Florencja, stanął Wawrzyniec - mecenas Botticellego, Leonarda da Vinci i Michała Anioła. Gdy miasto rozkwitło, fanatyczny dominikanin Savonarola uczynił z niego purytańską republikę. Na szczęście ów mnich spłonął na stosie i nastąpiła restauracja władzy Medyceuszy, których wsparły wojska papieskie oraz hiszpańskie Karola V. Medyceusze rządili przez dwa kolejne stulecia, a kilka lat przed narodzinami Viravolty Wielkie Księstwo Toskanii przeszło pod berło domu Lotaryńskiego.

Zapewne tam Chimera szukał przynajmniej tymczasowego schronienia.

Najeżony wieżami plac Signorii był drogi sercom Florentyńczyków. To forum życia politycznego zamykał sławetny Palazzo Vecchio, wspaniale ozdobiony przez Vasarięgo i od wieków pełniący funkcję ratusza. Jego charakterystyczna wieża stała się jednym z symboli miasta. Dante na pewno nieraz ze wzruszeniem wspominał ten plac, na którego środku stworzono dość niezwykły zakątek - na ziemi ułożono biało-czarną szachownicę. Po jej dwóch stronach ustawiono trony. Zwykle w tym miejscu rozgrywano niezwykle partie szachów - były to szachy ludzkie, z Florentyńczykami z krwi i kości w roli pionków. Miła zabawa w sercu miasta. W przerwach żywych uczestników zastępowano pionkami z lekkiego drewna, osiagającymi wielkość człowieka. Karzeł zatrzymał się nieco dalej. Wdał się w gorącą dyskusję z pokracznym klerykiem, który, splótszy ręce na sutannie, od czasu do czasu potakiwał głową, odpowiadając małemu rozmówcy. Pietro przeszedł obok wieży, potem minął laufra, wciąż obserwując ich z bezpiecznej odległości. W końcu, kiwając głową, karzeł pożegnał się z duchownym i ruszył w dalszą drogę. Pietro przemknął środkiem szachownicy, o mały włos nie przewracając jednego z pionków, a uśmiechem przepraszając pozostawioną tu królową.

Potem ruszył szybko za karłem, który szedł loggią. Pietro podążał za nim krok w krok, po drodze uśmiechając się do *Perseusza* dłuta Benvenuto Celliniego i do innych posągów, które zdawały się śledzić go, gdy tropił karła. Karzeł zniknął za rogiem. Pietro znowu przyspieszył kroku. Zobaczył go nieco dalej na zachód, nad brzegiem rzeki. Wyglądało na to, że karzeł krąży po mieście, jakby polecono mu tak postępować. A po drodze odbywa szereg spotkań - najpierw z duchownym na placu Signorii, potem ze zwykłym sprzedawcą warzyw nad brzegiem Arno, a teraz z mężczyzną ubranym jak patrycjusz. Na Ponte Vecchio znowu przystanął zafascynowany biżuterią na wystawach jubilerów. Pietro zatrzymał się przy wejściu na most, za jednym z filarów. Ruszył dalej, gdy uczynił to karzeł.

Uplłynęło jeszcze pół godziny, zanim dotarli do celu, i Pietro, nieco już znużony, zaczął się obawiać, że wyprowadzono go w pole, udzielając fałszywych informacji.

Słońce chyliło się ku zachodowi.

Wyrósł przed nim kościół Santa Maria Novella, skąpany w wieczornym świetle.

Karzeł wszedł do środka drzwiami pod rozetą nawiązującą do stylu gotyckiego. Kapitel był grecko-rzymski i właśnie to dziwne połączenie stanowiło o niepowtarzalnym charakterze bazyliki. Viravolta przystanął na chwilę przed rozświetloną fasadą z marmuru w białe i czarne cętki, która tak mocno kojarzyła się z Albertim. Niegdyś był to tylko stary kościół w ruinie, oddany dominikanom, którzy postanowili osiąść na przedmieściu, dziś Santa Maria Novella mogła śmiało rywalizować



przepychem i pięknem z katedrą. Odwiedzali ją papieże, odbył się tu nawet sobór, gdy bezskutecznie próbowano zjednoczyć kościoły Wschodu i Zachodu.

Stojąc przed świątynią, Pietro odchylił połę peleryny i położył dłoń na rękojeści szpady.

Odetchnął głęboko i ruszył.

Wysoko nad Santa Maria Novella zaczynały gromadzić się chmury.

\*

Pietro pchnął oba skrzydła drzwi. Zaskrzypiały. I znowu stał nieruchomo.

Uplętnęło kilka sekund, zanim jego oczy przywykły do mroku. W głębi transeptu stał jakiś człowiek, przy którym zatrzymał się karzeł. Coś szeptali. Na znak mężczyzny karzeł odwrócił się w stronę Pietra, skinął głową i zniknął w mroku.

Teraz Il Diavolo zwrócił oczy na Pietra i jakby zamarł.

Sylwetka Czarnej Orchidei rysowała się wyraźnie w docierającym z zewnątrz świetle. Wciąż trzymał dłoń na rękojeści szpady.

Przez chwilę obaj milczeli, potem w bazylice rozbrzmiał głos Pietra.

- Dlaczego?

I znów zapadła długa, niekończąca się cisza. Pietro powtórzył pytanie.

- Emilio... dlaczego?

## PIEŚŃ XXVI

### Lucyfer

„Byłem, kim jesteś, staniesz się, jaki jestem”. Ta sentencja widniała nad szkieletem z *Trójcy Świętej* Masaccia - najprawdopodobniej pierwszego wielkiego dzieła, w którym zastosowano reguły perspektywy. Gdyby Emilio przeszedł przed tym malowidłem, trzecim rzędem lewej nawy kościoła, powstałby efekt najdoskonalszej głębi, bo łatwo było wyobrazić sobie Il Diavolo ponad tą uśmiechającą się krzywo Marnością, Il Diavolo, który uciekł z fresku i kłał święty obraz, on, istota rodem z piekielnych otchłani.

- Dlaczego, Emilio? - powtórzył Pietro, idąc przez transept.

Vindicati uśmiechnął się. Powiedział:

*Vexilla regis prodeunt inferni...*

*Patrz i uważaj - Przewodnik mój rzecze -*

*Czy w dalekości już on się nie czerni.*

Pietro szedł wolnym krokiem pomiędzy kolumnami. To on podjął:

*Oto Dis, oto miejsce, gdzie w odwadze*

*Trzeba, powiada - byś serce zaprawił!*

*Jakem tam skośniał, w członkach stracił władzę,*

*Wyobraź sobie, słuchaczu życzliwy:*

*Nie mówię, bowiem słowy nie poradzą.*

I szedł dalej:

*Anim padł martwy, anim został żywy:*

*Jeśli bystry, to oblicz, jak między*

*Dwoma stanami stan mój był wątpliwy!...*

*Cesarz, władający nad krainą nędzy,*

*Z ludu wy sterczał do połowy łona...*

Wreszcie się zatrzymał. Vindicati stał u szczytu schodów ołtarza głównego, Pietro kilka metrów od niego, nieco niżej.

- Lucyfer - powiedział Emilio, uśmiechając się. Rozpostarł ramiona niczym mistrz ceremonii.

- Witaj w kościele Maryi Panny Winnej. Czy wiedziałeś, że tak się kiedyś nazywał? Novella wyrosła na miejscu kaplicy Santa Maria delle Vigne. Dorastałem w Wenecji, Pietro, ale urodziłem się tu, we Florencji, w ojczyźnie moich wielkich inspiratorów, Dantego i Medyceuszy... Prawdopodobnie o tym zapomniałeś. A teraz spotykamy się, przyjacielu, w bazylice, niemal tak, jak się rozstaliśmy... W domu Bożym spotykasz Lucyfera. Pikantna historyjka, nieprawdaż? No, cóż, Feodor doprowadził cię tu bez problemu...

Pietro usłyszał skrzypienie za swoimi plecami. Odwrócił się. To Feodor zamykał dwuskrzydłowe drzwi Santa Maria Novella. Drewniane sztaby opadły z hałasem, potem karzeł obrócił metalowe haki.

Pietro uniósł brwi. Zwrócił oczy na Emilia.

- Wierzyłem w ciebie, Emilio. Tamtej nocy, w San Marco...

- Och, Pietro! Zawdzięczam ci wiele miłych chwil. Od dnia, kiedy wyciągnąłem cię z Piombi, wiedziałem, że będziesz ślepy, całkiem ślepy... Do chwili, kiedy uwierzyłeś, że widziałeś, jak konam. Jeden z moich Ognistych Ptaków zręcznie odgrywał rolę Lucyfera, a ja tymczasem udawałem konającego... Ale nie odnaleziono mojego ciała, a ty, Pietro, wciąż węszyłeś, byłeś uparty jak osioł! Wzbudziłeś mój podziw. Byłeś - jesteś - naprawdę najlepszy. Wiedziałem o tym. Zawsze o tym wiedziałem. I to czyni moją porażkę mniej bolesną. Byłeś moim najdoskonalszym manewrem, ale i najpoważniejszym błędem. Ja zaś stałem się twym przewodnikiem, twoim Wergiliuszem w piekle, twoim weneckim diabłem. Byłem dwiema stronami medalu. Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że Wergiliusz, ukazując Dantemu meandry swej duszy, mógł być po prostu jednym z wcieleń Lucyfera - owym złem tkwiącym w świadomości florenckiego poety? Czy Wergiliusz nie ocala Dantego, pokazując mu wszystkie grzechy świata?

- Ale tamtego wieczoru, Emilio, w San Marco... Dlaczego mnie nie zabiłeś?

- Był mi potrzebny naoczny, bezpośredni świadek mojej śmierci, Pietro... Czyż to nie wspaniała ironia - wybrać właśnie ciebie? Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Teraz dotarłeś do kresu podróży. Pietro Viravolta de Lansalt, ty, którego razem ochrzciliśmy Czarną Orchideą. W ostatnim kręgu. Prawda, że już to odgadłeś? Dziewiąty Krąg, Pietro, jest dla ciebie. Kto mógłby lepiej

niż ty służyć mojej grze, stać się sprawnym pionkiem w tej partii szachów? Czarna Orchidea! Byłeś już legendą. Sam uosabiałeś wszystkie grzechy, na których opierała się moja mała szarada - ateusz, rozpustnik, wielokrotny cudzołożnik, żarłok, hazardzista, szarlatan, człowiek porywczy, kłamca, libertyn - i to nie wyczerpuje jeszcze listy! Wyobraź sobie, jak miło pokonać pogrążoną w dekadencji Wenecję, posługując się kimś, kto jest jej doskonałym symbolem! Tak, Pietro! Och, cóż za rozkosz! Wiedziałem wszystko o tobie i o innych - Dziesięciu i Quarantia robili, co chciałem, a moim jedynym zajęciem było zbieranie informacji o wszystkich, i to z błogosławieństwem Loredana i Rad! Marcello dał się usidlić, podobnie jak ksiądz z San Giorgio i Campioni, i Luciana, i astrolog Fregolo - wszystkie pionki na mojej szachownicy, jak ty... Z łatwością śledziłem każdy wasz krok. Trzech kapitanów z Arsenалу dało się zastraszyć, Vicario wraz ze mną opanował cechy. Tak, mieliśmy w ręku wszystkie karty.

Pietro pokiwał głową. W oczach Vindicatiego płonął ogień szaleństwa.

- I myślałeś, że obalisz Loredana... Vindicati gorzko się uśmiechnął.

- Proszę cię, Pietro! Przejrzyj wreszcie na oczy! W ustach człowieka, którego Republika zamknęła w Piombi, gotując mu jak najgorszy los, takie uwagi brzmią żałośnie! Widziałeś ten karnawał? Oto, czym się staliśmy! Karnawałowymi marionetkami, którymi manipulują i kierują marionetkowe instytucje! A ja byłem królem jednej z nich. Dziesięciu, Pietro... Mroczni. Instytucja najgorsza, ale i najlepsza ze wszystkich.

Zastanów się, jakie widowisko daje dziś światu Wenecja. Sztuczne miasto, skazane na zagładę, gdzie pozostały już tylko kakofonia, korupcja, gra pozorów, potajemne pertraktacje, intrygi Broglio... Zburzyliśmy równość arystokratów, a nie godząc się na konieczne umocnienie władzy, przystaliśmy na inną formę despotyzmu - despotyzmu senatu, w którego ręku spoczywa cała władza, a który nigdy nie stworzył nic wielkiego!

- Słowo daję, ty wciąż jeszcze wierzysz w te swoje rojenia...

- Myślałem, że jesteś wrogiem synekur, Pietro. Uważałem cię za zwolennika zgody i potęgi Wenecji... mimo wszystko... Uwierz człowiekowi, który w tajemnicy lub z otwartą przyłbicą wypełniał dla Republiki najpodlejsze zadania, ciągle ocierając się o zepsutych polityków, o szpiegów, o obcych, którzy żądni są naszej krwi, o zbirów, o cechy i korporacje, gotowe przejść na żołąd naszych odwiecznych wrogów, o prostytutki i rozpustnice, które co dnia skazywałem na dogorywanie w lochach! Czy wiesz, co znaczy babrać się ciągle w najczarniejszym bagnie ludzkiej duszy, nurzać się dzień w dzień w ohydzie mordów, donosów, podłości, miernoty, aż ogarną cię mdości, aż zaczniesz rzygać na widok własnego odbicia w lustrze? W walce z dekadencją zmuszeni byliśmy używać brutalności i represji. Tak dzieje się w starych imperiach, które konają latami. To straszne. Trzeba było zareagować.

- Zareagować? Dokonując serii mordów?

- To wszystko jest tylko kroplą w morzu, Pietro! Nasze instytucje - klucz tkwił w instytucjach. Doskonale rozumiał to twój przyjaciel Giovanni Campioni. Niestety, opowiedział się po niewłaściwej stronie. Spójrz tylko na te urzędy, które co tydzień zmieniają zasady! Pomyśl o absurdalnych procedurach, które powodują, że wciąż zmieniamy osoby kierujące biurami, czyniąc z ludzi marionetki zdolne jedynie do oszustw i podstępów! To wszystko przypomina labirynt ogromnego mrowiska.

Siedzieliśmy na beczce prochu, a u steru państwa stanęli ludzie niekompetentni. Władze polityczne Wenecji zmieniają się co pół roku, zależnie od tego, z której strony wieje wiatr, a my tracimy potęgę, kolonie, nadzieję. Żadna władza nie potrafi wytyczyć jasnego kierunku, nie znajdziesz patrycjusza, który w tej zgrai głupich i zdegenerowanych sępów potrafiłby powstrzymać proces starzenia się Republiki, pogrążającej się w zepsuciu, rozwiązłości i zapomnieniu o dobru publicznym. Czy Campioni nie powtarzał, że nie jest w stanie dotrzeć do tych ludzi, że nie chcą go słuchać? Prywata wzięła górę nad wszystkim, a ja próbowałem tylko przewyciężyć tę gangrenę. Chciałem przyspieszyć rozkład, żeby dać nam nową szansę. Tak, Pietro, uwierz mi - zrobiłem to wszystko dla dobra Wenecji! Turcy przysnęli, ale zagrożenie wciąż istnieje. Hiszpania stale na nas czyha, a jej przymierze z papieżem od lat ogranicza nasze możliwości! Czegokolwiek tkniemy, musimy pilnie szukać... alternatywy.

- Alternatywy... to znaczy na przykład von Maarkena! Wybacz, ale to drwina! Podpisywać absurdalny traktat z księciem bez korony, wygnanym z własnego kraju?!

Emilio zaśmiał się wzgardliwie.

- Von Maarken i jego austriackie rojenia były potrzebne do realizacji mojego planu. On także był tylko marionetką. Wpadł w sidła, które na niego zastawiłem; posługiwałem się nim aż do chwili, gdy sam wydał na siebie wyrok. Słyszałem, że go zabiłeś, Pietro. Wyręczyłeś mnie, gotując mu los, który dla niego zaplanowałem. Oddać okno na morza obcej potędze?

Jakże mógł choć na chwilę uwierzyć, że będę wspierał jego dążenia do realizacji szaleńczych snów o chwale? Jednak potrzebowałem jego, jego ludzi i pieniędzy.

- Jesteś obłąkany - powiedział Pietro. - Stałeś się uosobieniem tego, z czym ponoć walczysz: oblędu. Jesteś niebezpiecznym szaleńcem.

Vindicati uśmiechnął się.

- Och... jaka szkoda!

Opuścił rękę. A potem wysoko uniósł głowę.

\*

- Domyślam się, że wybiła godzina prawdy?

- Ja też tak sądzę.

Pietro wyciągnął szpadę. Metal lekko zgrzytnął.

- Cóż... - rzekł Vindicati. - Skończmy z tym.

Na ramionach miał czarną pelerynę wyszywaną srebrem. Odrzucił ją do tyłu, na posadzkę przed ołtarzem. A potem wolno obnażył broń wiszącą u boku.

\*

Pietro ruszył w jego stronę.

Nie wiedział, że karzeł Feodor ukrył się w półmroku za jednym z filarów. Zawisł na nim jak pająk, półtora metra nad ziemią. Kiedy Pietro znalazł się tuż obok, wychylił się i skoczył.

Vindicati zareagował na to z uśmiechem.

Zaskoczony Pietro nie zrównoważył ciężaru karła. Zachwiał się i z napastnikiem na karku wpadł między rzędy ławek. Feodor walczył jak lew. Uniósł sztylet, który trzymał w ręku. W jego niepozornym ciele kryła się siła na miarę Herkulesa. Pietro krzyknął z bólu, gdy poczuł, jak ostrze wbija mu się głęboko w ramię chwilę po tym, jak z trudem odsunął je od twarzy. Ale Feodor nie

powiedział jeszcze ostatniego słowa. Lśniący sztylet znowu migał przed oczyma Viravolty, który czuł na karku oddech karła i słyszał jego dyszenie, raz po raz przerywane wściekłymi krzykami. Pod wpływem bólu Pietro zmobilizował wszystkie siły, zdołał wyprostować nogi, a potem gwałtownie przejść do rozkroku i zrzucić z siebie Feodora. Karzeł potoczył się po ławkach, ale już po chwili, gibki jak kocur, wstał, otrząsnął się i z pałającym wzrokiem, sztyletem zaciśniętym w ręce, ruszył do walki. Z ramienia Pietra spływała krew. Padając, zwichnął bark, więc nie mógł utrzymać szpady. Leżała teraz nieco dalej, między czarnymi ławkami. Po omacku szukał broni przy boku.

Rozjuszony Feodor znów się na niego rzucił.

Pietro zorientował się za późno. Uniósł rękę i Feodor zdążył tylko zobaczyć błysk. Huk odbił się echem od sklepienia. Karzeł jeszcze raz runął do tyłu. Leżąc na posadzce, skrzywił się i zacisnął rękę na brzuchu. Potem obrócił się jeszcze, jego mięśnie naprężyły się, jęk zamilkł.

Pietro wciąż trzymał wyciągniętą rękę. Jego surdut i koszula były podarte. Feodor, w swoim czerwonym kaftanie, leżał na ziemi, pomięte falbany żałoby zasłaniały mu usta. Pietro wolno się wyprostował. Rzucił pistolet na ziemię.

Vindicati nawet nie drgnął.

Pietro podniósł leżącą między ławkami szpadę i wyszedł na środek transeptu. Zadyszany, starał się ukryć ból, ale bark bardzo mu doskwierał.

- Zdrajco - zwrócił się do Emilia. - Uważasz, że wszystkie metody są dozwolone?

Vindicati zaśmiał się gromko. Zszedł po stopniach wiodących do ołtarza.

Tym razem mężczyźni równocześnie, stojąc twarzą w twarz, przyjęli pozycję *en garde*.

- Pamiętasz, Pietro? Dawniej zdarzało nam się staczać pojedynki, tyle że wtedy robiliśmy to dla rozrywki.

- Te czasy przeminęły.

Mocno wsparli się na nogach, Pietro czujny, Vindicati pełen nonszalancji, obaj już w ciągłym ruchu.

- Może powinienem był przeciągnąć cię na swoją stronę, Pietro. Jeszcze nie jest za późno... Mógłbyś do mnie dołączyć.

- Wiedziałeś, że nie ma na to szans, Emilio. Chciałeś się mną posłużyć. A dziś jesteś już nikim. Zostaliśmy tu sam na sam i nikogo na świecie nie obchodzi, co się z nami stanie.

Zapadła cisza.

\*

Szczyk broni wypełniał kościół Santa Maria Novella. Vindicati, jak dawniej, był mistrzem szermierki i nie zatracił swych umiejętności. Zresztą to on niegdyś uczył Pietra, po tym jak zwerbował go do pracy na rzecz Republiki. Między dawnym mentorem a Czarną Orchideą wytworzyła się nić porozumienia, jednak to była już tylko przeszłość. Teraz toczyli pojedynek na śmierć i życie. Mężczyźni przesuwali się po nawie w rytm ataków i natarć, wydając głośne okrzyki. Parowali ciosy, cięli, kontratakowali, odpowiadali pchnięciem na pchnięcie. Ostrza syczały jak węże, uderzały o siebie, ześlizgiwały się, trącąc rękami. Lecz każde uderzenie, które Viravolta musiał odeprzeć, nasilało i tak ostry ból barku i przyprawiało o zawrót głowy. Wiedział, że nie zdoła długo wytrzymać. Wykonał wypad i zepchnął Vindicatiego pomiędzy ławki po prawej stronie nawy. Chimera potknął się i zachwiał,

a Pietro już miał nadzieję, że ta chwila wystarczy, by zakończyć walkę. Lecz Vindicati zdołał zachować równowagę. Wynik pojedynku wciąż był niepewny. Zamiast podjąć kolejny atak, Emilio cofnął się między ławki w mroczną część kościoła. Nagle obrócił się ze śmiechem i zniknął za filarem.

Pietro splotał potem. Słyszał własny oddech i szybkie bicie serca. Wokół zapanowała cisza. Vindicati pozostawał niewidoczny. Wpatrując się w miejsce, w którym zniknął Emilio, Pietro ostrożnie przechodził między ławkami, uważając, by się nie potknąć. Zmrużył oczy, docierając do końca rzędu. Za filarem znajdowała się jedna z kapliczek otaczających nawę główną, oświetloną mnóstwem świec. W migoczących płomykach ukazał się przedstawiający scenę religijną fresk Giotta. Pietro przeszedł dalej.

Gdzie jesteś? Pokażesz się wreszcie?

Odwrócił się gwałtownie, obawiając się napaści zza pleców. Ani żywego ducha.

Vindicati pojawił się nagle, niczym zjawa. Głośno krzyknął. Pietro ledwie uchylił się od jego ciosu. Zareagował błyskawicznie i poczuł, że znalazł słaby punkt przeciwnika. Był zdecydowany na zawsze wyzwolić się spod wpływu Emilia. Uderzył mocno, ale przeciwnik zadziwił go szybkością kontrataku. Ostrze Pietra uderzyło o kamień. Straszliwe drgania przeniosły się na rękę i bark. Szpada, nie zostawiając nawet śladu cięcia na kamieniu, złamała się. Viravolta miał w ręku tylko kilka centymetrów stali, a Vindicati już się prostował. Podrywając się, Pietro zaatakował rękojęścią, wkładając w ten wymierzony w twarz cios całą siłę pięści. Miał szczęście, bo Emilio wcale się teraz nie osłaniał. Ogłuszony, cofnął się o kilka kroków, a przed ołtarzem głównym potknął się o schody i wypuścił szpadę z ręki.

Dla Pietra ten cios okazał się ponad siły. Miał wrażenie, że jego ramię to jedna wielka, otwarta rana. To, co zostało ze szpady, upadło na posadzkę. Podbiegł, aby chwycić broń Emilia, który cofnął się w stronę ołtarza i teraz, rozwścieczony, spoglądał na jedną z wielkich świec stojącą w wysokim świeczniku z połączanego brązu. Kopnął go, wyrzucając świecę, i sięgnął po ten ciężki przedmiot. Teraz trzymał świecznik oburącz. Wyglądało to naprawdę groźnie, ale Vindicatiemu nie było łatwo operować taką bronią. Obeszli ołtarz, by toczyć walkę na jego tyłach, w lewym skrzydle kościoła. Znowu bacznie się obserwowali i żaden nie śmiał zaatakować pierwszy. Pietro wyprostował rękę w wypadzie, ale zadrżała i zamiast trafić, machnął szpadą w powietrzu. Podobnie stało się, gdy Vindicati usiłował zamachnąć się świecznikiem, żeby trzymać Pietra na dystans. Upłynęła długa chwila, a Viravolta i Vindicati smagali tylko powietrze. Tuż obok płomień świecy, którą przewrócił Emilio, ogarnął już jedną z czerwonych kotar przy ołtarzu. Nagle tkanina zapłonęła jak pochodnia i lada chwila ogień mógł ogarnąć całą apsydę.

\*

Właśnie wtedy Emilio zbierał siły i odsłonił się na ułamek sekundy, cofając ręce i skręcając tułów, by zadać decydujący cios. Świecznik zatoczył łuk w powietrzu. Pietro pochylił się...

Teraz!

...i gwałtownie się wyprężył.

To był niezwykle widok. Chimera, Il Diavolo, Emilio Vindicati, niegdyś stojący na czele Rady Dziesięciu, został przebity własną szpadą. Padł pod *Trójcą Świętą* Masaccia, przy drewnianej

podstawie, tuż obok filaru, z którego unosiła się ku niebu kamienna ambona, zdobiona dłutem Cavalcantiego.

Czarna Orchidea wciąż zaciskał rękę na szpadzie tkwiącej głęboko w ciele przeciwnika. Nie ruszał się, patrząc w twarz Emilia, którego oddech był świszczący i przechodził w charkot. W pierwszej chwili rysy twarzy rannego wyostrzyły się, nadając jej typowy, dobrze znany Piętrowi wyraz srogości. Tak wyglądał na co dzień ten twardy, władczy człowiek stworzony do pełnionej przez długie lata funkcji przywódcy Mrocznych. Potem, uświadamiając sobie, że Lucyfer został pokonany, jakby opadł z sił. Jego twarz pobladała, brwi się uniosły, usta rozchyliły w niemym osłupieniu. W oczach znów rozbłysło szaleństwo, gdy stawały się coraz większe. Vindicati chciał zobaczyć, co dzieje się niżej. Z jego ust popłynęła strużka krwi. Zaczął się dławić. Pietro nie wypuszczał szpady. Ręce Emilia wsparły się na ramionach dawnego przyjaciela, jakby szukał u niego pomocy. Może chciał coś powiedzieć, ale nie był już w stanie. Pietro w końcu się cofnął i ręce Vindicatiego ciężko opadły. Świecznik z brązu leżał na posadzce.

Agonia Vindicatiego trwała jeszcze kilka sekund. Leżał niczym kukła pod Jezusem na krzyżu, tak jak on sam wyreżyserował śmierć Marcella Torretone w teatrze San Luca. Lucyfer rzucony do stóp Trójcy Świętej... Pietro przypomniał sobie Bramy Piekieł, rycinę, którą widział w Librerii Vicaria, gdy zaczynał prowadzić śledztwo. Ta odrobinę kabalistyczna ilustracja znajdowała się w książce oprawionej w atlasową skórę i aksamit, spisanej gotycką czcionką. Przedstawiała potężną, szeroką bramę wznoszącą się nad ziemią, niczym stela czy może cyprys nad grobem, i Księcia Mroku o łbie kozła oraz demony, które wysuwały się z jego ciała nad stertami trupich czaszek, nad płataniną duchów zmarłych, z otwartymi w krzyku ustami, poszarpanymi członkami.

Obraz, z którym Vindicati zrósł się w chwili śmierci, przypomniał Piętrowi tę rycinę - peleryna Lucyfera opadała w otchłań, a Trójca usuwała się w mrok umykających linii, potępiając Kusiciela na wieki. Pietro przypomniał sobie także inskrypcję nad Bramą Piekieł: *Lasciate ogni speranza, voi ch'intrate.*

Niechaj ci, którzy tu wchodzą, porzucą wszelką nadzieję.

Przy ołtarzu głównym dopalały się kotary, rozsiewając wokół smugi dymu. Na szczęście ogień nie mógł strawić kamienia i ta bariera okazała się wystarczająca. Tak, dziś ogień zostanie pokonany, jak Diabeł.

Aż wreszcie bezwładne ciało Emilia Vindicatiego osunęło się na posadzkę.

*Owym się skrytym Wódz powiódł podsieniem*

*I szliśmy, by wnet wyrzeć na lazury.*

*Idziem i w drodze wcale się nie lenim:*

*Wciąż wyżej: pierwszy on, ja za nim wtóry,*

*Aż obaczyłem niebios światła cudne*

*Przez krągły otwór migocące z góry.*

*Tędyśmy na świat wyszli, witać gwiazdy... .*

Pietro puścił szpadę i jęcząc, dotknął ręką barku. Tym razem wszystko dobrze się skończyło. Chimera odszedł z tego świata.

## PIEŚŃ XXVII

### *Epilog*

### **W stronę raju**

### **Październik 1756**

Tego wieczoru Pietro Viravolta i Anna Santamaria wybrali się do opery. Wystawiano *Andromedę* do libretta Benedetta Ferrariego, dzieło, które podczas karnawału roku 1637 uświetniło otwarcie teatru San Cassiano. Pierwszy teatr, komediowy, San Cassiano Vecchio, wzniesli w roku 1580 Trono wie, patrycjuszowski ród z San Benedetto. Po pożarze na jego miejscu powstał otwarty dla szerokiej publiczności kamienny teatr, na którego działalność pozwolenie Rady Dziesięciu uzyskali w roku 1636 bracia Francesco i Ettore Tronowie. Gdy ten gmach zniszczyło trzęsienie ziemi, teatr ponownie odbudowano, ale już jako operę. Występowali tu Albinoni, Ziani i Pollacolo. Na dziesięć lat przed pierwszą wizytą Viravolty w tym miejscu San Cassiano jako pierwsza scena zaprezentował neapolitańską *opera buffa*.

W San Cassiano było pięć rzędów foteli oraz trzydzieści jeden łóż. W jednej z nich, zajmując doskonałe miejsca, zasiedli Anna i Pietro. Kobieta wachlowała się w rytm muzyki. Widząc ją tak zafascynowaną spektaklem, z błyszczącymi oczyma, Pietro uśmiechnął się. W końcu się odnaleźli. Zaczynali nowe życie. W dole słychać było syreni śpiew Andromedy - urzekający, czysty i wysoki. Olśniewający finał rozbrzmiał *arpeggio*, by po chwili przerodzić się w ciszę, ta jednak nie trwała długo, bo rozpętała się istna burza oklasków.

Po wyjściu z łoży, w wyściełanych czerwonymi dywanami kuluarach, Pietro natknął się na Ricarda Paviego i jego słodką towarzyszkę. Filomena uchodziła za czarującą osobkę, a za jej oczy niejeden gotów był smażyć się w piekle.

- I cóż, przyjacielu! - uśmiechnął się Viravolta. - Wydaje się, że wszystko zostało rozstrzygnięte. Stał pan na czele groźnej Rady Dziesięciu...

Ricardo uśmiechnął się na te słowa.

- Jak pan wie, to niełatwe zadanie.

- Idę o zakład, że przewyższy pan swego poprzednika... Że odważę się o nim wspomnieć.

- Z pewnością przeminęły czasy diabelskich gier. Wenecja odzyskała spokój, mam nadzieję, że na długo. Cesarzowa Maria Teresa dowiedziała się o poczynaniach zdradzieckiego diuka, którego skazała na banicję. Ponoć wpadła w furję, gdy poinformowano ją o całej intrydze. Ale teraz wszystko jest już w porządku. Zna pan Wenecjan - żyją od święta do święta i zdążyli już zapomnieć o częstce zdarzeń, o których niewiele wiedzieli w tamtych bolesnych dla nas dniach... A nawiasem mówiąc... Gdzie pan siedział dziś wieczorem? Nie widziałem pana.

Pietro uśmiechnął się szeroko.



- Cóż... w raju, drogi Ricardo, gdzieżby indziej! W raju...Rozbawiona Anna przytuliła się do niego. Ricardo skłonił się i pocałował ją w rękę. Po chwili, zawołany przez znajomego weneckiego szlachcica, odszedł wraz z Filomeną, porozumiewawczo mrugając okiem do Pietra.

Anna spojrzała swemu towarzyszowi w oczy.

- A zatem, kawalerze? Idziemy?

Pocałował ją.

- Tak... Chodźmy.

Po chwili znaleźli się przed teatrem. Gdy Anna ujęła Pietra pod ramię, ten skrzywił się.

- Och, wybacz!... - szepnęła Anna. - Wciąż cię boli? Viravolta uśmiechnął się.

Kiedy byli już u podnóża schodów wiodących do budynku, Pietro został gwałtownie popchnięty przez kogoś z tłumu. Mężczyzna, który na niego wpadł, cały w czerni, nawet się nie obejrzał.

- Messer! Mógłby pan chociaż przeprosić!

Na dźwięk jego głosu mężczyzna stanął jak wryty. Przechodnie omijali go, on jednak wciąż trwał w bezruchu. Potem odwrócił się bardzo wolno. Miał czarny kapelusz, a część jego twarzy osłaniał szal, toteż widać było tylko błyszczące oczy. Pietro zmarszczył brwi. Mężczyzna nagle ruszył w jego stronę i niemal władcym gestem chwycił go za rękę, mówiąc stłumionym przez szal głosem:

- Zechce pani wybaczyć, księżniczko... A ty, chodź ze mną!

Viravolta oniemiał z oburzenia.

- Ależ drogi panie, cóż to ma...

- No, chodź!

Zaintrygowany Pietro zerknął na Annę, na chwilę puszczać jej rękę, by podążyć za tajemniczym osobnikiem.

Oddalili się od tłumu. Mężczyzna stanął za rogiem mrocznej uliczki. Znów się odwrócił i roześmiał. Jego oczy wydawały się Piętrowi dziwnie znajome... Szybkim ruchem pociągnął szal w dół. Wyglądał na mocno podekscytowanego.

Teraz Pietro widział już, za kim podążył.

- Giacomo! Ty tutaj?! - szepnął, zdumiony. Casanova uśmiechnął się lekko. Prawdę mówiąc, był blady, a po długotrwałych wyrzeczeniach życia więziennego jego twarz wychudła. Wyglądał, jakby trawiła go gorączka.

- Byłem pewien, że wciąż jeszcze przebywasz w Piombi! Prosiłem, by Rada Dziesięciu przyjęła cię do swych służb, doża mówił, że ponownie rozważy twoją sprawę, ale...

Casanova wyciągnął rękę.

- Zamilcz, przyjacielu! Nie mam czasu na długie rozmowy. Jestem zbiegiem. Czeka już na mnie osiodłany koń, wyjeżdżam daleko stąd.

- Zbiegiem? Ale jak...

- Pamiętasz Balbiego? Siedział niedaleko od nas. Nie dasz wiary: zdołał zrobić dziurę w suficie swojej celi, żeby móc mnie odwiedzać. Razem opracowaliśmy plan, no i udało mi się uciec przez dach...

- Ucieczka! Ucieczka z Piombi! Ależ... to niewiarygodne!!

- Wiem, że mnie pierwszemu się to udało... Pietro, drogi przyjacielu... Jak się miewasz? Widzę, że twoje sprawy także się ułożyły - rzucił, zerkając na Annę Santamarię, która baczenie się im przypatrywała. - A zatem... Ottavio zszedł ze sceny? Co się właściwie wydarzyło przez te tygodnie? Karnawał upłynął w tak gorącej atmosferze, że...

- Och - uśmiechnął się Pietro. - To bardzo długa historia. Wenecja! Sam wiesz... Ale co z tobą, Giacomo? Dokąd zamierzasz jechać?

- Nie miej mi tego za złe, nie mogę powiedzieć. Ale dość tego! Muszę cię pożegnać. Oby Bóg dał nam się jeszcze spotkać, przyjacielu! Nigdy cię nie zapomnę.

- Ani ja ciebie, Giacomo. Ani ja ciebie. Mężczyźni uściskali się, a potem Casanova, znowu się uśmiechając, uchylił kapelusza i odwrócił się, szeleszcząc peleryną.

Zniknął w ciemnej uliczce.

Pietro przez chwilę stał w miejscu. Spojrzał na Annę Santamarię. Czekwała pośród rzednącego tłumu. Jeszcze raz zerknął w głąb uliczki, a potem wrócił do Anny.

\* \* \*

Działo się to w październiku roku 1756. Giacomo Casanova zbiegł z więzienia w pałacu Pod Ołowianym Dachem. Pograżony w zadumie Pietro stał, patrząc na lagunę z placu Świętego Marka. W rękach trzymał kapelusz, na ramiona zarzucił pelerynę, pod nią miał surdut w kwiaty i białą koszulę z szerokimi rękawami. Noc przeminęła, budził się dzień. Smugi mgły wolno unosiły się ku niebu. Zacumowane przy nabrzeżu gondole łagodnie kołysały się na falach, woda chlupotała, uderzając o burty. Pietro nie czuł przygnębienia, ale ogarnęła go niepojęta nostalgia. Patrzył na San Giorgio, niemal widział odległe brzegi Lido, a za nią strzelistą Kampanilę i skrzydlatego lwa. Jak długo? - zadawał sobie pytanie. Wenecja tak wiele już doświadczyła. Perła, o tak! Ale jakże krucha. Ten skrawek laguny, wiecznie zagrożony przez *acqua alta*, kaprysy pogody, trzęsienia ziemi i morza, ten skrawek ładu, który od sześciuset lat starali się ocalić mieszkający tu ludzie, był prawdziwym imperium, mostem między Orientem i Europą, latarnią morską dla całego świata. Jak długo jeszcze przetrwa? Ilu jeszcze trzeba wysiłków, aby zachowała piękno i blask? Ile jeszcze natchnienia da światu? Wenecja - jej maski i jej prawda, miasto artystów i karnawału, radości i pozorów... Ile jeszcze wzbudzi zawiści?

Pietro kochał Wenecję jak kobietę, jak swą pierwszą miłość.

- Pietro!

Obejrzał się. Czekala na niego rozpromieniona Anna Santamaria. Skinęła głową i wsiadła do karocy, która miała ich zabrać daleko stąd. Obserwowali go także stangret i Landretto, wierny Landretto, półprzytomny po burzliwej nocy. Pietro podszedł do nich, wpatrując się w bruk. Liczył każdy krok na tym placu, który przemierzał tyle razy. Gdy stanął obok sługi, poklepał go po plecach i niemal przewrócił. Lokaja najwyraźniej mocno bolała głowa.

- I co powiesz, mój drogi? Jak tam... twoja Dama Kier?

- Och - mruknął Landretto. - To istna furia, panie. Jestem kompletnie wyczerpany. Sam pan wie, co znaczy: tajna Wenecja... I wcale mnie nie martwi, że stąd wyjeżdżam.

Pietro śmiał się, patrząc, jak Landretto ładuje ostatnie bagaże.

- Dobrze! A teraz może się wreszcie dowiem, dokąd jedziemy! - powiedział Landretto.

Pietro rozłożył ręce.

- Jeszcze się nie domyśliłeś? Do Francji, Landretto! To oczywiste! Czeka na nas Wersal! A dzięki łaskawości doży nic nie stanie nam na przeszkodzie. Podziękuj Serenissimie, przyjacielu. Powiedz... Na pewno spakowałeś moje talie kart?

- Ma się rozumieć. A zatem Francja?

- Francja, przyjacielu. Pietro znów zbliżył się do nabrzeża. Patrzył na blade jeszcze niebo, na migotliwe smugi światła. Trudno mu było opuścić to miejsce. Powolnym gestem wyjął kwiat z butonierki. Rzucił go do wody i długo obserwował.

Wreszcie podszedł do karety.

- Skończyłem z Czarną Orchideą! - powiedział do Landretta. - Ale nie martw się, ważne jest coś innego...

Uśmiechnął się i mrugnął okiem do lokaja.

- W końcu teraz jestem... legendą!

Założył kapelusz, odsłonił w uśmiechu zęby. Przed oczyma miał twarz Anny Santamarii. Jeszcze raz zerknął na lagunę i pokłonił się nisko.

A potem wsiadł do karety.

\* \* \*

Nikt nie pamięta niezwykłych wydarzeń, które rozegrały się w Serenissimie w roku 1756. Przepych karnawału, uznanego za jeden z najbardziej udanych w tym stuleciu, zatarł ślady spisku, którego nie odnotowano w annałach Wenecji. Prawdę mówiąc, zachowano tylko wspomnienie kilku epizodów, które naznaczyły te szczególnie niebezpieczne miesiące. Czyny i los Czarnej Orchidei poświadczają dokumenty zamknięte w przykurzonej teczce, która spoczęła w archiwach Quarantia Criminale i tajnej Wenecji osiemnastego wieku.

I popadła w zapomnienie, leżąc na którejś z półek...

Wiadomo jednak, że legenda żyje niezależnie od historii, więc nie ma się czym przejmować.

#### PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować mojemu wydawcy, Christophe'owi Bataille, Olivierowi Nora, Jacqueline Risset za jej przekład *Piekle* Dantego (wydanie z roku 1992, Flammarion), Philippe'owi Braunsteinowi oraz Robertowi Delort za *Venise, portrait historique d'une cité* (kolekcja Points Seuil), a także Françoise Decroisette za *Venise au temps de Goldoni* (Hachette Littératures) i, rzecz jasna, za *Pamiętniki* Casanovy, bez których mój Karnawał nie mógłby powstać. I wreszcie, dziękuję Philomène Piégay za cierpliwość i wsparcie.